

Georges Bernanos

Pod słońcem szatana

Przełożyła

Zofia Milewska

Instytut Wydawniczy PAX

Tytuł oryginału:

Skuś le soleil de Satan

ROBERTOWI VALLERYRADOT, który pierwszy tę książkę przeczytał i polubił.

G. B.

Przedmowa

Katolicyzm Sous le soleil de Satan jest katolicyzmem głębi. Dlatego z tej książki Bernanosa czynimy pierwszą programową pozycję naszego wydawnictwa.*

Na czym polega głębia Sous le soleil de Satan? Tworzy ją atmosfera przerażenia koniecznością dążenia do wytkniętego celu. „Przyszły Święty z Lumbres” przez cały czas swego dojrzałego życia musi zdążać do celu, którego nawet nazwać nie śmie - do świętości. Niezmienna świadomość tej konieczności torturuje go. Ileż razy talent Bernanosa wydobywa z rozdartej duszy bohatera przejmujący krzyk o wyzwolenie od służby tak olbrzymiemu celowi. Stąd tyle rozważań o rozpaczach w tej książce. O rozpaczach, która płynie z poczucia własnej małości w stosunku do zamiarów Bożych.

rozpacz, która wynika stąd, że posiadanie koniecznego do realizacji celu czyni życie tak trudnym i tak zupełnie innym od reszty ludzi..

Rozpacz, zwątpienie, przerażenie ustawiczną świadomością potęgi zła stanowią istotne tonacje psychiczne klimatu pióra Bernanosa. „Święty z Lumbres” w niczym nie przypomina tych papierowych postaci z żywotów dewocyjnych, którzy z bezproblematyczną łatwością zjawiają się na ołtarzach. Przewyciężanie siebie w drodze do celu nawet w świetle łaski - to w książce Bernanosa droga pełna trudu, wstrząsających wahań i ustawicznego zawodu na samym sobie. Końcowe zdanie książki, w którym bohater zwraca się do czytelnika: „Chciałeś mego spokoju, chodź zabierz go!...” brzmi przerażająco dla tych wszystkich, którzy się łudzili, że spokój w Bogu ma cechy kwietystycznej sielanki.

Bernanos jest jednostronny. Mało miejsca poświęca odtworzeniu momentów i stanów ukojenia, konsolacji i niePrzedmowa do wyd. z r. zrównanej radości, którą „Święty z Lumbres” na pewno spotkał na trudnej drodze swego życia. Tak jest jednak dobrze. Wydaje się bowiem, że trzeba wytepić doszczętnie rozpowszechnioną w katolickich społeczeństwach opinię łatwości życia w Kościele. Płytki i zabójczy to pogląd, według którego życie potoczne jest pełne trudu i konfliktów, a do Kościoła idzie się po ukojenie. Bernanos sugeruje to wyraźnie. Spokój w życiu jest możliwy do osiągnięcia tylko za cenę ustawicznego odczuwania wstrząsającego samokrytycyzmu w obliczu Boga.

Rozdarcie wewnętrzne, wątpliwości, przerażenie trudnością życia są udziałem wielu ludzi. Stany te najczęściej rodzą chwiejność postępowania, brak decyzji, niemożność służenia innym. W olbrzymiej skali doświadczał tych przeżyć „Święty z Lumbres”. Mimo to decyzje jego były natychmiastowe jasne, a zdolność przynoszenia pomocy ludziom zdumiewająca.

Jest dowodem mistrzostwa artystycznego Bernanosa, że przekonywająco wyjaśnia tę kwestię. Wahania na temat najlepszej drogi do celu są konieczne i w rezultacie bogacą, a nie niszczą posuwającego się człowieka; gubią tylko wahania co do istnienia celu naszej życiowej drogi.

Gubi choćby najkrótsze przerwanie dążenia do celu. Mimo męki wewnętrznej „Święty z Lumbres” żył zawsze w obecności Boga i stale był w ruchu ku Niemu. Dlatego nawet wtedy, gdy zamierała w nim wiara w siebie, ożywiał innych, wskazywał im kierunek.

Katolicyzm głębi duszy ludzkiej warunkuje skuteczność i wartość oddziaływania społecznego wiernych. Służba konkretnemu dobru jednostki i grupy społecznej została zagubiona przez fideizm i konserwatywny tradycjonalizm. „Święty z Lumbres” przeżywa ustawiczną obecność Boga - jakże przeraźliwie jasno wie, że w Tej obecności trzeba działać, trzeba służyć od razu, natychmiast konkretnym potrzebom spotkanych ludzi. Nie ma czekania w obecności Boga - oto synteza katolicyzmu głębi dzieła Bernanosa.

BOLESŁAW PIASECKI

Prolog

Historia Muszeczeki

Oto godzina wieczorna, którą lubił PaulJean Toulet.

Widnokrąg jakby się rozkłada, na zachodzie wielki obłok o barwie kości słoniowej, od zenitu do ziemi niebo coraz mroczniejsze - samotność bezbrzeżna, już zlodowaciała, przesycona płynnym milczeniem... Oto godzina poety, który destyluje w swoim sercu życie, ażeby wydzielić zeń utajoną treść, pachnącą, zatrutą.

W zapadającym zmierzchu już się porusza gromada ludzka o tysiącach rąk, tysiącach ust. Aleja już się ożywia i nabiera blasku... On zaś, łokciami wsparty o marmurowy blat stolika, patrzył, jak otwiera się noc niczym lilia.

Oto godzina, w której zaczyna się historia Żerminy Malorthy z miasteczka Terniaques w departamencie Artois. Jej ojciec wywodził się z tych Malorthy spod Pas de Calais, co tworzą tam istną dynastię młynarzy i mączarzy, ludzi ulepionych z jednej gliny, umiejących rzetelnie wykorzystać każdy worek zboża, ale rzutkich w interesach i żyjących dostatnio. Ojciec Malorthy pierwszy osiedlił się w Campagne, tu się ożenił i zamieniwszy żyto na jęczmień zajął się polityką i warzeniem piwa - jedno i drugie w złym raczej gatunku. Od tej pory młynarze i mączarze z Doeuvres i z Marquise uznali go za niebezpiecznego wariata, który pójdzie z torbami okrywszy przed tym niesławą kupców, którzy nigdy nie domagali się od nikogo niczego poza uczciwym zarobkiem. „Jesteśmy liberałami z ojca na syna” - mawiali, chcąc przez to wyrazić, że w handlu są bez skazy...

Albowiem buntowniczy doktryner, którym czas igra z głęboką ironią, płodzi jedynie ludzi umiarkowanych. Duchowe potomstwo Blanqui'ego zaludniło urzędy państwowe, w zakrystiach mrowią się epigonowie księdza Lammenais.

Osada Campagne ma swoich dwóch władców. Lekarz urzędowy Gallet, wychowany na lekturze Raspaila, deputowany tego powiatu. Z wyżyn, na jakie go los wyniósł, spoziera jeszcze tęsknie na utracony raj mieszczańskiego żywota, swoją małą obskurną miścinę, i na rodzinny salon w zielonym rypsie, gdzie się rozrosła jego nicość. Uczciwie wierzy, że jest niebezpieczny dla ładu społecznego i dla własności, ubolewa nad tym i stale milcząc lub usiłując być nieobecny, żywi nadzieję, iż w ten sposób przedłuży ich lube konanie. Przez to, że kiedyś przewodniczył na uroczystym bankiecie w Wielki Piątek, przypuszcza, iż ostatecznie już zerwał z przeszłością, już całkowicie należy do twardych pięści broniących Republiki, i do tej kobiety z kokardą, która z nim - drobnym człowieczkiem - prędko by się uporała...

Słowem poddał się całkowicie.

Niemniej mieszkańcy Campagne wciąż jeszcze patrzą ze strachem albo z czcią na tego, kto w ich oczach wydaje się nadal personą - i to nawet na lewicy - a jest tylko członkiem stronnictwa, kimś, w kim stronnictwo się usadowiło niczym krab w skorupie - i bardzo nisko kłaniają się wyświechtanemu surdutowi, okrywającemu widmo, i żalonym, zwisającym spodniom.

- Ludzie nie są dla mnie sprawiedliwi! - zawołał kiedyś ten upiór z przejmującą szczerością. - No jakże! Ja mam przecież sumienie!

W tym samym czasie i tej samej okolicy markiz de Cadignan wiódł sobie żywot króla bez królestwa. Zorientowany w wielkich sprawach tego świata dzięki „kronice towarzyskiej” z „Gaulois” i kronice politycznej z „La Revue des

Deux Mondes”, żywił jeszcze ambicje wskrzeszenia we Francji zapomnianego już sportu polowania z sokołami. Niestety, zakupione za ciężkie pieniądze wątpliwej wartości sokoły z Norwegii, jakoby sławnej rasy, zawiodły jego nadzieje i spustoszyły mu spiżarnię, toteż ukręcił łby wszystkim rycerzom teutońskim i zajął się skromniejszą tresurą krogulców, do chwytania w locie skowronków i srok. A poza tym uganiał się za dziewczętami: takie przynajmniej chodziły o nim słuchy, lecz złośliwość ludzka musiała zadowolić się obmawianiem i krążącymi plotkami, jako że osobnik ten kłusował na własny rachunek, niemy na tropie jak wilk.

Ojcu Malorthy żona powiła córkę, którą najpierw z gorliwości republikańskiej chciał nazwać Lukrecją. Miejscowy nauczyciel, w najlepszej wierze, uważając cnotliwą niewiastę za matkę Grakchów, wygłosił na ten temat krótką mowę, w której przypomniał, że już wcześniej Wiktor Hugo uczcił pamięć tej wielkiej postaci. A zatem już raz księgi stanu cywilnego zostały uświetnione jej chwalebnyim imieniem.

Niestety proboszcz, mający wątpliwości, orzekł, że trzeba poczekać na opinię biskupa, więc popędliwy piwowar rad nie rad musiał pogodzić się z faktem, iż córka jego została ochrzczona imieniem Żermena.

- Jakby chodziło o chłopaka, to bym nie ustąpił - powiedział. - Ale panienka...

Panienka kończyła właśnie szesnaście lat.

Pewnego wieczoru, gdy zasiedli do kolacji, Żermena weszła do izby ze skopkiem świeżo udojonego mleka... Po paru krokach od progu raptownie stanęła, jakby się nogi pod nią ugięły, i pobladała.

- O Boże! - wykrzyknął Malorthy. - Mała chyba mdleje!

Biedaczka ręce przycisnęła do brzucha i rozplakała się rzewnie. Przenikliwy wzrok matki Malorthy skrzyżował się

M wzrokiem córki.

- Zostaw nas na chwilę same, ojczulku - powiedziała.

Jak się to nieraz zdarza, po tysiącnych mglistych, ledwie formułowanych podejrzeniach, oczywistość objawiła się nagle niczym grom. Powolnie motany splot przyczyn i skutków nie mógł rozwiązać się inaczej: nasz los okazuje lic ustalony przez kilka rozstrzygających, nieodwracalnych poczynań.

Prośby, groźby, nawet bicie nie zdołałyby wydobyć z upartej dziewczyny nic prócz dziecinnych łez. Najbardziej ograniczone w podobnych sytuacjach wykazują przytomność umysłu i zimną krew, co jest zapewne szczytowym przejawem działania instynktu. Tam, gdzie mężczyzna wpadłby w zakłopotanie, one milczą. Dobrze wiedzą, że do ostateczności podniecona ciekawość rozbroi gniew.

Po upływie jednak tygodnia Malorthy, między dwoma pociągnięciami z fajki, oznajmił żonie:

- Jutro idę do markiza. Już to sobie ułożyłem. Domyślam się wszystkiego.

- Do markiza! - jęknęła. - Och, Antoni, twoja pycha cię zgubi, nie wiesz przecież nic pewnego; ośmieszysz się tylko.

- Zobaczymy - odpowiedział stary. - Ale już dziesiąta. Kładź się spać.

Gdy jednak nazajutrz zasiadł w obitym skórą fotelu w przedpokoju groźnego przeciwnika, uprzytomnił sobie nagle własną nieogłędność... Złość opadła: „Posuwam się chyba za daleko” - zreflektował się w duchu.

Wydawało mu się bowiem, że będzie zdolny rozmówić się w tej sprawie, tak jak w wielu innych, z chłopską przebiegłością, odsuwając na bok ambicję. Po raz pierwszy jednak namiętność przemawiała głośniejsz, i to w języku, którego nie znał. (Zraniona duma wypowiada się równie dostojnie jak miłość, on zaś słyszał już tylko dumną a przewrotną Syrenę).

Jakub de Cadignan zbliżał się do piątego krzyżyka. Średniego wzrostu, już pogrubiały wiekiem, o każdej porze roku nosił ubranie z brązowego welwetu, w którym wydawał się jeszcze tęższy. Niemniej taki, jaki był, potrafił czarować przez swoistą serdeczność i wiejską uprzejmość, którymi posługiwał się bezbłędnie. Jak wielu tych, których nie opuszcza myśl o uciechach życia i poczucie ciągłej - rzeczywistej lub wyimaginowanej - obecności kobiecego towarzystwa, choćby nie wiedzieć jak starał się robić wrażenie opryskliwego, stanowczego i nawet trochę gburowatego, zdradzał się, gdy mówił; głos miał niezwykle dźwięczny i bogaty w odcienie, to wznoszący się nagle niby głos rozpieszczonego dziecka, to natarczywy i czuły, poufny.

I miał także odziedziczone po matce Irlandce oczy bladoniebieskie, przejrzyste bez głębi, połyskujące lodowatym blaskiem.

- Dobry wieczór, Malorthy - powiedział. - Siadajcie.

Malorthy rzeczywiście wstał. Przygotował krótką mówkę, lecz ku własnemu zdumieniu nie mógł przypomnieć sobie ani słowa. Jął tedy mówić jak we śnie czekając, aż złość go rozbudzi.

- Panie markizie - zaczął - idzie o naszą córkę.

- O... - mruknął tamten.

- Przyszedłem rozmówić się z panem jak mężczyzna

I mężczyzną. Od pięciu dni, jakżeśmy się w tym połapali, rozmyślałem sobie, rozważałem wszystkie za i przeciw: trzeba tylko pogadać, żeby się porozumieć, wołałem tedy zobaczyć się z panem, nim zacznę inne kroki. Koniec końców nie jesteśmy przecież dzikusami!

- Jakie inne kroki? - zapytał markiz.

Po czym dorzucił spokojnie, tym samym tonem:

- Bynajmniej z was nie żartuję, Malorthy, ale u licha tiawicie się ze mną w zagadki! Obydwaj jesteśmy za stare chłopy, żeby próbować się przechytrzać i krążyć wokół lematu.

Chcecie, żebym ja powiedział zamiast was? No, więc ilobra! Mała jest w ciąży, a wy szukacie wnuczki tatusia...

Dobrze mówię?

- Dziecko jest pana! - wykrzyknął piwowar, na nic już nie bacząc.

Spokój grubego mężczyzny przejmował go dreszczem.

/ . tyłu nieodpartych argumentów, jakie sobie przygotował, icraz żadnego nawet nie odważał się wysunąć. W jego mózgu to, co uważał za oczywiste, rozwiewało się oto niby dym.

- Żarty na bok - mówił dalej markiz. - Nie uchybię wam w grzeczności, dopóki nie wysłucham waszych racji.

Znamy się przecież dawno, Malorthy. Dobrze wiecie, że nie stronie od dziewcząt: niejedno mi się przydarzyło, jak i wszystkim. Ale słowo uczciwego człowieka, niech się tylko w okolicy jaki dzieciak urodzi, a już wasze cholerne kumoszki zaczynają we mnie celować swoimi jeżeli, no, ale... podobno, możliwe... Nie żyjemy już w czasach feudalów: to, co sobie biorę, całkiem dobrowolnie pozwalają mi brać.

Republika jest dla wszystkich, do krośset piorunów!

„Republika!” - zastanowił się zdumiony piwowar. Wziął całą tę wypowiedź za zwykłą brawurę, chociaż markiz mówił szczerze i jako prawdziwy wieśniak odnosił się przychylnie do rządu, który organizował konkursy rolnicze i nagradzał dobrze wypasiony inwentarz. A zresztą jeśli chodzi o poglądy właściciela pałacu w Campagne, niewiele się one różniły od poglądów najbiedniejszych jego dzierżawców.

- No więc?... - odezwał się Malorthy, nadal czekając potwierdzenia albo zaprzeczenia.

- No więc wybaczam wam, żeście się dali, jak to mówią, napuścić. Wy, wasz piekielny deputowany i wszystkie zresztą okoliczne łobuzy, wyrobiliście mi opinię istnego sinobrodego.

Markiz tędy, markiz owędy, pańszczyzna, prawa feudalne - same brednie. Chociażem markiz, mam chyba prawo do sprawiedliwości, no nie? Chcecie się okazać sprawiedliwy i rzetelny, Malorthy? Powiedźcie mi uczciwie, co to za głupiec doradził wam przyjść tutaj do mnie, naopowiadać mi niemiłych rzeczy, a w dodatku jeszcze mnie oskarżać!?...

Kryje się chyba za tym jakaś baba, co?... Och, te więdźmy!

Teraz już śmiał się donośnym, rubasznym śmiechem. Mało brakło, a piwowar też by się roześmiał, jak po długim dobijaniu targu, omal nie powiedział: „No dobra, panie markizie! Chodźmy na kielicha!...” - bo Francuz z natury jest dobroduszny.

- Tyle że, panie de Cadignan - westchnął - jakbym nawet nie miał innych dowodów, toć przecież wszyscy wiedzą, że umizgał się pan do małej, i to od dawna. O chociażby!

Nie ma jeszcze miesiąca, jak sam was widziałem, kiedy przechodziłem przez drogę do Wail, siedzieliście tuż przy lobie na brzegu rowu, na skraju pastwiska Leclercąa. Pomyślałem wtedy: to tylko zalecanki, to minie. No i mała była przyrzeczona młodemu Ravault; a taka jest dumna! Ano cóż, już się stało. Człowiek taki bogaty jak pan, szlchetnego rodu, nic żartuje w sprawach honoru... Samo się rozumie, nie domagam się, żeby pan się z nią żenił; na tyle głupi nie jestem. Ale nie godzi się też mieć nas za nic, użyć sobie, a potem nas wystawić na ludzkie pośmiewisko.

Wypowiadając te ostatnie słowa przybrał znowu podświadomie zwykły ton wieśniaka, który chce się ugodzić, mówił z przymilną dobroduszością, trochę zająkliwie. „Nie ośmiela się zapierać - pocieszał się w duchu - chce mi coś zaproponować... i pewnie zaproponuje.” Ale niebezpieczny przeciwnik pozwalał mu przemawiać na wiatr.

Milczenie przeciągało się minutę, może dwie, w ciszy słychać było daleki dźwięk kowadła... Działo się to w piękne sierpniowe popołudnie, brzęczące, rozdzwonione.

- A więc? - odezwał się wreszcie markiz.

Przez krótką chwilę wytchnienia piwowar zebrał siły.

- Pańska rzecz proponować - powiedział.

Tamten jednak snuł dalej własną myśl; zapytał:

- A z tym Ravault dawno się ona widziała?

- A bo ja wiem!

- Można by tu znaleźć jakąś wskazówkę - mówił spokojnie markiz - to ciekawa informacja... Tylko że tatusie są tacy głupi! Ja w dwie godziny dostarczyłbym wam winowajcę, ze spętanymi nogami i rękami!

- Coś podobnego! - wykrzyknął Malorthy jak rażony gromem.

Nie bardzo się on znał na tej wyższej formie tupetu, którą pięknoduchy zwą cynizmem.

- Mój drogi Malorthy - ciągnął tamten nie zmieniając tonu - nic wam nie mogę doradzić: zresztą jak się coś złego trafi takiemu mężczyźnie jak wy, rady i tak nie posłucha.

Powiem po prostu tyle: przyjdźcie znów do mnie za tydzień; przez ten czas uspokójcie się, zastanówcie, o niczym nie rozpowiadajcie, nikogo nie oskarżajcie; moglibyście trafić na mniej cierpliwego niż ja. Nie jesteście już dzieckiem, u diabła!

Nie macie ani świadków, ani listów, nic. Tydzień to dosyć czasu, żeby posłuchać, co ludzie gadają i z małej nawet rzeczy wyciągnąć dużą korzyść; zobaczy się... Czyście mnie dobrze zrozumieli, Malorthy? - zakończył dobrotliwie.

- Może i dobrze - odpowiedział piwowar.

- Nie macie ani świadków, ani listów, nic. - W tym momencie uwodził się zawahał; jego głos jakby się załamał. „Chciałby, żebym się z wszystkim wygadał - pomyślał

Malorthy. - Uwaga!” Ta oznaka słabości przywróciła mu odwagę. Skądinąd zaś w głowie mu się mąciło w miarę, jak czuł wzbierający w sobie gniew.

- Zbierzcie trochę wiadomości - dodał jeszcze Cadignan - a dziewczynę zostawcie w spokoju. Tym bardziej że nic z niej nie wydobędziecie. Taka ładna zwierzyna, widzicie, to istny derkacz w lucernie, kluczy to przed samym nosem najlepszego psa, do szалу może doprowadzić starego spaniela.

- To samo właśnie chciałem powiedzieć - oświadczył

Malorthy podkreślając każde słowo kiwnięciem głowy. - Ja zrobiłem wszystko, co mogłem; poczekam chętnie tydzień, dwa tygodnie, jak długo będzie trzeba. Malorthy nic nie jest nikomu dłużny, a skoro dziewczyna źle się prowadziła, przeciwko niej wszystko się obróci. Jest dość dorosła na to, żeby iść na złą drogę, więc może przecież sama się bronić...

- Wolnego, wolnego! Po co gadać na próżno! - wykrzyknął markiz.

Ale tamten już się nie namyślał; wydało mu się, że wzbudził strach.

- Nie sposób tak łatwo pozbyć się ładnej dziewczyny jak starego nudziarza, panie de Cadignan, to przecież wszyscy wiedzą. Pana tu dobrze znają, widzi pan, i ona sama panu powie, jak z nią jest, do stokroć diabłów! Patrząc prosto w oczy, przy ludziach, bo charakterna to ona jest, ta smarkula! W najgorszym razie nie z nas się będą śmieli...

- Słowo daję, chciałbym to zobaczyć - sapnął tamten.

- I zobaczy pan - przyobiegał Malorthy.

- Najlepiej ją wprost zapytajcie - wykrzyknął Cadignan. - Idźcie sami zapytać, przyjacielu!

Na chwilę w oczach piwowara pojawiła się błąda, drobna twarzączka, stanowcza, nieodgadniona, i te usta dumne, od tygodnia broniące swojej tajemnicy... I raptem wypalił:

- Ale z pana spryciarz nad spryciarze! - Ona już wszystko powiedziała ojcu!

I cofnął się o parę kroków.

Wzrok markiza zmiękł na chwilę, potem zmierzył go od stóp do głów i nagle stwardniał. Błady błękit oczu pozieleniał. Żermena w tym momencie mogłaby wyczytać w nich swój los.

Podszedł do okna, zamknął je, wrócił do stołu w całkowitym milczeniu. Później wzruszył szerokimi ramionami, przybliżył się do swego gościa tak, że go niemal dotykał, i powiedział tylko:

- Przysięgnij, Malorthy!

- Już przysięgam! - odparł piwowar.

To kłamstwo wydało mu się od razu uczciwym fortelem.

Zresztą wielce by się czuł zakłopotany, gdyby miał odwoływać swoje słowa. Tak czy inaczej, jedna tylko myśl przeleciała mu przez mózg, nie zdołał jej jednak zatrzymać, ale wyczuł, że przejmuje go lękiem. Doznał mglistego jakiegoś wrażenia, że z dwóch dróg, jakie miał do wyboru, wybrał drogę złą i że się na nią zapuścił już nieodwracalnie...

W tym momencie odczuł ból córki, której właściwie nie znał, ale która była przecież jego ciałem i krwią.

Oczekiwał wybuchu, ucieszyłby go. Markiz jednak powiedział ze spokojem:

- Idźcie sobie, Malorthy. Lepiej dzisiaj już na tym poprzestać. Wy w jednym sensie, ja w drugim, obaj zostaliśmy wyprowadzeni w pole przez tę małą szelmę, która zaczęła chyba kłamać, nim nauczyła się mówić! Uwaga...!

Ci, co wam doradzają, są może na tyle sprytni, że dzięki nim nie popełnicie ze dwóch, może trzech głupstw, z których największym byłoby, gdybyście chcieli mnie zastraszyć. Ludzie mogą sobie myśleć o mnie, co chcą, gwizdź na to!

A zresztą sądy nie są wymyślone dla psów, jakby was naszła kiedy ochota... No, to powodzenia!

- Ano, jeszcze się zobaczymy - odparł z godnością piwowar. I tak się zamyślił nad inną odpowiedzią, że nie wiedzieć jak znalazł się znowu za drzwiami, samotny i strapiony. „Diabeł nie człowiek - stwierdził później w duchu - dałby ci wysłodziny za jęczmień i jeszcze byś mu podziękował...”

Idąc drogą odtwarzał w pamięci wszystkie szczegóły minionej sceny, stopniowo, jak to zwykle bywa, układając własną rolę w coraz korzystniejszym świetle. Ale mimo wszelkich wysiłków, zdrowy rozsądek zmusił go do pogodzenia się z faktem, przytłaczającym dla jego miłości własnej: to spotkanie dwóch równych sił, po którym tyle sobie obiecywał, do niczego nie doprowadziło. Ostatnie zaś słowa Cadignana, pełne tajemniczej treści, nadal go niepokoiły, kiedy myślał o przyszłości... „Wy w jednym sensie ja w drugim, zostaliśmy obaj wyprowadzeni w pole...”

Wyglądało na to, że smarkuła obu ich wystrychnęła na dudków.

Podniósł oczy i ujrzał wśród drzew swój piękny dom z czerwonej cegły, begonie na trawniku, dym z browaru wzbijający się prosto do góry w wieczornym powietrzu, i przestał się czuć nieszczęśliwy. „Jeszcze ja im pokażę - mruknął do siebie - ten rok będzie dobry.” Od dwudziestu lat hodował marzenie, by stać się rywalem dziedzica z pałacu; no i był. Niezdolny do tworzenia jakowychś koncepcji ogólnych, lecz obdarzony przenikliwym wyczuciem rzeczywistych wartości, teraz już nie wątpił, że jest pierwszą osobą w swoim miasteczku, że należy do rasy panów, której prawa i obyczaje odzwierciedlają obraz stulecia; on, posiadacz skromnego motoru na gaz, symbolu współczesnej wiedzy i postępu, w tym samym stopniu przewyższa utytułowanego wieśniaka, jak lekarza polityka, który przecież jest tylko zdeklasowanym mieszczuchem. Postanowił wysłać córkę do

Amiens, by tam odbył się połów. W braku innej pociechy, mógł być przynajmniej pewien dyskrecji markiza. A zresztą notariusze z Wadicourt i z Salins wcale już nie taili, że niedługo pałac ma być sprzedany. Ambitny piwowar liczył na ten odwet. O niczym lepszym na razie nie marzył, jako że nie posiadał na tyle wyobraźni, by pragnąć śmierci rywala.

Należał do rodzaju poczciwców, którzy umieją żywić nie-nawiść, ale których nienawiść nie żywi -; rozdziawione gęby, w które niekiedy, w odpowiednim czasie, rewolucyjna anarchia rzuci jakąś padlinę.

Był wtedy czerwcowy ranek; czerwcowy ranek tak jasny i rozdzwoniony, taki słoneczny.

- Idź zobacz, jak bydłatom zeszła noc! - nakazała matka Malorthy (ponieważ sześć pięknych krów zostało na łące od wczorajszego wieczoru)... Żermena zawsze będzie miała w oczach ten skraj lasu Sauves, błękitne wzgórze, rozległą równinę zniżającą się ku morzu i słońce nad wydmami...

Widnokraż, co się już rozgrzewa i paruje, zapadniętą jeszcze, pełną mroku drogę, a dookoła pastwiska, karłowate jabłonie. Światło takie świeże jak rosa. Zawsze będzie słyszała, jak sześć pięknych krów prychnie i porykuje w jasności poranka. Zawsze będzie wdychała tę mgłę, pachnącą cynamonem i dymem, co drażni gardło i zmusza do śpiewania.

Zawsze będzie widziała wklęsniętą drogę, gdzie w koleinach woda połyskuje od wschodzącego słońca... I ponad wszystko cudniejszego swojego bohatera, na skraju lasu, przy nim dwa psy, Zabij i Nierusz, a on z wrzosową fajką w zębach, w tym swoim welwetowym ubraniu i grubych butach - jak król.

Spotkali się już wcześniej, przed trzema miesiącami, pewnej niedzieli na drodze do Desvres. Doszli razem, ramię w ramię, do pierwszego domu... Stopniowo przypominały się jej różne wypowiedzi ojca i tyle znanych artykułów z „Reveil de ‘Artois’”, którym wtórowało,

dla uwypuklenia, walenie pięścią w stół - słowa poddaństwo, lochy - a także ilustrowane „Dzieje Francji”, Ludwik XI w spiczastym czepcu

(a za jego plecami kołysze się wisielec, widać też wielką wieżę z Plessis)...Odpowiadała bez fałszywego zawstydzenia, z główką podniesioną, z ujmującą śmiałością. Lecz na wspomnienie piwowara republikanina jednak robiło jej się zimno, dreszcz przebiegał po skórze - już tajemnica, jej tajemnica!...

W szesnastym roku życia Żermena umiała kochać (bynajmniej nie marzyć o miłości, co jest zabawą towarzyską)... Niewątpliwie analiza serca ludzkiego została dość nieudolnie zniekształcona przez ostatnich pisarzy z epoki

Regencji, nie tyle zmysłowych, co zdeprawowanych, i zaiste nazbyt rozgadanych... Lecz przeraźliwi oratorzy, którzy przyszli po nich, swoim ślepym liryzmem zamienili Francję w cmentarzysko. Wychowani na kolanach starych hipochondrycznych uwodzicielek, wyobrażają sobie, że z takich właśnie zabalsamowanych cielsk odtworzą kobietę naszego gatunku, niczym prehistoryczne zwierzę odtwarzane geniuszem Cuviera. Kiedy te przymilne bestie, urodzone do malowania kurtyzan, szerokimi pociągnięciami pędzla odtwarzania martwej natury, zapragnęły wyżej podnieść wzrok, zbezczęściły żywe serce tak, jak się bezczęści trupa.

Żermena umiała kochać, to znaczy hodowała w sobie, niby piękny dojrzewający owoc, ciekawość rozkoszy i ryzyka, nieustraszoną ufność istot, które wszystko stawiają na jedną kartę, śmiało patrzą w oczy nieznanemu życiu, w każdym pokoleniu od nowa zaczynają historię starego świata. Młodziutka mieszcza o mlecznobiałej cerze, sennym spojrzeniu, dziwnie delikatnych dłoniach, w milczeniu przewlekała igłę czekając chwili, kiedy się odważy, kiedy zacznie żyć. W myśli i pragnieniu zuchwała do granic możliwości, umiejąca jednak wszystko organizować, skoro już dokonuje wyboru, czyni to z bohaterskim rozsądkiem.

Jakąż przeszkodą może być nieświadomość, kiedy szlachetna krew przy każdym uderzeniu serca kusi, by wszystko poświęcić temu, czego się nie zna!... Stara Malorthy, która się urodziła brzydka i bogata, nigdy nawet sobie nie wyobrażała, by mogła przeżyć coś innego niż przyzwoite małżeństwo, co jest głównie sprawą notariusza; cnotliwa z sytuacji życiowej, zachowała jednak bardzo silne wycucie, jak chwiejna jest równowaga kobiecego życia i jak łatwo - niczym zawila budowla - przy najlżejszym przesunięciu może się ona zawalić. „Ojczulku - mawiała do piwowara - naszej córce potrzebna jest religia...” Trudno by jej przyszło powiedzieć na ten temat coś więcej, chyba tylko, że tak właśnie wyczuwała. Ale

Malorthy nie dawał się przekonać. „A na co jej ksiądz, żeby się przy spowiedzi dowiedziała tego, czego nie powinna wiedzieć? Księża wypaczają sumienia dzieci, wiadoma rzecz...”

Z tego też powodu nie pozwolił jej chodzić na lekcje religii, a nawet odwiedzać „któregokolwiek z tych świętoszków, którzy w najlepsze stadła małżeńskie wsiewają - jak mawiał - kąkola niezgody”. Rozprawiał także w sybillińskich zwrotach o tajemniczych nawykach, które rujną zdrowie młodych dziewcząt i z których teorią i praktyką zapoznają się one w klasztorach. „Mniszki tresują dziewczyny na pociechę księży” - głosiła jedna z jego maksym. „Już zawczasu podważają autorytet męża” - kończył waląc pięścią w stół. Nie tolerował bowiem, by lekce sobie ważyć prawo małżeńskie, jedyne prawo, które pewnego typu wyzwoliciele rodzaju ludzkiego chcą zachować w stanie nienaruszonym. Bładolicy esteci paryscy nie przetłumaczą nic w tej materii wielu osiłkom z prowincji, zbyt dobrze odżywionym, których miłość małżeńska za najtańsze pieniądze całkowicie zabezpiecza od wszelkich zakazów. Ileż to kobiet dzięki przemyślnym fortelom dzieli w ten sposób wystawne potrawy i szlachetne wino ze swoimi Władcami!

Jeśli pani Malorthy utyskiwała czasami, że córka nie ma zupełnie przyjaciółek i wcale nie wychodzi z ich małego, posępnego ogródka ze strzyżonymi cisami, odpowiadała:

- Zostaw ją w spokoju. Dziewczęta w tych piekielnych stronach są do cna zepsute. Tymi swoimi kółkami patronatu, sodalicją i nie wiedzieć czym jeszcze proboszcz co niedziela przetrzymuje je już najmniej godzinę. Trzeba się mieć na bacności! Skoro chciałaś nauczyć małą, jak trzeba żyć, powinnaś mnie była posłuchać i wysłać ją do gimnazjum w Montreuil, teraz by już miała świadectwo ukończenia!

Ale przyjaźnie z dziewczynami w jej wieku, to na nic... Już ja wiem, co mówię...

Tak przemawiał Malorthy, opierając się na zdaniu deputowanego Galleta, któremu subtelne problemy wychowania niewiast nie były obojętne. Albowiem ten mizerny człeczyna, ongiś wyznaczony na lekarza w gimnazjum Montreuil, dość dużo dowiedział się o panienkach i bynajmniej się z tym nie krył.

W latach swojego publicznego żywota i to w towarzystwie tylu wygadanych kolegów o krzepkich posturach, podtrzymujących jego politykę, daremnie usiłował zachowywać się swawolnie - jako że do tej pory był czystych obyczajów i cierpiał na niestrawność - ale obecnie i najwięksi zuchwalcy uznawali jego wyższość jako teoretyka... „Z naukowego punktu widzenia...” - powiadał niekiedy z uśmiechem człowieka wyleczonego z bardzo wielu złudzeń, pełnego pobłażliwości dla cudzych uciech, których sam jednak już nie szuka.

Tu właśnie, w ogródku ze strzyżonymi cisami, na śmiesznej pustej werandzie, pachnącej pokostem, mała ambitna dziewczynka męczyła się oczekiwaniem nie wiedzieć

czego, co wcale nie nadchodziło... Stąd także wyruszyła, a zaszła dalej niż do Indii... Szczęśliwie dla Krzysztofa Kolumba ziemia jest kulista; zaledwie legendarna karawela zanurzyła swój dziób, już płynęła z powrotem... Lecz można też zapuścić się na inną drogę, prostą, nieprzystępną, która wciąż zbacza i z której sam nikt nie powraca. Gdyby Żermena albo te, co jutro wyruszą jej śladem, mogły mówić, powiedziałyby: „Po cóż mam iść znowu waszą wygodną drogą, która prowadzi donikąd? Co mam niby robić z takim światem, który jest okrągły jak piłka?”

Kogoś, kto zdawał się urodzony do spokojnego żywota, czeka los tragiczny. Przypadek zdumiewający, mówi się, nie do przewidzenia... Ale przypadki są bez znaczenia: tragedię nosił już w swym sercu.

Gdyby jego miłość własna nie została tak głęboko ugodzona, Malorthy zapewne zdałby żonie sprawozdanie z wizyty w pałacu. Uznał jednak, że lepiej będzie przez pewien jeszcze czas osłonić swój niepokój i zakłopotanie wyniosłym, złowieszczym milczeniem. A zresztą myślał tylko o tym, by się samemu odegrać i sądził, że najłatwiej mu to przyjdzie, gdy urządzi scenę domową, której ofiarą padnie córka. Dla wielu głupawych pyszałków, którym życie nie szczędzi zawodów, rodzina wciąż jeszcze jest instytucją potrzebną, gdyż daje im do rozporządzenia, tak jakby w zasięgu ręki, małe grono istot słabych, które i największy tchórz potrafi przestraszyć. Albowiem bezsilność lubi oglądać odbicie własnej nicości w cierpieniu drugiego człowieka.

Dlatego też, ledwie się wieczerza skończyła, Malorthy rzucił nagle rozkazującym głosem:

- Córeczko, mam z tobą do pomówienia...

Żermena podniosła głowę, wolno odłożyła robótkę na stół, i czekała.

- Uchybiłaś mi - podjął tym samym tonem - poważnie mi uchybiłaś... Dziewczyna, która zejdzie na złą drogę, już jest dla rodziny jak bankrut... jutro wszyscy mogą wytykać nas palcami, nas, ludzi bez skazy, cieszących się uznaniem w interesach, takich, co nic nikomu nie są dłużni.

I co! Zamiast nas prosić o wybaczenie i porozmawiać z nami, jak się należy, jakże ty postępujesz? Zapłakujesz się na śmierć, wciąż tylko lamentujesz, wciąż tylko och i ach... Ale żeby uświadomić swojego ojca i matkę, o, nic podobnego.

Milczenie i tajemniczość, do licha! To już nie może się dłużej przeciągać ani o pół dnia! - zakończył waląc pięścią w stół - albo się dowiesz, z kim masz do czynienia! Dosyć tych beków! Będziesz gadała czy nie?

- Ja bardzo chętnie... - odpowiedziała nieboraczka, żeby zyskać na czasie.

Nadeszła więc chwila, na którą czekała, której się lękała, tego byfcrpewna; i oto w rozstrzygającym momencie myśli, które w milczeniu rozważała, które w niej dojrzewały od tygodnia, nagle zaczęły cisnąć się wszystkie jednocześnie, w straszliwym zamęcie.

- Dopiero co widziałem twojego kochanka; na własne oczy go widziałem - oznajmił. - Panienska zafundowała sobie markiza; wstyd jej ojcowskiego piwa... Biedne niewiniątko, co już się uważa za damę, panią w pałacu pośród hrabiów i baronów, z pazim do noszenia za nią ogona od sukni... No cóż, wymieniliśmy między sobą parę słówek. Zobaczymy, czy się ugodzimy: przyrzekniesz mi, że nie będziesz nic kręcić i będziesz mnie ślepo słuchała?

Płakała bezgłośnie, urywanie, oczy miała jasne mimo łez.

Upokorzenie, którego się z góry obawiała, teraz jej nie przerażało. „Na pewno umrę ze wstydu” - powtarzała sobie jeszcze wczoraj, z minuty na minutę czekając, że wybuchnie awantura. Teraz zaś szukała w sobie tego wstydu i nie mogła go już odnaleźć.

- Będziesz się mnie słuchała? - raz jeszcze powtórzył

Małorthy.

- A co ojciec chce, żebym zrobiła? - spytała.

Chwilę się zastanowił.

- Jutro będzie tutaj pan Gallet.

- Nie jutro - przerwała - w dzień targowy; w sobotę.

Malorthy patrzył na nią przez chwilę zaskoczony.

- Rzeczywiście, nie pomyślałem o tym - mruknął. - Masz rację, będzie w sobotę.

Rzuciła tę uwagę głosem dźwięcznym i rzeczowym, jakiego ojciec nigdy jeszcze nie słyszał. Stara matka w kącie przy kominie aż się wzdrygnęła i jęknęła.

- No dobrze, w sobotę. Powiadam, w sobotę - powtórzył piwowar straciwszy jakoś wątek swej przemowy. - Gallet to człowiek, który zna życie. Ma sumienie i wrażliwe serce. Zostaw więc łzy dla niego, moja córko! Razem pójdziemy z nim porozmawiać.

- O nie... - odparła.

Ponieważ kości już były rzucone, walka rozgorzała, poczuła się tak wolna, taka żywa. To słowo „nie” na wargach wydało się jej słodkie i zarazem gorzkie jak pierwszy pocałunek. Było to jej pierwsze wyzwanie.

- Coś podobnego! - zagrzmiął piwowar.

- Poczekaj, Antoni - wtrąciła się mama Malorthy - pozwól jej odetchnąć. Co niby ma powiedzieć twojemu deputowanemu ten dzieciuch?

- Prawdę, do cholery! - wrzasnął Malorthy. - Przede wszystkim „mój” deputowany jest lekarzem, to raz. Jeżeli dziecko urodzi się poza małżeństwem, dostaniemy od niego kartkę polecającą do pewnego zakładu w Amiens, to dwa.

A w ogóle lekarz to jest oświata, wiedza... to nie męzczyzna.

To taki republikański proboszcz. Zresztą śmieszycie mnie z tymi waszymi sekretami! Myślisz, że markiz pierwszy zacznie gadać? Mała nie była wtedy jeszcze w latach, mo-iL i gliby to uznać za uwiedzenie nieletniej, a wówczas będzie się miał z pyszna! Zawlecze się go przed sąd, do pioruna!

Puszy się to i wynosi, ma człowieka za głupca, przeczy oczywistym faktom, co gębę otworzy, to zelże, markiz w trepach...! O, nieszczęsna! - huknął zwracając się do córki. - On podniósł rękę na twojego ojca!

Nie obmyślił tego ostatniego kłamstwa, było tylko zwrotem krasomówczym. Minęło się zresztą z celem. Serce małej buntownicy zabiło silniej, lecz spowodowała to nie tyle myśl o zniewadze, jaka spotkała jej pana i władcę, ile obraz bohatera uniesionego szlachetnym gniewem, który pojawił się w jej wyobraźni... Jego ręka! Ta straszliwa ręka!... I przewrotnym spojrzeniem jąła szukać jej śladów na ojcowskiej twarzy.

- Pozwól na chwilę - odezwała się nagle stara Malorthy. - Daj mi coś powiedzieć.

Ujęła głowę córki w obie dłonie.

- Biedny głuptasku - zaczęła - komu ty wyznasz prawdę, jak nie swojemu ojcu i matce? Kiedy zaczęłam czegoś się domyślać, już było za późno, ale od tej pory! Teraz już wiesz, co są warte męskie obietniki! To sami kłamcy, Żermeno! „Panna Malorthy?... Skądże znowu! W ogóle jej nie znam!” I ty nie miałabyś w sobie na tyle dumy, żeby mu to kłamstwo w powrotem wepchnąć do gardła? Pozwolisz ludziom myśleć, żeś się oddała byle szczeniakowi, jakiemuś parobkowi czy przybłędzie? Przyznajże się wreszcie! Kazał ci obiecać, że nic nie będziesz mówiła, tak? Nie ożeni się z tobą, moje dziecko! A chcesz, żebym ci powiedziała, jak to jest? Jego notariusz z Montreuil dostał już polecenie sprzedania farmy w Carmettes, młyna, wszystkiego... Pałac też pójdzie pod młotek, jak i reszta. Pewnego poranka... o lichu!

Okaze się, że nie ma nikogo! A ty zostaniesz na pośmiewisko ludzkie...! No, odpowiedz coś wreszcie, uparciuchu! - wykrzyknęła.

„Nikogo...” Ze wszystkich zasłyszanych słów to jedno tylko do niej dotarło. Sama... opuszczona, poniżona, upadła... Samotna we wspólnym stadzie... skruszona! Czego się można bać na tym świecie, jak nie samotności i nudy?

Czego się bać, jak nie tego domu bez radości? Toteż skrzyżowawszy ręce na sercu naiwnym ruchem szukała swych młodych piersi, drobnego, już głęboko zranionego łona. Zaciskała palce przez cienki materiał, dopóki *z tego bólu nie zrodziła się nowa pewność tak nagle, że aż instynktownie krzyknęła:

- Mamusiu! Mamusiu! Wolę raczej skonać!

- Dosyć tego - rzucił Malorthy. - Musisz wybrać między nim a nami. Jakem Antoni, daję ci jeszcze jeden dzień... Słyszysz, niecnoto? Ani godziny dłużej!

Uprzytomniła sobie, że między nią a kochankiem stoi oto ten rozsierdzony grubas i nieunikniony skandal, że sprawa jest skończona, zatrzaśnięte jedyne drzwi do przyszłości i szczęścia... Oczywiście, przyrzekła milczenie, ale zarazem on był przecież jedyną dla niej obroną... ten tęgi mężczyzna, którego teraz nie cierpiała.

- O nie! Nie! - powtórzyła.

- Chryste Panie, zwariowała! - jęknęła matka Malorthy podnosząc ręce ku niebu. - Zupełna wariatka!

- Ja na pewno zwariuję - wykrztusiła Żermena płacząc coraz głośniej. - Bo dlaczego wy się nade mną pastwicie?

Postanówcie, co się wam spodoba, walcie mnie, ja się i tak zabiję... Ale nie powiem wam nic, choćby nie wiedzieć co!

A jeśli idzie o pana markiza to jest wierutne kłamstwo; on mnie nawet nie tknął.

- Łajdaczka! - syknął piwowar przez zęby.

- Po co się mnie pytacie, skoro nie chcecie mi wierzyć? - powtórzyła dziecinnym głosem.

Stawiała czoło ojcu, przez łzy rzucała mu wyzwanie; czuła się od niego silniejsza o całą swoją młodość, całą swą okrutną młodość.

- Wierzyć? - odparował. - Tobie mam wierzyć? Musiałabyś być o wiele sprytniejsza niż jesteś, żeby ojca wystawić do wiatru... Mam ci prawdę powiedzieć? Skończyło się na tym, że się przyznał ten twój galant. Zagiąłem go dobrze, jak to ja potrafię: „Niech pan przeczy, ile chce, mówię mu, mała wszystko już opowiedziała”.

- Och, ma... mamusiu! Mamusiu! - zająknęła się. - On się ośmielił, on się ośmielił!

Jej piękne niebieskie oczy, z nagłą suche, nabrały fioletowych blasków; czoło pobladło i na próżno próbowała wydobyć słowo z zeschniętych warg.

- Przestań, bo ją nam zamordujesz - powtarzała matka

Malorthy. - O, my nieszczęśliwi!

Ale mimo braku słów niebieskie oczy aż za wiele już powiedziały. Na piwowara padło spojrzenie przesycone pogardą, ukradkowe jak gdyby metal błysnął w mroku. Kobieta broniąca swoich dzieci jest mniej groźna i nie tak porywcza jak ta, która widzi, że się wyrывa z niej ciało jej ciała, jej miłość, ten inny owoc.

- Precz, wynoś się stąd! - jął bełkotać znieważony ojciec.

Odczekała chwilę z oczyma spuszczoneymi, drżącymi wargami, powstrzymując wyznanie, gotowe się wyrwać niby najcięższa obelga. Potem zgarnęła robótkę, druty, kłębek wełny i dumnym krokiem przestąpiła próg, bardziej zarumieniona niż kobieta wiążąca snopki podczas żniwa.

Ledwie jednak poczuła się wolna, wbiegła na schody w dwóch susach, jak łania, i z impetem zatrzaskała drzwi swego pokoju. Przez uchylone okno widziała żelazną malowaną na biało furtkę między dwiema hortensjami, zamykającą jej malutki świat na brzegu zagona porów. A dalej inne domki z czerwonej cegły, ciągnące się rzędem aż do zakrętu drogi, gdzie unosi się dym nad marną strzechą osłaniającą cztery zmurszałe ściany z pecyny, siedzibą poczciwego Lugasa, najnędzniejszego żebraka w całej gminie... I ten wałący się słomiany dach pośród pięknych błyszczących dachówek to jeszcze inny żebrak, inny wolny człowiek.

Wyciągnęła się na łóżku, policzkiem wtuliła w poduszkę.

Starła się zebrać myśli, uładzić je, lecz we wzburzonym mózgu huczała tylko złość... O, biedactwo, którego los rozstrzyga się na jasnym dziecinnym łóżku, pachnącym politurą i świeżą pościelą. Oczywiście jedynie prawdziwy pisarz potrafi wybrać sobie odpowiednią scenerię i zależnie od tego, czy jest to powieść psychologiczna, czy też przygodowa, bohaterka pójdzie zwyciężyć albo umrzeć do willi w Armenonville albo na jakimś nieznanym wybrzeżu, gdzieś między morzem a Krzyżem Południa... Tutaj czy tam, cóż one

I w rezultacie robią innego, jak nie zaciskają sobie wokół lędźwi więzy, które je łamią, i czekają na ostatni rozdział i na to, kiedy wyzwoli je śmierć?

Przez dwie godziny Żermena rozważała tyle planów, że starczyłoby ich na podbój świata, gdyby świat nie miał już swojego władcy, o którego młode dziewczyny wcale się nie troszczą... Jęczała, krzyczała, płakała, nie mogąc wiele zmienić w nieubłaganych, oczywistych faktach. Z chwilą gdy jej sprawa się wydała, błąd został wyznany, czy może liczyć na to, że niedługo zobaczy kochanka, że w ogóle go kiedyś zobaczy? Czy zresztą on by się zgodził? „Myśli, że zdradziłam jego tajemnicę - mówiła w duchu - nie będzie mnie już szanował.” „Któregoś poranka, o licha!” - wykrzyknęła przed chwilą matka Malorthy... Dziwna rzecz! Po raz pierwszy odczuła rodzaj trwogi nie na myśl o tym, że zostanie porzucona, ale że czeka ją samotność. Zdrada nie budziła w niej lęku, nigdy się nad tą

ewentualnością nie zastanawiała. Skromne, mieszczańskie, otoczone poważaniem życie, uczciwy murowany dom, dobrze prosperujący browar z marnym motorem gazowym, dobre obyczaje, które już same przez się są nagrodą, baczenie, jakie winna na siebie dawać młoda osoba, córka poważnego kupca - cóż, utrata tych wszystkich dobroci razem wziętych ani przez chwilę nie budziła w niej niepokoju. Kiedy ojciec Malorthy widział ją w odświętnej sukience, starannie uczesaną, kiedy słyszał jej żywy młodzieńczy śmiech, przeświadczony był, że jego panienska to doskonałość, „wychowana jak królowna” - mawiał czasem nie bez dumy. I mawiał także: „Ja mam swoje sumienie, to wystarcza”. Ale jedynym sprawdzianem tego sumienia była dla niego księga rachunkowa.

Powiał chłodniejszy wiatr: w oddali okna z małymi szybkami jęły się kolejno zapalać; zwirowa alejka niknęła w mglistej bieli, a śmieszny mały ogródek rozszerzył się nagle i dziwnie pogłębił, na miarę nocy... Żermena otrząsnęła się ze złości, jak gdyby ze snu. Zeskoczyła z łóżka, nasłuchując podeszła do drzwi, nie usłyszała nic poza zwykłym chrapaniem ojca i dostojnym tykaniem wielkiego zegara, wróciła do otwartego okna, z dziesięć razy okrążyła swoją wąską klatkę, bezszelestnie, giętka i zwinna niby młody wilk... Cóż to?

Już północ?

Głęboka cisza już sama przez się zdaje się zagrożeniem i przygodą, wspaniałym niebezpieczeństwem; wielkie dusze roztwierają się w niej jak skrzydła. Wszystko śpi; nigdzie zasadzki... „Wolna” - powiedziała nagle tym głosem niskim i chrapliwym, który dobrze znał jej kochanek, jak gdyby z jękiem rozkoszy. Była rzeczywiście wolna. Zręczni reżyserzy mogą z łatwością, jeżeli zechcą, trzymać jeden albo nawet dwa dramaty pod lupą i odtwarzać je z wszelkimi szczegółami ku zdumieniu psychologów. Jakże ich zaaferowanie jest śmieszne...!

- Wolna! Wolna! - powtarzała sobie z coraz większą pewnością. A bez wątplenia nie umiałaby powiedzieć, co jej dawało to poczucie wolności ani jakie to opadły kajdany.

Rozkwitała po prostu w sprzyjającej ciszy... Raz jeszcze na progu pięknej nocy młode stworzenie płci żeńskiej próbuje zrazu nieśmiało, a potem z upojeniem, swoich dojrzałych mięśni, swych kłów i pazurów.

Po omacku otworzyła drzwi, zeszła ze schodów stopień po stopniu, przekręciła skrzypiący klucz w zamku i poddała twarz podmuchowi, a powietrze nigdy nie wydało jej się takie czyste. Ogród przesunął się jak cień... przejście furtki... droga, i już pierwszy zakręt... Odetchnęła dopiero, gdy osada pozostała za nią, zbita i mroczna pośród drzew... Wtedy dopiero usiadła na wzgórk, drżąc z rozkoszy odkrycia...

Wydawało jej się, że drogę przebyła ogromną. Otwierała się przed nią noc jakby schronienie i jak łup... Nie układała żadnych planów, czuła w głowie cudowną pustkę... „Precz stąd! Wynoś się!” - mówił przed chwilą ojciec Malorthy.

Więc cóż prostsze? Poszła.

III

- To ja - powiedziała.

Zdumiony, zerwał się na równe nogi. Na jakiś okrzyk czułości, słowo wyrzutu, na pewno zawrzałby w nim gniew.

Ale stała oto w progu, zwykła i bardzo naturalna, na pozór zaledwie trochę wzburzona. Na żwirze za nią poruszał się jej delikatny cień. I natychmiast rozpoznał to spojrzenie poważne, niezmacone, takie mu drogie, a także to inne nieuchwytnie światełko w głębi połyskliwych źrenic. Rozpoznali jedno drugie.

- Po wizycie tatusia, co jakby grom spadł mi na głowę - teraz ty u mnie, o pierwszej w nocy - to już jest szczyt!

Powinnaś dostać baty!

- Boże! Jaka jestem zmęczona! - westchnęła. - W alejce jest kałuża, dwa razy w nią wpadłam. Przemokłam do kolan... Daj mi się czego napić, dobrze?

Do tej pory całkowita intymność i nawet jeszcze coś więcej zupełnie nie zmieniały zwykłej atmosfery ich rozmów. Nadal mówiła do niego „proszę pana”. A niekiedy nawet „panie markizie”. Ale tej nocy po raz pierwszy powiedziała „ty”.

- Trudno by zaprzeczyć - wykrzyknął wesoło - tupet to masz!

Poważnie wzięła podany sobie kieliszek i usiłowała bez drżenia podnieść go do ust, ale drobne ząbki szczęknęły o kryształ, a powieki zatrzepotały nie mogąc jednak zatrzymać łzy, która stoczyła się na brodę.

- Uff - westchnęła. - Widzisz, gardło mam ściśnięte od płaczu. Płakałam na łóżku ze dwie godziny. Byłam jak oszalała. W końcu by mnie zamordowali, wiesz... O, pięknych ja mam rodziców, co? Nigdy mnie już nie zobaczą.

- Nigdy? - zawołał. - Nie pleć głupstw, Muszeczko

(tak nazywali ją najbliżsi). Nie pozwala się dziewczętom latać po polach niby młode kuropatwy na świętego Jana.

Pierwszy napotkany strażnik odniesie cię z powrotem w swojej torbie myśliwskiej.

- Myślisz? - odparła. - Mam pieniądze. Kto mi na przykład zabroni jutro wieczorem wsiąść do pociągu paryskiego. Moja ciotka Egle mieszka w Montrouge - ma śliczny dom i sklep kolonialny. Będę pracowała. Będę bardzo szczęśliwa.

- Mały głuptasku, czy ty jesteś pełnoletnia, czy nie?

- To przyjdzie - odparła z niezmaconym spokojem. - Trzeba tylko zaczekać.

Na chwilę odwróciła oczy, a potem podnosząc na markiza spokojne wejrzenie zapytała:

- Mogę tutaj zostać?

- Zostać? Coś podobnego! - wykrzyknął i zaczął chodzić po pokoju wszerz i wzdłuż, by łatwiej ukryć zakłopotanie. - Mam cię tu zatrzymać? Ty chyba w ogóle się nie zastanawiasz! Gdzie niby mam cię przechować? Sądzisz, że jest tu jakaś komórka dla ładnych dziewcząt? To zdarza się tylko w powieściach, mądralo! Najdalej jutro przed wieczorem zwaliliby się nam wszyscy na kark, wszyscy, twój ojciec z żandarmami, pół wsi z widłami w rękach... Nawet i deputowany Gallet, ten diabelski lekarz, niezdarzony chudzielec!

Wybuchnęła śmiechem, klaszcząc z uciechy w dłonie; potem raptownie urwała i, nagle spoważniała, rzuciła słodkim głosem:

- Ach tak, pan Gallet? Miałam jutro iść do niego z tatusiem. Tak to sobie umyślił.

- Tak sobie umyślił! Tak sobie umyślił! Jak ona to mówi!

Powtarzałem już sto razy, Muszeczeko: nie jestem złym człowiekiem, wiem, że zawiniłem. Ale do stukroć piorunów! Nie mam już ani grosza. Kiedy wyprzedam tu wszystko, do ostatniego antałka - zostanie mi na tyle, żeby nie zdechnąć z głodu, istna nędza! Mam, prawda, bogatą rodzinę, przede wszystkim ciotkę Arnoult, ale mimo sześćdziesiątki jest twarda jak barania skóra, sucha jak krzemień do skałkowej fuzji, może jeszcze mnie pochować. Za dużo już miałem przygód. Tym razem gra jest poważna, Muszeczeko; przede wszystkim muszę zyskać na czasie...

- Och - powiedziała - jakie to ładne... Boże, jakie ładne!

- Pod słońcem...

Siedziała tyłem do niego odwrócona i obiema rękami gładziła komódkę w stylu Ludwika XV z chińskiej laki, zdobioną złożonymi brązami. Koniuszkami palców kreśliła tajemnicze znaki w kurzu na fioletowo żyłkowanym marmurze.

- Zostaw tę komodę w spokoju - powiedział. - Tych staroci mam pełen strych. Czy mogłabyś zrobić mi ten zaszczyt i odpowiedzieć?

- Co odpowiedzieć?

I spojrzała mu prosto w oczy tym samym spokojnym wejrzeniem.

- Co odpowiedzieć!... - zaczął. Ale nie mógł się powstrzymać, by nie odwrócić wzroku.

- Nie żartujmy, moja droga, i postawmy kropkę nad i.

Wcale zresztą nie chcę się gniewać. Musisz zrozumieć, że jest to w interesie nas obojga, żeby przeczekać, aż burza przycichnie. Czy ja mogę cię jutro zaprowadzić do merostwa, powiedz, mogę czy nie? No więc? Nie zamierzasz chyba, wyobrażam sobie, siedzieć tutaj pod nosem tatusia? Słowo daję, ładnych rzeczy byśmy się wtedy doczekali! Jest już wpół do drugiej - rzekł wyciągnawszy zegarek. - Idę zaprząć Boba i odwiozę cię prędyutko do gościńca w Gardes.

Będiesz w domu przed świtem. Ani widu, ani słyhu. Jutro stawisz ojcu miedziane czoło. Kiedy przyjdzie odpowiedni moment, postanowimy coś. Przyrzekam ci. No, zbieraj się!

- O, nie! - zareplikowała. - Ja nie wrócę dzisiaj do Campagne.

- A gdzie będziesz spała, zakuta głowo?

- Tutaj. Na drodze. Wszystko jedno gdzie. Co mi za różnica?

Tym razem stracił cierpliwość i zaczął przeklinać, na czym świat stoi, ale na próżno. Tak właśnie warczy i zgrzyta zębami smok z bajki, na uwięzi z mchu:

Prowadzi go na smyczy z mchu, Choć ryczy, wierzga aż brak mu tchu. *

- Rzeczywiście jestem naiwny mając nadzieję, że przekonam takiego uparciucha. No to idź, jak chcesz, przespać się ze skowronkami. Czy to w końcu moja wina? Mogłem być

* Frederic Mistral Mireio. Przyp. tłum. załatwić to lepiej, ale trzeba było mi zostawić trochę czasu: jeszcze z miesiąc, stara buda byłaby sprzedana, byłbym wolny. A dzisiaj twój ojciec wpada tu do mnie jak bomba i grozi żandarmami; cóż, skandal jak wszyscy diabli! Jutro będę miał cały kanton na karku. Wystarczy tu jedna stara sowa, żeby zwabić setkę kruków. I dlaczego niby? Czyja to wina? Dlatego że pewna mała dziewczynka, co dzisiaj się stawia i upiera, przstraszyła się i wydała cię ze związanymi nogami i rękami, niech się dzieje co chce! Opowiedziało się wszystko tatusiowi niczym na spowiedzi... a potem radź sobie, przyjacielu! Nic ci nie wyrzucam, moja miła, ale swoją drogą!... No przestań, przestań! Nie płacz już, nie płacz.

Oparła czoło o szybę i płakała cichutko. Jemu zaś, ponieważ sądził, że ją przekonał, łatwiej było teraz współczuć jej i litować się. Gdyż człowiek ma wrodzoną skłonność do nienawiści dla własnego cierpienia w cudzym cierpieniu.

Usiłował obrócić ku sobie małą upartą główkę: obiema dłońmi uciskał jasny karczek.

- Czemu ty płaczesz? Nie myślałem ani słowa z tego, co mówiłem... Cóż, doskonale to sobie wyobrażam: papa Malorthy z tą swoją miną generalnego radcy na wielkim zebraniu...

„Odpowiadaj, nieszczęsna!... powiedz prawdę twojemu ojcu...” W końcu zaczęłby cię bić... Ale przynajmniej do tej pory cię nie bił?

- Ach, nie - zaprzeczyła wśród łkań.

- Podnieśże noskę do góry, Muszeczko; to już sprawa pogrzebana.

- On nic absolutnie nie wie - wykrzyknęła zaciskając pięści. - Ja nic nie powiedziałam!

- Coś podobnego!

Bez wątpienia mało co zrozumiał z tego wybuchu zranionej dumy. Ale z jeszcze większym zdumieniem ujrzał, jak wyrasta oto przed nim Żermena zupełnie mu nie znana, ze złymi oczyma, czołem przeciętym zmarszczką męskiego gniewu i podciągniętą trochę górną wargą, odsłaniającą wszystkie białe zęby.

- No wiesz! - powiedział. - Powinnaś była wcześniej to powiedzieć.

- Pan by mi nie uwierzył - odparła po chwili milczenia głosem drżącym, ale z wzrokiem jasnym już i zimnym.

Przyglądał jej się trochę nieufnie. Z tymi jej wyskokami, usposobieniem żywym i zuchwałym, wypowiedziami równie niespodziewanymi jak zygzaki zająca już się oswoił. Ale w zapale zalotów dotychczas uważał to po prostu za drobne chwytaki obronne ładnej, przebiegłej dziewczyny, którą ostatnie skrupuły utrzymują w złudzeniu, że jest jeszcze wolna, podczas gdy już się nie wzbrania. Krzepka dojrzałość łatwo budzi ślepe zaufanie do samego siebie, a w miłości najbardziej cyniczne doświadczenie jest bliższe, niż sądzimy, naiwności niemal prostodusznej. „Mysz harcuje przed kotem - mawiał czasami - ale niebawem znów mu wpadnie w łapy.” Nie miał wątpiwości, że istotnie znów ją pochwycił. Iluż kochanków tak właśnie bierze w ramiona istotę obcą, przymilną, a do gruntu wrogą. Prawda skądinąd, że pan de

Cadignan nie posuwał się tak daleko w miłosnych rozważaniach, jako że należał do mężczyzn, którzy chętnie wierzą, iż zwycięstwo ostateczne zostało już odniesione, gdy tylko, nic nie ujmując, wyłom jest uczyniony, niemniej w jakimś stopniu odczuwał głębokie rozczarowanie, jakiego doznają wszyscy z owego posiadania, (kiedy nie poznają jednak naprawdę).

Przez chwilę nawet on, człowiek bardzo nieskomplikowany i prostoduszny, miał przecucie jakiegoś bliskiego, niepojętego niebezpieczeństwa. Duża sala, zagracona stłoczonymi tu meblami, zniesionymi ze strychów, gdzie do reszty niszczały, wydała mu się nagle niepomiernie wielka, jakaś pusta. Otworzył też oczy, żeby spojrzeć poza krąg światła na

smukłą, nieruchomą sylwetkę, jedyną tu milczącą obecność... Po czym wybuchnął radosnym śmiechem.

- Ach tak... no, a słowo honoru papy Malorthy? To bujda?

- Jakie słowo? - spytała.

- Nic, nic: tak sobie sam dla siebie zażartowałem... Tylko się odwróć i zamknij okno.

Rzeczywiście zaś drzwi za jej plecami otworzyły się raptownie, ale po cichu. Lekki wietrzyk od północowschodu, o smaku soli, który napływał od pełnego morza, po drodze jednak wchłonął w siebie mdławę opary znad stawów, poderwał aż pod sufit kartki papieru rozrzucone na stole, i wydobył ze szkła naftowej lampy długi czerwony płomień, który wkrótce zmałał. Wiatr wzmógł się raptownie. Od skraju do skraju parku jednym wspólnym głosem zaszumiały potężnie z nagłą obudzone świerki.

Przekręciła klucz w zamku i wróciła, chmurna.

- Przybliż się, proszę - powiedział Cadignan.

Lecz ona odsunęła się jeszcze parę kroków, zręcznym manewrem odgrodziła się stołem od kochanka, po czym usiadła na brzeżku krzesła niby grzeczna dziewczynka.

- Czy w ten sposób spędzimy noc? Och, ty marudo! - zawołał z wymuszonym śmiechem.

Zapewne łatwo pogodziłby się z uporem, którego, wiedział, nie potrafi przełamać, lecz serce jego wezbrało nie tyle pragnieniem pieszczot, był już nimi znudzony, ile lękiem na myśl o tym, na co się naraża. „Jutro nadejdzie już niedługo” - mówił sobie w duchu z rodzajem radości. Gdyż wypoczynek jest miły, ale moment wychnienia jeszcze rozkoszniej szy.

Skądinąd był już w wieku, kiedy sam na sam z kobietą szybko staje się nieznośne.

- Chwileczkę, dobrze? - powiedziała zimno Muszeczka, nie podnosząc oczu.

Widział tylko jej gładkie czoło, uparcie schylone. Ale cierpki głosik pociesznie jakoś zabrzmiał w ciszy.

- Daję ci pięć minut! - zawołał żartobliwie, by pokryć własne zmieszanie, gdyż ta zimna impertynencja zgasła jego dobry nastrój. Tak właśnie czuje się przyjaźnie usposobiony, nieporadny psiak, którego nagle pacnie w nos zwinne uderzenie pazura.

- Ty mi nie wierzysz? - powiedziała po długim namyśle, jak gdyby kończyła tymi słowami monolog wewnętrzny.

- Nie wierzę ci?

- Nie staraj się mnie oszukać, dobrze? Dużo rozmyślałam przez ten cały tydzień, ale dopiero od kwadransa wydaje mi się, że rozumiem wszystko, życie, tak! Śmieję się, jak chcesz.

Przed wszystkim nie znałam wcale samej siebie - siebie -

Żermeny. Człowiek jest radosny całkiem bezwiednie, bez żadnych powodów, bo słońce świeci... przez głupstwa... Ale to właśnie taki radosny, taką radością, że może cię zadusić, i wtedy czujesz, że w skrytości serca pragnąłbyś czegoś innego. Ale czego? Ano czegoś, co już stało się niezbędne.

O, bez tego nic się w ogóle nie liczy! Ach, nie byłam taka głupia, by sobie wyobrazić, że będziesz mi wierny. Skądże znowu! Przecież my tu wszyscy, chłopcy i dziewczyny, nie jesteśmy ślepi; więcej się można dowiedzieć gadając po opłotkach niż na lekcjach religii u księdza proboszcza! Rozmawialiśmy o tobie: „Kochana, on ma zawsze najładniejsze...” Więc sobie myślałam: „Czemu nie mnie?” Przyszła moja kolej... I gdy teraz widzę, że napędziły ci strachu wytrzeszczone oczy mojego taty... Och, nienawidzę cię!

- Słowo daję, kompletna wariatka! - wykrzyknął zdumiony Cadrnan. - Nie masz krzty zdrowego rozsądku, Muszeczko, z tymi twoimi frazesami z powieści.

Powoli napełnił fajkę, zapalił i powiedział:

- Rozważmy wszystko po kolei.

Jakaż tu kolejność? Ilu już przed nim żywiło złudzenie, że zwodzą ładną szesnastolatkę, dobrze wyposażoną do samoobrony? Dwadzieścia razy myślicie, żeście ją już usidlili najbardziej prostackim kłamstwem, podczas gdy ona nawet was nie słuchała, baczna jedynie na tysiące drobiazgów, dla nas bez znaczenia, na spojrzenie, które jej unika, na jakieś nie dokończone słowo, na brzmienie głosu - tego głosu coraz jej lepiej znanego, swojskiego - cierpliwie się ucząca, kłamliwie uległa, przyswajająca sobie pomalutku doświadczenie, którym tak się pysznicie, nie tyle powolnym staraniem, ile przemożnym instynktem w błyskach i nagłych olśnieniach, bieglej sza w odgadywaniu niżli w pojmwaniu, i nigdy nie zaspokojona, dopóki sama z kolei nie nauczy się krzywdzić.

- Rozważmy po kolei: co ty mi zarzucasz? Czy kiedykolwiek przed tobą ukrywałem, że w tej mojej ruderze z wieżyczkami jestem taki sam dziad jak byle hołysz? Czy możemy oboje dać temu wszystkiemu radę, powiedz, tak czy nie? Zamknąć oczy na przyszłe kłopoty, to bardzo piękne, a w piosence miłosnej śpiewak też może się dać omamić swoją własną piosenką. Ale obiecywać coś, czego wiadomo, że się nie dotrzyma, to naprawdę ordynarne oszustwo. Wyobrażasz sobie minę proboszcza i tego drągala wikarego, gdybyśmy się pojawili w niedzielę na mszy, trzymając się za rączki? Po sprzedaniu młyna w Brimeux i spłaceniu długów zostanie mi jeszcze jakieś półtora tysiąca luidorów, do pioruna! To pewne. Umówmy się więc: półtora tysiąca luidorów, dwie trzecie dla mnie, reszta dla ciebie. Postanowione.

Zgoda?

- O, ho, ho! - rzekła ze śmiechem (choć oczy miała pełne łez). - Co za kazanie!

Poczerwieniał z uczucia zawodu i przez dym z fajki wlepił w dziwną dziewczynę wzrok, w którym już tlił się gniew.

Lecz ona mężnie wytrzymywała ten wzrok.

- Może pan sobie zachować swoje pięćset luidorów; pan bardziej ich potrzebuje niż ja.

Niewątpliwie bardzo by jej przyszło trudno uzasadnić tę jakąś osobliwą uciechę i nazwać wszystkie skłębione uczucia, jakie wezbrały w jej nieulekłym sercu. W tej chwili jednak niczego bardziej nie pragnęła jak upokorzyć kochanka jego ubóstwem i mieć go w swojej mocy.

Po to więc przed godziną przebiegła mroki nocy, gnając ku przygodzie, rzuciła wyzwanie opinii całego świata, aby u celu - o wściekłości! - ujrzeć innego gbura, inną odmianę przestraszonego taty! Jej rozczarowanie było tak silne, pogarda tak żywiołowa i nieodwracalna, że w gruncie rzeczy zdarzenia, jakie miały nastąpić, już były jakby w jej sercu zapisane. Przypadek, powiadają. Lecz przypadek to nasz krewniak.

Niechże się głupiec dziwi nagłemu porywowi woli długo hamowanej, a co więcej przez konieczne na wpół świadome maskowanie już zaprawionej okrucieństwem - porywowi, który jest nie dającym się wysłowić odwetem słabych, wieczystym zaskoczeniem mocnych, nieodmiennie zastawioną pułapką! Ktoś chełpi się, że jest uważnym obserwatorem, usiłuje podążać krok w krok za namiętnością, mocniejszą w swych kapryśnych odskokach i bardziej nieuchwytną niżli błyskawica - a o drugim człowieku wie tylko tyle, co mu pokazuje jego własne zwierciadło, własna żalсна mina samotnika! Uczucia najprostsze rodzą się i rozwijają zawsze w mroku nieprzeniknionym, łączą się w nim albo odpychają zgodnie z tajemnym powinowactwem, podobne do naelektryzowanych chmur, my zaś na powierzchni ciemności dostrzegamy jedynie przelotne błyski niedostępnej nam burzy. Dlatego właśnie najlepsze hipotezy psychologiczne pozwalają może odtworzyć przeszłość, ale nie przewidywać przyszłości... I podobnie jak w wielu innych przypadkach, ukrywają jedynie przed naszymi oczyma tajemnicę, o której już sama myśl przytłacza ducha.

Po ostatnim powiewie zadyszany wiatr ucichł. Krzewy wawrzynu, otaczające stare domostwo potrójnym pasem, od dawna już zasnęły na nowo, ale w głębi parku potężne drzewa o czarnych koronach, sosny liczące po sześćdziesiąt stóp trzęsły jeszcze wierzchołkami, pomrukując jak niedźwiedzie.

Światło lampy na rogu orzechowego stołu jaśniało mocniej, jednostajnie syczące, ciepłe, swojskie. I błogo było jakoś wdychać powietrze bliskiej nocy, widocznej w nieprzeniknionej czerni szyb, nagrzane i trochę duszne.

- No, wściekaj się, jeśli chcesz, Muszeczko - powiedział spokojnie markiz. - Dzisiejszej nocy nie rozzłoszczysz mnie. Słowo honoru! Istna przyjemność oglądać cię taką!

Starannie upchał palcem tytoń w fajce, na pół serio a na pół żartobliwie:

- Można nie przyjąć pięciuset luidorów, ślicznotko. Ale nie pluje się w rękę nieborakowi, który uczciwie oddaje resztę tego, co ma w kieszeni. Między nami takie krótkie wyjaśnienie wystarczy. Nie wstydzę się biedy, moja mała...

Przy ostatnich słowach Żermena poczerwieniała.

- Ja się też nie wstydzę - odparła. - A przede wszystkim, czy ja kiedy o co prosiłam?

- Ależ nie... nie... Muszeczko. Jednak Malorthy, twój ojciec...

Mówił bez złości, lecz urwał nagle, widząc, jak zadrżały usta kochanki i kształtna szyja nabrzmiała dzieciennym łkaniem.

- No więc co? Malorthy, Malorthy? Cóż mnie to w końcu obchodzi! Dobre sobie! To nieprawda, że ja cię wydałam, to jest kłamstwo! Och! Kiedy wczoraj wieczorem... przy mnie... on się odważył powiedzieć... Małom nie oszalała z wściekłości! Wiesz! Niewiele brakowało, a wbiłabym nożyczki w gardło, poderżnęłabym sobie gardło na jego oczach, umyślnie, na obrusie! O, wy mnie obydwa nie znacie. Nieszczęścia dopiero się zaczęły!

Starła się wzmocnić swój wątyły głos uderzając w stół pięścią urywanym, jednostajnym stukaniem, trochę śmieszna w tej złości, z odrobiną patosu, jakim najbardziej szczerze kobiety oszalamiają się, nim się zdobędą na powzięcie decyzji.

Cadignan nie przerywał, przeciwnie, po raz pierwszy patrzył na nią z zachwytem. Uczucie odmienne od pożądania, jakby rodzaj ojcowskiej, nie znanej mu dotąd czułości, pociągało go do tego zbuntowanego dziecka, do gwałtowniejszej, dumniejszej niż on sam dziewczęcej towarzyski... No cóż?... Może kiedyś?... Spojrzył na nią uważnie i uśmiechnął się. Ale jej się wydało, że z niej kpi.

- Nie powinnam się złościć - powiedziała chłodno. - Tak musiało się stać. Cóż, koniec końców umarłabym w tym ich domu z czerwonej cegły i w tym ogródku dla lalek... Ale pan, panie Cadignan (rzuciła mu to nazwisko jak wyzwanie), myślałam, że pan jest innym człowiekiem.

Sprężyła się, by wypowiedzieć te słowa nim głos się jej załamał. Aczkolwiek usiłowała wydawać się zuchwałą i ufna, od chwili już nie widziała przed sobą żadnego innego wyjścia poza pułapkę domu rodzicielskiego, w którą wkrótce znów wpadnie, poza nieuniknionym potraskiem, z którego przed dwoma godzinami uciekła w szaleńczym porywie nadziei.

„Zawiódł mnie” - myślała. Ale po prawdzie nie umiałaby powiedzieć, jak i dlaczego. I tak oto kochankowie, stojąc na wprost siebie, już się nie rozpoznawali. Niemłody mężczyzna uważa, iż czyni dość z całą naiwnością płacąc ostatnimi sztukami złota, jakie mu pozostały z mieszczańskiej zamożności, co dla małej dzikuski jest bardziej nienawistne niżeli nędza i wstyd... I o cóż to przyszła prosić w swą pierwszą noc wolności tego osiłka o zaokrąglonym już brzuchu, który po przodkach szlagonach i wojskowych odziedziczył jedynie energię ściśle fizyczną i coś w rodzaju gburowatej godności?

Wyrwała się, po prostu; drżała z radości, że jest wolna.

I przybiegła do niego jak do swego grzechu, do długo i pieczołowicie hodowanej złudy, ażeby zrobić ten ostateczny krok, zgubić się raz na zawsze. Jakaś przeczytana książka, niedobra myśl, jakiś obraz, widziany przez zamknięte powieki, kiedy siedziała przy mruczącym piecu z rękami splecionymi na odłożonej robótce, pojawiały się teraz w jej wspomnieniu ze straszliwym szyderstwem. Skandal, o jakim marzyła, skandal, od którego mogło pomścić się w głowie, z wolna nabierał rozmiarów dzieciennego wybryku.

Powrót do rodziców, utajony poród, miesiące samotności, honor odzyskany u boku jakiegoś głupka... i lata, długie jeszcze niezmiennie szare lata w licznym gronie dzieciaków - ujrzała to wszystko jakby w jednym błysku, i jęknęła.

Niestety! Jak dziecko, które wyruszywszy rano na odkrycie nowego świata obiega wokół ogród i staje znów przy studni widząc, jak się rozplywa jego pierwsze marzenie, tak i ona tym małym, niepotrzebnym krokiem zboczyła tylko z utartej drogi. „Nic się nie zmieniło - szepnęła do siebie - nic nowego...” Ale wbrew oczywistości jakiś głos wewnętrzny, tysiącokrotnie bardziej dobitny i bardziej stanowczy wywodził, że przeszłość się zawaliła, odkryły się rozległe horyzonty - stało się coś rozkosznie nieoczekiwanego, wybiła nieodwracalna godzina. Poczwała, jak poprzez zamęt rozpacz wzbiera w jej sercu wielka milcząca radość, jak gdyby przecucie. Czy tu, czy gdzie indziej znajdzie wreszcie przytułek, jakież to ma znaczenie? Jakie znaczenie ma przytułek dla kogoś, kto zdobył się na to, że przekroczył próg domu rodzinnego i przekonał się, iż drzwi za jego plecami zamknęły się dziwnie lekko? A że ten rozpustny markiz boi się opinii miasteczka, któremu ona pragnęła okazać pogardę? Ha, trudno! Nie pomniejszało to jej poczucia własnej siły, której jego słabość dawała właśnie miarę! Od tej chwili w głębi jej zuchwałych oczu można już było wyczytać jego bliski los.

To, co nastąpi teraz, może się wydać czytelnikowi płytkie, jako seria drobnych wydarzeń połączonych przypadkowo, jakby zabawa, której ostatni nieumyślny, nieprzewidziany gest przydał tragiczne rozwiązanie. Nie ma jednak zabawy miłosnej, w

której nie kryłby się tragizm. Człowiek niezmiennie będzie wierzył, że rozbraja nieznaną siłę, które go osaczają, jeśli im nada życzliwe imiona. Tak właśnie z łagodnym i ujmującym sprytem staramy się nazywać srogą żądę, zawsze morderczą, jednako niebezpieczną od bieguna do bieguna, skuteczniej działającą niż zaraza.

Oboje umilkli. Za szybą pośrodku wysokiego okna bez firanek nagle ukazał się księżyc, nagi, nieruchomy, tak żywy i bliski, że chciałoby się usłyszeć wibrowanie jego jasnej poświaty.

Wtedy to zabawnym skojarzeniem takie samo zdanie, jakie przed paru godzinami wypowiedział ojciec Malorthy, znalazło się oto na wargach Cadignana:

- Twoja rzecz proponować, Muszeczko.

Ponieważ jednak pytając podniosła tylko powieki i milczała, dorzucił:

- Żąda] śmiało.

- Zabierz mnie ze sobą - powiedziała.

Po czym zmierzwszy go oczami, zważywszy, oszacowawszy jak najsprawiedliwiej, zupełnie tak jak gospodyni ocenia kurczaka, dorzuciła:

- Do Paryża... Wszystko jedno gdzie!

- Jeszcze o tym nie mówmy, dobrze?... Nie powiem tak ani nie... Po połogu, kiedy się już smarkul urodzi...

Od razu się wyprostowała, z ustami rozchyłonymi, ruchem zdziwienia absolutnie, nieodparcie szczerym.

- Połóg? Smarkul?

I wybuchnęła śmiechem, obie dłonie przyciskając do obnażonej w tył odchyłonej szyi, upajając się tym swoim dźwięcznym wyzwaniem, rzucając w cztery kąty starej sali, niczym okrzyk wojenny, jednostajny krystaliczny ton.

Twarz Cadignana mocno poczerwieniała. Ona zaś ciągle się śmiejąc, wykrztusiła zdyszana:

- Ojciec z pana zakpił... Czy pan mu uwierzył?

Zuchwałość kłamstwa uspiła wszelkie podejrzenia. To, co nie do wiary, obywa się bez dowodów. Markiz nie wątpił, że powiedziała prawdę. A zresztą dławiała go wściekłość.

- Milcz! - huknął uderzając pięścią w stół.

Lecz ona śmiała się jeszcze urywanie, ostrożniej, powieki miała na wpół opuszczone, drobne stopy ściśnięte pod krzesłem, w każdej chwili gotowa do skoku.

- A niech to jasny piorun! Niech to jasny piorun! - powtarzał, sromotnie okpiony, wymachując niewidzialną banderillą.

W pewnej chwili jego wzrok spotkał się z wzrokiem kochanki, i wyczuł jednak podstęp.

- Zobaczymy, kto mówi prawdę - zakończył szorstko. - Jeżeli ten głupiec, twój ojciec, zakpił sobie ze mnie, to mnie popamięta! A teraz już spokój!

Lecz ona tego tylko pragnęła: patrzeć mu prosto w oczy, obserwować go bacznie spod długich rzęs, bawić się jego zmieszaniem; aż pobladła z poczucia, że jest tak niebezpieczna i taka przebiegła, silna jak mężczyzna.

Przez chwilę nerwowo skubał wąsa, zastanawiając się:

„Osobliwa doprawdy historia... które z nich oszukuje?”

Nigdy zresztą kłamliwe słowo nie zostało wypowiedziane tak lekko, swobodnie, bez zastanowienia - niczym jakiś ruch obronny, instynktowny okrzyk.

- Czy jesteś w ciąży, czy nie, ja się nie wypieram, Muszeczko - powiedział wreszcie. - Jak tylko sprzedam tę budę, znajdę jakiś kąt dla nas obojga, jakiś domek myśliwski w pół drogi między rzeką a lasem, gdzie można by żyć spokojnie... I do stu kaduków, może się skończy ślubem...

Zaczął się rozczulać; zapytała spokojnie:

- Wyjedziemy stąd jutro?

- Och, głuptasku! - wykrzyknął prawdziwie wzruszony. - Mówisz o tym, słowo daję, jak o wycieczce do miasta w niedzielny wieczór... Jesteś niepełnoletnia, Muszeczko, a prawo nie żartuje.

W trzech czwartych szczerzy, lecz wywodzący się ze zbyt starej, osiadłej na wsi rodziny, by podejmować nierozważne zobowiązania, spodziewał się okrzyku radości, uścisku, łez, słowem jakiejś wzruszającej sceny, która by go wybawiła z kłopotliwej sytuacji. Lecz przebiegła dziewczyna pozwalała mu mówić zachowując drwiące milczenie.

- Och! - powiedziała. - Tak długo nie będę czekać na domek myśliwski... W moim wieku! Ładnie bym ja wyglądała między pańską rzeką a lasiem... Jeżeli nikt mnie nie chce, to po cóż mam się niby krępować?

- To mogłoby się jednak źle skończyć - mruknął wzgardliwie markiz.

- Dużo mnie obchodzi, jak skończę! - wykrzyknęła klaskając w dłonie. - A zresztą mam już pewien pomysł...

Tak!

Ponieważ zaś Cadignan wzruszył tylko ramionami, podjęła, dotknięta do żywego:

- Kochanek jak znalazł...

- Można wiedzieć, kto?

- Który z pewnością nic mi nie odmówi... i bogaty...

- A młody?

- Młodszy od pana... Ho, ho! Na tyle jeszcze młody, że robi się biały jak prześcieradło, kiedy go dotknę nogą pod stołem, tak, tak!

- Coś takiego...

- Człowiek wykształcony, nawet uczoney...

- O, wiem...! Deputowany...

- Sam to powiedziałeś! - wykrzyknęła cała w pąsach; w oczach miała niepokój.

Spodziewała się jakiegoś wybuchu, lecz on wytrząsając popiół z fajki powiedział tylko:

- Życzę powodzenia! Świetna partia, ojciec dwojga dzieci, którego żona trzyma się kurczowo i nie spuszcza z oka!

Lecz głos mu zadrzał... Szyderstwo nie zwiódło ostrożnej młodziutkiej dziewczyny, która czujnym wzrokiem śledziła wszystkie jego ruchy - mierząc też szerokość stołu, jaka dzieliła ją od kochanka, przy czym serce biło jej bardzo mocno, dłonie zrobiły się zimne i wilgotne. Ale czuła się lekka i zwinna jak łania.

Bez wątpienia dawniej Cadignan łatwo by przeboleał stratę tej czy innej kochanki. Jeszcze wczoraj ciężej mu było znieść wstyd, że cudaczny przeciwnik przychwycił go na kłamstwie, niżeli lęk na myśl, iż utraci jasnowłosą Muszeczkę. Był przy tym przeświadczony, że to ona go wydała, i w swoim prostackim egoizmie miał jej za złe ten dowód słabości, jak gdyby popełniła zbrodnię, dotąd też go nie wybaczył. Niemniej nazwisko człowieka, którego nienawidził jak nikogo na świecie zapiekłą prymitywną nienawiścią, poruszyło go do głębi.

- Jak na takiego dzieciucha - powiedział - spisujesz się gracko. No cóż, dobra krew zawsze wyjdzie na wierzch. Tatuś sprzedaje podłe piwo, a córeczka... Każdy sprzedaje to, co ma.

Spróbowała zuchwale potrząsnąć głową, ale nie zaprawiona była jeszcze do walki, i ta haniebna zniewaga, rzucona tak prosto w twarz, na chwilę ją załamała: rozsłochała się.

- Usłyszysz jeszcze niejedno, jeżeli dłużej pożyjesz - ciągnął spokojnie markiz. - Kochanka Galleta!... I to pewno pod bokiem tatusia, co?

- W Paryżu, jeśli zechcę - wyjąkała przez łzy. - Tak, w Paryżu...

Dziesięć drobnych pazurków zachrobotalo po stole, na którym oparła ręce. Natłok myśli w mózgu oszalał ją; tysiące kłamstw, nieskończona ilość kłamstw brzęczała w nim jak w ulu. Przeróżne plany, wszystkie nedorzeczne i rozwiewające się, ledwo powstawały, płynęły niekończącym się łańcuchem jak urywki snów. Z pobudzenia wszystkich zmysłów

rodziła się jakaś ufność nieuzasadniona, podobna do przyływu życia. Przez chwilę nawet granice czasu i przestrzeni zdały się przed nią zanikać, a wskazówki zegara biegły tak szybko jak jej młodzieńcza brawura. Nie zaznawszy dotąd innego przymusu niż dziecienny system obyczajów i przesądów, nie wyobrażając sobie innych rygorów niż czyjaś opinia, nie dostrzegała żadnych granic na cudownym wybrzeżu, do którego dopływała niczym rozbitek pozostawiając za sobą całą przeszłość, jakby tonący wrak... Choćby człowiek nie wiedzieć jak długo kosztował słodkiego i gorzkiego smaku złych myśli, nigdy nie potrafią one z góry przytępić ohydnej radości, jaką daje zło, które się wreszcie pochwyci, posiadzie... radości pierwszego buntu podobnego do wtórnych narodzin. Albowiem grzech zapuszcza w serce korzeń powolnie i głęboko, ale piękny trujący kwiat olśniewa przez jeden tylko dzień.

- W Paryżu? - powiedział Cadignan.

Zorientowała się, że pali go chęć dowiedzenia się czegoś więcej, ale nie odważa się pytać.

- W Paryżu - powtórzyła, policzki jej jeszcze płonęły, ale oczy miała suche. - Tak... w Paryżu, u mnie - ładny pokój, swoboda... Wszyscy panowie deputowani mają tam swoje przyjaciółki - dorzuciła z niezmaconą powagą... - Wiadoma rzecz... Czyż nie oni właśnie ustanawiają prawa?

Podczas gdy dawniej magnaci... Och, między nami dwojgiem to już umówione i to od dawna!

Istotnie zresztą smętny prawodawca z Campagne, którego chora żółć trawiła do szpiku kości, a surowa i wściekle zazdrosna małżonka wycieńczała, nie dając zaspokojenia, niejedyn już raz okazywał córce piwowara uczucia rzekomo ojcowskie, których prawdziwy sens rozgarnięta dziewczyna odgaduje bezbłędnie. To było wszystko... Ale przewrotna

Muszczyka wiedziała dobrze, że na ten skąpy temat potrafi koloryzować do świtu. Każde kłamstwo było nową rozkoszą, jakby za mocną, zaciskającą gardło pieszczotą; tej nocy kłamałaby, choćby ją lżono, bito, nawet zagrożano życiu; kłamałaby byle kłamać. Później przypominała sobie ten osobliwy napad jako najbardziej szaleńcze szafowanie sobą, jakie jej się w życiu przydarzyło, jakiś lubieżny koszmar.

„Właściwie, dlaczego nie”? - pomyślał Cadignan. - Patrzajcie na tę smarkulę - dokończył głośno - jak to wierzy na słowo temu szubrawcowi, handlarzowi frazesów, błaznowi najgorszego gatunku! Wykołuje on cię tak jak swoich wyborców, moja droga! Świetna przyjaciółka deputowanego, u diabła! A wkrótce może ministra? Ha, hai

Muszczyka w pałacu Elizejskim!

- Może się pan śmiać - odparła Muszczyka. - Widywano gorsze rzeczy.

Nos złoźnika, zazwyczaj różowy i pogodny, stał się teraz bledszy od policzków. Przez chwilę przeżuwając wściekłość maszerował z kąta w kąt, wetknąwszy obie ręce w kieszenie obszernej welwetowej kurty; później postąpił parę kroków w stronę bacznie obserwującej go kochanki, która, by uniknąć zetknięcia, przesunęła się i odgrodziła przezornie stołem od niebezpiecznego przeciwnika. Ale on ją wyminął, z oczyma spuszczoneymi podszedł prosto do drzwi, zamknął je i klucz wsunął do kieszeni.

Potem usiadł znów w fotelu i powiedział oschle:

- Przestań mi suszyć głowę, moje dziecko. Samaś tego chciała; zatrzymam cię do jutra tak sobie, dla przyjemności...

Na własne ryzyko. Teraz zaś bądź rozsądna i odpowiedz mi, jeśli możesz. To wszystko bzdury, co?

Była równie blada jak kołnierzyk przy sukni. Przez zaciśnięte zęby odpowiedziała:

- Nie!

- No, słuchaj - podjął znowu. - Chcesz we mnie wmówić, że...?

- On jest moim kochankiem, tak!

Wyrzucała z siebie to nowe kłamstwo tak, jak się wypluwa jakiś ostry, palący płyn. Gdy zaś przebrzmiało echo jej własnego głosu, poczuła, że serce w niej omdlewa, jak kiedy opada huśtawka. Omal nie zawiódł jej własny głos, gdy zaś rzuciła markizowi w twarz słowo „kochanek”, skrzyżowała obydwie ręce na piersiach gestem naiwnym, a zarazem przewrotnym, jak gdyby te trzy magiczne sylaby ogołociły ją, obnażyły.

- Do pioruna! - krzyknął Cadignan.

Poderwał się jednym susem tak gwałtownie, że nieboraczka w pierwszym, źle obliczonym odruchu omal nie wpadła mu w ramiona. Zderzyli się w kącie sali i przez chwilę tkwili na wprost siebie, bez jednego słowa.

Zaraz jednak błyskawicznie czmychnęła, skoczyła na krzesło, które się załamało, z krzesła na stół, ale wysokie obcasy pośliznęły się na politurowanym orzechu; na próżno wyciągnęła ręce. Dłonie markiza pochwyciły ją wpół, mocno szarpnęły do tyłu. Gwałtowność ruchu oszołomiła ją; krzepki mężczyzna uniósł Muszeczkę jak łup. Poczuła, że brutalnie rzuca ją na skórzaną kanapę. A potem przez chwilę jeszcze nie widziała nic poza dwojgiem oczu początkowo drapieźnych, w których pomału narastał niepokój, później wstyd.

Znów była wolna; stojąc w pełnym świetle, z rozpuszczonymi włosami, w podniesionej sukience odsłaniającej czarną pończochę, daremnie szukała wzrokiem znieawidzonego władcy. Oślepiąca niesamowitą wściekłością, zraniona w swej dumie i cierpiąca, bardziej niż od rany cielesnej, cierpieniem fizycznym, przejmującym, nie do

zniesienia, ledwie mogła rozeznaczyć wielką jamę mroku i odblask lampy na ścianie... Gdy go wreszcie dostrzegła, krew jak burzliwy potok spłynęła jej do serca.

- No dobrze już, dobrze, Muszeczko - powtarzał z niepokojem biedaczysko.

Nie przestając mówić ją zbliżał się do niej drobnym kroczeniem, z rękoma wyciągniętymi, starając się ją znów pochwycić, ale łagodnie, tak jakby postępował z którymś ze swych płochliwych ptaków. Lecz tym razem się wymknęła.

- Co się z tobą dzieje, Muszeczko? - powtarzał Cadignan niepewnym głosem.

Obserwowała go z dala, jej ładne usta wykrzywił złowrogi grymas. „Nieprzytomna?” - zastanawiał się jeszcze...

Uległszy bowiem jednemu z owych napadów wściekłości, z których nagle rodzi się żądza, czuł raczej zmieszanie niż wyrzuty sumienia, jako że nigdy nie oszczędzał bardziej swoich kochanek niż powinien rzetelny partner, broniący swego w jakiejś brutalnej grze. Już wcale jej nie poznawał.

- Odpowiesz ty wreszcie? - krzyknął zirytowany jej milczeniem.

Lecz ona nadal cofała się przed nim powolnymi krokami. Ponieważ zmierzała ku drzwiom, spróbował zagrozić jej drogę fotelem zastawiając wąskie przejście, ale lekkim susem ominęła tę przeszkodę, wydając przy tym tak szczery okrzyk przerażenia, że aż się zatrzymał zdyszany. W sekundę później odwrócił się, by nadal iść za nią i w mgnieniu oka zorientował się, że w drugim końcu sali staje na palcach drobnych stóp usiłując wyciągniętymi rękami coś zdjąć ze ściany.

- Hej, ty! Łapy przy sobie, wariatko!

W dwóch susach mógłby ją na pewno dopaść i rozbroić, ale powstrzymał go fałszywy wstyd. Szedł ku niej bez pośpiechu, krokiem człowieka, którego niełatwo by zatrzymać, gdyż widział w rękach kochanki swoją myśliwską fuzję - znakomitego ansona.

- Tylko spróbuj, spróbuj! - powtarzał posuwając się wciąż naprzód, z taką miną, z jaką się próbuje poskromić niebezpiecznego psa.

Oszalała Muszeczka odpowiedziała jakimś jękiem przerażenia i wściekłości, a jednocześnie podniosła broń do strzału.

- Idiotko! Jest nabita! - chciał jeszcze powiedzieć... Ale huk wystrzału jak gdyby zmiażdżył ostatnie słowo na jego wargach. Ładunek trafił pod brodę rozrywając szczęki na kawałki. Strzał oddany był z tak bliska, że natłuszczona filcowa przybitka przeszła na wylot szyję, i odnaleziono ją później w krawacie.

Muszeczka otworzyła okno i zniknęła.

Pan doktor Gallet zakończywszy list wypisywał na kopercie adres swym drobnym pismem o zgrabnie zaokrąglonych literkach. Wtem za jego plecami odezwał się ogrodnik Timoleon:

- Panna Żermena kazała panu powiedzieć...

Panna Malorthy już stała w progu, otulona wąskim czarnym płaszczem, z parasolką w ręku. Weszła tak prędko, że nie przebrzmiało jeszcze echo jej szybkich kroków po kamiennych płytach.

Parsknęła śmiechem pod nosem ogrodnika, który roześmiał się także. Przez uchylone okno napływał zapach wieczoru, zawsze przyjazny; i w tym momencie zgasło mgliste światło na poręczy fotela.

- Czym mogę pani służyć, panno Żermeno? - zapytał doktor Gallet.

Spiesznie zaklejał kopertę.

- Tatuś miał panu osobiście powiedzieć, że najbliższe posiedzenie Rady przełożone jest na dziewiątego bieżącego miesiąca; a więc... ponieważ tędy przechodziłam... - odparła ze zwykłym spokojem tak zabawnie akcentując słowa

„Rady” i „dziewiątego bieżącego miesiąca”, że Timoleon roześmiał się znowu, nie wiedzieć dlaczego.

- Idźże już! Idź! - powiedział ostro pan Gallet podając mu list.

Odprowadził go wzrokiem, odczekał, aż zamknie drzwi.

Potem zapytał:

- Co to ma znaczyć?

- Tak od razu chcesz wiedzieć? - odparła, kładąc w poprzek fotela parasolkę. No cóż, jestem w ciąży, to wszystko!

- Zamknij buzię, Muszeczko - wykrztusił zdławionym głosem - albo mów ciszej.

- Zabraniam ci nazywać mnie Muszeczka - odparła panna Malorthy. - Tylko nie Muszeczka!

Rzuciła płaszcz na krzesło i nadal stała tuż przed nim.

- Możesz się przekonać - powiedziała. - Nigdy się tak od razu nie uwierzy.

- Od... od kiedy?

- Około trzech miesięcy. (Zaczęła spokojnie rozpinać spódnice, agrafkę przytrzymując w zębach.)

- I tyś mi... dopiero teraz wyznajesz...

- Ho, ho! Wyznajesz! - mruknęła próbując się roześmiać bez wypuszczenia agrafki. - Ależ ty się wyrażasz!

Usta miała zamknięte, lecz oczy śmiały się dziecinnie.

- Chyba nie zamierzasz się tutaj rozbierać - rzucił doktor z Campagne starając się usilnie odzyskać zimną krew. - Przejdź choć do mojego gabinetu.

- A cóż to szkodzi? - odparła Żermena Malorthy. - Przekręć po prostu klucz. W twoim gabinecie kostnieję z zimna.

Pogardliwie wzruszył ramionami, ale już obserwował ją spod oka, w gardle mu zaschło. Ona zaś jedną nogę podkurczyła, drugą oparła o poręcz fotela i spokojnie rozsznurowywała trzewik.

- Korzystam z okazji - rzuciła - rozumiesz? Okropnie mnie cisną; przez cały dzień w nich biegałam. Podaj mi zamszowe pantofelki, które zostawiłam tu we wtorek, tak, tam na desce w łazience, za skrzynią. A w ogóle, wiesz? Dziś wieczorem nie wyjdę. Powiedziałam tacie, że pojedę pewno do Caulaincourt, do ciotki Malwiny... Twoja żona wraca, zdaje się, jutro?

Słuchał osłupiały, nie dostrzegając jednak na tej niezwykle ruchliwej drobnej twarzyczce jakiejś martwoty, napięcia, rysu wyczerpania i jakby znękania, odmieniającego nawet jej uśmiech.

- Ty w końcu wszystko zepsujesz swoimi szusami - zaczął żalonym tonem. - Na początku widywaliśmy się tylko w Boulogne albo w SaintPol, a teraz już sama nie wiesz, co wymyślić... Widziałaś Timoleona? Dla mnie...

- Kto nie ryzykuje, ten nic nie ma - powiedziała poważnie. - Idź jednak po moje pantofelki, dobrze? A nie zapomnij zamknąć za sobą drzwi.

Powiodła wzrokiem za tym dziwacznym kochankiem, pociągającym nogami w filcowych pantoflach, wciśniętym w surdut o kusych połach, wąskim kołnierzyku, wytarty na łokciach.

O czym wtedy myślała? Może zresztą nie myślała o niczym? Śmieszność i szpetota tego karalucha z żółtymi zębami nawet jej już nie dziwiła. Gorzej, ona go kochała.

Na tyle, na ile mogła kochać, kochała go. Od czasu, gdy pewnej nocy popełniła ów czyn nieodwracalny, którym wraz z nieszkodliwym markizem zabiła jednocześnie swój własny zwodniczy obraz, mała Malorthy, panna Malorthy daremnie zmagала się z własną zawiedzioną ambicją. Próba wymknięcia się, ucieczka byłaby zbyt wyraźnym samooskarżeniem; musiała tedy wrócić do domu na dawne swoje miejsce, z miedzianym czołem wyżebrać rodzicielskie przebaczenie i, pokorna i milcząca jak nigdy, pod spojrzeniami pełnymi współczucia nie do zniesienia oplatać się pomalutku przedzoną nicią kłamstwa. „Jutro - mówiła sobie z rozdartym sercem - jutro przyjdzie zapomnienie, i będę

wolna.” Ale jutro wciąż nie nadchodziło. Powoli jęły się zacieśniać wokół niej zerwane ongi więzy. Jakby przez gorzką ironię klatka stała się schronieniem i mogła już tylko oddychać za jej kratami, dawniej nienawistnymi. Postać, której rolę starała się odgrywać, stopniowo niszczyła tę dawną, a marzenia, które ją uskrzydlały, rozpadały się kolejno, toczone przez niewidzialnego robaka: nudę. Ponure miasteczko, którym dotychczas gardziła, znowu ją pochwyliło, coraz mocniej osaczało, wsysało.

Nigdy jeszcze upadek nie był mniej raptowny, i bardziej nieodwołalny. Odtwarzając w pamięci każdy szczegół tamtej zbrodniczej nocy, Muszeczka nie znajdowała nic, co mogłoby wytłumaczyć wspomnienie, jakie o niej zachowała, jakby jakiegoś ogromnego wysiłku z nagłą już zbędnego, skarbu obróconego wniwecz. Tego, czego wówczas pragnęła, upatrzonej zwierzyny, którą chybiła od pierwszego skoku i która na zawsze już jej zniknęła, teraz nie potrafiłaby już nawet nazwać. Czy zresztą kiedykolwiek nadawała jej nazwę?

Och, to przecież nie był ten otyły, leżący przed nią pocziwiec... Jakaż więc zwierzyna?

Ile to innych młodych dziewcząt snuje się i umiera pod lipami, dziewcząt, których życie trwało tylko godzinę albo może sto lat! Życie na chwilę rozwarte, jak najszerzej rozwinięte żagle, w które z całych sił biją wichry świata... a potem znowu zwinięte i spadające w dół, niczym kamień.

Lecz one nie popełniły morderstwa, może tylko w snach.

Nie mają żadnych tajemnic. Mogą swobodnie sobie mówić:

„Jakaż ja byłam szalona!” ukrywając siwiejące kosmyki włosów pod falbankami czepków. One nigdy się nie dowiedzą, jaką siłę w sobie miały i że kiedyś w czasie wieczornej burzy, wysuwając w zabawie swoje młode pazury, mogły być przypadkowo zabić.

Po zbrodni miłość Galleta stała się dla Żermeny inną znów tajemnicą, innym milczącym wyzwaniem. Najpierw rzuciła się w ramiona tego bezdusznego ordynusa, uczepiła się tego drugiego wraku ludzkiego. Lecz zbuntowany, a szczwany jak lis dzieciuch bez trudu zdołał otworzyć to serce, jak się przecina wrzód. Niewątpliwie zarówno z upodobania do zła, jak i dla niebezpiecznej gry uczyniła z tej komicznej figury jadowitą bestię sobie tylko znaną, przez siebie wyhodowaną, podobną do owych chimer, co się pojawiają w występnych myślach młodości, bestię, w której na koniec rozkochała się jak w obrazie i symbolu swego własnego upodlenia.

Niemniej miała już dość tej zabawy.

- Są, proszę - powiedział rzucając pantofelki na dywanik.

I natychmiast zdumiała go cisza. Kiedy spojrzął, jak zwykle z ukosa, zobaczył w mroku wyciągnięte w fotelu drobne ciało z podkulonymi kolanami, głową przechyloną na ramię, ustami lekko zagryzionymi, z jednym kąciem warg ledwo dostrzegalnie podciągniętym do góry, bladymi policzkami.

- Muszeczko! - zawołał. - Muszeczko!

Zaraz też podszedł do niej żywo i koniuszkami palców jął gładzić zamknięte powieki. Rozwarły się powoli, ale wzrok był jeszcze bez myśli. Po chwili odwróciła głowę i westchnęła.

- Nie wiem, co mi się stało - powiedziała - zimno tu...

Wówczas zauważył, że jest naga, zarzuciła tylko na siebie lekki wełniany płaszcz.

- No, co? - powiedział. - Czy ty śpisz? Cóż to znów nowego?

Stał przed nią, głowę z lekka wysunawszy do przodu i śmiał się jak zwykle trochę cierpkim śmiechem.

- Atak już minął - dorzucił... (wziął ją za rękę) - Puls trochę przyspieszony; to normalne. Nic poważnego. Ty nie umiesz żyć... gonisz... gonisz... Aż litość bierze! Czy kaszlesz?

Siadł obok niej i szybkim ruchem otworzył na pół zapięty kołnierz. Płochliwe ramię o niewysłowionym zwierzęcym wdzięku drgnęło, zniecka obnażone. Lecz odepchnęła go łagodnie.

- Jak chcesz - rzekł. - Przyznaj jednak, że nie mogę nic powiedzieć bez zbadania uprzednio twoich dróg oddechowych. To twoja słaba strona. A zresztą ty z higieną jesteś zupełnie na bakier.

Mówił tak jeszcze przez jakiś czas. Dopiero później zauważył, że płacze. Płakała nawet bez westchnienia, oczy miała szeroko otwarte i nieruchome, drobną twarzyczkę spokojną, łuk warg wciąż jeszcze napięty.

Przez chwilę patrzył osłupiały. Ciekawość znacznie ponad jego miarę, przerażenie i chęć wykrycia w innej, tuż obok będącej istocie, uczuć jemu niedostępnych uszlachetniły go na moment. Lecz spodziewany okrzyk nie padł z jego ust; poczerwieniał, odwrócił oczy i zamilkł.

- Kochasz mnie? - zapytała głosem, w którym skarga zabrzmiała osobliwie poważnie i twardo.

I zaraz dorzuciła:

- Pytam cię o to z powodu pewnej myśli, która mi przyszła do głowy.

- Jakiej myśli?

- Kochasz mnie? - powtórzyła nagle tym samym głosem.

Jednocześnie wstała cała jeszcze drżąca, śmiesznie jakoś naga w rozchyłonym płaszczu, naga i drobna, z tym samym spojrzeniem, z którego pierzchła duma.

- Odpowiedz mi! - powiedziała znowu. - Odpowiedz prędko!

- Ale przecież... Żermeno...

- Nie tak! - zawołała... - Nie tak! Powiedz mi tylko: kocham cię!... tak, tylko tak!

Odrzuciła głowę zamykając oczy. Między drżącymi wargami widział mocne białe zęby, oddech wydobywał się przez nie z lekkim świstem, dosłyszalnym w panującej ciszy.

- No więc co? - zapytała. - To już wszystko? Nie odważasz się powiedzieć!

Osunęła się do jego stóp i zastanawiała chwilę, wsparłszy podbródek na splecionych dłoniach... Potem znowu podniosła na niego pełne chytróści spojrzenie.

-!...Ha, cóż... dobrze... dobrze - powiedziała kiwając głową... - Wiem, że mnie nienawidzisz... Ale nie tak jak ja! - dorzuciła jeszcze poważnie.

I natychmiast dodała:

- Tylko, że ty... ty nawet nie wiesz, co to naprawdę znaczy.

- Co takiego?

- Nienawidzić i pogardzać - odparła.

I zaraz zaczęła mówić z niebywałą swadą, jak to czyniła zawsze, ilekroć jakieś przypadkowo rzucone słowo budziło w niej to głęboko ukryte zasadnicze pragnienie - nie radość czy udrękę jej małej mrocznej duszy, ale samą duszę.

A z drżenia wątego, lecz już przywiedłego pod olśniewającą powłoką urody ciała, z podświadomej miarowości otwieranych i zaciskanych dłoni, z powściąganego porywu ramion i prężnych bioder zdawało się emanować jakieś zwierzęce dostojeństwo.

- Co, prawda? Tyś nigdy nie odczuł... jakby to powiedzieć? To cię nachodzi jak myśl... jak zawrót głowy... ażeby upaść, ześlizgnąć się... spadać jak najniżej - tak zupełnie - aż na samo dno... gdzie nawet pogarda głupców nie mogłaby cię już dosięgnąć... Ale potem, staruszku, okazuje się, że nawet i tam nic cię nie zadowala... jeszcze czegoś ci brak...

Och, niegdyś... jakże ja się bałam! - jednego jakiegoś słowa - jednego spojrzenia... głupstw. Wiesz, ta stara pani

Sangnier... (ależ tak, znasz ją na pewno - sąsiadka pana

Rageota) jakże mnie kiedyś boleśnie dotknęła... kiedyś, gdy przechodziłam po mostku w Planques - odciągając ode mnie szybkim ruchem swoją siostrzeniczkę Laurę... „No bo co? Czy ja jestem zarazą?” - pomyślałam sobie... Och, a teraz! Teraz... teraz... teraz chciałabym jej pogardę wywołać! Jakąż krew w żyłach mają te kobiety, w których jednym spojrzeniem

można wzbudzić wahanie - tak - i których spojrzenie potrafi zatruć każdą przyjemność, a w wyobraźni uważają się za cnotliwe niewiniątka nawet w ramionach kochanka. Że człowiek powinien czuć wstyd?...

Oczywiście, zgadzam się, czuję go. Ale szczerze mówiąc czyż od pierwszego dnia nie tego się właśnie pragnie? To właśnie pociąga cię i odpycha... Tego się człowiek boi i od tego ucieka niespiesznie... to odnajduje za każdym razem z jednakim skurczem serca, staje się jak powietrze, którym oddychamy... nasz żywioł - wstyd! Prawda, że rozkoszy winno się szukać dla niej samej... dla niej samej tylko! Co tu znaczy kochanek? Co znaczy miejsce i godzina! Niekiedy...

Niekiedy... w nocy... o parę kroków od chrapiącego grubasa, gdy jestem sama... sama w nocy, w moim malutkim pokoiku... Ja, na którą zewsząd sypią się zarzuty (co mi można zarzucać, proszę cię, powiedz...). Wstaję... nasłuchuję... czuję się taka silna! Z tym ciałem przecież wątlym, biednym płaskim brzuszkiem, piersiami, które się łatwo mogą zmieścić w dłoni; podchodzę do otwartego okna, jakby mnie ktoś z dala przywoływał; czekam... jestem gotowa... I to nie jeden tylko głos mnie woła, wiesz! Ale setki! Tysiące! Czy to wołają mężczyźni? W gruncie rzeczy wy jesteście tylko dzieciuchami - pełnymi przywar i ułomności, a jakże! - ale dzieciuchami! Przysięgam ci! Wydaje się, że to, co mnie przyzywa - tutaj czy tam, obojętne!... w jakimś przeciągłym szumie... to inny... Ktoś inny delektuje się i sam sobą zachwyca się we mnie... Człowiek albo zwierzę... A co, myślisz, że jestem szalona...? Jakaż ja jestem szalona...!

Człowiek czy zwierzę, które mnie trzyma... Dobrze trzyma...

Mój obrzydliwy kochanek!

Jej głośny śmiech urwał się znienacka, we wzroku utkwionym nieruchomo w oczach przyjaciela zagasło wszelkie światło, ale stała nadal, jak gdyby cudem, podobna do zmarłej. Po czym ugięły się pod nią kolana.

- Muszeczko - rzekł poważnym zawodowym głosem lekarza, podniósłszy się z miejsca - ostatni raz powtarzam: twoja nadmierna pobudliwość mnie przeraża. Proszę, uspokój się.

Mógłby jeszcze długo mówić tym tonem, Muszeczka już go nie słyszała. Ruchem prawie niepostrzeżalnym przechyliła się do przodu, ramiona podwinęły się na kanapie, a kiedy ujął jej główkę w dłonie, uderzył go widok bladej kamiennej twarzy.

- Do licha! - mruknął.

Daremnie próbował rozewrzeć szczęki, stukając w zęby łopatką z kości słoniowej. Uniesiona warga krwawiła.

Podszedł do apteczki, otworzył drzwiczki, przebierał we flakonach, wybrał, powąchał, czujnie przy tym nasłuchując, z niepokojem w oczach, speszony tą milczącą obecnością za plecami, sam się sobie do tego nie przyznając wyczekujący jakiegoś okrzyku, westchnienia, jakiegoś znaku odbitego w szybie, nie wiedzieć czego, co przerwałoby urok... Wreszcie się odwrócił.

Muszczyk, siedząc teraz grzecznie na kanapie, z głową podniesioną i smętnym uśmiechem patrzyła, jak się do niej zbliża. W uśmiechu tym nie mógł wyczytać nic poza niepojętą litością zdającą się spływać z wysoka, o ponadludzkiej słodyczy. Światło lampy padało prosto na białe czoło, a dół twarzy pozostawał w cieniu, więc i ów uśmiech ledwie widoczny zdawał się dziwnie zastygły i tajemniczy. Zrazu pomyślał, że śpi. Lecz odezwała się nagle swoim zwykłym, spokojnym głosem:

- Czemu tak sterczysz z tą butelką w ręku? Odstaw ją!

Nie, odstaw, proszę cię! Słuchaj - czy ja zasłabłam? Zemdlałam? Nie? Doprawdy! Ale swoją drogą, wiesz, jakbym tak umarła tu u ciebie - ale zrobiłby się szum! Nie dotykaj mnie!

Tylko mnie nie dotykaj!

Przysiadł zabawnie na brzegu krzesła, wciąż jeszcze trzymając flakonik w swych mocnych dłoniach. A jego twarz stopniowo przybierała zwykły wyraz ponurego, chwilami dzikiego uporu. W końcu wzruszył ramionami.

- Możesz sobie drwić ze mnie - podjęła nadal spokojnym głosem - tak to już jest. Kiedy mnie coś poniesie... poniesie... poniesie... straszliwie się boję, żeby mnie kto nie dotknął... wydaje mi się, że jestem ze szkła. Tak, to właśnie to... wielki pusty kielich.

- Hiperestezja, dość zwykły objaw po załamaniu nerwowym.

- Hiper... co? Jakie śmieszne słowo? A więc znasz to?

Leczyłeś już takie jak ja kobiety?

- Setkami - odpowiedział chępliwie - setkami... w gimnazjum w Montreuil miałem do czynienia z poważniejszymi przypadkami. Takie ataki nie należą do rzadkości wśród dziewcząt, które mieszkają razem. Uważni obserwatorzy skłonni są nawet przypuszczać...

- A zatem - przerwała - sądzisz, że znałeś takie kobiety jak ja?

Zamilkła. I nagle rzuciła:

- Ach! Więc ty kłamiesz! Skłamałeś!

Pochyliła się ku niemu, ujęła go za rękę, łagodnym ruchem przysunęła policzek... I w tym momencie poczuł na nadgarstku i aż w samym sercu ostre ukąszenie zębów.

I oto kłębił się już wraz ze zwinną małą bestią na skórzanych poduszkach, a nad odchyloną w tył głową widział tylko przepastne spojrzenie, w którym dojrzewała jego radość...

Ona pierwsza poderwała się z kanapy.

- Wstawajże - powiedziała ze śmiechem. - Wstawaj!

Gdybyś mógł się teraz zobaczyć! Sapiesz jak kot. Oczy masz jeszcze zmacone... Kobiety takiej jak ja, staruszkule!... Nie ma żadnej takiej... nie ma innej, która by potrafiła z ciebie zrobić kochankę...

Przypatrywała się z upodobaniem tej wybujałej rozwiązłości. Rzeczywiście przez długie tygodnie, podczas których rozgrzewała w swoich objęciach prawodawcę z Campagne, tchnęła weń nowe życie. Nasz deputowany przytył sobie ostatnio - mówili zacni ludzie. Dawniej bowiem nieborak o tak żalosnej prezencji mógł być rozbroić kłótności każdej innej partnerki z wyjątkiem własnej żony; teraz jednak zaczynał się zaokrąglać. Rozkosz, zmysłowe uciechy, nie uśmierzając go bynajmniej sprawiały, że nabrał więcej tłuszczu, ponieważ zaś musiał trzymać w tajemnicy swoje radości, jak skąpiec obżerał się nimi i przetrawiał do syta, nie tracąc nic na czcze słowa. Jego nieustanne udawanie zdumiewało nawet kochankę. Nie zdając sobie może w pełni sprawy z zasięgu swojej władzy, za miarę jej uważała głębię, uporczywość, drobiazgowość tego kłamstwa. Nieszczęśnik wyżywał się w kłamstwie; z natury bojaźliwy zdobywał się czasami na umyślne ryzyko, prowokacje; smakował w tym gorzki odwet.

Długoletnie upokorzenie życia małżeńskiego zniknęło wtedy jak bąbel na błocie. Ongiś nienawistna albo budząca lęk wizja srogiej małżonki teraz stała się jednym ze składników jego satysfakcji. Biedaczka krzątała się, dreptała, przemykała od piwnicy do strychu, zzieleniała od ustawicznych podejrzeń. Wydawała się jeszcze królową i panią w owych czterech znienawidzonych ścianach. („Jestem chyba panią u siebie, nie?” - mawiała wyzywająco.) Lecz to bez znaczenia! już nią nie była... Ukradł jej nawet powietrze, którym oddychała: oddychała ich powietrzem.

- Kocham cię - powiedział lekarz. - Dopóki ciebie nie pokochałem, o niczym nie miałem pojęcia.

- Gadaj zdrow - odparła. (I roześmiała się znowu tym śmiechem z dnia na dzień, niestety, coraz bardziej napiętym, ostrzejszym.) - Ja, wiesz nigdy nie miałam wielkiego apetytu... taki mały apetycik... Och, wiem dobrze... (Albowiem słuchał z miną karcącą i drwiącą, choć na pozór beztruską.)

Jesteś taki głupi! Uważasz mnie za rozpustnicę! Co za bzdura!

To nic, że się śmiała; jej głos, ledwie podniesiony, dźwięczał zwierzęcą pychą. Wzrok raz jeszcze się uchylił, jakby zapatrzył w głąb siebie. I z cech naprawdę ludzkich zachował jedynie ledwo uchwytny wyraz próżności, uporu, jakąś odrobinę prostodusznej głupoty, będącej atrybutem jej płci.

- Niemniej... - chciał zaprotestować.

Zamknęła mu usta. Poczuł na wargach pięć palców, gładkich jak z kości słoniowej.

- Och, jak to miło być piękną! Mężczyzna, który się o nas ubiega, zawsze jest piękny. Lecz tysiącokrotnie piękniejszy jest ten, dla którego jesteśmy głodem i pragnieniem każdego dnia. A ty, staruszkule, masz oczy takiego właśnie mężczyzny.

Przechyliła mu głowę do tyłu, aby zatopić wzrok aż pod miękkie powieki. Nigdy jeszcze ów płomień jedyny, a szaleńczo zbędny, nie rozgorzał wyraźniej i nie wzbił się wyżej.

Przez chwilę prawodawca z Campagne zaiste poczuł się innym mężczyzną. Tragiczna woła kochanki stała się jakby widzialna, namacalna, i ku niej to wyciągnął ramiona z westchnieniem, niczym jęk.

- Mu... Muszeczko - szeptał błagalnie - moja malutka

Muszeczko!

Pozwoliła się schwycić. Lecz przeszyła go spojrzeniem z samej głębi, ze swoich złych dni.

- No dobrze... dobrze... kochasz mnie...

- Słuchaj - zaczął - przed chwilą...

- Poczekaj sekundę - powiedziała - muszę się ubrać.

Zmarzłam.

Kiedy odezwała się znowu, siedziała już skulona, w zapiętym płaszczu, z grzecznie złożonymi nogami, rękoma skrzyżowanymi na kolanach.

- Ale w rezultacie, staruszkule, tyś mnie wcale nie zbadał...

- Kiedy tylko zechcesz.

- O nie, nie! - zawołała. - Na co się to zda? Może innym razem. Zresztą zorientowana jestem lepiej niż ktokolwiek inny; za sześć miesięcy będę matką, jak to się mówi.

Ładna matka!

Pan Gallet wodził wzrokiem po deseniach dywanu.

- Ta wiadomość mnie zaskakuje - powiedział z komiczną powagą. - Właśnie przed chwilą chciałem ci wyjaśnić.

Ciąża jest niewiarygodna... Pozwól sobie powiedzieć, a mam poważne przyczyny... Ale znów się rozgniewasz.

- Nie - powiedziała Żermena.

- Ani ty, ani ja nie mamy w sprawach miłości przesądów i skrupułów. Jak zresztą można wierzyć moralności, której nauka równie ścisła jak matematyka - mianowicie higiena - co dnia zadaje kłam? Instytucja małżeńska jak i wszystko zresztą podlega ewolucji, której kres my, lekarze, nazywamy wolnym związkiem. Nie będę czynił tedy żadnych niedyskretnych aluzji szanując w tobie kobietę wyzwoloną, panią swego losu. O przeszłości będę mówił w sposób możliwie najbardziej powściągliwy. Mam jednak ważne przyczyny, by przypuszczać, iż jest to ciąża wcześniejsza. Jestem też przekonany, że badanie - jeśli byś na nie zezwoliła - potwierdziłoby tę diagnozę uczynioną a priori. Daj mi tylko, proszę, pięć minut.

- Nie - odparła Muszeczka - zmieniłam zdanie.

- Dobrze. Na razie pozostanę więc przy swoim.

Na próżno czekał na jakiś okrzyk, zaprzeczenie czy choćby niezadowoloną minę. Ale po raz nie wiedzieć który długie milczenie ostatecznie zbiło go z tropu. Wysłuchawszy bez przejęcia jego słów, kochanka rozmyślała teraz głęboko, a w takich chwilach twarz Muszeczki stawała się dziecinnie naiwna.

- Nauka to piękna rzecz - oznajmiła wreszcie. - Przed wami nic nie zdołałoby się ukryć. A jednak nie kłamałam...

Popatrz sam; co prawda jeszcze nie widać... Ano cóż! W każdym razie pomożesz mi przecież wybrnąć z kłopotu, tego jestem pewna.

- Co ty opowiadasz? - zdziwił się.

- Nie będę rodzić ani za trzy miesiące, ani za sześć.

Wcale nie będę rodzić.

Śmiejąc się rzekł:

- Zdumiewasz mnie!

Ale ona znowu spojrzała na niego ostro.

- Nie jestem taka głupia, o nie! Wiem, jak wam łatwo to przychodzi. Raz, dwa, trzy... chlup! I po wszystkim, zniknęło, ani śladu...

- To, czego chcesz, moje dziecko, jest poważnym wykroczeniem, ściganym przez prawo. Jak zawsze i na ten temat będę mówił otwarcie. Ale człowiek w mojej sytuacji musi się liczyć z opinią - albo jeśli wolisz, z przesądami... może godnymi szacunku, na pewno potężnymi... Prawo jest prawem.

Teraz już bowiem uważał, że Muszeczka zdradziła się swoim nieopatrzonym wystąpieniem. O ileż mniej ceni się kochankę z chwilą, gdy wydała swój sekret!

- Nie zamierzasz chyba uczyć mnie mojego zawodu, malutka - dodał dobrotliwie. - Nigdy miłość tak dalece nie zawróci mi głowy, żebym miał zapomnieć o podstawowej ostrożności... Może zresztą fałszywie tłumaczysz sobie objawy, na których się przecież dobrze nie znasz. Jeżeli jednak jesteś w ciąży, Muszeczko, to nie przeze mnie.

- Nie mówmy już o tym - zawołała ze śmiechem. - Pojadę po prostu do Boulogne. Myślałby kto, że proszę cię o gwiazdkę z nieba.

- Zwykła uczciwość zobowiązuje mnie jeszcze...

- Do czego?

- Muszę cię uprzedzić, że zabieg chirurgiczny zawsze jest niebezpieczny, niekiedy bywa śmiertelny... Ano tak.

- Ano tak - powtórzyła.

Potem wstała, podeszła do drzwi cicho, niemal pokornie.

Daremnie jednak naciskała klamkę ruchem początkowo nie-pewnym, później coraz bardziej nerwowym, wreszcie przerażonym. Zapewne przez roztargnienie Gallet zamknął drzwi na klucz. Cofnęła się parę kroków, do biurka, tu się zatrzymała, pobladła jak ściana. Zaczęła mówić do siebie; parokrotnie powtórzyła zdławionym głosem:

- To mi coś przypomina, ale co?

Byłże to szmer deszczu na szybach? Czy mrok nagle zgęstniały? Czy też jakiś bardziej tajemniczy powód? Gallet podbiegł do drzwi, przekręcił klucz, otworzył je szeroko.

Otworzył. A zrobił to nie tyle dla kochanki, co ze względu na własny lęk, własne poczucie zagrożenia - sam nie wiedział czym - niebezpieczeństwo, które było tu, w powietrzu, tuż blisko - jakieś słowo, które miało paść, a nie powinien go usłyszeć - jakieś tajemnicze wyznanie, którego wargi - już drżące - długo nie zdołają powstrzymać. Jego zaś gest był tak gwałtowny, odruchowy, że kiedy w mroku korytarza odwrócił się ku światłu, zdumiał się, że stoi tu oto, na wprost znieruchomiałej kochanki.

Wszelako obawa śmieszności przywróciła mu głos.

- Jeżeli tak ci się spieszy, moje dziecko, nie zatrzymuję.

Proszę tylko wybaczyć, że przed chwilą zamknąłem drzwi na klucz - dorzucił z wyszukaną uprzejmością, za którą sam się w duchu pochwalił. - Zrobiłem to bez zastanowienia, przez roztargnienie.

Słuchała go bez uśmiechu, ze spuszczonej oczami. Po czym przeszła obok niego i oddaliła się tym samym pokornym krokiem, z głową opuszczoną.

Uległość tak niespodziewana do reszty zbiła z tropu lekarza z Campagne. Podobnie jak wielu głupcom, którzy w poważnych sytuacjach mają zawsze coś do powiedzenia, a

uprzytamniają to sobie zbyt późno, jemu takie zwyczajne i milczące zakończenie sprzeczki zdawało się obrzydliwe.

W ciągu krótkiego czasu, jaki zajęło pannie Malorthy dojście do drzwi na ulicę, mały mózdzek prawodawcy nie zdołał wykluczyć jakiegoś zdania decydującego, zręcznego i stanowczego zarazem, które pozwoliłoby nie uwłaczając jego godności sprowadzić znów pełną współczucia Muszeczkę na rypсовy fotel. Kiedy jednak mała ukochana rączka dotknęła już klamki, kiedy zobaczył czarną sylwetkę na progu, całe jego żalosne ciało poderwało się w jednym okrzyku:

- Żermeno!

Chwycił ją pod pachy, skuloną przytulił do piersi i gwałtownym ruchem zatrzasnąwszy drzwi rzucił na wielki pusty fotel.

Po czym natychmiast, jakby ten ogromny wysiłek wyczerpał całą jego odwagę, przysiadł biały jak papier na pierwszym z brzegu krześle. Lecz ona już czołgała się ku niemu z włosami rozpuszczonymi, rękoma wyciągniętymi, wymowniej nawet błagająca niż jej oczy poszarzałe z trwogi.

- Nie opuszczaj mnie - powtarzała. - Nie opuszczaj mnie. Nie wyrzucaj mnie dzisiaj z domu... Przed chwilą miałam przywidzenie... Och, jakie przywidzenie...

- Ktoś zamknął drzwi od kuchni. Przecież Timoleon wyszedł... Ktoś tam jest... - szepnęła pokonany bohater, łagodnie odsuwając kochankę.

Lecz ona oplotła go ramionami.

- Zatrzymaj mnie! Chyba oszalałam! Ja się nigdy nie boję. To po raz pierwszy w życiu. To już koniec.

Znowu ją odsunął, ułożył na kanapie. Natychmiast się poderwała. Policzki już jej pokraśniały. Powtarzała machinalnie: „To koniec... Koniec...” - ale już innym głosem.

Gallet wyszedł jednak z pokoju. Lecz niemal zaraz wrócił, strapiony.

- Nic nie rozumiem - mruczał. - Drzwi od pralni otwarte, okno w kuchni też. Ale Timoleona jeszcze nie ma; widziałem jego trepy na schodkach...

Podniósł ton i wykrzywił twarz w odrażającym grymasie, zwracając się do kochanki:

- Na jakie ty mnie szaleństwa narażasz.

Uśmiechnęła się.

- To już ostatnie. Będę rozsądna.

- Przeklęty Timoleon! Ten dom to istny młyn, słowo daję!

- Kogo ty się boisz?

- Przez chwilę myślałem, że to moja żona - odpowiedział naiwnie wielki człowiek Campagne.

I dla zachowania godności uznał za stosowne dorzucić:

- Czasami wraca tak nieoczekiwanie.

- Zostaw żonę w spokoju - powiedziała Muszeczka, teraz już opanowana. - Zobaczylibyśmy ją. Chciałam cię też przeprosić: taka byłam nieprzyjemna, mój biedny kocie!

Mogłeś doskonale mnie puścić. I tak bym wróciła. Potrzebuję cię, kiciusiu... O, nie dlatego, o czym myślisz - zawołała ujmując go za rękę - nie poróżnimy się przecież o jakiegoś dzieciaka bez znaczenia, który nigdy zresztą nie przyjdzie na świat, daję ci na to słowo! Nie chcę tu wywoływać skandalu.

A niebezpieczeństwo mam w nosie! Nie o to chodzi. Potrzebuję ciebie, bo jesteś teraz jedynym człowiekiem, z którym mogę mówić nie kłamiąc.

Wzruszył ramionami.

- Myślisz, że to nieważne - podjęła natychmiast (mówiła szybko, szybko, z uroczym podnieceniem). - No tak, kochany, od razu widać, że wcale nie jesteś do mnie podobny. Kiedy byłam mała, kłamałam już wtedy bez żadnej satysfakcji. Obecnie to jest silniejsze ode mnie. Wobec ciebie jestem taka, jaka chcę być. Okropna męka nie polega na tym, że się gra swoją rolę, ale taką rolę, która budzi wstręt! Czemuż nie jesteśmy podobni do zwierząt, które sobie chodzą to w tę, to w tamtą stronę, jedzą, zdychają, nigdy się nie zastanawiając, jak to wygląda w oczach otoczenia? Przed wrotami rzeźni widuje się woły, które jedzą siano o parę kroków od topora, na oczach rzeźnika z okrwawionymi rękami, co patrzy na nie ze śmiechem. Tego im zazdroszczę, tak! I nawet powiem ci więcej...!

- Terę fere! - przerwał lekarz z Campagne. - Powiedz raczej, ale szczerze, dlaczego przed chwilą?... No, bo pomyśl... wydaje się, że bardzo rozsądnie, lojalnie uznajesz moje argumenty; wydaje się, że jesteś gotowa prosić innych ludzi - nie chcę ich znać, nie chcę znać ich nazwisk - o dokonanie niebezpiecznego, dyskusyjnego i niepewnego zabiegu, za który ja nie mogę brać na siebie odpowiedzialności; odchodzisz bez gniewu, z miną zbitego psa, ale potulnie... i raptem... tak, cóż, wydaję ci się ciekawski, ale nie możesz tego pojąć: to właśnie nazywamy przypadkiem, bardzo interesującym przypadkiem... bo nagle, z powodu przekręconego klucza, z powodu drzwi, które się nie chcą od razu otworzyć, dostajesz oto napadu szału - istnego szału...?

(Naśladując ją:) „Miałam przed chwilą przywidzenie... Och, jakie przywidzenie...!”
Schwytałem cię w ostatnim momencie. Miałaś taką osobliwą minę! Gdzieś ty szła?

- Pod słońcem...

- Chciałbyś wiedzieć? Ale mi nie uwierzysz.

- Wszystko jedno, powiedz.

- Szłam się zabić - spokojnie oznajmiła Muszeczka.

Klepnął się dłonią po kolanie.

- Kpisz sobie ze mnie!

- Albo jeśli wolisz - ciągnęła niewzruszona - widziałam tak, jak ciebie teraz widzę, kąk sadzawki w Vauroux, koło farmy, pod dwiema wierzbami, gdzie miałam się utopić. Stamtąd, między drzewami, widać dachówki pałacu. Co ci mam powiedzieć? Oczywiście, to głupstwa. Doskonale wiem... byłam jak szalona.

- O, do diaska! - wykrzyknął lekarz z Campagne rzucając się do drzwi - tym razem naprawdę ktoś chodził po górze! To jej kroki!

Ponieważ wybuchnęła śmiechem, zmierzył ją tak groźnym spojrzeniem, iż uznała, że lepiej stłumić resztę wesołości chusteczką do nosa.

Posłyszała, jak jego pantofle doczłapały do schodów; skrzypnęły pierwsze stopnie, po czym zaległa cisza. I znowu stał oto przed nią.

- To Zeleda - powiedział. - Widziałem jej torbę podróżną w korytarzu na pierwszym piętrze. Widocznie przyjechała pociągiem o dwudziestej trzydzieści, żeby zaoszczędzić wydatku na nocleg w hotelu. Jak ja mogłem tego nie przewidzieć! Jest tutaj od dziesięciu, może od dwudziestu minut, kto wie... Zmykaj!

Dygotał z niecierpliwości, mimo że okropnie poniżony, usiłował nadrabiać miną. Ale Muszeczka odpowiedziała chłodno:

- Teraz tyś z kolei oszalał! Czego ty się boisz? Tatuś mnie tu przysłał. Nie mogę tak uciekać jak złodziejka, to byłoby zbyt głupio. A zresztą okno twojego pokoju wychodzi na ulicę des Egrauettes, zobaczyłaby mnie. Po trzech dniach nieobecności wślizgiwać się tak bez słowa na górę to też nie jest normalne. Myślisz, że nas słyszała? Tym lepiej. Przez drzwi nigdy nie słychać wyraźnie. Nie wdawaj się z nią w dyskusję. Roześmiej jej się w nos! Kiedy tu wejdzie, powiemy jej grzecznie dzień dobry...

Usłuchał, przekonany. W mgnieniu oka pod zręcznymi palcami Muszeczki wszystkie przedmioty odnalazły swoje zwykłe miejsca. Poduszki odzyskały elastyczną krągłość, fotele grzecznie odwróciły się tyłem do ściany, apteczka zamknęła drzwiczki, lampa świeciła spokojnie pod pocziwym zielonym abażurem. Kiedy panna Malorthy usiadła, kłamały nawet ściany.

- Zaczekajmy teraz - powiedziała.

- Zaczekajmy - powtórzył Gallot.

Po raz ostatni obiegił wzrokiem pokój, po czym, uspokojony, przeniósł spojrzenie na kochankę. Młoda pacjentka w pełnej szacunku odległości od uczonego, pełniącego swą misję, z całą uwagą gotowała się do wysłuchania nieomylnego wyroku.

„Jak ona śmie tak wysoko krzyżować kolana?” - zastanawiał się tylko spłoszony Gallet.

Teraz, kiedy zamilkła, uświadomił sobie jasno, że przed chwilą ulegał nie tyle argumentom kochanki, co brzmieniu i tonowi jej głosu.

„To dziecinada - powtarzał w duchu - dziecinada. Jej obecność tutaj można na tysiąc sposobów wytłumaczyć.”

Niemniej na myśl, że wkrótce będzie musiał podtrzymywać kapryśną dziewczynę w jej kłamstwach, odgrywać przeznaczoną sobie rolę wobec niedowierzającego a posępnego sędziego, język przysychał mu do podniebienia.

Wtedy to próbując raz jeszcze spojrzeć w oczy Muszeczki przekonał się nagle, że nie może uchwycić jej wzroku.

Przewrotne oczy wpatrywały się w ścianę ponad nim, nabrzmiały nową jakąś tajemnicą. Opanowało go przecucie, właściwie pewność nieuchronnego już teraz nieszczęścia. Jego występki były tutaj, przed nim, w pełnym świetle, jawny, oczywisty, i to on sam chciał zatrzymać przy sobie ów niezbity dowód. Gdyby strach nie przykuł go do miejsca, niewątpliwie w tym momencie wyrzuciłby Muszeczkę przez okno. I jeszcze sam by skoczył, żeby ją zdeptać niczym zapalony lont w pobliżu prochowni. Ale już było za późno.

Ohydna uległość tchórza wydała go bezbronny na pastwę dobrze znanej przeciwniczki. I zanim nawet wypowiedziała słowo, już jakby je usłyszał.

Wszelako głos, który przerwał ciszę, był dźwięczny i słodki.

- Czy ty wierzysz w piekło, kotku?

- Znalazłaś doskonały moment do mówienia głupstw - odparł pojednawczo. - Proszę cię, zachowaj na stosowniejszą okazję twoje niepojęte dowcipy.

- Ho, ho, ho! Coś podobnego! No nie, staruszkule: najgorsze już przeszło, nie obawiaj się. W końcu doprowadzisz mnie do wściekłości tą twoją miną, jakbyś czekał na kata.

Cóż ci teraz grozi? Absolutnie nic.

- Ja boję się tylko ciebie - powiedział Gallet. - Tak, nie jesteś zbyt pewnym partnerem...

Nie raczyła nawet odpowiedzieć, uśmiechnęła się tylko.

Później zaś, po dłuższej chwili milczenia, tym samym głosem spokojnym i miłym powtórzyła znowu:

- Odpowiedz mi natychmiast, kotku: czy wierzysz w piekło?

- Oczywiście, że nie! - wykrzyknął prawodawca zirytowany.

- Przysięgnij mi.

Poddał się.

- Owszem, przysięgam.

- No, dobrze wiedziałam - rzekła. - Nie boisz się piekła, a boisz się swojej żony! Aleś ty głupi!

- Muszeczko, zamknij buzię - wyszeptał błagalnie - albo idź sobie...

- Albo idź sobie, tak? Żałujesz, żeś przed chwilą zatrzymał swoją Muszeczkę? Teraz byłaby już w sadzawce z żabami, jej drogie usteczka zapchane błotem na pewno by milczały... Nie płacz, wielki dzieciaku. Widzisz przecież, naumyślnie mówię cichutko. Obrzydliwy tchórz! Jej się boisz, a mnie nie boisz się wcale!

Powiedział błagalnie:

- Co ci z tego przyjdzie, że ludzi dręczysz?

- Nic, rzeczywiście nic. Absolutnie też nie chcę cię dręczyć. Tylko dlaczego ty się mnie nie boisz?

- Jesteś dobrą dziewczynką, Muszeczko.

- Oczywiście; dobra dziewczynka. Z nią dzieliłbyś tylko przyjemności. Przed chwilą tego dowiodłeś. Dziecko Muszeczki, och, fuj!

- To nie moje dziecko! - krzyknął tracąc równowagę.

- Przypuśćmy. Wcale nie proszę, żebyś je uznał.

- Istotnie - mówił szeptem - żądałaś ode mnie tylko dokonania tego, co moje sumienie potępia.

- O twoim sumieniu pomówimy za chwilę - odparła

Muszeczka. - Odmawiając mi tej przysługi ostatecznie już otworzyłeś mi oczy. Nie myśl, że chcę się z tobą kłócić. Nie kocham cię ani za twoją urodę - spójrz na siebie - ani za twoją szczodrość. Bez żadnych pretensji, jesteś raczej skąpiec. Cóż więc w tobie kocham? Nie patrz na mnie takimi okrągłymi oczami! Twoje zepsucie. Znowu powiesz: powieściowe zdanie?... Gdybyś ty wiedział... to, czego wkrótce się dowiesz... zrozumiałbyś, że upadłam bardzo nisko, do twojego poziomu... Jesteśmy na dnie tego samego dołu...

Wobec ciebie nie potrzebuję kłamać... O nie, nie czytasz w moim sercu, myślisz, że próbuję się zemścić... Nie, kochasiu. Ale dziś mogę być zupełnie, absolutnie szczerą. No dobrze! Przyszedł moment, żeby to powiedzieć, teraz albo nigdy. Przyparłam cię do muru, biedny kocie, nie możesz mi się wymknąć. Nie radzę ci nawet podnosić głosu... Nie, nie!

Sama zresztą mówiła tak cicho, że bezwiednie nachylał głowę trochę dziecinnym ruchem. Dobrze mu znana swada, panująca półciszą, spokojne kroki Zeledy nad nimi, głos

Timoleona nucącego przy garnkach refren jakiejś głupiej piosenki - wszystko to przywracało mu spokój. Niemniej nie odważał się jeszcze podnieść oczu, by zmierzyć się z wzrokiem, który czuł na sobie... „Co za piła” - myślał.

Ale złowieszczy znak już był wypisany na ścianie.

Muszczyka odetchnęła głęboko i podjęła znowu:

- Skądinąd jeżeli teraz zaczynam mówić, robię to dla ciebie, dla twojego dobra... Pomyśl: kochamy się od wielu tygodni i nikt, ale to nikt o tym nie wie... Panna Żermena tędy... pan deputowany tamtędy... no prawda? Dobrześmy się zataili? dobrze skryli... co? Pan Gallet kocha się z szesnastoletnią dziewczyną. Komu by to przyszło do głowy?

Nawet i twoja żona... Przyznaj się, stary łotrze, to, że zdradzasz ją tutaj, pod samym jej nosem, czy raczej pod wąsem

(bo ona ma wąsy), to połowa twojej radości. Znam cię. Nie lubisz czystej wody. Tak właśnie w mojej osławionej sadzawce w Vauroux widuję bardzo cudaczne, bardzo osobliwe stwory; są trochę podobne do stonogów, ale dłuższe. Chwilę możesz je oglądać, jak pływają po przejrzystej powierzchni wody. Potem raptem się zanurzają i na ich miejsce pojawia się chmura błota. Więc właśnie! Są do nas podobne. Między głupcami a nami istnieje także taka mała chmura. Tajemnica.

Wielka tajemnica... Kiedy ją poznasz, jak my się będziemy kochali!

Znów odchyliła się do tyłu śmiejąc się bezgłośnie.

- Paradne! - powiedział Gallet.

Ściągnęła usta dziecinnym gfyrfiasem i przez chwilę wpatrywała się niespokojnie w kochanka. Po czym jej twarz znów się rozjaśniła.

- To prawda, że mówię za dużo - przyznała - w gruncie rzeczy ze strachu. Mówię, żeby nic nie powiedzieć.

Gdyby Zeleda teraz weszła, nie wiem, czy byłabym zadowolona, czy zła? Poczekaj! Poczekaj! Najpierw mnie wysłuchaj: nie ty jesteś tatusiem. O nie! No, zgadnij, kto...! To markiz... tak... tak... pan markiz de Cadignan.

- Paradne! - powtórzył Gallet.

Wargi Muszczyki zadrżały.

- Pocałuj mnie w rękę - powiedziała nagle... - Tak... pocałuj mnie w rękę... chcę, żebyś pocałował mnie w rękę!

Głos jej się załamał zupełnie jak głos aktora, któremu nie udało się zamierzony efekt, traci grunt pod nogami, ale brnie dalej. Jednocześnie przycisnęła dłoń do ust kochanka. Po czym odsunęła się gwałtownie i powiedziała z niezwykłym patosem.

- Pocałowałeś rękę, która go zabiła.

- Doprawdy paradne! - powtórzył po raz trzeci pan Gallet.

Muszczyka próbowała roześmiać się wzgardliwie, ale ten hamowany śmiech zabrzmiał tak okrutnie i rozdzierająco, że umilkła.

- To obłąd - powiedział rzeczowo doktor z Campagne. - Każdy inny lekarz stwierdziłby w tym objawy obłądzenia. Ale jesteś dziewczyną nerwową, obciążoną dziedzicznym alkoholizmem, dojrzałą od dwóch czy trzech lat, cierpiącą z powodu przedwczesnej ciąży; w takich razach podobne przypadki nie należą do rzadkości. Wybacz, że w ten sposób do ciebie mówię: odwołuję się do twojego rozumu, do twojego rozsądku, ponieważ tego rodzaju chorzy nigdy nie tracą całkowicie świadomości swego zamroczenia. Przyznaj: to żart? Za daleko tylko posunięty żart, jaki każdemu może się czasem wyrwać? Kiepski żart.

- Żart - wykrztusiła z trudem.

Ogromny gniew łomotał w jej piersi, ale go zdławiła.

Płomień zawiedzionej pychy ostatecznie już wypalił wszystko, co w niej pozostało z szalonej i okrutnej młodości; doznała nagle uczucia, że w łonie ma serce nie do pokonania, a w głowie zimny i rzeczowy umysł kobiety, tragicznej siostry dziecka.

- Nie próbuj ubliżać mi w takim momencie - krzyknęła - albo ty z kolei będziesz płakał. Myśl sobie, co chcesz; może mężczyźnie już to ukrywanie tajemnicy, może to wyrzuty sumienia? albo po prostu strach... Dlaczego nie miałabym się bać tak jak wszyscy? Myśl sobie, co chcesz, ale nie wzbraniaj się przed własnym udziałem. Zresztą teraz już i tak za dużo powiedziałam. Tak! To ja go zabiłam. Którego dnia? Dwudziestego siódmego... O której godzinie? Za piętnaście pierwsza (dotychczas widzę wskazówkę...) Zdjęłam ze ściany jego fuzję, wisiała pod lustrem... Może nie byłam całkowicie pewna, czy jest nabita. Była. Wystrzeliłam, kiedy go dotknął wylot lufy. Omal nie upadł na mnie. Trzewiki miałam pełne krwi; wymyłam je w sadzawce. Wyprałam też pończochy, już w domu, na misce... Ano tak! Czy już jesteś przekonany? - zapytała z dziecinną pewnością siebie. - Czy chcesz jeszcze jakichś innych dowodów? (Nie przyniosła z sobą żadnego.) Dostarczę ci. Tylko pytaj.

Wprost niewiarygodne! Ani przez chwilę Gallet nie wątpił, że mówiła prawdę. Już od pierwszych słów jej uwierzył, tak dalece spojrzenie wymowniejsze było niż usta. Lecz początkowe zdumienie okazało się tak silne, że sparaliżowało nawet oznaki przerażenia,

których Muszeczka wypatrywała na twarzy kochanka. Jeżeli trwoga tchórza w swoim szczytowym momencie nie uzewnętrzni się gwałtownie, pobudza wszystkie moce instynktu, wyposaża na pół świadome zwierzę ludzkie w nieograniczoną prawie moc udawania, kłamania. Wcale nie odraza do zbrodni przykuła Galleta do miejsca, lecz jakby nagle olśnienie, które uprzytomniło mu, że będzie na wieki związany ze swoją okropną przyjaciółką

I jako współnik nie czynu, ale tajemnicy. Jak wydać tę tajemnicę, nie wydając samego siebie? Skoro za późno już na to, aby powstrzymać wyznanie, będzie mówił: nie! Jakież inne wyjście... Nie i nie! nawet na przekór oczywistości. „Nie!

Nie! Nie! Nie!” - był strach. I już chętnie grzotnąłby tym

„nie”, niczym zaciśniętą pięścią, w strasliwe oskarżycielskie usta... Tylko że... Tylko że... śledztwo było zakończone; sprawa umorzona... Tylko: czy on wszystko wiedział? Czy

Muszeczka zachowała jeszcze jakiś dowód? Gdyby się nawet przyznała, zdołałby to zdementować: upór, właściwy sędziom, osobliwość tej zbrodni, zapomnienie, które już zacierało pamięć o człowieku dawniej budzącym lęk i nienawiść, prestiż rodziny Malorthy - a nade wszystko świadectwo lekarza, członka parlamentu - zupełnie by to wystarczyło dla przewyciężenia osłabłych skrupułów jakiegoś funkcjonariusza. Podniecenie Muszeczki i dające się w przyszłości przewidzieć jej bredzenia w napadach złości uwiarygodniały hipotezę obłądu, który i tak w przeświadczeniu Galleta wkrótce miał nią owładnąć... Niemniej, przytomna czy obłąkana, co mogła jeszcze powiedzieć podstępna dziewczyna, nim się za nią zamkną wyściełane drzwi izolatki? Z równie zawrotną szybkością, z jaką te sprzeczne myśli przelatywały przez głowę nieboraka, odnalazł w sobie chłopską przebiegłość, by powiedzieć bez kpín:

- Nie chciałem cię rozgniewać... Nie osądzam twojego czynu, jeśliś w ogóle go popełniła. Z profesją uwodziciela piętnastoletnich dziewcząt wiąże się pewne ryzyko... Skoro mnie jednak prosisz, zadam ci parę pytań. Mówisz z przyjacielem, ze spowiednikiem (mimo woli zniżył głos, w którym brzmiało przerażenie)... A zatem nie spędziłaś w domu nocy z na?

- Co za pytanie!

- A więc twój ojciec?

- Spał, oczywiście - odparła Muszeczka. - Wcale nie sztuka wyjść niepostrzeżenie.

- A wrócić?

- A wrócić też, wiadomo. O trzeciej rano nie usłyszałyby gromu z nieba.

- Ale nazajutrz, kochanie, kiedy się dowiedzieli?...

- Myśleli, że to samobójstwo, jak wszyscy. Tatuś mnie ucałował. Widział się z panem markizem poprzedniego dnia.

Pan markiz do niczego się nie przyznał. „Ale się jednak przestraszył” - opowiadał tatuś. I powiedział też, że „na dzieciaka znajdzie się sposób; Gallet dużo może”. Chcieli nawet prosić cię o radę. Ale ja się nie zgodziłam.

- Toś ty też do niczego się nie przyznała?

- Nie!

- A potem... popełniwszy ten czyn... uciekłaś?

- Pobiegłam tylko do sadzawki, żeby opłukać trzewiki.

- Niczego nie wzięłaś, niczego z sobą nie zabrałaś?

- A co miałam brać?

- A co zrobiłaś z trzewikami?

- Spaliłam w naszej kuchni razem z pończochami ze względu na plamy.

- Widziałem... oglądałem zwłoki - dodał jeszcze Gallet. - Samobójstwo wydawało się niewątpliwe. Strzał padł z tak bliska!

- Pod brodę, tak - potwierdziła Muszeczka. - Byłam o tyle od niego mniejsza, a on szedł prosto na mnie... Wcale się nie bał.

- Czy... czy nieboszczyk miał jakieś rzeczy... jakieś listy?

- Listy?! - powiedziała Muszeczka, wgardliwie wzruszając ramionami. - Niby po co? „Wszystko to wydaje się prawdopodobne” - pomyślał

Gallet. I ze zdumieniem usłyszał własny głos powtarzający te słowa.

- No widzisz! - ucieszyła się Muszeczka. - To już naprawdę za bardzo ciążyło mi w głowie! Teraz może sobie wejść ta twoja Zeleda, zobaczysz! Będę grzeczna jak obrazek.

Dzień dobry, panno Żermeno. - Podniosła się, aby przed lustrem wykonać ukłon. - Dzień dobry pani...

Ale lekarz z Campagne dłużej nie potrafił już udawać.

Spięty dotąd przerażeniem, z nagłą się odprężył i odsłonił swój zamysł, tak jak zwierzę osaczone przez psy, kiedy wreszcie się wymknie, raptownie oddaje moc.

- Tyś zwariowała, moje dziecko - powiedział z głębokim westchnieniem.

- Co? Co takiego? - wykrzyknęła Muszeczka. - Ty...

- Nie wierzę ani słowu z tej całej historii.

- Nie powtarzaj tego dwa razy - syknęła przez zęby.

Z uśmiechem pokiwał ręką, jakby chcąc ją uspokoić.

- Posłuchaj, Filogonie - podjęła błagalnym tonem (a wyraz jej twarzy zmienił się szybciej nawet niż głos). - Przed chwilą kłamałam; udawałam dzielną. To prawda, że nie mogę już żyć ani oddychać, ani choćby patrzeć na światło dzienne poprzez to okropne

kłamstwo. Ale słuchaj! Teraz ci wszystko powiedziałam! Przysięgnij mi, że powiedziałam wszystko?

- Miałś zły sen, Muszeczko.

Znów jąła go błagać.

- Doprowadzisz mnie do obłądu. Jeżeli i to podam w wątpliwość, w co będę mogła wierzyć? Ale co też ja mówię - podjęła głosem teraz już przenikliwym. - Od kiedy to nie chce się dawać wiary słowom mordercy, który sam się oskarża i czuje skruchę? Gdyż ja czuję skruchę... Tak...

O tak... Zrobię ci kawał i będę odczuwać skruchę, jak mnie tutaj widzisz. A jeżeli będziesz mi się sprzeciwiał, pójdę im wszystkim opowiedzieć mój sen, ten wspaniały sen! Twój sen!

Wybuchnęła śmiechem. Gallet poznał ten śmiech i zrobił się szary.

- Za daleko się posunąłem - wybąkał. Raz jeszcze spostrzegł, że myśli na głos. - Dobrze, już dobrze, Muszeczko, nie mówmy już o tym.

Zgodziła się ściszyć głos.

- Przestraszyłam cię - powiedziała.

- Trochę - przyznał. - Jesteś w tej chwili taka nerwowa, taka pobudliwa... Dajmy temu spokój. Teraz już wiem, co mam myśleć.

Wzdrygnęła się.

- W każdym bądź razie nie musisz się niczego obawiać. Ja nic nie widziałem, niczego nie słyszałem. A zresztą - dodał nieopatrznie - ani ja, ani nikt inny...

- To znaczy?

- Że prawdziwa czy zmyślona, twoja historia przypomina sen...

- Czyli że...?

- Kto widział, jak wychodziłaś? Kto widział, jak wracałaś? Jakże można mieć dowody? Ani jednego świadka, ani jednego dowodu przestępstwa, ani żadnej zapisanej kartki, ani nawet jednej plamy krwi... Wyobraź sobie, że ja chciał-bym sam siebie oskarżyć. Mielibyśmy jednakowe szansę, moja mała. Żadnych dowodów!

Wówczas zobaczył, że Muszeczka staje przed nim bynajmniej nie błada, lecz przeciwnie, tak z nagłą poczerwieniała na czole, policzkach, nawet szyi, że pod delikatną skórą skroni zarysowały się niebieskie żyłki. Drobne zaciśnięte pięści jeszcze mu groziły, kiedy już wzrok nieszczęsnego dziecka nie wyrażał nic poza straszliwą rozpaczą, jakby jakimś ostatecznym wołaniem o litość. Potem i to ostatnie światelko zagasło i tylko obłęd podobny do odbłasku płomienia migotał w jej oczach. Otworzyła usta i zaczęła krzyczeć.

Ta skarga ponadludzka dźwięcząca jednym tonem - to poważnym, to przenikliwym - rozbrzmiała głośno w małym domku już pełnym przyciszonych szmerów i odgłosu spiesnych kroków. W pierwszym zaraz odruchu lekarz z Campagne odtrącił daleko od siebie zeszywniałe delikatne ciało, po czym spróbował zamknąć te usta, zdławić krzyk. Zmagał się z owym krzykiem, jak zabójca walczy z żywym sercem, które wciąż jeszcze bije. Gdyby te długie ręce przypadkowo natrafiły na rozedrganą szyję, Żermena już by nie żyła, jako że każdy ruch oszalałego tchórza zdawał się morderczy. Ale jęcząc uciskał tylko drobną silną szczękę, której mięśniów nie zdołałaby rozluźnić żadna ludzka siła... Zeleda i Timoleon wpadli jednocześnie.

- Pomóżcie mi! - rzucił błagalnie... - Panna Malorthy... atak furii... dostała ataku... Pomóżcie mi, do pioruna!

Timoleon chwycił Muszeczkę za ręce i przytrzymał je rozkrzyżowane na kanapie. Po krótkim wahaniu pani Gallet uchwyciła nogi. Lekarz z Campagne, mając wreszcie ręce wolne, rzucił na twarz wariatki chusteczkę nasiąkniętą eterem. Straszliwa skarga najpierw została przytłumiona, w końcu zupełnie ucichła. Pokonana młodzieńka dziewczyna uległa.

- Przynieś prędko prześcieradło - powiedział Gallet do żony.

Zawinięto w nie pannę Malorthy, teraz już znieruchomiałą. Timoleon pobiegł zawiadomić piwowara. Tegoż jeszcze wieczoru została samochodem przewieziona do lecznicy doktora Duchemin. Wyszła stamtąd po miesiącu zupełnie wyleczona, poroniwszy martwe dziecko.

Część pierwsza

Pokusa rozpaczy

- Drogi kanoniku, mój stary przyjacielu - zakończył ksiądz Demange - cóż mógłbym powiedzieć jeszcze? Trudno mi dziś uznać, że zastrzeżenia księdza są uzasadnione, niemniej nasza różnica zdań mi ciąży... Gdybym nie znał tak dobrze księdza roztropności i siły charakteru, chętnie bym powiedział, że księdza subtelność wyolbrzymia drobiazgi... Ale jest to przypisywaniem zbyt wielkiego znaczenia młodemu, nieokrzesanemu kapłanowi.

Ksiądz MenouSegrais, zziębnięty, nasunął pled na kolana i wyciągnął ręce w stronę kominka, nie odpowiadając. Dopiero po dłuższym milczeniu powiedział z odrobiną skrytej złośliwości, od której na chwilę zabłysły mu oczy:

- Ze wszystkich niedogodności podeszłego wieku doświadczenie nie należy do najmniejszych i bardzo bym chciał, aby roztropność, o której ksiądz mówi, nigdy się nie rozrosła kosztem siły charakteru. Z pewnością nie ma granic dla rozważań i wysuwania

hipotez, a jednak życie to przede wszystkim konieczność wyboru. Przyznaj się, przyjacielu: starzy ludzie mniej boją się popełnienia błędu niż podjęcia ryzyka.

- Zawsześ taki sam, drogi przyjacielu! - powiedział serdecznie ksiądz Demange. - Jak mało zmieniło się twoje serce! Zupełnie jakbym znowu słyszał księdza kanonika na naszym dziedzińcu w SaintSulpice rozprawiającego z biednym ojcem de Lantivy o dziejach benedyktynek mistyczek - świętej Gertrudy, świętej Mechtylidy, świętej Hildegardy... Pamięta ksiądz kanonik? „Co mi tu będziesz prawił o trzecim stanie mistycznym - obruszał się... - A w ogóle z tych wszystkich paniczyków ty w refektarzu jesteś najbardziej łakomy i najlepiej ubrany!”

- Tak, pamiętam - powiedział proboszcz z Campagne...

I nagle głos jego, zwykle spokojny, jakby się z lekka zała-mał. Z trudnością zwróciwszy głowę zagłębioną w poduszkach ku obszernej mrocznej już sali wskazał wzrokiem na ulubione swoje meble:

- Trzeba się było wymknąć - powiedział. - Zawsze się trzeba wymykać. - Natychmiast jednak głos mu stężał i tym samym trochę wyzywającym tonem, jakim zwykł był podkpiwać z samego siebie i konfundować swoją wielką duszę, dorzucił:

- Nic lepiej nie uprzytamnia znaczenia i smaku wolności jak atak reumatyzmu.

- Wróćmy do naszego protegowanego - przerwał nagle szorstko ksiądz Demange, nie śmiejąc przy tym podnieść wzroku na starego przyjaciela. - Muszę wyjechać o piątej.

Chętnie bym go jeszcze zobaczył.

- W jakim celu? - zareplikował spokojnie ksiądz MenouSegrais. - Jak na jeden dzień dosyć się go naoglądaliśmy! Zabłocił mój stary smyrneński dywan, omal nie złamał nogi u krzesła, bo jak zawsze wybrał sobie właśnie najcenniejsze i najbardziej delikatne... Czegóż ksiądz jeszcze chce?

Może zważyć go i zmierzyć niczym rekruta? A zresztą proszę go sobie oglądać, jeśli ksiądz ma ochotę. Ale też tylko Pan

Bóg wie, ile strapienia mi przysporzył w ciągu tygodnia ten wielki niezgrabiasz w czerni pośród moich nedorzecznie zaiste ulubionych bibelotów!

Ksiądz Demange zbyt jednak dobrze zna towarzysza swojej młodości, aby się dziwić tym nastrojem. Ongiś, jako młody sekretarz biskupa de Targe doskonale wiedział o niektórych próbach, jakie kolejno przewyciężał jasny i przenikliwy umysł księdza MenouSegrais. Jego zaciekle niezależność myśli i nieodparty, rzec można, zdrowy rozsądek, którego stosowanie nierzadko łączy się z pozornym okrucieństwem, tym dotkliwszym dla istot wrażliwych, że połączonym z wyszukaną uprzejmością, jego wzgardliwy stosunek do

rozstrzygnięć abstrakcyjnych, wyjątkowo żywe umiłowanie najbardziej wzniosłego życia duchowego, trudne jednak do zaspokojenia przez same spekulacje myślowe - początkowo wzbudziły nieufność biskupa. Dyskretny wpływ młodego księdza Demange, zwłaszcza zaś nieskazitelna wytworność przyszłego dziekana z Campagne, wówczas wikarego przy katedrze, zbyt późno zaskarbiły mu względy dostojnika, który chętnie pozwalał się nazywać ostatnim prałatem - szlachcicem, a zmarł w następnym roku, pozostawiając monsiniorowi Papouin, protegowanemu ministra wyznań, dość kłopotliwą spuściznę. Ksiądz MenouSegrais początkowo był grzecznie trzymany na uboczu, później otwarcie popadł w niełaskę, po pierwszej porażce w wyborach ustawodawczych kandydata liberała, w którego sprawie okazał zapewne zbyt mało gorliwości. Zwycięstwo doktora Gallet, radykała, zadało ostatni cios jego kościelnej karierze.

Mianowany na probostwo w Campagne, którego zresztą niejedynemu mu zazdrościł, pogodził się z tym i oddał sprawie utrzymywania pokoju religijnego w diecezji, jako że obydwie strony nabrały zwyczaju osiągać porozumienie jego kosztem - kolejno to oskarżał go o coś minister, to przyganiał mu biskup. Ta gra go bawiła, jak mało kto umiał delectować się przyjemną huśtawką.

Spadkobierca wielkiej fortuny, którą zarządzał rozsądnie, przeznaczając całkowicie swoim bratanicom Segrais, żył skromnie, lecz raczej po pańsku, niczym magnat na wygnaniu przenoszący na zapadłą prowincję coś z manier i obyczajów dworskich, interesował się życiem bliźnich unikając jednak wszelkiej obmowy, umiał zręcznie rozwiązywać języki, wyczuwać tajemnice z jednego spojrzenia, niebacznego słówka, uśmiechu - po czym pierwszy nakazywał milczenie, narzucał je - zawsze z godnym podziwu taktem i wewnętrznym dostojeństwem; znakomity towarzysz przy biesiadnym stole, smakosz z uprzejmości, bardzo rozmowny, gdy było trzeba przez pobłażliwość albo miłosierdzie, tak nieskazitelnie gładki, że urzeczeni prości plebani z jego dziekanatu uważali go zawsze za najbardziej wyrozumiałego człowieka na świecie, w stosunkach z ludźmi miły i rzetelny, przenikliwy bez surowości, tolerancyjny z usposobienia, nawet sceptyczny, i może trochę nieszczerzy.

- Przyjacielu mój - powiedział łagodnie ksiądz Demange - widzę, do czego zmierzamy; przeciwko swemu wikaremu zwraca ksiądz cios, który przeznaczony był dla mnie. W skrytosci ducha oskarża mnie ksiądz kanonik o brak zrozumienia, premedytację, bo ja wiem o co jeszcze? Wielce miłosierne utajone myśli, jak na Boże Narodzenie i w stosunku do biednego starego druha na emeryturze, który przebędzie jeszcze dziś wieczorem trzy mile, nim się dostanie do łóżka, i to z miłości do księdza kanonika! Czy rzeczywiście byłbym

zdolny lekceważyć wątpliwości, które mi ksiądz zwierzył?... Ale ksiądz kanonik tak jak dawniej, gdy jest o czymś przekonany, wszystko chciałby sforsować, szturmem zdobywać ludzi; tylko że dziś robi to ksiądz uprzejmiej... Żąda ksiądz kanonik, żebym się jasno wypowiedział, natomiast dane, jakimi rozporządzam...

- A któż tu mówi o danych! - przerwał dziekan z Campagne. - Może jeszcze dochodzenie i akta? Kiedy idzie o wygranie lub przegranie jakiejś walki, wykorzystuje się to, co się ma pod ręką. Nie wzywałem księdza przez długi czas, w ciągu którego sam rozważałem wszystkie za i przeciw, z chwilą jednak, kiedy zdobyłem pewność...

- Słowem, oczekuje ksiądz kanonik ode mnie wyrazów uznania?

- No właśnie - odpowiedział stary kapłan, niewzruszony. - Pewną dozę odwagi mam zapewne w naturze, lecz moja cnotliwość jest tak nikła, a starość tchórzliwa, i jestem tak niemądrze przywiązany do moich nawyków, dziwactw, a nawet słabostek, że w decydujących momentach bardzo potrzebuję spojrzenia i głosu prawdziwego przyjaciela. Ksiądz dał mi jedno i drugie. Wszystko w porządku. Reszta to już moja sprawa.

- Och, uparty człowieku! - westchnął ksiądz Demange. - Chciałby ksiądz zmusić mnie do milczenia? Kiedy już będę daleko, nawet jeszcze dziś w nocy, będę się modlił za księdza kanonika, w nic nie wnikając, i to z całego serca, jak się chyba jeszcze nigdy nie modliłem. Na razie jednak, choćbyś mnie miał zbić, przyjacielu, zrekapituluję dla spokoju własnego sumienia naszą rozmowę, i postaram się wyciągnąć z niej wnioski. Proszę pozwolić mi mówić! Proszę mi pozwolić mówić! - wykrzyknął widząc gest zniecierpliwienia proboszcza z Campagne - długo księdza kanonika nie będę męczył. Mówiłem o danych z dokumentów. Teraz do tego powracam. Oczywiście, nie przywiązuję zbyt wielkiej wagi do stopni w seminarium...

- Po co do tego wracać? - powiedział ksiądz Menou-

- Segrais. - Są przeciętne, zdecydowanie przeciętne, ale tylko

Bóg wie, jak je należy rozumieć i czy świadczą o prze-ciętności ucznia, czy nauczyciela... Tak czy inaczej, mam od biskupa Papouin pewien ustęp listu, którego księdzu nie przeczytałem... Proszę tylko łaskawie podać mi teczkę, tam, na rogu biurka, i przysunąć trochę lampę.

Najpierw uśmiechając się przebiegł wzrokiem arkusik, przysunawszy go blisko do swych krótkowzrocznych oczu.

Nie śmiem Księdzu Kanonikowi oferować - zaczął czytać - nie śmiem oferować jedyne, który mi jeszcze pozostał, niedawno wyświęconego, (ksiądz prałat, któremu go powierzyłem, nie wie, co z nim począć), kapłana niewątpliwie pełnego zalet, wypaczonych

jednak przez gwałtowność i osobliwy jakiś upór, nie posiadającego ani wykształcenia, ani stosownej ogłady, wielce pobożnego pobożnością bardziej żarliwą niżeli rozumną, dość powiedzieć: jeszcze nie okrzesanego. Obawiam się, że człowiek tej miary co Ksiądz Kanonik (i tu drobny zwykły rys biskupiej ironii)... Obawiam się, że człowiek tej miary co

Ksiądz Kanonik nie zdoła przywyknąć do młodego dzikusa, który dwadzieścia razy na dzień bezwiednie Go urazi.

- Co ksiądz kanonik odpowiedział? - zapytał ksiądz

Demange.

- Mniej więcej tak: czy przywyknę, to nie ma znaczenia, ekscelencjo; chodzi o to, abym potrafił go wykorzystać, czy coś w tym rodzaju.

Mówił tonem ironicznego szacunku, a jego piękne oczy śmiały się ze spokojną odwagą.

- W końcu jednak - rzekł stary kapłan zniecierpliwiony - czy zdaniem księdza kanonika ten chłopak odpowiada obrazowi, jaki mu przesłano?

- Jest gorzej - zawołał dziekan z Campagne. - Tysiąc razy gorzej! Zresztą ksiądz go przecież widział. Jego obecność w domu tak zbyt kownie urządzonym to obraza dla zdrowego rozsądku, na pewno. Niech ksiądz sam osądzi: jesienne deszcze, wichry, które ożywiają mój reumatyzm, przegrzany piec, który czuć przypalonym tłuszczem, zabłocone podeszwy interesantów na moich dywanach, strzelanina jesiennych polowań z nagonką - to już zupełnie dość dla starego kanonika. W moim wieku czeka się już tylko Pana

Boga z nadzieją, że przyjdzie, niczego nie zakłócając w jakiś zwykły dzień tygodnia. Niestety, to nie Pan Bóg tu wkroczył, ale dryblas o szerokich barach, pełen naiwnej dobrej woli, od której można zgrzytać zębami, tym trudniejszy do zniesienia, że usiłuje być delikatny, ukrywać jakoś swoje czerwone dłonie, ostrożnie stawiać podkute buciory, łagodzić brzmienie głosu stworzonego do poganiania koni i wołów...

Mój mały seter obwąchuje go z odrazą, gospodyni umęczona jest czyszczeniem i naprawianiem jednej z jego dwóch sutann, wyglądającej jeszcze względnie przyzwoicie... Wychowania ani śladu. Wykształcenia tylko tyle, aby móc znośnie odczytywać brewiarz. Niewątpliwie mszę odprawia z godną pochwałą pobożnością, ale tak powoli, z tak niezdarną gorliwością, że na mnie poty biją w stalli, gdzie jest przecież piekielnie zimno. Na samą myśl o tym, że będzie musiał stanąć na ambonie przed audytorium równie wyrobionym jak nasze, zdawał się tak nieszczęśliwy, że dotąd nie mam odwagi go przymuszać i skazuję na katusze własne biedne gardło.

Cóż mam powiedzieć jeszcze? Ludzie widzą, jak całymi dniami snuje się po błotnistych drogach, ubrany niczym łązęga, pomaga woźnicom w złudnej nadziei, że nauczy tych panów języka mniej obraźliwego dla Majestatu Bożego, a zapach, jaki przynosi z obór, irytuje dewotki. I wreszcie, nie zdołałem go jeszcze nauczyć, żeby przegrywał z dobrą miną partyjkę bezika. O dziewiątej jest już nieprzytomny z zaspania, muszę więc odmawiać sobie tej rozrywki... Czy chciałby ksiądz coś więcej? Czy może już dość?

- Jeżeli taka w ogólnych zarysach jest treść sprawozdań, przesyłanych do kurii - powiedział z prostotą ksiądz Demange - bardzo mu współczuję.

Uśmiech dziekana z Campagne natychmiast zgasł, a twarz jego - zawsze niezwykle wyrazista - stała się lodowata.

- To mnie należy współczuć, przyjacielu - powiedział.

W jego głosie zabrzmiała taka gorycz, tyle nie spełnionych nadziei, że wyraziła się w nim cała starość, a wielką, pograżoną w ciszy salę przez chwilę nawiedził majestat śmierci.

Ksiądz Demange zaczerwienił się.

- Więc to jest takie poważne, przyjacielu? - zaczął ze wzruszającym zakłopotaniem, niezwykle zaiste żarem przyjaźni. - Obawiam się, że księdza kanonika uraziłem, nie wiedząc zresztą, czym.

Ale ksiądz MenouSegrais już się opanował.

- Uraził ksiądz mnie!? - zawołał. - To ja bezsensownie sprawiłem księdzu przykrość. Nie mieszajmy naszych błahych sprawek ze sprawami Boga.

Przez chwilę zbierał myśli, nie przestając się uśmiechać.

- Mam zbyt wielką skłonność do żartowania i to mnie gubi. Mógłbym się zająć czymś innym niż zadawanie księdzu zagadek i bawienie się jego zakłopotaniem. Ach, mój przyjacielu, Bóg również zadaje nam zagadki... Prowadziłem żywot spokojny, albo raczej zbliżałem się do kresu. Odkąd pojawił się ten dryblas, bezwiednie wszystko przyciąga do siebie i nie daje mi chwili wytchnienia. Już przez samą jego obecność wciąż muszę dokonywać wyboru. Och, mieć pokusę przeżycia wspaniałej przygody, kiedy już krew płynie tak powolnie i taka jest chłodna, to wielka i ciężka próba.

- Skoro ksiądz kanonik w ten sposób przedstawia sprawę - rzekł ksiądz Demange - powiem tylko jedno: księdza stary przyjaciel domaga się udziału w niesieniu tego krzyża.

- Już za późno - odparł proboszcz z Campagne, nadal uśmiechnięty. - Będę go dźwigał sam.

- ...Tylko że, jeśli mam wyznać szczerze całą prawdę - podjął ksiądz Demange - ja nie zauważyłem w tym młodym kapłanie nic, co godne byłoby zakłócić spokój takiego człowieka

jak ksiądz kanonik. To, czego się o nim dowiedziałem, wydaje mi się kłopotliwe, ale nie przekonywające. Dość pospolity jest ów typ wikarych nieogłędnie gorliwych, stworzonych do innych, cięższych zajęć, którzy w pierwszych latach kapłaństwa marnotrawią nadmiar sił fizycznych, przez rygory seminarium...

- Ani słowa więcej! - zawołał ze śmiechem ksiądz

MenouSegrais - bo czuję, przyjacielu, że cię zniechęcę.

Czy ksiądz sądzi, że ja sam nie wysuwałem sobie podobnych zastrzeżeń? Rad nierad usiłowałem wykpić się w taki sam sposób. Człowiek nie poddaje się bez walki mocy nadrzędnej, której śladu nie znajduje w sobie, która jest mu obca.

Brutalność mnie odpycha i sądzę, że trudniej niż ktokolwiek inny dałbym się przyciągnąć temu prostackiemu wdziękowi.

Na pewno nie jestem zniewieściały. Swego czasu byliśmy surowi, przyjacielu, aczkolwiek głupcy nie mieli o tym pojęcia... Ale tutaj wchodzi w grę coś innego.

Zawahał się chwilę, przy czym i on, stary kapłan, zarumienił się wyraźnie.

- Nie wypowiem tego słowa; boję się, że usłyszałbym od księdza nie wiem co, ale coś, co już z góry ściska mnie za serce. Och, przyjacielu, wypoczywałem tu sobie; poddałem się; i ten stan rezygnacji był mi bardzo miły. Nigdy nie pragnąłem zaszczytów. Nie czuję skłonności do zarządzania, ale do przewodzenia. Bardzo bym się cieszył, gdyby zechciano mnie wykorzystać. Ale trudno, skończyło się; byłem już nazbyt znużony. Pewnego rodzaju prostactwo umysłowe, nieufność czy nienawiść do wszystkiego, co wielkie, którą ci nieboracy mienią roztropnością, przepoiła mnie goryczą.

Widziałem, jak osacza się człowieka, który innych przerasta, niczym zwierzyne; widziałem, jak się rozkrusza wielkie dusze.

A jednak mam odrazę do zamieszania, chaosu, żywe poczucie autorytetu, hierarchii. Czekałem, aby któryś z takich zapoznanych został mi powierzony, abym był za niego odpowiedzialny przed Bogiem. To zostało mi odmówione; już straciłem nadzieję. I nagle... kiedy wkrótce zabraknie mi sił...

- Rozczarowanie okrutnie księdza kanonika zabolii - powiedział wolno ksiądz Demange. - Dla kogoś innego takie złudzenie wcale nie byłoby niebezpieczne, ale niestety! Aż za dobrze wiem, że ksiądz nigdy w nic nie angażuje się połowicznie. Zrujnuje ksiądz kanonik własne życie, a także obawiam się, tego biednego chłopaka, który za księdzem pójdzie, nie rozumiejąc go... A jednak ksiądz kanonik ma w oczach pokój Chrystusowy.

Zrobił gest rezygnacji jakby na znak, że pragnąłby skończyć tę dziwną rozmowę. Ksiądz MenouSegrais zrozumiał.

- Robi się późno - powiedział wyciągając zegarek. - Szczerze mnie smuci, że nie może ksiądz spędzić ze mną wigilijnego wieczoru... Znajdzie ksiądz w powozie gąsior starej nalewki. Kazałem go bardzo starannie opakować, ale droga jest podła, więc radzę mieć na niego baczenie.

Nagle urwał. Obydwaj starzy kapłani popatrzyli na siebie w milczeniu. Z drogi doszedł ich odgłos równych, ciężkich kroków.

- Proszę wybaczyć - rzekł proboszcz z Campagne po chwili z wyraźnym zakłopotaniem. - Muszę się dowiedzieć, czy mój konfrater z Heudeline zakończył już spowiedź i czy wszystko jest przygotowane do dzisiejszej pasterki... Zechce mi ksiądz podać ramię? Przejdziemy salę i odprowadzę księdza do powozu.

Nacisnął dzwonek, ukazała się gospodyni.

- Proszę powiedzieć księdzu Donissan, żeby przyszedł pożegnać księdza Demange - rzucił oschle.

- Kiedy, proszę księdza... - zająknęła się - myślę...

Myślę, że ksiądz wikary... nie mógłby... przynajmniej od razu...

- Nie mógłby?

- No bo... Bo dekarze... dekarze mówili, że zostawią robotę i wrócą dopiero po świętach, po Nowym Roku...

- Nasza dzwonnica rzeczywiście wymaga naprawy - wyjaśnił dziekan z Campagne. - Wiązanie dachu omal się nie załamało na skutek jesiennych deszczy; musiałem wezwać przedsiębiorcę z Mauvevrot i tu na miejscu zdobyć niewykwalifikowanych robotników do pracy, prawdę mówiąc, dosyć niebezpiecznej. Ksiądz Donissan...

Zwrócił się do gospodyni i powiedział tym samym, co poprzednio, tonem:

- Proszę mu powiedzieć, żeby przyszedł, tak jak jest. To nic nie szkodzi.

- Ksiądz Donissan - ciągnął, gdy tylko stara kobieta wyszła - prosił mnie, żebym mu pozwolił przyłożyć rękę...

O, nie przykładaj jej on połowicznie! W zeszłym tygodniu zobaczyłem go kiedyś rano na szczycie drabiny, w tych jego marnych spodniach przylepionych deszczem do kolan, jak dyrygował zakładaniem belek, wydawał rozkazy przekrzykując wichurę, i najwyraźniej czuł się lepiej na tej swojej grzędzie niż w ławce wyższego seminarium podczas semestralnych egzaminów... Na pewno dziś znów się do tego zabrał.

- Dlaczego ksiądz kanonik go wzywa? - spytał ksiądz

Demange. - Po co go upokarzać? W jakim celu?

Ksiądz MenouSegrais roześmiał się głośno i położył dłoń na ramieniu przyjaciela.

- Lubię was ze sobą spotykać - powiedział. - Lubię patrzeć, jak stoicie na wprost siebie. Zapewne jest w tym trochę złośliwości. Ale może to już po raz ostatni, a poza tym na dnie mojej złośliwości tai się bardzo żywe i bardzo gorące poczucie, które księdzu zawdzięczam, poczucie Bożego miłosierdzia. Jego słodkiej Boskiej dobroci. Jakże silna jest i subtelna, jakże ściśle spowija całą naturę owa łaska, która tak odmiennymi drogami, bez żadnego przymusu, zespała powoli wasze dusze w jedno, w rzeczywiste istnienie jednej jedynej miłości. Jakże płonna wydaje się w gruncie rzeczy diabelska przebiegłość i jej pogmatwane działania!

- I ja sądzę tak samo - powiedział ksiądz Demange. - Ale proszę wybaczyć, że powiem jeszcze coś, co wyda się księdzu kanonikowi bardzo pospolite. Wierzę, że chrześcijanin mający dobrą wolę sam z siebie utrzymuje się w światłości z wyżyn jak człowiek, którego rozmiar i waga są stale tak zrównoważone i dobrze wyliczone, iż potrafi utrzymać się na powierzchni wody, jeśli tylko zechce trochę wypocząć. Stąd też - aczkolwiek niektóre żywoty bywają zaiste osobliwe - wyobrażam sobie naszych świętych jako olbrzymów potężnych a łagodnych, których nadprzyrodzona siła rozwija się harmonijnie, na miarę i w tempie, jakich nasza niewiedza nie umie przeniknąć, gdyż wrażliwa jest jedynie na wysokość przeszkody, a zupełnie nie potrafi ocenić, jaki rozmiar i zasięg ma poryw. Ciężar, który my z trudem ledwie możemy poruszyć, zgrzytając przy tym zębami i wykrzywając się, siłacz przyciąga do siebie niby piórko, przy czym ani jeden mięsień nie drgnie mu na twarzy, i wszyscy mogą oglądać, jaki jest świeży i uśmiechnięty... Wiem, że ksiądz kanonik przeciwstawi mi z pewnością przykład swojego pupila...

- Jestem, proszę księdza kanonika - odezwał się za ich plecami silny niski głos.

Odwrócili się jednocześnie. Ten, który miał później zostać proboszczem z Lumbres, stał wyprostowany, w uroczystym milczeniu. Na progu mrocznej sieni jego sylwetka, wydłużona przez cień, zdała się najpierw olbrzymia, potem z nagłą - kiedy zamknęły się oświetlone drzwi - mała, niemal drobna.

Jego ciężkie, podkute buty, wytarte w pośpiechu, były jeszcze białe od zaprawy murarskiej, pończochy i sutanna uszargane błotem, a szerokie dłonie do połowy wciśnięte za pas miały też kolor ziemi. Twarz, której bladość kontrastowała z czerwoną opalenizną szyi, złana była potem i wodą, gdyż na nagłe wezwanie księdza MenouSegrais pobiegł obmyć się do swego pokoju. Nieład albo raczej prawie niechlujstwo jego codziennego odzienia uwydatniały się jeszcze przez osobliwe zestawienie z nowym sztywnym płaszczem, który zarzucił na siebie tak gorączkowo, że jeden rękaw podwinął się śmiesznie nad guzowatym jak winorośl napiętkiem. Czy dlatego, że ostatecznie go już stropiło przedłużające się milczenie

kanonika i jego gościa, czy też - jak się później zastanawiał dziekan z Campagne - bo usłyszał ostatnie słowa wypowiedziane przez księdza Demange, jego oczy z natury patrzące uporczywie czy nawet lękliwie nabrały z nagle wyrazu takiego smutku, tak rozdzierającej pokory, że całe toporne oblicze jakby się nią nagle rozpromieniło.

- Nie powinien ksiądz sobie przerywać - rzekł litościwie ksiądz Demange. - Widzę, że ksiądz nie traci czasu, nie boi się roboty... Niemniej jestem rad, że możemy się pożegnać...

Skinąwszy mu przyjaźnie głową zaraz się odwrócił ze sztuczną niewątpliwie obojętnością. Kanonik poszedł za nim w stronę drzwi. Ze schodów dobiegał ich odgłos ciężkich kroków wikarego, może trochę cięższych niż zwykle... Przed domem skostniały woźnica trzaskał z bata.

- Bardzo mi przykro, że musimy się tak wcześnie rozstać - powiedział ksiądz Demange już na progu. - Och, z radością, ze szczególną radością spędziłbym ten wieczór wigilijny z księdzem kanonikiem. Ale przecież pozostawiam cię z kimś bardziej potężnym i przenikliwiej widzącym ode mnie, przyjacielu. Śmierć niewiele może nauczyć starych ludzi, ale dzieciątko w kołysce? I to takie Dzieciątko!... Za chwilę rozpoczyna się świat.

Zeszli ramię w ramię z ganku. Powietrze niesło głosy aż do nieba. W kałużach trzaskał lód.

- Wszystko się zawsze rozpoczyna... aż do końca - powiedział nagle ksiądz MenouSegrais z jakimś niewysłowionym smutkiem.

Ostry podmuch wiatru zaróżowił mu policzki, podkrążył oczy sinawym cieniem - towarzysz dopiero teraz zauważył, że dygocze z zimna.

- Coś podobnego! - wykrzyknął. - Wyszedł ksiądz kanonik z gołą głową i bez płaszcza, w taką noc!

Zaiste, ta nieopatrzność proboszcza z Campagne lepiej świadczyła o jego bezgranicznym wzburzeniu niż wszelkie słowa. I ku jeszcze większemu swemu zadziwieniu albo - lepiej mówiąc - ku swemu niewypowiedzianemu zdumieniu, ksiądz Demange zobaczył po raz pierwszy, po raz pierwszy i ostatni w życiu, że łza spływa po subtelny, tak dobrze mu znanym obliczu.

- Żegnaj, Jakubie - powiedział dziekan z Campagne siląc się na śmiech. - Jeśli istnieją przecucia śmierci, tak niezwykle uchybienie obyczajom domowym, takie zapomnienie o podstawowych zasadach ostrożności jest chyba złowróbnym znakiem...

Już nigdy nie mieli się zobaczyć.

II

Ksiądz Donissan wrócił bardzo późno w nocy. Ksiądz

MenouSegrais z książką, której nie czytał, w ręku długo nasłuchiwał miarowych kroków wikarego, chodzącego tam i z powrotem po swoim pokoju. „Godzina zasadniczych wyjaśnień - myślał stary kapłan - niebawem musi nastąpić.”

Nie wątpił, że takie wyjaśnienie jest nieodzowne, dotychczas nie chciał jednak sam go powodować, zbyt mądry, aby pozbawić młodego kapłana przywileju, a zarazem kłopotu związanego z wypowiedzeniem swojej stanowczej decyzji... Już wszystkie ostatnie odgłosy ucichły, prócz tych jednostajnych kroków dudniących w grubych ścianach. „Dlaczego tej nocy, nie jutro albo kiedy indziej? - zastanawiał się ksiądz MenouSegrais. - Może to wizyta księdza Demange mnie zdenerwowała?” Tak czy inaczej, silniejsze i bardziej natarczywe od wszelkich rozważań przecucie jakiegoś wydarzenia osobliwego a nieuchronnego wzmagało w nim stan oczekiwania, z każdą chwilą bardziej niespokojnego. Wtem drzwi od korytarza skrzypnęły.

Ktoś dwukrotnie zastukał. Na progu stanął ksiądz Donissan.

- Czekałem na ciebie, przyjacielu - powiedział z prostotą ksiądz MenouSegrais.

- Wiedziałem o tym - odparł wikary nieśmiałym głosem.

Zaraz się jednak wyprostował, wytrzymał wzrok dziekana i rzekł stanowczo, jednym tchem:

- Muszę poprosić ekscelencję, żeby mnie odwołał do Tourcoing. Przychodzę zatem błagać księdza kanonika, aby poparł tę moją prośbę, nie przemilczając nic z tego, co mu o mnie wiadomo, w niczym mnie nie oszczędzając.

- Chwileczkę... Chwileczkę... - przerwał ksiądz Menou-

- Segrais. - Muszę poprosić, powiada ksiądz? Muszę... dlaczegoż to ksiądz musi?

- Służba Boża w parafii jest ponad moje siły - podjął wikary tym samym tonem. - Tak sądził już mój przełożony;

mam wrażenie, że ksiądz kanonik też jest tego zdania. Tu jestem nawet raczej zawadą w pracy dla dobra sprawy.

Najbiedniejszy wieśniak w okolicy wstydziłby się za takiego proboszcza jak ja, bez doświadczenia, bez wykształcenia, bez prawdziwej godności. Żebym się nie wiedzieć jak starał, czyż mogę mieć nadzieję, że kiedykolwiek uzupełnię moje braki?

- Dajmy temu spokój - przerwał dziekan z Campagne - dajmy spokój; rozumiem księdza. Te wątpliwości są na pewno uzasadnione. Jestem gotów poprosić ekscelencję o odwołanie księdza, niemniej sprawa nadal nie jest prosta. W rezultacie wymagano tu od księdza niewiele. Czy to jeszcze według niego za dużo?

Ksiądz Donissan spuścił głowę.

- Proszę nie być dzieckiem! - wykrzyknął dziekan. - Zapewne wydam się księdzu twardy, ale muszę. Diecezja jest zbyt uboga, przyjacielu, aby żywić darmozjadą.

- Zgadza się... - wykrztusił z trudem nieborak. - Prawdę powiedziawszy, ja jeszcze nie wiem... No cóż, planowałem sobie znaleźć... znaleźć... miejsce w jakimś klasztorze, choćby tymczasowo...

- W klasztorze!... Tacy jak ty, mój panie, tylko to słowo mają na języku. Duchowieństwo świeckie jest honorem Kościoła, mój panie, jego kapitałem. W klasztorze! To nie jest jakiś dom wypoczynkowy, przytułek ani zakład leczniczy!

- Tak, prawda - chciał powiedzieć ksiądz Donissan, ale tylko niewyraźnie coś mruknął. Purpurowe policzki, które i od największego wzburzenia nie pobrały, drżały. Był to jedyny zewnętrzny objaw bezgranicznego strwożenia. Nawet zresztą głos już mu okrzepł, kiedy spytał:

- A więc czego się ode mnie wymaga?

- Czego się wymaga? - powtórzył dziekan z Campagne - oto pierwsze rozsądne słowa, jakie ksiądz wypowiedział.

Skoro ksiądz się przyznaje do nieudolności kierowania bliźnimi i doradzania im, jakże by mógł być dobrym sędzią we własnej sprawie? Bóg i twój biskup, synu, dali ci zwierzchnika; ja nim jestem.

- Uznaję to - powiedział wikary po ledwie uchwytnym wahaniu. - Błagam jednak...

Lecz nie dokończył. Dziekan z Campagne władczy gestem od razu narzucił mu milczenie. Patrzył tylko z trwożną ciekawością na starego kapłana, zwykle tak uprzejmego, jak nagle staje się oschły, nieprzystępny, wzrok ma nieubłagany.

- Sprawa jest poważna. Przełożeni zezwolili księdzu otrzymać święcenia; przypuszczam, że nie zdecydowali o tym lekkomyślnie. Skądinąd ta nieudolność, którą, jak przed chwilą ksiądz powiedział, sam w sobie stwierdza...

- Pozwoli ksiądz kanonik - przerwał znowu nieszczęsny kapłan tym samym bezbarwnym głosem... - Boże Święty... nie jestem całkowicie niezdolny do żadnej pracy apostołskiej, dostosowanej do mojej inteligencji i moich możliwości. Na szczęście zdrowie fizyczne...

Umilkł, w swej wzniosłej naiwności zawstydzony, że przeciwstawia tylu przekonywającym argumentom równie żalosne racje.

- Zdrowie jest darem Bożym - odparł poważnie ksiądz

MenouSegrais. - Niestety, ja lepiej znam jego wartość niż ksiądz. Siła, jaka została księdzu udzielona, zdolność do niektórych robót ręcznych, to były z pewnością znaki, że

Opatrzność wyznaczyła mu powołanie mniej szczytne... Czy kiedykolwiek bywa za późno, żeby słuchając bardzo pewnych rad uświadomić sobie mimowolnie popełniony błąd? Czy winien ksiądz podejmować nową próbę... czy raczej... raczej...

- Czy raczej...? - ośmielił się zapytać ksiądz Donissan.

- Czy raczej wrócić do pługa? - zakończył dziekan oschle... - I jeszcze jedno: proszę zapamiętać, że dzisiaj stawiam tylko pytanie, nie dając na nie odpowiedzi. Nie zalicza się ksiądz, dzięki Bogu, do owych wrażliwych młodzieniaszków, których jedno ostrzejsze słowo przeraża bez pożytku. Nie ma obawy, żeby księdzu zamąciło to w głowie.

A co do mnie, no cóż, spełniłem swoją powinność, aczkolwiek z pozornym okrucieństwem.

- Dziękuję księdzu kanonikowi - powiedział łagodnie wikary głosem osobliwie wzmocnionym. - Od początku naszej rozmowy Bóg dał mi siłę, abym mógł wysłuchać z ust księdza kanonika prawdy nader twarde. Dlaczegoż nie miałby wspierać mnie do końca? To ja błagam o odpowiedź na pytanie, które ksiądz kanonik postawił. Po cóż mi czekać dłużej?

- O Boże... - szepnął ksiądz MenouSegrais, zaskoczony... - Wyznaję, że kilka tygodni namysłu... Chciałbym nam obydwu zostawić trochę czasu...

- Po co, skoro nie powinienem być sędzią we własnej sprawie, i rzeczywiście nie mogę nim być. Pragnę usłyszeć zdanie księdza kanonika, a im wcześniej, tym będzie lepiej.

- Możliwe, że jesteś gotów je wysłuchać, przyjacielu, ale z pewnością nie poddać mu się bez zastrzeżeń - odparł dziekan z Campagne z umyślną szorstkością. - W takim wypadku prowokowanie tego, czego się człowiek obawia, jest nie tyle oznaką odwagi, co słabości.

- Wiem, przyznaję! - zawołał wikary - ksiądz kanonik się nie myli. Przejrzał mnie na wylot. Ja się odwołuję do miłosierdzia księdza kanonika... och, czcigodny ojczy, nawet nie do miłosierdzia, ale do litości, żebyś mi zadał ten ostatni cios. Kiedy go już otrzymam, czuję, jestem pewien, że znajdę potrzebną siłę... Nie było przykładu, aby Bóg nie podniósł nieszczęśnika, który padł na ziemię...

Kanonik zmierzył go ostrym spojrzeniem.

- Czy ksiądz jest pewien, że ja już mam wyrobione zdanie - odparł - i w moim umyśle nie pozostał ani cień wątpliwości?

Ksiądz Donissan pokiwał głową.

- Nie potrzeba wiele czasu, aby osądzić takiego człowieka jak ja - powiedział - i ksiądz kanonik chce mnie tylko oszczędzić. Proszę mi zostawić przynajmniej tę jedną wobec Boga zasługę posłuszeństwa całkowitego, bezwzględного. Proszę mną rozporządzać! Rozkazywać mi! Niech mnie ksiądz kanonik nie pozostawia w tym zamęcie!

- Przyznaję księdzu słusność - rzekł dziekan z Campagne po chwili milczenia. - Nie mogę powiedzieć nic innego jak to, że przyznaję słusność. Intencje księdza są dobre, nawet rozumne. Pojmuję też chęć przewyciężenia własnej natury jednym rozstrzygającym ciosem. Niemniej słowo, którego ksiądz ode mnie oczekuje, może się okazać pokusą ponad jego siły. Ksiądz chce usłyszeć wyrok, zgoda. Ale czy ksiądz go wykona?

- Wierzę, że tak - odparł wikary głuchym głosem. - Skądinąd zaś, czy kiedykolwiek będę lepiej niż dzisiejszej nocy przygotowany do otrzymania Krzyża i podźwignięcia gct? Już czas. Proszę mi wierzyć, czcigodny ojcze, już nadszedł czas. Ja jestem tylko ciemnym, prostackim księdzem, nie umiejącym zaskarbić sobie niczyjej sympatii. W niższym seminarium byłem tylko przeciętnym uczniem. W wyższym, no cóż, koniec końców uprzykrzyłem się wszystkim. Dopiero dzięki cudownemu miłosierdziu ojca Demange przełożeni dali się przekonać i dopuścili mnie do diakonatu... Inteligencji, pamięci, nawet pilności, wszystkiego tego mi brak...

A jednak...

Zawahał się, lecz na znak księdza MenouSegrais ciągnął z wysiłkiem:

- A jednak... nie potrafiłem jeszcze całkowicie przewyciężyć jakiejś zawziętości... uporcu... Okazywana mi słusznie wżgarda budzi we mnie... uczucia tak gorzkie... takie gwałtowne... Doprawdy, nie jestem już w stanie zwalczać ich zwykłymi środkami...

Urwał jakby przerażony, że powiedział za dużo. Małe oczki dziekana ze szczególną uwagą wpatrzyły się w jego oczy. Zakończył głosem błagalnym, niemal rozpaczliwym:

- Toteż proszę już nie odkładać na później... Już czas...

Tej nocy, zapewniam... Ksiądz kanonik nie może wiedzieć...

Ksiądz MenouSegrais poderwał się z fotela tak raptownie, że tym razem nieszczęsny wikary pobladł. Ale stary dziekan, pogrążony w myślach, wspierając się na lasce postąpił tylko parę kroków w stronę okna. Po czym wyprostował się nagle i powiedział:

- Mój chłopcze, twoja uległość mnie wzrusza... Musiałem wydać ci się brutalny i z pewnością wydam ci się znowu. Bez większej trudności mógłbym to przedstawić na tysiąc różnych sposobów: wolę jednak nadal mówić z tobą otwarcie.

Dopiero co oddałeś się w moje ręce... Jakież to są ręce? Czy ksiądz naprawdę wie?

- Och, proszę... - szepnął wikary drżącym głosem.

- Zaraz to księdzu wyjaśnię: oddałeś się oto w ręce człowieka, którego nie szanujesz.

Twarz księdza Donissan stała się sinoblada.

- Którego nie szanujesz - powtórzył ksiądz Menou-

- Segrais. - Na pozór prowadzę tutaj życie zamożnego człowieka świeckiego. Proszę przyznać! Tej mojej połowicznej beczynności ksiądz się po prostu wstydzi. Doświadczenie, które w oczach tylu głupców uchodzi za chlubne, zdaniem księdza jest jałowe, bez pożytku dla dusz. Mógłbym dużo jeszcze tu powiedzieć, ale już dość. Synu mój, w wy-padkach tak poważnych błahe względy grzeczności towarzyskiej są bez znaczenia: czy ja dobrze wyraziłem twoje uczucia?

Przy pierwszych słowach tego osobliwego wyznania ksiądz

Donissan odważył się podnieść na niezwykłego starego kapłana osłupiały wzrok. Już go nie spuszczał.

- Domagam się odpowiedzi - ciągnął ksiądz Menou-

- Segrais. - Oczekuję jej od twego posłuszeństwa, zanim ja wyrażę jakieś moje zdanie. Ksiądz ma prawo mi odmówić.

Mogę być księdza sędzią w tej sprawie: na pewno nie będę kusicielem. Na pytanie, jakie postawiłem, proszę po prostu odpowiedzieć tak albo nie.

- Muszę odpowiedzieć tak - odparł nagle ksiądz Donissan ze spokojem. - Próba, jakiej mnie ksiądz poddaje, jest bardzo ciężka: toteż proszę, by jej już nie przedłużać.

Ale łzy trysnęły mu z oczu i ksiądz MenouSegrais ledwie zdołał dosłyszeć ostatnie słowa, wypowiedziane szeptem.

Nieszczęsny wikary wyrzucał sobie z pasją, poczytując za słabość nieśmiałość odwołanie się do litości. Jednakże po krótkiej chwili zmagania wewnętrznych podjął znowu:

- Odpowiedziałem z posłuszeństwa, i zapewne powinienem już tylko czekać i milczeć... ale... ale nie mogę... Bóg nie wymaga, abym pozwolił księdzu kanonikowi sądzić...

Z ręką na sercu, to była tylko taka myśl... bezwiedne wrażenie... Nie mówię tego - podjął pewniejszym już głosem - żeby się usprawiedliwiać: teraz już ksiądz kanonik zna żalospny stan mojego ducha... Tak więc Opatrzność obnaża mnie już przed nim całkowicie... Teraz zaś... Teraz...

Jego dłonie przez sekundę szukały oparcia, długie ramiona zatrzepotały w próżni. Potem ugięły się pod nim kolana i runął jak długi, na twarz.

- Synku mój - wykrzyknął ksiądz MenouSegrais głosem prawdziwej rozpacz. Niezdarnie dowlóknął bezwładne ciało do kanapy i wciągnął na nią z najwyższym wysiłkiem.

Koścista głowa na poduszkach z rdzawej skóry zdawała się sinoblada.

- Dobrze już... dobrze... - mrucał stary dziekan usiłując odpiąć guziki sutanny zgrabiałymi od podagry palcami: nim jednak zdołał to uczynić pękł znoszony materiał. Spod

rozdartego kołnierzyka wyrzało szorstkie płótno koszuli, splamione krwią. Potężna i szeroka klatka piersiowa znów ją się podnosić i opadać. Gwałtownym ruchem dziekan ją odsłonił.

- Podejrzywałem to - westchnął z bolesnym uśmiechem.

Cały tors młodego kapłana, od pach do bioder, otaczał sztywny szeroki pas z najgrubszego, prymitywnie utkanego włosia. Wąski rzemyk przytrzymujący z przodu ten potworny gorset był tak mocno ściągnięty, że ksiądz MenouSegrais z trudem go rozwiązał. Wówczas odsłoniła się skóra odparzona przez niemożliwe do zniesienia tarcie włosienicy, jakby nacierana jakimś żrącym kwasem; naskórek miejscami odarty, gdzie indziej wzdęty w bąble rozmiaru dłoni, tworzył już tylko jedną ranę, z której sączyła się wodnista ciecz pomieszana z krwią. Przesiąkły nią ohydne szarobure kłaki.

Z głębszej zaś rany w zgięciu na boku spływały krople purpurowej krwi. Nieborak w najlepszej wierze zatamował ją jak umiał kłębkami włókna konopnego; usunąwszy ten opatrunek ksiądz MenouSegrais natychmiast cofnął okrwawione palce.

Wikary otworzył oczy. Przez chwilę jego uważny wzrok penetrował każdy kąt obcego mu pokoju, po czym gdy natrafił na znajomą twarz dziekana, jął nabierać wyrazu coraz większego zdumienia. Wtem wzrok ten padł na szeroko rozdartą sutannę i skrwawioną bieliznę. A wówczas ksiądz

Donissan gwałtownie rzucił się do tyłu, twarz przesłaniając dłońmi.

Natychmiast jednak ksiądz MenouSegrais rozsunął je łagodnie, ruchem niemal macierzyńskim, odsłaniając toporną głowę.

- Synku mój, Chrystus Pan nie jest z ciebie niezadowolony - powiedział nie dającym się wysławić tonem.

Lecz od razu przybrał zwykłą postawę trochę wyniosłej życzliwości, jaką zazwyczaj maskował swoje uczucia.

- Zaraz jutro rzuci ksiądz w ogień tę piekielną maszynę: trzeba wymyślić coś lepszego. Niech mnie Bóg zachowa od mówienia wyłącznie językiem rozsądku: tak w dobrym, jak w złym godzi się być trochę szalonym. Umartwieniom księdza zarzucam to, że są niewłaściwe: nienaganny młody kapłan powinien mieć czystą bieliznę.

- Pod słońcem...

...Proszę wstać - dodał jeszcze osobliwy starzec - i podejść trochę bliżej. Nasza rozmowa jeszcze się nie skończyła, ale najtrudniejsze jest już poza nami... No proszę! Proszę! Proszę usiąść tutaj. Jeszcze księdza nie puszczę.

Usadowił go we własnym fotelu i jakby przez nieuwagę, nie przestając mówić, wsunął poduszkę pod jego obolałą głowę. Sam usiadł na niskim krzeselku i zziębnięty otulił się

węlnianym pledem, po czym zamyślił się przez chwilę wpatrzony w ogień na kominku, którego odbłask migotał w jego jasnych, śmiałych oczach.

- Synu mój - powiedział wreszcie - mniemanie, jakie masz o mnie, zasadniczo jest słuszne, mylnie tylko co do jednego: ja osądzam sam siebie i to z większą niż przypuszczasz surowością. Dobijam do portu z pustymi rękoma...

Rozgarnął płonące szczapy, na pozór spokojny.

- Jesteś człowiekiem bardzo ode mnie różnym - rzekł. - Poruszyłeś mnie do głębi. Prosząc o ciebie ekscelencję zamarzyłem sobie trochę niemądrze, że wprowadzę do mojego domu... no tak!... młodego księdza nie cieszącego się sympatią, pozbawionego owych wrodzonych zalet, do jakich mam taką słabość, którego będę się starał możliwie najlepiej uformować do pracy w parafii... Mój Boże, pod koniec życia brałem oto na siebie ciężkie brzemie! Byłem jednak nazbyt szczęśliwy tu, w mojej samotni, aby tak dogorywać w spokoju. Sąd Boży, chłopcze, winien nas zaskoczyć przy pracy...

Sąd Boży...!

- ... Ale to ksiądz mnie formuje - dodał po dłuższym milczeniu.

Na te zadziwiające słowa ksiądz Donissan nie odwrócił awet głowy. W jego szeroko otwartych oczach nie pojawił się ani ślad zdumienia; i dziekan z Campagne jedynie po ^hu warg domyślił się, że się modli.

- Oni nie potrafili rozpoznać najcenniejszego z darów

Ducha Świętego - dorzucił jeszcze. - Oni nigdy nic nie rozpoznają. To Bóg nadaje nam imiona. Imię, które nosimy, bywa tylko zapożyczzone... Ty masz w sobie moc ducha, mój synu.

Za oknami rozległy się trzy uderzenia dzwonu na Anioł

Pański o świcie, niby uroczyste upomnienie, lecz wcale ich nie dosłyszeli. Szczapy z wolna dopalały się w popiele.

- Teraz zaś - podjął znów proboszcz z Campagne - teraz ja potrzebuję księdza. Tak! Ktoś inny na moim miejscu, zakładając, że widziałby równie jasno jak ja, nie ośmieliłby się rozmawiać z księdzem tak, jak ja rozmawiam tej nocy.

A przecież tak trzeba. Jesteśmy w godzinie życia (wydzwania ona dla każdego), kiedy prawda sama przez się narzuca się z oczywistością nieodpartą, kiedy każdemu z nas starczy wyciągnąć ramiona, aby wypłynąć jednym ruchem niczym nurek na powierzchnię ciemności, aż do Bożego słońca.

A wtedy ludzka roztropność to tylko zasadzka i szaleństwo.

Świętość! - zawołał stary kapłan głębokim głosem. - Wypowiadając to słowo wobec księdza, tylko dla niego, wiem, jaką krzywdę mu czynię. Dobrze ksiądz wie, czym ona jest: to powołanie, wezwanie. Tam, gdzie Bóg na ciebie czeka, będziesz się musiał, synu, wspinać, piąć się albo zgubić. Nie spodziewaj się żadnej ludzkiej pomocy, jesteś w zupełnym osamotnieniu, na wygnaniu, nie mającym kresu. Znikąd ukojenia, uspokojenia w straszliwej niepewności, w jakiej będziesz szamotał się do końca. Z pełną świadomością odpowiedzialności, jaką na siebie oto biorę, po raz ostatni poddawszy próbie twoje posłuszeństwo i twoją prostoduszność, uznałem, że słusznie czynię tak do ciebie mówiąc.

Podając w wątpliwość nie tylko własne siły, ale i zamierzenia, jakie Bóg ma wobec ciebie, zapędziłbyś się w sytuację bez wyjścia: na własne ryzyko zawracam cię na właściwą ci drogę: oddaję cię tym, którzy na ciebie czekają, duszom, których staniesz się ofiarą... Niech ci Bóg błogosławi, mój synku!

Przy tych ostatnich słowach ksiądz Donissan, niczym żołnierz, który czując, że został ranny instynktownie się spręży zanim na powrót upadnie, podniósł się i wyprostował. Jego blade oczy w nieruchomej twarzy o zaciśniętych wargach, mocnych szczękach i upartym czole świadczyły dobitnie, że szarpia nim śmiertelne wątpliwości. Przez długą chwilę jego wzrok błąkał się nerwowo, na niczym się nie zatrzymując. Potem napotkał krzyż zawieszony na ścianie i natychmiast zawróciwszy do księdza MenouSegrais zapatrzył się weń i jakby z nagłą przygasł. Dziekan wyczytał w nim już tylko ślepą uległość, która przez tragiczny zamęt w tej duszy, wciąż jeszcze wstrząsanej zgrozą, stawała się wzniosła.

- Proszę pozwolić mi odejść - powiedział z prostotą przyszły proboszcz w Lumbres głosem trochę niepewnym. - Kiedy słuchałem księdza kanonika, miałem rzeczywiście wrażenie, iż wpadam w jakąś trwogę i rozpacz, ale teraz to się już skończyło... Ja... ja wierzę... że będę taki... jakim ksiądz kanonik by sobie życzył... i... i Bóg nie dozwoli, żebym był kuszony ponad moje siły.

Co powiedziawszy wyszedł, drzwi zamknęły się za nim cichutko.

Od tej pory ksiądz Donissan jął zaznawać spokoju, osobliwego spokoju, którego na początku nie ośmielał się zgłębiać.

Tysięczne więzy, które powstrzymują albo opóźniają działanie, wszystkie się na raz zerwały; niezwykle ten człowiek, którego nieufność czy małoduszność przelożonych długie lata trzymała w niewidzialnej sieci, uzyskał wreszcie swobodę ruchu i rozwinął skrzydła. Ustępowała przed nim każda przeszkoda, jaką śmiało atakował. W ciągu paru tygodni wysiłek woli, której teraz nic już nie miało powstrzymywać, zaczął również wyzwalać inteligencję. Młody kapłan spędzał noce na pożeraniu książek dawniej odkładanych z

rozpaczą, obecnie zaś wertowanych nie bez trudu, ale z uwagą tak upartą, że zdumiewała księdza MenouSegrais i według niego zakrawała na cud. Wówczas właśnie zdobył ową głęboką znajomość Pisma Świętego, która początkowo nie przejawiała się w jego języku, zawsze rozmyślnie prostym i potocznym, ale stanowiła pożywienie dla myśli. W dwadzieścia lat później powiedział kiedyś żartobliwie do monsiniora Leredu: „Przespałem tamtego roku siedemset trzydzieści godzin...”

- Siedemset trzydzieści godzin?

- Tak, dwie godziny na dobę... A i to, mówiąc między nami, trochę oszukiwałem.

Ksiądz MenouSegrais mógł obserwować na twarzy swojego wikarego każdy przełom walki wewnętrznej, której zakończenia nie śmiał przewidywać. Aczkolwiek biedny młody kapłan nadal zasiadał do wspólnego stołu i usiłował nadawać swojej twarzy zwykły, zrównoważony wyraz, stary dziekan ze wzrastającym niepokojem dostrzegał co dnia bardziej wyraźne fizyczne znamiona natężenia woli do takiej ostateczności, że każdy dodatkowy wysiłek mógł ją załamać.

I mimo że proboszcz z Campagne tak był bogaty w doświadczenie i przenikliwość, albo może raczej przez nadużywanie tych swoich darów, połowicznie tylko umiał rozwikłać przyczyny owego kryzysu moralnego, którego następstw nie miał już nadziei ograniczyć. Zbyt przezorny, by wykorzystywać swój autorytet na daremne słowa i bezskuteczne namowy do umiarkowania, którym ksiądz Donissan z pewnością nie był już w stanie dać posłuchu, czekał sposobności, aby się włączyć, ale jej nie znajdował. Jak często bardzo się zdarza, kiedy człowiek bystry nie panuje nad namiętnościami, jakie sam wzniecił, obawiał się, że jego działanie odniesie odwrotny skutek i pogorszy zło, które by chciał uleczyć. Gdyby chodziło o kogoś innego niż ten jego osobliwy pupil, czekałby z większym spokojem na naturalną reakcję organizmu przemęczonego nadmierną pracą, ale czyż w danym przypadku ta praca nie była raczej lekarstwem niż przyczyną choroby, lekiem i jakby szaleńczą rozrywką nieszczęśnika opętanego jedną i nieodstępną myślą?

Skądinąd ksiądz Donissan nic na pozór nie zmienił w swoich codziennych zajęciach i nadal podejmował szereg obowiązków. Co rano swym szybkim, trochę ciężkim krokiem przemierzał stromą ścieżkę wiodącą z plebanii do kościoła w Campagne. Po odprawieniu Mszy świętej i odmówieniu modlitw dziękczynnych z niezwykłą prędkością, co przez długi czas zdumiewało księdza MenouSegrais, wyruszał niezmordowany, pochylając w przód długi tułów, z rękoma założonymi do tyłu, na gościniec do Prennes i przebiegał we wszystkich kierunkach ogromną równinę, ciągnącą się do morza od wzniesienia na skraju doliny la Canche w dół, pociętą wyboistymi drogami, owiewaną ostrym północnym wiatrem. Domostw

widuje się tu mało, budowane są w oddaleniu, otoczone pastwiskami ogrodzonymi drutem kolczastym. Czasami trzeba długo wędrować po przemarzniętej trawie, śliskiej i zapadającej się pod butami, dopóki się wreszcie nie dotrze do lichych, drewnianych, stojących w bajorze wydeptanym kopytami bydła wrót, które skrzypią i zacinają się między zbutwiałymi słupkami. Zabudowania gospodarcze gdzieś się tu znajdują, w zagłębieniu terenu, trzeba tylko dostrzec w szarym powietrzu smużkę niebieskiego dymu albo dwa wzniesione ku górze dyszle wózka, na których czasem przysiadzie jakaś kura. Wieśniacy tego kantonu, urodzeni kpiarze i na pewno nie tak łatwo dający się zaskoczyć jak nasi bulwarowi Talleyrandowie, spoglądali ukradkiem i nieufnie na wysoką postać wikarego, kiedy stał we mgle w podkasanej sutannie i usiłował chrząkać w możliwie przyjazny sposób. Na jego widok drzwi się ledwie odmykały i domownicy, skupieni przy kuchni, czekali na pierwsze słowo, które niesporo mu przychodziło. Od jednego wejrzenia każdy rozpoznaje w nim chłopca, który sprzeniewierzył się ziemi, a więc jakby brata marnotrawnego: ich zachowaniu, pełnemu szacunku i uprzejmemu, przydaje to jakiś odcień poufałości trochę protekcyjnej, odrobinę wzgardliwej, i całe krótkie przemówienie od początku do końca wysłuchiwanie bywa w odpychającej ciszy... A jakie są te powroty ku światełkom osady w zapadającym zmroku, kiedy w ustach czuje się jeszcze gorycz wstydu, a serce jest samotne, na zawsze... „Robię im więcej złego niż dobrego” - mawiał ongiś smutno ksiądz Donissan i uzyskał pozwolenie przerwania na pewien czas tych odwiedzin, które przez jego nieśmiałość zamieniały się w śmiechu wartą torturę. Obecnie jednak podjął je na nowo, uzyskawszy nawet od księdza

MenouSegrais zgodę na to, że przejmie od niego najbardziej upokarzający obowiązek proboszcza z Campagne - kwestę wielkopostną, którą biedacy z przejmującą ironią zwać swoim

„obchodem”... „Nie przyniesie ani grosza”... - myślał sceptycznie dziekan... A tymczasem, przeciwnie, osobliwy kwestarz kładł na rogu stołu worek z czarnej wełny wypchany po brzegi. Rzecz w tym, że stopniowo uzyskał na wszystkich nieodparty wpływ człowieka, który nie rozważa widoków powodzenia, lecz zmierza prosto do celu. Gdyż ludzie zręczni i roztropni w gruncie dbają tylko o siebie.

Lecz śmiech i najbardziej prostackiego z nich więźnie w gardle, kiedy widzi, że ofiara własnowolnie naraża się na jego pogardę. - Cóż za pocieszna figura - mawiano, ale z pewnym odcieniem zakłopotania. Dawniej nieborak przysiadłszy w najciemniejszym kącie izby i miętosząc w palcach swój stary kapelusz na próżno długo szukał w myślach jakiegoś stosownego, udatnego wstępu, z niepokojem starając się powiedzieć któreś słowo, zdanie, zawczasu starannie przygotowywane, aż w końcu wychodził nic nie powiedziawszy.

Obecnie zbyt go pochłania zmaganie z samym sobą, przewycięzanie siebie. A przewycięzając siebie osiąga więcej, niż gdyby tłumaczył i zachwycił; obecnie zdobywa, przenika w dusze, jakby je przebijał. Jak dawniej przemierza podwórka tym samym szybkim krokiem, poprzez kałuże gnojówki, wśród podrywających się przestraszonych kur. Jak dawniej taki sam umorusany brzdąc trzymając palec w buzi przypatruje mu się spod oka, kiedy hałaśliwie ociera błoto, z butów. Ale teraz już, gdy się pojawia na progu, wszyscy wstają w milczeniu. Nikt nie wie, co się dzieje w głębi tego serca zarazem zachłannego i płochliwego, które każda najbliższa przeszkoda potrafi wtrącić w rozpacz, ale też nic nigdy nie zdoła nasycić. Jest to nadal ów nieśmiały kapłan, który od byle uśmiechu bliski jest łez z zakłopotania i który w wielkim trudzie wyrywa każde słowo z zaschniętego gardła. Ale z tej walki wewnętrznej teraz już nic nigdy nie przejawia się na zewnątrz. Twarz nie do zapomnienia jest niewzruszenie spokojna, wysoka postać już się nie przygarbia, długie ręce czasem tylko zadrzą. Jednym spojrzeniem, owym spojrzeniem głębokim, strwożonym a nieustępliwym przebija się od razu przez błahe uprzejmości, słowa bez znaczenia. I już zapytuje, przyzywa. Słowa najbardziej pospolite, najbardziej wyświechtane przez ciągłe użycie powoli odzyskują swe znaczenie, budzą dziwne jakieś echo. Kiedy wymawiał imię Boże nieomal szeptem, ale takim głosem - w dwadzieścia lat później opowiadał pewien stary farmer z SaintGilles - słabo się nam robiło, jak kiedy piorun huknie... - Ani cienia krasomówstwa i nawet żadnego z owych uroczych naiwnych sformułowań, za którymi później będą szaleli ludzie znużeni życiem, a których prawdziwość - niemal wszystkich - zdaje się zresztą podejrzana. Wymowę przyszyły proboszcz z Lumbres ma trudną; niekiedy nawet potyka się przy każdym słowie, jąka. Ale bo nie zna on wygodnej gry synonimów i ogólników, meandrów myśli, która podąża za rytmem słów i formuje się zgodnie z nim jak wosk. Długo cierpiał z powodu tej swojej niemocy wyrażenia tego, co czuje, owej nieporadności, która budziła śmiech. Teraz już się nie uchyla. Robi swoje mimo wszystko.

Nie boi się już ponizającego milczenia, kiedy rozpoczęte zdanie dobiega końca i pada w próżnię. Raczej próbowałby je odszukać. Wszelkie niepowodzenia mogą jedynie bardziej napinać sprężynę woli, teraz już nieugiętej. Przystępuje do swojego tematu natychmiast, zdając się na Boga. Mówi, co ma do powiedzenia, i najwięksi prostacy wkrótce będą go słuchać bez oporu, nie będą się wzbraniaли. Rzecz w tym, iż nie sposób jest sądzić choć przez chwilę, że taki człowiek mógłby oszukiwać: każdy czuje, że tam, gdzie on go wie, i sam też podąża z nim razem. Twarda prawda, która raptownie z jakiegoś słowa długo szukanego ugodziła cię w pierś, najpierw zraniła jego. Wyczuwa się, że jakby wyrwał ją z własnego serca. Ach nie, nie ma tu nic dla profesorów, żadnych osobliwości. Historie zwyczajne,

najprostsze; tylko że gdy on mówi, koniecznie trzeba słuchać, nic więcej... Czajnik podryguje i mruży na kuchni, pies od krów śpi, nos wtuliwszy w łapy, wicher szamocze drzwiami, aż skrzypią w zawiasach, czarna wrona kracze na całe gardło w pustyni przestworzy...

Przyglądają mu się spod oka, odpowiadają z zakłopotaniem, usprawiedliwiają się, tłumaczą niewiedzą i przyzwyczajeniami, a kiedy on milknie, milkną także. - Ale cóż im tak ksiądz opowiada, tym naszym poczciwcom? - dopytuje się ksiądz

MenouSegrais. - Wszyscy są jak odmienieni. Kiedy coś mówię o księdzu, żaden nie ma odwagi spojrzeć mi w oczy.

Unika bowiem zadawania księdzu Donissan pytań nazbyt bezpośrednich, wymagających wyraźnej odpowiedzi tak lub nie... Dlaczego...? Z przezorności zapewne, ale też z jakiegoś tajemnego lęku... Jakiego lęku? Działanie łaski w tym sercu już i tak zmałym zdaje się być tak gwałtowne i ostre, że zbija z tropu. Od tamtej nocy Bożego Narodzenia, kiedy to przemawiał z niezwykłą odwagą, proboszcz z Campagne ani razu nie próbował już podejmować rozmowy, o której teraz trudno mu nawet myśleć bez pewnego zażenowania. Skądinąd zaś, czy jego wikary nie jest nadal równie prosty, uległy, czyż nie zachowuje wobec niego tej samej postawy całkowitego, nienaganego szacunku? Żaden z konfratrów dziekana, którzy się z nim stykają, nie zauważył jakowejś zmiany. Odnoszą się do niego z tą samą, co dawniej, trochę wzgardliwą pobłażliwością; chwalą jego gorliwość i pobożność. Proboszcz z Larieux, jego kierownik duchowy, zacny staruszek, do szpiku kości sulpicianin, który spowiada go co czwartek, nie przejawia wcale zdziwienia czy niepokoju. I choć powinno to księdza MenouSegrais uspokajać, sprawia mu, przeciwnie, dotkliwy zawód.

Na pewno zresztą nieraz już odnosił wrażenie, że jakimś pomysłowym wybiegiem mógłby umocnić swój słabnący autorytet. W takich momentach proponuje, podsuwa, nakazuje, z ledwie uświadomionym pragnieniem napotkania choćby nikłego sprzeciwu. Gdyby nawet musiał poddać się bardziej przekonującym racjom, przełamane zostałyby jednak to nieznośne milczenie! Lecz pokorna uległość księdza

- Donissana odbiera sens tego rodzaju fortelom. Cokolwiek zasugeruje, natychmiast jest wykonane. Na próżno z okrutną przenikliwością poddaje kolejnym próbom cierpliwość i nieśmiałość biednego kapłana, i tak na przykład przez dłuższy czas zwalnając go z niedzielного kazania, pewnego dnia zleca niespodziewanie, aby je wygłosił. W wyznaczonym dniu nieborak bez słowa skargi zgarnia w pośpiechu parę kartek pokrytych niezdatnym, chłopskim pismem, wchodzi na ambonę i przez dwadzieścia śmiertelnych minut sinoblady, z oczyma spuszczoneymi objaśnia wyznaczoną na ten dzień

Ewangelię, zacina się, mamrocze, ożywia się w miarę mówienia, rozpaczliwie walczy do ostatka, aż wreszcie osiąga pewnego rodzaju prymitywną, nieomal tragiczną, swobodę wymowy... Obecnie ponawia to każdej niedzieli, a kiedy milknie, od krzesła do krzesła przebiega szmer, którego on jeden nie słyszy, z niczym nie dające się porównać głębokie westchnienie słuchaczy przez chwilę zniewolonych przemożną siłą, teraz zaś szukających odprężenia...

- Trochę już lepiej idzie - powiada dziekan, gdy wracają na plebanie - ale takie to jeszcze mgliste... chaotyczne...

- Niestety - przyznaje wikary z miną dziecka, które za chwilę się rozplacze. Przy śniadaniu wciąż jeszcze drżą mu ręce.

W tym okresie zresztą ksiądz MenouSegrais powziął też poważniejszą decyzję: na oścież otwarł przed wikarym drzwi konfesjonału. Dziekan z Haubourdin organizował tego roku rekolekcje, w czasie których nauki mieli głosić dwaj ojcowie marianie. Jeden z nich zapadł na ciężką gripę i musiał wrócić do Valenciennes pierwszego dnia Wielkiego Tygodnia. Wtedy właśnie dziekan poprosił swojego konfratra z Campagne, aby mu wypożyczył księdza Donissana.

- Młody jest, nie obawia się trudu, gotów do wszystkiego... - Do tej pory idąc za radą ojca Donissana, przełożonego wyższego seminarium, który długo rozmawiał z nim o swoim uczniu, dziekan z Campagne dość rzadko powierzał wikaremu sprawowanie służby w konfesjonale. Nie uprzedzony o tym i przez łatwo mogące się zdarzyć nieporozumienie, ojciec misjonarz obciążył też częścią swoich obowiązków przyszłego proboszcza w Lumbres, toteż od Wielkiego Czwartku do

Wielkiej Soboty nie opuszczał on konfesjonału. Kanton

Haubourdin jest rozległy, graniczy z okręgiem górniczym, niemniej rekolekcje te miały powodzenie ogromne. Oczywiście żaden z księży, którzy w Dniu Wielkiej Nocy w pięknie wyprasowanych komzach zasiedli na swoich miejscach w prezbiterium i patrzyli, jak do Stołu Pańskiego przystępuje nieprzebrany tłum, nawet nie spojrzął na młodego milczącego wikarego, co po raz pierwszy w mroku i milczeniu ofiarował się oto człowiekowi grzesznemu, swemu panu, który do końca życia nie miał go już od siebie uwolnić. Ksiądz Donissan nigdy nikomu nie zwierzał się z niepokoju i trwogi, jakie przeżył podczas tego rozstrzygającego spotkania, albo może z jego najwyższej słodyczy... Kiedy jednak w wieczór Wielkiej Nocy ksiądz MenouSegrais ujrzał go znowu, tak zdumiał się jego roztargnioną, zamyśloną miną, że natychmiast jął wypytywać z niezwykłą dla siebie szorstkością, a pełna

prostoty odpowiedź biednego wikarego bynajmniej całkowicie go nie uspokoiła. Toteż następnego dnia wybrał się pieszo do

Haubourdin, by porozmawiać ze swym konfratrem, który wydał się zresztą bardzo jego niepokojem zdziwiony. Czyż winien był stworzyć mu cieplarniane warunki? Czyż oni tam w Campagne sądzą, że spowiadanie naszych tutejszych poczciwców jest takie niebezpieczne? I czy ten chłopak nie wie tysiąc razy więcej niż całe Haubourdin mogłoby mu opowiedzieć? Zastrzeżenia ojca Donissana to skrupuły domorosłego profesora moralności, wręcz śmieszne. Skoro już ten wikary, bardzo zresztą stateczny, rozważny, uczynił pierwszy krok, co można zrobić lepszego niż popuścić mu cugli, podobnie jak jego kolegom, i niech go Bóg ma w opiece!

Na czym chcąc nie chcąc stary dziekan musiał poprzestać, nie dlatego, by przekonały go takie argumenty, ale dlatego, że już pogodził się z faktem, iż wydarzenia bezustannie go prześcigają i jego mądrość życiowa traci grunt... A jednak pewne słowa, które się kiedyś, znacznie później, wyrwały księdzu

Donissan, rzucają osobliwe światło na ten mało znany okres jego życia. „Kiedy byłem młody - wyznał panu Groseliers - nie znałem właściwie zła: nauczyłem się je rozpoznawać dopiero z ust grzeszników.”

„Fascynuje mnie myśl - powtarzał chętnie ksiądz MenouSegrais - że litość Najwyższego ma w sobie zawsze coś osobliwego, nieoczekiwanego i, jeśli wolno mi tak powiedzieć, jakby swobodną a wspaniałą ironię...” Tak więc mijały tygodnie za tygodniami, życie płynęło znowu spokojne, jednostajne i nic właściwie nie usprawiedliwiało (owego) osobliwego niepokoju, z którego nikomu się nie zwierzał.

Milczenie, jakie zachowywał ksiądz Donissan od tamtej pamiętnej rozmowy wigilijnej, sprawiało mu bolesny zawód, posłuszeństwo zaś, wymuszona i bierna potulność przyszłego proboszcza w Lumbres, nie rozpraszały goryczy, płynącej z poczucia jakiegoś nieporozumienia, którego przyczyn nie potrafił zgłębić. Czy zresztą było to tylko nieporozumienie?

Z dnia na dzień ten starzec bogaty w doświadczenie i wiedzę, tak dobrze zabezpieczony przed tyranią pozorów, coraz dotkliwiej odczuwa ciężar nie dającego się określić lęku.

Wielki dzieciuch, który co wieczór klęka przed nim pokornie, i przed udaniem się na spoczynek otrzymuje błogosławieństwo, zna jego tajemnice, on zaś nie zna tajemnicy tamtego.

Choć przypatrywał mu się przecież uporczywie, nie zdołał dostrzec żadnego z owych zewnętrznych przejawów, jakie znamionują wzmożone działanie pychy i ambicji, trwożliwe poszukiwania, kolejne przyływy ufności i rozpacz, pewien niepokój, który nie zwodzi... A jednak... „Czyż nie zmaćłem tego serca na zawsze... - zastanawiał się usiłując niekiedy przychwycić wzrok, który go unikał - albo czy ogień, który je trawi, jest czysty? Zachowuje się idealnie, nieposzlakowanie; żarliwość - płomienna, owocna, jego służba pasterska już wydaje plon... Cóż można mu zarzucić? Ilu to moich konfratrów uważałoby za szczęście starzeć się u boku takiego człowieka! Ma wygląd świętego, a jednak jest w nim coś, co odpycha, każe się strzec... Brak mu radości...”

Otóż ksiądz Donissan doznawał radości.

Nie tej ukradkowej, niestałej, czasem szafowanej rozrzutnie albo znów wzbranianej - ale radości innej, pewniejszej, głębszej, równomiernej, nieustającej i rzecz można nieubłaganej - tak jakby była ona w życiu nowym życiem, rozrostem nowego życia. Jak daleko sięgał w przeszłość, nie odnajdował nic do niej podobnego, nie mógł sobie nawet przypomnieć, by tę radość kiedykolwiek przeczuwał ani by jej pragnął. Teraz rozkoszował się nią z lękliwą zachłannością, niczym zagrożonym skarbem, który lada chwila może mu odebrać nieznany właściciel, a stracić go mógłby tylko wraz z życiem.

Radości tej nie zwiastował żaden znak zewnętrzny i wydawało się, że będzie już tak trwała, jak się rozpoczęła, niczym nie podsycana - światłość, której źródło nadal jest niewidzialne, w której zatracą się wszelką myśl, tak jak jeden okrzyk przecinający bezmiary horyzontu nie przekroczy pierwszego kręgu ciszy... Stało się to tej właśnie nocy, obranej przez dziekana z Campagne dla swego niezwykle doświadczenia, przy końcu tamtej wigilijnej nocy w pokoju, do którego biedny kapłan z sercem pełnym zamętu umknął o pierwszym brzasku.

Jakaś szarość, którą z trudem tylko nazwać by można świtem, jęła wchodzić na szyby, a wraz z nią wchodziła i ziemia szara od śniegu aż po same krańce. Lecz ksiądz Donissan tego nie widział. Klęcząc przy posłanym już łóżku odtwarzał sobie każde zdanie osobliwej rozmowy, usiłując przeniknąć jej sens, po czym urywał raptownie, gdy w pamięci wyłaniało się nagle jedno z zasłyszanych słów, zbyt wyraźne, zbyt dokładne, niemożliwe do odparcia. Wówczas zaczynał zmagać się na ślepo z nową pokusą bardziej niebezpieczną przez to, że taką mglistą i jak gdyby rozsianą w najtajniejszych zakamarkach jego istoty. A trwożny lęk płynął stąd, że nie mógł jej nazwać.

Świętość... W swojej wzniosłej naiwności godził się z tym, że zostanie bezzwłocznie wyniesiony z ostatniego szeregu do pierwszego, na rozkaz. Nie uchylał się. „Tam, gdzie Bóg

cię wzywa, musisz się wznieść” - powiedział tamten. Został wezwany. „Wznieść się albo siebie zgubić!” Został zgubiony.

Przeświadczenie o własnej niemocy sprostaną takiemu losowi hamowało nawet modlitwę na wargach. Ciężar woli

Boskiej na jego biednej duszy przytłaczał ją nadludzkim utrudzeniem. Coś bardziej wewnętrznego niż samo nawet życie jakby się w nim zatrzymywało. Starzejący się artysta, którego znajdują martwego przed świeżo rozpoczętym dziełem i oczy ma jeszcze pełne tego arcydzieła już mu nie dostępnego; bełkocący wariat, zmagający się z widziadłami, nad którymi już nie panuje, bo mu się rozbiegły niczym zwierzęta z klatki; zakneblowany, związany zazdrośnik, jedynie wzrokiem mogący wyrazić nienawiść na widok ukochanego ciała, które na jego oczach zostaje zbezczeszczone, rozdarte - żaden z nich nie mógł być ugodzony głębiej bardziej przenikliwym i przewrotnym ostrzem na wskroś przesywającej rozpacz. Nigdy jeszcze nieszczęśnik nie widział sam siebie (tak przynajmniej sądzi) równie jasno, równie wyraźnie.

Niedouczony, lękliwy, już na zawsze spętany śmieszoną, ograniczoną, nieufną pobożnością, zaskorupiony w sobie, nie umiejący zbliżyć się do innych dusz, samotny, posiadający umysł i serce bezpłodne, niezdolny do przekraczania zwykłej miary w dobrym, do owych wspaniałych nieroztropności wielkich dusz, najmniej bohaterski z ludzi... Niestety! To, co zwierchnik w nim dostrzega, nie jest pozostałością darów ongiś otrzymanych i roztrwonionych! Zduszone ziarno już nie wszędzie. A przecież zostało wsiane. Powracają doń tysiączne wspomnienia z dzieciństwa, tak osobliwie zespolonego z Bogiem, i owych marzeń, nawet owych marzeń - o wściekłości! - których niebezpieczna słodycz budziła w nim lęk, więc w swej zacieklej gorliwości pomalutko je zatracił... A zatem był to Głos niezapomniany, dający się słyszeć przez parę zaledwie dni, dopóki milczenie znów się na zawsze nie zawrze. Wcale o tym nie wiedząc uciekł od ręki Bożej, ku niemu wyciągniętej - i nawet od wizji Oblicza pełnego wyrzutu - a później jeszcze od tego okrzyku ponad wzgórzami, ostatniego dalekiego wezwania, słabego jak westchnienie. Każdy krok pograża go głębiej w tę ziemię wygnania: nadal jednak naznaczony jest piętnem, które sługa Boży rozpoznał niedawno na jego czole. „Trzeba się piąć” - powiedział... Ale cóż, kiedy droga nie prowadzi w górę.

Mogłem być... Powinienem być... o, straszliwe słowa!

I gdyby się choć na chwilę wzniósł ponad te słowa, znów oto stałby się panem; tak właśnie pokonany bohater dyktuje swoim najbliższemu „Pamiętnik”, w nieskończoność od nowa przetrawia swe obrachunki i wskrzesza przeszłość, by zdławić przyszłość, która jeszcze nurtuje mu serce... Tak oto pokorny kapłan oddawał się rozpacz, jak statek oddaje się morzu.

Najsilniejsi nigdy nie ulegają połowicznie. Nieugięty zdrowy rozsądek, skoro tylko wykroczy poza pewne granice, dochodzi już do kresu swego opętania. Ten człowiek, który przez czterdzieści lat miał patrzeć na grzesznika spojrzeniem

Jezusa Chrystusa, którego ufnej nadziei nie mieli zachwiać i najwięksi buntownicy i który podobnie jak święta Scholastyka otrzymał tak dużo, albowiem więcej ukochał, w owym tragicznym momencie nie miał nawet na tyle siły, by podnieść oczy na Krzyż, za którego sprawą wszystko jest możliwe. Ta prosta myśl, pierwsza, jaka się pojawia w duszy chrześcijańskiej i wydaje się nieodłączna od poczucia naszej bezsilności i od wszelkiej prawdziwej pokory, wcale go nie nawiedziła. „Roztrwoniliśmy łaskę Boga - powtarzał w nim jakiś głos obcy, lecz mający takie samo jak własny głos brzmienie. - Jesteśmy osądzeni, skazani... - Ja już nie jestem, a mogłem być!”

Po upływie dwudziestu lat, kiedy ojciec de Charras, późniejszy opat trapistów z Aiguebelle, żalił się przed nim gorzko na osamotnienie wewnętrzne, w jakim się znalazł, i nawet podawał w wątpliwość własne zbawienie, proboszcz w Lumbres, z oczyma pełnymi łez, jął powtarzać:

„Proszę przestać, ojcze, proszę przestać... Ojciec nie wie, jak dalece niektóre słowa mnie wzburzają, i nawet na łożu śmierci, i nawet już w rękach Chrystusa nie będę mógł ich słuchać bez bólu...” Ponieważ jednak zakonnik nalegał, błagał, by zostać wysłuchanym do końca, odwołując się do jego miłosierdzia dla dusz, ujrzał nagle, jak wstaje z błędnym jakimś wzrokiem, ustami zaciśniętymi, i ręką wczepia się kurczowo w oparcie wyplatanego krzesła. „Ani słowa więcej!” - zawołał głosem, który przygwoździł do miejsca zdumionego penitenta. „Rozkazuję ojcu”... Później zaś, po chwili milczenia, bardzo jeszcze blady i drżący, przyciągnął do piersi głowę ojca de Charras, przycisnął obiema trzęsącymi się jeszcze dłońmi i powiedział z do głębi przejmującym zmieszaniem: „Synu mój, czasami pokazuję się taki, jakim jestem...”

Biedne dusze, które przychodzą do jeszcze biedniejszej niż one!... Bywają różne takie przeżycia, których nie śmiem ujawniać przed nikim z obawy, by niepojęta pobłażliwość, jaką mi wszyscy okazują, nie przemieniła tych moich niedoli w jeszcze jeden powód do chluby... Tak bardzo potrzebuję modlitwy, a ludzie darzą mnie pochwałami. I nie chcą, żeby ich wprowadzać z błędu”.

Zupełnie się rozjaśniło. W smętnym grudniowym poranku mały pokoik o gołych ścianach odsłonił cały swój ubogi nieporządek: białe malowane drewniany stół pod rozrzuconymi książkami, przy ścianie połowe łóżko z prześcieradłem zwisającym do ziemi,

paskudne wyblakłe tapety... Przez chwilę biedny ksiądz patrzył na cztery otaczające go ściany, tak bliskie, iż zdało mu się, że czuje ich ucisk na piersiach.

Nieznosne wrażenie, że został schwytyany w pułapkę, że uciekając zapędził się w zaułek bez wyjścia, poderwało go raptem na nogi - ze zlodowaciałym czołem, zwiotczalymi rękoma, w jakiejś niewysłowionej trwodze...

I nagle zaległa cisza.

Było to niby ów szmer nieprzeliczonego tłumu, poprzedzający chwilę, kiedy w napięciu oczekiwania zamierają wszelkie dźwięki... Sekundę jeszcze potężna fala powietrza porusza się wolno, i odpływa. Potem olbrzymia żywa masa, dopiero co wibrująca głosami, jednocześnie zapada znów w ciszę.

Tak właśnie tysięczne sprzeczne wołania, które huczały, świstały, zgrzytały w sercu księdza Donissan z potępieńczą siłą, ucichły wszystkie naraz. Kuszenie nie osłabło: po prostu przestało istnieć. Wola księdza Donissan, napięta do ostateczności, wyczuła, że przeszkoda znika, po czym przyszło tak gwałtowne odprężenie, iż nieszczęsny ksiądz miał wrażenie, że czuje je nawet w mięśniach, jakby mu się grunt spod nóg usuwał. Lecz to ostatnie zalęknienie trwało ledwie chwilę, i człowiek, który dopiero co borykał się beznadziejnie z coraz bardziej przytłaczającym go ciężarem, ocknął się lżejszy niż małe dziecko, w rozkosznej próżni, jakby zatracił świadomość istnienia.

Nie był to spokój, gdyż prawdziwy spokój jest tylko równowagą sił i wewnętrzna pewność wytryska zeń niby płomień. Ten, kto znalazł spokój, niczego innego już nie oczekuje, on zaś trwał w oczekiwaniu nie wiedzieć na co, na coś nowego, co by przerwało ciszę. Nie było to też znużenie przemęczonej duszy, która trafiwszy na dno ludzkiego cierpienia spoczywa na nim, gdyż on pragnął się wzbić. A także nie było przecież załamaniem się jakowejś wielkiej miłości, gdyż wówczas, choć już oderwie się cała istota, serce wciąż jeszcze czuwa i chce dać więcej niż otrzymuje... Ale on nie chciał nic: czekał.

Zrazu była to radość utajona, nieuchwytna, jakby przybyła z zewnątrz, żywa, uparta, prawie natrętna. Czegóż można się obawiać czy jaką wiązać nadzieję z myślą nie sprecyzowaną, niepewną, pragnieniem przelotnym jak iskra...? A przecież tak jak dyrygent w początkowych burzliwych akordach orkiestry wyczuwa pierwsze ledwie uchwytnie drgnienie fałszywej nuty, lecz za późno już, by ją powstrzymać, tak wikary z Campagne nie wątpił, że to, na co czekał, nie wiedząc, czym jest, nadeszło.

Przez zamglone szyby widnokrąg pod sklepieniem nieba rysował się tylko jako niewyraźny, nieomal zamazany kontur, a całe światło zimowego dnia - przeciwnie - zebrało się w małym pokoiku, wypełniło go mleczną, zastygłą jasnością, przesyconą ciszą, jak gdyby

widzianą przez wodę. I z absolutną pewnością ksiądz Donissan pojął, że nie jest już sam i że owa nieuchwytna radość jest czyjąś obecnością.

Kiedy uśmierzyła się trwoga, ze wspomnień stopniowo jęły wyłaniać się myśli, które go przedtem podniecały, ale obecnie i same te myśli nie miały siły go torturować. Po pierwszym odruchu przerażenia, lękliwa pamięć kolejno, ostrożnie do nich się przybliżała, aż wreszcie nimi zawładnęła. Upajało go poczucie, że są oto poskromione, nieszkodliwe, zamienione w korne sługi jego tajemniczego rozradowania. W jednym mgnieniu wszystko wydało mu się możliwe, i najwyższy szczybel już osiągnięty. Oto z dna otchłani, gdzie we własnym mniemaniu na wieki już był przykuty, czyjaś dłoń jednym ruchem wyrwała go tak daleko, że nawet dawne zwątpienie, rozpacz, nawet błędy zdały się przeobrażone, wyniesione do chwały. Przekroczone zostały granice świata, w którym każdy krok w przód trzeba opłacać bolesnym wysiłkiem, a cel przybliżał się ku niemu z szybkością błyskawicy. Ta wizja wewnętrzna była krótkotrwała, lecz olśniewająca. Kiedy minęła, wszystko na nowo zdało się omraczać, żył jednak i oddychał w tej samej błogiej światłości, obraz zaś przelotnie widziany, później znów utracony, pozostawił po sobie zamiast pewności, której rozkosz, czuł dobrze, rozerwałaby mu serce (cielesne), nie dające się wysłowić przecucie.

Ręka, która go wyniosła, trochę się tylko odsunęła, pozostała jednak w pobliżu i już nigdy nie miała go opuścić... A wrażenie owej tajemniczej obecności było takie żywe, że raptownie odwrócił głowę, jakby się spodziewał napotkać wzrok przyjaciela.

Jednakże w głębi tej radości pozostaje jeszcze coś, czego nie wchłania uniesienie. Dręczy go to i drażni, jakby ostatnia więź, której nie ośmiela się zerwać... Gdyby ją zerwał, dokąd poniosłaby go fala?... Niekiedy więź się rozluźnia i wówczas niczym statek, który nie może się zakotwiczyć, cała jego istota dygocze jak w febrze... Czyż jest to tylko jakaś więź, przeszkoda, którą trzeba przezwyciężyć?... O nie: to, co się opiera, nie jest ślepą siłą.

Czuje, przypatruje się, oblicza. Walczy, żeby narzucić swą władzę. Czyż to nie jest on sam? Czy nie odrętwiała świadomość, która powoli się budzi...? Rozrost radości, zgodnie z niezwykłym sformułowaniem apostoła, doprowadził do rozdzielenia duszy i ducha. Nie sposób posunąć się dalej - i nie umrzeć.

I

Lecz nie! Odwróciwszy głowę ksiądz Donissan nie napotyka żadnego przyjacielskiego spojrzenia, tylko w lustrze własną pobladłą i ściągniętą twarz. Na próżno spuszcza od razu oczy: za późno. Sam zaskoczony tym instynktownym odruchem, próbuje zgłębić jego sens. Czego właściwie szukał?

Konkretny objaw niepokoju dotychczas mglistego, nie sprecyzowanego, przeraża go nieomal tak, jakby przeraziła czyjaś rzeczywista, widzialna obecność. Teraz zresztą ma więcej niż poczucie, ma wyraźne, nie dające się wypowiedzieć wrażenie jakiejś obecności. Nie jest już sam... Ale z kim?

Niepewność, ledwie rysująca się w umyśle, wkrótce go opanowuje. W pierwszym odruchu chciał oto paść na kolana, pomodlić się. Po raz drugi modlitwa zastyga na jego wargach.

Nie odezwie się jęk pokornego zgnębienia: najwyższa przestroga dana zostanie na próżno. Wola już zbuntowana wymyka się z ręki, która ją przyciąga: chwytą ją ktoś inny, ktoś, od kogo nie ma się co spodziewać współczucia ani zmiłowania.

Och! jakże silny i zręczny jest ten Inny, jaki cierpliwy, gdy trzeba, a gdy nadejdzie jego godzina szybki niby piorun!

Święty z Lumbres pewnego dnia pozna oblicze swojego wroga. Tym razem musi na ślepo przyjąć jego natarcie, otrzymać pierwszy cios. Jakże stałoby się życie tego osobliwego człowieka, będące jednym pasmem zawziętych zmagania, zakończonych śmiercią w goryczy, gdyby od razu udaremniwszy podstęp bez dalszych wysiłków zdał się na miłosierdzie - gdyby był wezwał pomocy? Czy zostałby jednym z owych świętych, których dzieje przypominają baśń, jednym z owych pokornego serca, którzy posiadają ziemię, uśmiechnięci jak mali królewicze?...Na cóż jednak zdadzą się marzenia? W rozstrzygającej chwili on podejmuje walkę nie z pychy, ale przez nieodparty wewnętrzny poryw. Kiedy się zbliża przeciwnik, nie strach go podrywa, lecz nienawiść.

Urodził się do walki; każdy zakręt jego drogi znaczony będzie strugą krwi.

Wszelako tajemnicza radość czuwa jeszcze jakby na skraju ducha, ledwie trochę zmacona, maleńki jasny płomyk na wietrze... I to przeciwko niej, o szaleństwo! on teraz się zwróci. Wyschnięta dusza, która nigdy nie zaznała innej słodczy niżeli smutek niemy i uległy, najpierw się zdumiewa, potem przeraża, a wreszcie oburza tym niepojętym uczuciem błogości. Przy pierwszych krokach na mistycznej drodze wzwyż nieszczęśnik traci odwagę, doznaje zawrotu głowy, toteż ze wszystkich sił będzie się starał przełamać ów stan biernego skupienia, ciszy wewnętrznej, której pozorna bezużyteczność wytrąca go z równowagi... Jakże ten Inny, który się wślizgnął pomiędzy Boga a niego, misternie się ukrywa!

Jakże posuwa się w przód i zaraz cofa, znów się posuwa, ostrożny, przezorny, czujny... I jak zdąża za nim krok w krok!

Nieszczęsny kapłan mniema, że wyczuł zastawiony potrzask, gdy tymczasem ten już go uchwycił i przy każdym jego wysiłku mocniej się będzie zaciskać. W zapadającym mroku

nikła jasność zdaje się wyzwaniem... próbuje wzniecić, przyzywa niemal najwyższą trwogę, cudem jakby rozproszoną.

Czyż nie lepiej zdobyć pewność nawet czegoś najgorszego, niż w zdradziecką noc stanąć lękliwie na skrzyżowaniu dróg?

Ta radość bez powodu nie może być niczym innym jak ułudą. Nadzieja, taka tajemnicza, zrodzona nagle w najbardziej skrytych, najgłębszych zakamarkach własnego ja - nadzieja bezpodmiotowa, nieokreślona, za bardzo przypomina chełpliwość pychy... O, nie! Działanie łaski nie ma tego zmysłowego powabu... Musi wyrwać tę radość z korzeniami!

Ledwie powziął to postanowienie, już się nie waha. Myśl ofierze, którą należy uczynić tu, zaraz - w tym momencie - rozpala w nim inny płomień... rozpaczy nieustraszonej, siłę i słabość tego wyjątkowego człowieka, a zarazem oręż, którym Szatan tylokrotnie będzie rozdzierał jego serce.

Na twarzy kapłana, obecnie lodowatej, w posępnym spojrzeniu odbija się postanowienie dokonania przemyślnego gwałtu. Podchodzi do okna, otwiera je. Zamiast sztaby zamykającej okno, kiedyś obłamanej, któryś z poprzedników księdza MenouSegrais wpadł na pomysł zaczepienia łańcucha z brązu, znalezionej gdzieś w szafach zakrystii. Silne dłonie księdza Donissan wrywają oba gwoździe, którymi łańcuch był przybity. W chwilę później osobliwa ta dyscyplina już jęła z świstem spadać na jego nagie plecy.

Jakieś przypadkiem zasłyszane słowo, wypowiedź częściej odwiedzających go osób, nieliczne zwierzenia mgliście formułowane, pozwalają jedynie wyobrazić sobie wyjątkowe niezwykle umartwienia proboszcza z Lumbres, albowiem z drobiazgową starannością przykładał się do tego, by je przed wszystkimi ukrywać. Niejeden też raz sprytnie wyprowadzał w pole ciekawość ludzką i zdarzało się, że jakiś słynny pisarz, kolekcjoner dusz (jak to oni określają...)? przybyły dla ujżenia tak pięknego przypadku, odjeżdżał z niczym. Aczkolwiek jednak znane nam są po trosze pewne jego umartwienia, jak na przykład posty, których przerażająca surowość przekracza wszelkie wyobrażenie, tajemnicę innych swoich, jeszcze sroższych katuszy, zabrał z sobą do grobu.

Ostatnią prośbą, jaką kierował do pewnego przyjaciela, było, ażeby ulitował się nad nim i nie dopuścił do niego żadnego lekarza. Biedna dziewczyna, która siedziała przy nim do końca, późniejsza matka Maria od Aniołów, a wówczas służąca z miasteczka Bresse, opowiadała, że dół jego szyi i ramiona pokryte były bliznami, niektóre z nich tworzyły jakby wałki grubości małego palca. Już doktor Level podczas pierwszej zapaści odkrył na jego bokach głębokie ślady dawnych oparzelin, a kiedy dyskretnie dał wyraz swojemu zdziwieniu, święty poczerwieniał z zażenowania i zbył go milczeniem... „Ja też swego czasu popełniałem

różne szaleństwa” - powiedział pewnego wieczoru do księdza Dargent, który czytał mu na głos rozdział z życia mnichów pustelników... Kiedy zaś tamten spojrział na niego pytająco, wyjaśnił z uśmiechem pełnym zakłopotania, ale i niewinnej złośliwości: „Widzi ksiądz, młodzi ludzie nie cofają się przed niczym: muszą się jakoś wyszumieć”.

A teraz stojąc w nogach wąskiego łóżka uderzał i uderzał bez wytchnienia, z zimną furią. Przy pierwszych razach ugodzone ciało wysączyło ledwie parę kropel krwi. Lecz nagle trysnęła, purpurowa. Ilekroć uderzał świszczący łańcuch, przez chwilę skręcony nad jego głową, wgryzał mu się w bok i zwijał niczym żmija; odrywał go zaraz jednakowym ruchem i podnosił na nowo, miarowo, dokładnie, jak młockarz na klepisku. Dojmujący ból, na który zrazu odpowiedział głuchym jękiem, potem zaś tylko głębokimi westchnieniami, jakby się zatapiał w zalewie ciepłej krwi, która spływała po udach, jemu zaś zdawała się jedynie straszliwą pieszczotą. U jego stóp brunatnoruda plama wciąż się rozszerzała, lecz wcale jej nie widział. Różowa mgła rozpostarła się między jego wzrokiem a posiniałym niebem, w które wpatrywał się oślepienymi oczyma. Potem nagle mgła zniknęła, wraz z nią ośnieżony i błotnisty krajobraz, a nawet i jasność dnia. Lecz on uderzał i uderzał nadal w tych nowo zapadłych ciemnościach, uderzałby tak aż do śmierci. Myśl jakby odrętwiała nadmiarem fizycznego cierpienia nie zatrzymywała się już na niczym, nie czuł też żadnych innych pragnień poza jednym tylko, by dosięgnąć i zniszczyć w tym nienawistnym ciele samo źródło swojego cierpienia. Każdy nowy gwałtowny cios powodował następny silniejszy, wciąż jeszcze nie mogący go nasycić. Doszedł bowiem do stanu takiego zapamiętania, kiedy zawiedziona miłość ma już tylko siłę niszczycielską. Może sądził, że uchwycił tę zbyt ciężką cząstkę samego siebie i pastwi się nad nią, to brzemień, które stanowi o jego nieszczęściu, a którego nie sposób jest wydzwignąć wyżej: może sądził, że udręcza to ciało śmiertelne, od którego wyzwolić się pragnął również apostoł, ale od tej pory pokusa jeszcze głębiej wdarła mu się w serce, i nienawidził już siebie całego... W ręku jednak miał jeno broń nieszkodliwą, którą daremnie się kaleczył.

Niemniej uderzał bezustannie, zlany potem i krwią, z zamkniętymi oczami, i zapewne tylko tajemnicza złość utrzymywała go na nogach. Na przemian to głuchy, to przenikliwy szum napelniał mu teraz uszy, jakby się pionowo zapadał w głęboką wodę. Przez zaciśnięte powieki dwa albo trzy razy błysnął przelotny wysoki płomień. Później w skroniach zaczęło pulsować tak szybko, że aż się zatrzęsa obolała głowa. Łańcuch w zeszywniałych palcach przy każdym uderzeniu stawał się zwinniejszy i zwawszy, zadziwiająco zwrotny i podstępny, wciąż lekko pobrzękujący. Nigdy już później ten, którego zwano świętym z Lumbres, nie odważył się przełamywać tak natury serca, szaleńczo zuchwałego. Nigdy już nie rzucił mu

takiego wyzwania. Ciało na jego krzyżu było już jedną palącą raną, po stokroć szarpaną i jątrzoną, skapaną w spienionej krwi, a mimo to wszystkie owe ciosy sprawiały mu jeden tylko ból - nieokreślony, wszechogarniający, oszalamiający - podobny do zamroczenia wzroku w zbyt jaskrawym świetle, kiedy oko nie rozróżnia już nic poza bólem własnego oślepienia... Raptem łańcuch zbyt wcześnie skręcony, zwinąwszy się wokół siebie, omal nie wyrwał mu się z rąk i ostro uderzył go w pierś. Ostatnie ogniwo trafiło pod prawą brodawkę z takim rozmachem, że kawał ciała odleciał jak wiór spod hebla. Raczej zaskoczenie niż ból wydarło zeń przenikliwy krzyk, który zaraz stłumił raz jeszcze sięgając po dyscyplinę z brązu. Ogień płonący w jego oczach nie był już z tego świata. Takiej ślepej nienawiści do samego siebie, jaka go wtedy ożywiała, nic na tym świecie nie potrafi uśmierzyć, a i cała krew rodzaju ludzkiego, gdyby mogła spłynąć jednocześnie, byłaby dla niej tylko kroplą wody padającą na rozżarzone żelazo... Kiedy jednak opuścił rękę, palce same mu się rozwarły i poczuł, że dłoń opada jak kamień. Tędnocześnie zaś ugiął się krzyż i rozluźniły wszystkie mięśnie naraz. Osunął się na kolana, podniósł z niezmiernym wysiłkiem, znowu się zachwiał, po omacku wyciągnął przed siebie dłonie, wstrząsany konwulsyjnym dreszczem. Daremnie próbuje dojść do okna, do bladej jasności za nim, którą widzi, lecz której nie rozpoznaje przez w półprzymknięte powieki. Straszliwa walka, przed chwilą toczona, stała się już tylko wspomnieniem mglistym, nieokreślonym jak wspomnienie snu. A zatem trwożny niepokój żył dłużej niż zmora, jak gdyby niewidzialna, niezrozumiała obecność w spokoju i uciszeniu świtu... Siadł w nogach łóżka, głowa mu opadła i zasnął.

Kiedy się obudził, pokój zalewało słońce, w przejrzystym powietrzu usłyszał głos dzwonów. Zegarek zawieszony na ścianie wskazywał dziewiątą. Przez długą chwilę myśl jego zaprzętała blask na ścianie, potem oczy z wolna obiegły dokoła pokoju i ze zdziwieniem ujrzał szeroką lśniącą plamę na sosnowej podłodze, i na niej rzucony łańcuch. Wówczas uśmiechnął się jak dziecko. A zatem straszliwe zadanie zostało wykonane: wykonane, po prostu. Już zrobione. Minione szaleństwo nie pozostawiło w nim ani krzty rozgoryczenia: w miarę jak różne szczegóły pojawiały mu się w pamięci, odsuwał je kolejno, bez ciekawości, bez gniewu. Teraz myśl jego szybowała nad wszystkim w jakże błogiej jasności!

Miał uczucie, że jest taka spokojna i przenikliwa jak nigdy dotąd w życiu, ale i w niepojęty sposób oderwana od prze-szłości. Nie było to już przygnębienie, półotępienie po przebudzeniu ze snu. Ostatnie mgły się rozwiały, odnalazł sam siebie i obserwował ze świadomością jasną, żywą, ale też jakimś ponadludzkim zobojętnieniem. Słońce stało już wysoko. Drogą skrzypiąc przejeżdżał dyliżans z Beaugrenant.

Z ogródka dobiegał znajomy głos księdza MenouSegrais, odpowiadała mu piskliwie gospodyni Estella... Ksiądz Donissan nadstawił ucha i posłyszał swoje nazwisko dwukrotnie wymówione. Odruchowo chciał wyskoczyć z łóżka. Ledwie jednak dotknął stopami ziemi, skręcił go straszliwy ból, znieruchomiał tedy na środku pokoju, z krtanią pełną krzyku.

Nagle czar prysnął. Co on zrobił...?

Przez chwilę jeszcze stał bez ruchu, sprężony w sobie, usiłował się zebrać do nowego wysiłku - drugiego kroku - przed którego rozdzierającym bólem wzdragało się całe jego ciało. Lusterko na stole odbijało koszmarny obraz... Nagie boki pod koszulą w strzępach wyglądały jak jedna rana.

Skaleczenie pod brodawką piersi jeszcze krwawiło. Głębsze jednak rozdarcia na plecach i krzyżu zdawały się niemożliwym do zniesienia pasmem płomieni, kiedy zaś spróbował podnieść rękę doznał wrażenia, że koniec owego płomienia sięga mu do serca... „Co ja zrobiłem? - powtarzał cichutko - Co ja zrobiłem?” Myśl, że za chwilę, za sekundę, ma stanąć przed księdzem MenouSegrais, myśl o nieuchronnym skandalu, o zabiegach, którym będzie się musiał poddać, sto innych jeszcze obrazów ostatecznie go pognębiało. Skądinąd ten niezwykły człowiek ani przez moment nie odważył się wspomnieć na swoją obronę owych sług Bożych, których taka sama święta zgroza podżęgała niekiedy przeciw własnemu ciału... „Jeszcze krok - rozważał tylko - a rany się otworzą... trzeba będzie na pewno wezwać pomoc.”

Spuściwszy oczy zobaczył, że jego grube buty stoją w kałuży krwi.

- Księżę wikary? - odezwał się za drzwiami spokojny głos. - Księżę wikary?

- Ksiądz dziekan? - odparł tym samym tonem.

- Już kończą dzwonić na mszę, chłopcze: już czas, najwyższy czas... Czy aby coś księdzu nie dolega?

- Chwileczkę, jeśli łaska - odpowiedział ksiądz Donissan spokojnie.

Postanowienie zostało powzięte, kości rzucone.

Jakimże cudem zaciskając zęby zdobył się na nowy, decydujący krok - do miednicy, w której natychmiast zanurzył ręcznik ze zgrzebnego płótna? Jakim także cudem bez jednego westchnienia wytrzymał kąsanie lodowatej wody na plecach i bokach? I jak też zdołał okręcić dwoma swoimi lichymi koszulami odarte ze skóry ciało? Trzeba je było w dodatku ściągnąć jak najmocniej, aby przerwać powolne krwawienie, a przy każdym ruchu fałdy wpijały się coraz głębiej w ciało. Starannie umył podłogę, ukrył pokrwawioną bieliznę, wyczyścił buty, uporządkował wszystko, zszedł ze schodów i odetchnął dopiero na drodze - wyzwolony - bo nie potrafiłby ukryć przed księdzem MenouSegrais dreszczu gorączki, od której drżały mu

szczęki... Teraz zimowy wiatr smagał go po policzkach, miał wrażenie, że oczy mu płoną w oczodołach jak dwa węgle. Poprzez ostre powietrze, w którym kurzawa śnieżna mieniła się wszystkimi barwami tęczy, uparcie wbijał wzrok w zalaną słońcem dzwonnice. Po drodze klaniały mu się odświętnie ubrane pary: wcale ich nie widział. Aby przejść owych trzysta metrów, musiał się ze dwadzieścia razy w duchu opanowywać, wszelako nic nie zdradzało w jego niezmiennie równym kroku zmagania walki wewnętrznej, w której marnował, rozrzutnie trwonil głębokie, nieodwracalnie tracone siły, jakich każda żywa istota posiada tylko właściwy sobie zasób. Na progu przykościelnego cmentarza podkute gwoździemi buty poślizgnęły się na kamieniach i musiał dokonać nadludzkiego wysiłku, żeby się wyprostować. Do drzwi pozostawało ze dwadzieścia kroków. Jeszcze do nich dotarł. I jeszcze te drugie, niskie drzwi zakrystii, za przyprawiającą o zawrót głowy szachownicą czarnobiałych płyt, w której płąsa oślepiające odbicie witraży... I jeszcze sama zakrystia, przesycona ostrym zapachem terpentyny, kadzidła i rozlanego wina... Mali ministranci, odziani na czerwono i biało, kręcą się tu i bzykają jak rój pszczół. Wdziewa kolejno liturgiczne szaty ruchem machinalnym, z zamkniętymi oczyma, przeżuwając w wyschniętych ustach zwyczajowe modlitwy. Zawijając sznury ornatu jęknął, i już do samych stopni ołtarza nie przerwał się ten jęk niedosłyszalny, kłębił mu się w gardle jak rżenie... Za jego plecami tysiące różnych odgłosów wzbija się pod sklepienie, i tam dopiero łączy w jeden szmer - ową dźwięczną próżnię, do której na introit będzie się musiał zwrócić z wyciągniętymi rękami... Po omacku wstępuje na trzy stopnie, staje. I wówczas spogląda na Krzyż.

O wy, którzy na tym świecie znaleźcie jedynie barwy i dźwięki bez treści, serca wrażliwe, usta liryczne, na których cierpka Prawda rozpuściłaby się jak pralinka - małe serca, małe usta - to wszystko jest nie dla was. Wasze diabelskie sztuczki są na miarę waszych delikatnych nerwów i wyrafinowanych mózgów, a Szatan z waszego cudacznego obrządku jest tylko waszym własnym zniekształconym wizerunkiem, gdyż nabożniś ze świata cielesnego sam sobie jest

Szatanem. Potwór patrzy na was drwiąco, lecz nie położył na was swojej łapy. Nie ma go w waszych nudziarskich książkach ani też w bluźnierstwach, ani w śmiesznych przekleństwach. Nie ma go w waszych pożądliwych spojrzeniach ani w podstępnych dłoniach, ani w waszych uszach, w których świszcze wiatr. Daremnie szukacie go w tajnikach ciała, które wasza nędzna żądza przenika nie mogąc się nasycić, a i usta,*w które się wgrzacie, mają w sobie tylko mdłą i bladą krew... A przecież on istnieje... Jest w modlitwie

Pustelnika, w jego poście i pokucie, na dnie najgłębszej ekstazy i w uciszeniu serca... Zatrzuwa wodę święconą, pali się w gromnicach, oddycha oddechem dziewic, rani włosienicą

i dyscypliną, znieprawia każdą drogę. Widziano, jak kłamie ustami otwartymi, aby głosić słowa Prawdy, jak ścigał sprawiedliwego pośród grzmotów i błyskawic niebiańskiego uniesienia... do samych ramion Boga... Dlaczegoż miałby walczyć z ziemią o tyłu ludzi, którzy po niej pełzają jak robactwo, czekając, aż ich ona kiedyś nakryje? To posępne stado samo zmierza ku swemu przeznaczeniu... On swoją nienawiść zachowuje dla Świętych.

I wówczas spogląda na Krzyż. Od wczorajszego wieczora nie modlił się, a może jeszcze się nie modli. Tak czy inaczej, to nie błaganie ciśnie mu się na wargi. W wielkiej rozprawie nocnej starczyło, że się nie zachwiał i oddawał cios za cios: człowiek, co w rozpaczliwym zmaganiu broni swojego życia, patrzy wprost przed siebie i nie rozgląda się po niebie, skąd światło spływa jednakże niezmacone tak na dobrego, jak na złego. W jego bezmiernym zmęczeniu wspomnienia cisną się, ale skupione w jednym punkcie pamięci, tak jak promienie świetlne w ognisku soczewki. Zlewają się w jedno cierpienie.

Wszystko zawiodło go lub oszukało. Wszystko stało się zasadzką i zgorszeniem. Z pospolitości, w której beznadziejnie marniał, słowa księdza MenouSegrais wyniosły go na wyżynę, skąd upadek jest nieunikniony. Czyż nie lepszy był dawny stan opuszczenia i osamotnienia niżeli radość, która zawiodła! O radości, tym bardziej nienawistna, że przez chwilę taka ukochana! O obłądna nadziejo! O uśmiechu, o zdradziecki pocałunku! W spojrzeniu, którym się ciągle wpija - bez słowa na wargach, nawet bez westchnienia - w niewzruszonego Chrystusa, wypowiada się do dna cała gwałtowność tej szalonej duszy. Niczym zła twarz nędzarza, co się nagle pojawia w wysokim, rzęsiście oświetlonym oknie sali balowej. Zła jest każda radość, mówi to spojrzenie. Każda radość pochodzi od Szatana. Ponieważ nigdy nie stanę się godny owego wywyższenia, które złudziło mojego jedynego przyjaciela, nie zwódź mnie już dłużej, nie przyzywaj mnie już! Wróć mnie do mojej nicości. Ja nie chcę chwały! Nie chcę radości! Nie chcę już nawet nadziei! Cóż ja mam do oddania? Co mi pozostaje? Tylko ta nadzieja. Odbierz mi ją.

Zabierz! Gdybym mógł to zrobić bez nienawiści do Ciebie, oddałbym Ci moje zbawienie, skazałbym się na potępienie za te dusze, które mi powierzyłeś jak na szyderstwo, mnie, nędznikowi!

I tak oto rzucał wyzwanie otchłani, przyzywał ją pragnieniem podniosłym, serce mając czyste...

III

Wikary z Campagne wyszedł na gościniec do Beaulaincourt i przez równinę jął schodzić ku Etaples.

- To właściwie spacer, najwyżej trzy mile - powiedział ksiądz MenouSegrais z uśmiechem. - Niech ksiądz pójdzie pieszo, skoro mu to sprawia przyjemność.

Dobrze wiedział o dziecięnnym upodobaniu biednego kapłana do podróżowania koleją. Tym razem jednak ksiądz

Donissan nie zarumienił się jak zwykle... Nawet uśmiechnął się trochę złośliwie.

Dziekan z Campagne posyłał go do swojego konfratra w Etaples, który miał dużo kłopotu z zakończeniem rekolekcji. Dwaj redemptoryści, którzy od ponad tygodnia trzy razy na dzień grzmieli z ambony, byli już u kresu sił i błagali, żeby ich odciążyć. Nie sposób było wymagać od nieboraków ogromnego wysiłku spędzenia jeszcze całego dnia i nocy w konfesjonale. „Młody współpracownik Księdza

Kanonika na pewno zechce nas wspomóc swoją gorliwością” - napisał prałat z Etaples. I ksiądz Donissan śpieszył właśnie na to proste wezwanie.

Wielkimi krokami szedł w listopadowym deszczu przez opustoszałe łąki. Po lewej stronie wyczuwało się niewidzialne morze u kresu widnokrzęgu, nad którym zwisało ciężkie, skłębione niebo barwy popiołu. Po prawej ostatnie wzgórze.

Przed nim płaska, niema przestrzeń. Zachodni wiatr okręcał mu sutannę wokół kolan, od czasu do czasu wzbijając kurzawę lodowatych kropli o smaku soli. Mimo to szedł miarowym krokiem, ani na chwilę nie zbaczając z drogi, bawełniany zwinięty parasol przyciskał pod pachą. Czegóż więcej ośmielałby się pragnąć? Każdy krok zbliżał go do starego kościoła o dziwnym hełmie, jakby przytłoczonego samotnością, który już rozpoznawał. Domyślał się, że zebrał się tam wokół konfesjonału niewieści luddek, zręcznie umiejający przepychać się na pierwsze miejsca, swarliwy, o pobożnych minach, spojrzeniach w dwójnasób lub trójnasób złagodniałych, wargach bogobojnie stulonych lub zaciśniętych w zły grymas - i dalej, obok szemrzącego stadka jakże nieporadni i sztywni... mężczyźni. Rzecz osobliwa i w tym wypadku chciałoby się móc powiedzieć - niezwykła! W tym młodym surowym kapłanie owa myśl budzi niespokojną jakąś czułość; bezwiednie przyspiesza kroku, a uśmiecha się tak błogo i smutno, że przejeżdżający mimo woźnica zrywa z głowy kapelusz, nie wiadomo dlaczego... Czekają na niego.

Nigdy żadna matka wracająca do domu i marząca o cudownym małym ciałku, które za chwilę utuli w pieścocie, nie miała w oczach więcej naiwnej szczerości i zniecierpliwienia... A oto już graniczny potok, torujący sobie drogę przez piaski, za nim nagi pagórek i wysoki biały zaryg latarni morskiej między czarnymi świerkami.

Od wielu już tygodni ksiądz MenouSegrais stracił nadzieję, że uda mu się czytać w tym skrytym sercu. Dawne posępne milczenie wikarego zdawało się mniej nieprzeniknione

niż jego obecny nastrój, zawsze jednakowy, nieomal radosny. Ze dwadzieścia razy podpytywał księdza Chapdelaine, proboszcza z Larieux, który co czwartek spowiada księdza Donissan. Sędziwy kapłan zarzeka się, że nie dostrzega nic niezwykłego w wyznaniach swojego penitenta i szczerze go bawią niepokoje konfratra. „To dzieciuch - powtarza - istny dzieciuch, poczciwości człowiek. (Śmieje się do łez.) Ale ty, drogi przyjacielu, wszędzie dopatrujesz się osobliwych rozterek sumienia... (Poważnie:) Chciałbym, żeby ksiądz dziekan posłuchał jego spowiedzi. No cóż! wszyscyśmy przez to przechodzili na początku służby Bożej: trochę niepokoju, marzenia, nadmierne rozmiłowanie w modlitwie... (Bardzo poważnie:) Modlitwa to rzecz dobra, znakomita. Nie nadużywajmy jej. Nie jesteśmy kartuzami, drogi przyjacielu, mamy do czynienia z ludźmi zacnymi, ale bardzo prostymi, którzy, co więcej, przeważnie nie pamiętają katechizmu. Nie należy szybować zbyt wysoko, tracić łączności. (Znowu ze śmiechem:) I proszę sobie wyobrazić coś podobnego! On się biczował. Nie będę nawet opisywał, czym:

ksiądz dziekan by mi nie uwierzył. Zakazałem mu tych niedorzecznych okrutnych praktyk. Zaraz zresztą ustąpił, bez oporu. Jest mi posłuszny, tego jestem pewien. Nigdy nie spotkałem stworzenia bardziej uległego: poczciwości człowiek”.

Ksiądz MenouSegrais dochodzi do wniosku, że nie warto przedłużać tej rozmowy i, jak zwykle przezorny, udaje, że tak słuszne argumenty zupełnie go przekonały. Lecz w duchu, zaciekawiony, zadaje sobie pytanie: „Po kiego licha ten dzieciuch spośród tylu księży, wybrał właśnie tego głupca...?”

W końcu zatracił już wątek swoich subtelnych przemyśleń.

A przecież prawda jest taka prosta! Ksiądz Donissan spośród wszystkich spokojnie wybrał najstarszego. Bynajmniej nie przez zuchwałość czy lekceważenie, jak można by sądzić; ale ponieważ okazanie względów dla podeszłego wieku wydaje mu się najbardziej słuszne i właściwe. W tym samym duchu co czwartek wysłuchuje małego przemówienia, które wygłasza ksiądz Chapdelaine. On jeden na świecie potrafi przyjmować w skupieniu równie ubogie słowa, i to z taką miłością, że zdumiony i pochlebiony nieborak zaczyna w końcu sam odnajdywać jakiś sens w swoim bezładnym mamrotaniu... Czy jednak ten nieustraszony młody kapłan ośmieliłby się przyznać, iż szuka zbożnej głupoty dla niej samej? Może by się ośmielił. Ale tak mało przecież wie o wielkiej rozprawie, w której sam jest stawką. Przedmiotem zakładu niewiarygodnego, którego istnienia wcale się nie domyśla. Bez wątplenia uroczyste ostrzeżenie księdza MenouSegrais na pewien czas go zaniepokoiło, później jednak w innej pracy tak bardzo stwardniało jego serce, że stał się jakby fizycznie nieczuły na oścień rozpaczy. W ogniu walki najbardziej zuchwałej, jaką człowiek

kiedykolwiek wydał samemu sobie, nie zastanawia się nad tym, że wydał ją sam: dosłownie nie odczuwa potrzeby żadnego oparcia. To, co mogłoby być wysokim o sobie mniemaniem, tutaj jest prostodusznością: zwodzi go własna siła, jak innych zwodzi ich słabość; uważa, że podejmuje tylko to, co pospolite, zwyczajne. O sobie nie ma nic do powiedzenia.

Miasteczko przed jego oczami pogrąża się w mroku, zdaje się zapadać pod widnokrąg. Przyspiesza kroku. Czemuż nie może dostać się niepostrzeżony do ciemnego kąta, gdzie do kolacji, a potem późno w noc będzie sam - sam tylko za cienką drewnianą przegrodą, z uchem przychylonym do niewidzialnych ust. Niepokoi go myśl o nieznanym twarzach, przed którymi najpierw będzie musiał stanąć. Prałat, którego przelotnie tylko widział w ostatnie Zielone Świątki, obydwaj misjonarze - może jeszcze ktoś więcej...? Od paru miesięcy przyszłego proboszcza z Lumbres zdumiewają pewne spojrzenia, słowa, których sensu jeszcze nie pojmuję, jakaś ciekawość, początkowo naiwnie brana za nieufność czy pogardę, które jednak powoli tworzą wokół niego atmosferę dziwnie go zawstydzającą. Na próżno stara się usuwać, robi się jeszcze pokorniejszy, unika wszelkich nowych znajomości, już i ta jego samotność jak gdyby korci najbardziej obojętnych, jego trochę płochliwa nieśmiałość niepokoi, smutek przyciąga. Niekiedy sam przerywa milczenie, gdy jakieś przypadkowo rzucone słowo poruszy z nagłą jego wielką duszę. I póki nieme zdumienie zgromadzonych nie przywoła go do przytomności i nie zamilknie na nowo, mówi, mówi owym zakłopotanym, zająkliwym przemawianiem myśli, która zdaje się wlec za sobą słowa jakby ciężar... Najczęściej jednak słucha z najwyższą uwagą, wejrzeniem złaknionym i bolesnym, a skryta modlitwa jego warg wprawia w zdumienie przeciętnych starych księży, niewinnie sobie gawędzących. Jego odmienność zrazu zaskakuje. Nikt, z wyjątkiem jednego, nie przeczuwa tego wspaniałego przeznaczenia.

Wystarcza, że wprawia w zakłopotanie i rozdziela.

A zresztą cóż można odkryć w tym osobliwym człowieku? Daremnie się go obserwuje. Można by śledzić. Na rozkaz księdza Chapdelaine zrezygnował bez sprzeciwu z umartwień, których przerażającego okrucieństwa naiwny stary kapłan prawie nie mógł sobie wyobrazić, aczkolwiek ksiądz

Donissan odpowiadał na wszystkie pytania ze zwykłą szczerością. Ale nawet i ta szczerść bałamuci. Dla wikarego z Campagne są to już wydarzenia z przeszłości, epizody.

Mówi o nich bez zakłopotania. Chętnie przyznaje, że dla poskromienia ludzkiej natury i chłosta rzemieniem to za mało. Znacznie później proboszcz z Lumbres powie: „Nasze biedne ciało chłonie ból tak jak rozkosz, z tą samą nieumiarkowaną łapczywością”. Mieliśmy sposobność przeczytać na marginesie Ćwiczeń świętego Ignacego wypisane jego ręką takie

oto dziwne zalecenie: „Jeżeli uważasz, żeś powinien się skarcić, bij mocno i niedługo”. Do sióstr karmelitanek z Aire mawiał również: „Pamiętajmy, że Szatan umie wyciągnąć korzyść z modlitwy nazbyt długiej lub umartwie- nia zbyt ciężkiego”.

„Nasz pocziwiec stał się teraz zupełnie rozsądny” - stwierdza proboszcz z Larieux. To prawda. Głowę nadal ma chłodną, umysł jasny. Nigdy nie dawał oszukać się słowom. Wyobraźnię ma raczej ograniczoną. Serce spala nawet swoje popioły.

O zmierzchu wiatr cichnie, z nasyconej wilgocią ziemi unosi się lekka mgła. Po raz pierwszy od wyjścia z Campagne wikary czuje zmęczenie. Zresztą minął już Verlimont, do kościoła teraz niedaleko, a droga jest łatwa i prosta. Niemniej zatrzymuje się i po chwili siada na ziemi przy skrzyżowaniu dwóch dróg - z Compreneux i z Verton. Przechodząca wieśniaczka spogląda na niego, kiedy tak siedzi z gołą głową, dłońmi splecionymi na rączce olbrzymiego parasola, kapelusz położywszy na ziemi. „Co za śmieszna figura” - mówi sobie w duchu.

Tak właśnie niekiedy ugiął się pod brzemieniem, a zwyciężona natura daremnie wołała o swojej niedoli. Wcale się nie wzbraniał przed jej słuchaniem: po prostu już nie słyszał.

Zawsze i we wszystkim postępował tak, jakby suma jego energii była niezmienna - i może rzeczywiście taka była.

Gdy podejmuje najwyższy jakiś wysiłek i wszystko go już zawodzi, jedyny wypoczynek, o jakim zdarza mu się myśleć, to zagłębić się w sobie i badać siebie ze wzmoczoną surowością. Dla tego wyjątkowego człowieka zmęczenie jest jedynie złą myślą.

Przebiega tedy w pamięci wydarzenia ostatnich miesięcy.

To prawda, iż nie żałuje umartwień, które przez pewien czas podsycaly jego odwagę. Zanim nawet ksiądz Chapdelaine zażądał, by się ich wyrzekł, sam je w swym sercu potępił.

Czyż nie były mu one pociechą, nie przynosiły ulgi? Czyż nie odsłoniły w nim na nowo owego źródła radości, które pragnął, by wyschło? Teraz jest jak nigdy dotąd wierny obietnicy, jaką złożył kiedyś przed krzyżem, niespodziewanie ujawnionej w tamtej pamiętnej chwili. O cząstkę, którą on sobie wybrał, nikt się nie będzie spierał. Przed nim żaden inny śmiałek nie zawarł takiej umowy z mrokami samotności!

Gdybyśmy nie otrzymali z ust samego świętego z Lumbres relacji tak prostej a rozdzierającej o okresie, który umyślił sobie zwać najbardziej przerażającym okresem swego życia, bez wątpienia trudno by dać wiarę, że jakiś człowiek rozmyślnie i z całą rzetelnością mógł jako rzecz prostą i zupełnie zwyczajną popełnić coś w rodzaju samobójstwa moralnego, którego wyrozumowane, przemyślane, skryte okrucieństwo jest typowo szatańskie. A przecież

nie można o tym wątpić. W ciągu wielu, wielu dni ten, którego serdeczne i mądre miłosierdzie miało budzić nadzieję w głębi tyłu serc już na zawsze, zdało się, opustoszałych, postanowił wydrzeć tę nadzieję z siebie. To tragiczne złudzenie nie od razu jednak owaładnęło jego świadomością, ogarniało ją stopniowo.

W chwili, kiedy składał Bogu swoją obietnicę - ale czy to

Bóg ją przyjął, czy ktoś inny?... - niewątpliwie był posłuszny głosowi wewnętrznemu, który we własnym mniemaniu rozpoznawał. (Czy tego głosu nie miał już słyszeć i później, równie natarczywego, nie mniej podstępnego, po tylu latach znoju, w przededniu odejścia na spoczynek...?) Kto by mu był zawczasu odmalował piekielną mękę, na jaką się skazywał, i tak nie udaremniłby podstępu, jako że jego nigdy nie odstraszało żadne cierpienie. Jeżeli prawdą jest, że prostoduszność i posłuszeństwo zawsze stanowiły jedyną broń, jaką proboszcz z Lumbres w swej namiętnej żarliwości mógł przeciwstawiać niedościgłej złośliwości wroga, tym razem absolutnie nie mógł w nich znaleźć pomocy. Umartwienie, jakie sobie wybrał, całkowicie wewnętrzne, milczące, wydało mu się najbardziej prawowite, najbardziej skuteczne i, co tu mówić, najdogodniejsze. „Iluż to innych - myślał biedny kapłan - przede mną żywiło taką pogardę dla pocieszenia?” - nie pojmując, iż najbardziej zuchwali uważali za wystarczające, gdy cierpliwie znoszą nieobecność Boga i długie godziny jałowe i nieme. Skądinąd zresztą jednostajność codziennych zajęć mogła go także łudzić. Jego wyrafinowane męczeństwo, tak znakomicie wplecione w nurt życia, w końcu się już z życiem jednoczyło. I tak nieszczęśnika, za-poznanego przez wszystkich i przez samego siebie, powoli napelniała bezlitosna rozpacz.

W pierwszych dniach jakby wpadł w szal zaprzeczania sobie i zapierania się siebie. Zarzucił lektury, z których do tej pory czerpał nie tylko radość, ale i siłę, potem podjął je na nowo i znowu zarzucił. Na skutek pewnej życzliwej uwagi księdza MenouSegráis jął objaśniać sobie i opatrywać notatkami Rozprawę o Wcieleniu. Warto było wziąć do rąk tę książkę dość rzadkiej edycji z XVIII wieku, jeden z klejnotów biblioteki proboszcza z Campagne, o marginesach pokrytych niezdamnym pismem księdza Donissan! Nieporadność tych zapisków, naiwna pieczołowitość, z jaką biedak odsyłał do tekstów w trochę komicznie sumiennych wskazówkach - wszystko, włącznie z błędami składni jego szkolnej łaciny, świadczy o takim wysiłku, że nawet człowiek najzłośliwszy nie poważyłby się uśmiechać. A wiadomo także, iż te przypiski stanowią tylko zarys pracy o wiele poważniejszej - na pewno równie bezużytecznej - dzisiaj zagubionej, która butwieje prawdopodobnie w głębi jakiejś szuflady, tragiczne a bełkotliwe świadectwo majaceń wielkiej duszy.

Zajęcie to, początkowo budzące tylko niechęć, bardzo szybko zmieniło się dlań w nieznośną pańszczyznę. Proboszcz z Lumbres był zawsze miernym metafizykiem, tylko zaś z własnego doświadczenia można pojąć, jak dotkliwą udrękę przechodzi umysł, pozbawiony nieodzownej wiedzy, kiedy go opęta zagmatwany tekst. Nieszczęśnik dosłownie przygwożdżony, nie mając możliwości przy pomocy jakichś wyobrażeń wyzwolić się spod tyranii abstrakcji, uparcie starając się wszystko zrozumieć, za każdym razem padał ofiarą najniebezpieczniejszej z dialektyk, i w tym nedorzecznym trudzie zużywał siły czysto fizyczne. Łudząc się, że opanowuje wreszcie tę myśl oporną, nie zdawał sobie sprawy, że stopniowo ona zaczyna nim władać, pochłaniać go. Zamierzenie, już samo w sobie zuchwałe, stało się jeszcze trudniejsze w rezultacie pewnych pociesznych komplikacji. Ksiądz Donissan, zajęty przez cały dzień, miał czas wolny dopiero po północy, kiedy już przegrał do księdza MenouSegrais codzienną partyjkę bezika. Przebiegły dziekan niewiele potrzebował czasu, by wykryć tę nową tajemnicę. Zgodnie ze swym obyczajem, przy sposobności parokrotnie w dyskretny

- Pod słońcem...

sposób napomknął coś na ten temat, czym prostoduszny wikary poczuł się bardzo poruszony. Nieborak postanowił pracować przy świetle nocnej lampki, i wkrótce zaczął cierpieć na oczy, co ostatecznie już go wyczerpało, bynajmniej jednak nie załamując. Albowiem ta ostatnia próba stała się dlań bodźcem do nowych szaleństw.

Z pewnością wola nie da się nigdy całkowicie pokonać, lecz przemęczone ciało na ogół zaczyna ją w końcu hamować, odmawiając jej wsparcia potrzebnego do działania. Uwaga, napięta do kresu możliwości, wytwarza pustkę wokół tego, co ją dręczy. Czasami także zdarza się, że natura gwałtownie pobudzona bywa przełamywana nawet w owym stanie otępiałości. I od tej pory działając pod batem jest już tylko niewolnicą na pół świadomą, podległą przywidzeniom.

Dotychczas wikary z Campagne znajdował trochę wytchnienia i odprężenia jedynie w ulubionych modlitwach, skromnych pacierzach odmawianych na głos. Przez długi czas święty z Lumbres w swej pokorze wątpił, czy w ogóle zdolny jest do tego, by zatonać w modlitwie cichej, mimo że pogrążał się w niej codziennie, o każdej rzece można porze dnia.

Ale u człowieka, którego tylko wiara potrafi ujarzmić, natura jest tak oporna wobec każdego przymusu, że aczkolwiek z łatwością wzlatywał na skrzydłach Bożej miłości, nakaz rozmyślań według pewnych zasad wydawał mu się zawsze ciężarem. Niemniej tej właśnie nowej próbie postanowił się poddać. Postanowił raz jeszcze siebie przezwyciężyć.

Trochę wstyd przytaczać tu takie fakty nagie, zupełnie nieinteresujące, a w sumie banalnie prawdziwe. Oto po przepracowanej nocy biedny kapłan przemierza swój pokój wzdłuż i wszerz, z rękami założonymi do tyłu, ze spuszczoną głową, powstrzymując oddech niczym zapaśnik, który oszczędza siły, i stara się myśleć jak najintensywniej, myśleć według pewnych zasad... Temat miał zawczasu wybrany, starannie wytyczony - zgodnie z najlepszymi, ściśle sulpicjańskimi metodami, a nie odkładał go, dopóki całkowicie nie wyczerpał. Zresztą dopomagał sobie w tym nowym zamierzeniu czymś w rodzaju podręcznika, napisanego przez anonimowego kapłana w roku pańskim: Modlitwa nauczana w dwudziestu lekcjach, na użytek pobożnych dusz - zapowiada tytuł. Każda lekcja dzieli się na trzy rozdziały: „Roz-ważanie”, „Rozwinięcie”, „Wnioski” - zakończone duchowym uwieńczeniem. Kilka wierszy (z melodią dobraną przez pewnego zakonnika, objaśnia przedmowa...) dopełnia zbiorów i opiewa w rytmie, który szczególnie lubiła pani Deshoulières, rozkosze i żarliwe uniesienia miłości Boga.

Można wziąć do rąk, ścisnąć w palcach tę okropną małą książeczkę. Okładka osłonięta jest pokrowcem z czarnego, starannie zszytego sukna. Często przewracane kartki zachowały cikliwy, zjełczały zapach. Na brzydkiej kolorowej rycinie w lewym rogu widnieje wyblakłe, skreślone drobnym i zdradliwym pismem, tajemnicze zdanie: „Mojej drogiej

Adolinie na pociechę po dowodach niewdzięczności niektórych osób”. Zapewne wielce wymowne świadectwo jakiejś nabożnej urazy... Niemożliwe! Więc ta książeczka to okropny mały towarzysz człowieka, którego wzroku bez zakłopotania nie mógł znieść nikt, komu przeniknął on myśli, nawet największy pyszałek nie mógłby się tym pochlubić - jego towarzysz, powiernik, powiernik świętego z Lumbres! Czegóż on szukał na tych prawie nie różniących się od siebie stronach, na których znajdowała upust bezbrzeżna nuda próżnującego księdza.

Czego w niej szukał, a przede wszystkim co znalazł?

Prawda, że ksiądz Donissan nie pozostawił nam żadnej pracy teoretycznej czy mistycznej, zachowało się jednak kilka wygłaszanych przezeń kazań, a i wspomnienia jego niezwykłych wynurzeń są jeszcze bardzo żywe w niektórych sercach. Żaden z ludzi, którzy się z nim bliżej stykali, nie podawał w wątpliwość jego wyostrzonego poczucia rzeczywistości, jasności sądów, niezawodnej prostolinijności dróg, jakimi kroczył. Nikt nie okazywał większej niż on nieufności wobec pięknoduchów, a nawet, gdy się nadarzała sposobność, nie określał ich równie trafnym i twardym słowem. A zresztą choć można sądzić, że w tym okresie czuł się samotny i opuszczony, czyż jest do pomyślenia, by tamte zbożne kalambury mogły stanowić pożywkę jego modlitw? (Czy doprawdy bez obrzydzenia

recytował te popisowe pacierze, chłonał obrzydłe preparaty uwieńczających rozdziałki rozważań, płakał teatralnymi łzami? Modlił się, czy sądząc, że się modli, już nie modlił się wcale?

Zamykamy tę książeczkę ze wstrętem: dotknięcie brudnego sukna pozostawia niemiłe wrażenie na palcach. Chciałoby się poznać, odnaleźć w jakimś ludzkim wejrzeniu tajemnicę owej siły idiotycznej, która na chwilę zaćmiła najbardziej świetlaną duszę.

Jakże to? Czy więc i łaska Boża może się tak dawać omamić? Czy zawsze już tak będzie, że każdy, kto odwróci głowę, ujrzy za sobą swój cień, sobowtóra, zwierzę, co jest doń podobne i podpatruje go w milczeniu? Jakaż ciężka jest ta książeczka!

„Przez okres trzech miesięcy - miał powiedzieć później ksiądz Donissan - nadmiar pracy i ustawiczne zniewalanie umysłu oddaliły mnie od modlitwy.” Tak mówił do siostrzyczek z Remicourt, ostrzegając je po ojcowsku przed tym, co zwał także „swoimi dziecinnymi marzeniami”. Zobaczymy jednak, jakie były te dziecinne marzenia.

Pewnego dnia przyszło mu na myśl, że choć jest tak na pozór uległy, a przykuty do najnikczemniejszego towarzysza, coś w nim wyłamuje się spod wszelkiej obcej woli, i spod własnej także. Może od tego momentu uwierzyłby, że urzeczywistnia się oto jego osobliwe marzenie i sam się już siebie zaparł, gdyby w pewnych odstępach czasu ta sama radość, którą odczuwał ongiś w swoim ciele i wylewał wraz z krwią, nie budziła się w nim z całą mocą. W najgorszych okresach obrzydłego przygnębienia, spokojnej a wyczerpującej rozpacz nagle, z powodu jakiegoś napotkanego w jałowym tekście słowa - lub czegoś jeszcze bardziej błahego - spojrzenia starego żebraka albo widoku dziecka, które się żegna przed Męką Pańską Sivry - osłepiająca nadzieja, rozbłyskująca w najtajniejszych zakamarkach serca, w samym rdzeniu życia ostrym płomieniem, później natychmiast przesycająca całą jego istotę, niby świetlisty drapieżnik w jednym mgnieniu pochłaniała smutek.

Ileż to razy, kiedy po bezsennej nocy biedny kapłan znużony, drżący i jękający się ze zmęczenia, z żelaznym hełmem migreny uciskającym skronie, u stóp samotnego ołtarza odmawiał Introibo, pierwsze poranne światło, świeże jeszcze i lodowate, padające poprzez witraże, tak właśnie raptem go ożywiało!... Podnosząc oczy na Chrystusa dziwacznie wygiętego na miedzianym krzyżu, nie widział już nic poza przelotnym igraniem światła na murach kościoła i uskrzydłonym przepływaniem cieni... Wówczas jego smutne serce otwierało się na niegdyś znane rozkosze. Naiwną ufność, oczywistą dla ducha, ale i odczuwaną jeszcze w całym ciele, fizyczny spokój. Niekiedy owo złudzenie trwało tylko chwilę; częściej jednak utrzymywało się do ostatnich słów mszy i dopiero później stopniowo się rozpraszało. W każdym razie było zawsze jego tajemnicą.

W rzeczywistości nic o tym nie wiedział, poza jednym - że i najgorsza przemoc nie wyrwałaby z niego tej nadziei, mogłaby ją jedynie na pewien czas przytłumić. Aczkolwiek najsurowiej nawet badał siebie, nie znajdował żadnego grzechu, o jaki uczciwie mógłby się oskarżyć. A jednak on, niegodny kapłan, niedouczony sługa, czyż nie powinien lękać się Pana i Jego wyroków? Skądże się brał pośród tylu trosk, w największym zapracowaniu, taki przyływ nadziei - albo może lepiej: takie poczucie odprężenia, bezpieczeństwa, błogiej satysfakcji z wypełnionego zadania? Ponieważ zaś się wzbraniał, zaczął w tym upatrywać znak przerażającej zarozumiałości.

Można powiedzieć, że w tym okresie zło, które prześladowało go zresztą bez wytchnienia do ostatniego dnia życia, brało jednak górę nad nieszczęsnym kapłanem w większości swych poczynań. Wciągnąwszy go w różne prace przygnębiające a niedorzeczne, podstępnie ukazywane jego świadomości jako misterny system poświęceń i wyrzeczeń, i tą drogą pozbawiwszy go wszelkiej pociechy z zewnątrz, jęło teraz napastować człowieka wewnętrznego. Ostatni skarb pośród tylu innych, jaki rozmyślnie utracił - obecność samego Boga w przemęczonej duszy - też czekał cierpliwie, aż zagubiony nieszczęśnik odtrąci go także jako dar niebezpieczny, zacznie unikać jak zasadzki.

Analizując i badając się nieustannie wikary z Campagne wypatrywał w końcu rzeczywistą przyczynę jedynej swej radości, której jeszcze w sobie nie zdławił - prawie naiwne, nierozsądne przeświadczenie - prawdę mówiąc istniejące i w chwilach największego poniżenia poczucie, że będzie zbawiony.

Oczywiście, wiedza proboszcza z Lumbres, pomimo zamrozonego rozsądku, wzbudziłaby w nim nieufność do wszelkich poczynań, mogących zniweczyć nadzieję. Nie potępiał nadziei, i przez naiwną przekorę prosił o nią Boga właśnie wtedy, kiedy zamykał przed nią serce. „W okresach największych moich szaleństw - stwierdzał - nigdy tak naprawdę nie wierzyłem, że poważnie obrażam Chrystusa, że jest On ze mnie niezadowolony...” Kiedy już raz skrupuły wdarły mu się do serca, takie przeświadczenie jął wkrótce uważać za świętokradztwo. „Z ogromnym przerażeniem - mówił - spostrzegłem, że mimo wielu łez i pozornej skruchy ja nigdy na serio nie rozmyślałem o piekle. Zacząłem tedy planować, by uczynić zeń pożywkę moich myśli...”

„Kiedy się zdecydowałem - czytamy jeszcze w liście adresowanym do ojca de Beauchamps - żadna siła ludzka nie zdołałaby choćby opóźnić mego upadku w upragnione ciemności. Byłem jak człowiek, któremu zabrakło jednocześnie i ziemi, i nieba.”

Tak tedy wypełniał swoje zamierzenie z posępnym talentem.

Na zewnątrz nic nie zdradza owego ognia, który go spala - a jest to ogień piekielny, pochłaniający wszelką nadzieję.

Okropna praca z dnia na dzień idzie mu łatwiej i szybciej.

Uparty wieśniak opętany pasją samozniszczenia w końcu uczy się dość wnikliwie rozprawiać z samym sobą. W jego skromnym życiu nie ma ani jednego postępu, którego pobudek by nie zgłębił, w którym nie doszukałby się zakusów wynaturzonej woli, jednej chwili spoczynku, którym by nie wzgardził i którego by nie potępił, jednego smutku, którego nie uznałby natychmiast za wyrzuty sumienia, albowiem wszystko w nim i poza nim nosi na sobie piętno gniewu.

Zapewne jednak nadeszła godzina, w której okrutne dzieło miało zaowocować, rozwinąć pełnię swego zła. Och, jacyż my jesteśmy szaleni, że we własnych myślach, które przecież drogą słów włączają się bezustannie w świat poznawalny zmysłami, dostrzegamy jedynie jakieś twory oderwane, z których strony nie zagraża nam żadne bliskie a oczywiste niebezpieczeństwo! O ślepcze, nie rozpoznający samego siebie w obcym mężczyźnie, na którego się z nagłą natykasz, już wrogim przez swoje spojrzenie i ohydne skrzywienie ust, albo w oczach jakiejś obcej kobiety!

Książd Donissan wstał i przez chwilę wpatrując się w krajobraz, niemal całkowicie pogrążony już w mroku, poczuł jakby zaniepokojenie, rodzaj lęku, co na początku z łatwością opanował. Droga przed nim spadała teraz ku dolinie między dwoma wzniesieniami, porośniętymi rzadką i niską trawą. Czy dlatego, że zupełnie osłaniały one przed wiatrem (który po zachodzie słońca znów się zerwał), czy z innej jakiejś przyczyny, żaden dźwięk nie zakłócał głębokiej, zwartej ciszy.

I choć do miasta było już blisko, a godzina dość wczesna, nadstawiając ucha nie mógł dosłyszeć nic poza nikłym szmerem ziemi, ledwie uchwytnym i tak jednostajnym, iż niezwykła cisza jakby się jeszcze przezeń wzgamała. Zresztą i ten szmer umilkł.

Zaczął iść - albo raczej później mu się wydało, że szedł bardzo szybko po drodze miękkiej, gładkiej, o łagodnym spadku. Zmęczenie minęło, u kresu długiego marszu czuł się wyjątkowo swobodnie i lekko. Dziwiła go zwłaszcza swoboda myśli. Pewne trudności, z którymi się od wielu już tygodni zmagał, pierzchły, ledwie spróbował je sobie sprecyzować.

Całe rozdziały książek, z takim mozolem czytanych i wyjaśnianych, które zazwyczaj musiał jakby strzępami wrywać z jałowej pamięci, wyłaniały się nagle we właściwym porządku wraz z tytułami, podtytułami, kolejnością akapitów i nawet z uwagami na marginesach, gdzie ze zdumieniem rozpoznawał własne pismo. Wciąż idąc, nieomal biegnąc,

postanowił zejść z wielkiego traktu i skrócić sobie drogę ścieżkami do Ravenelle, osady ciągnącej się wzdłuż cmentarza, do samego kościoła.

Skręcił, nawet nie zwalniając kroku. Dróżką tą, zwykle aż do środka lata pociętą głębokimi koleinami, w których drzemie słona woda, chadzają tylko rybacy i przepędza się woły. Ku wielkiemu zdziwieniu księdza Donissan grunt wydał mu się i tutaj gładki i ubity. Stwierdził to z radością. Mimo że niezwykle ożywienie, wzburzenie i swoboda szybowania własnych myśli wprowadziły go w stan bliski oszołomienia, wypatrywał na mrocznej drodze jakichś znajomych szczegółów, plamy krzaka, ostrego zakrętu, obniżenia się skarpy wyrastającej ku czarnemu niebu, domku dróżnika. Ale po dość długim marszu ze zdumieniem wyczuł pod stopami coś przeciwnego niżli się spodziewał: lekki, a potem z nagłą bardziej stromy spadek, później zaś gęstą trawę łąki. Podniósłszy wzrok rozpoznał trakt, z którego zeszedł przed chwilą. Może po ciemku powędrował jakąś drogą poprzeczną, która niepostrzeżenie doprowadziła go do punktu wyjścia, tylko tyłem do miasta!

Widział bowiem bardzo wyraźnie (czemu jednak tak wyraźnie w ciemną noc...?) pierwsze domy przedmieścia.

„Co za pech” - pomyślał, nie czując jednak rozczarowania czy gniewu.

Natychmiast ruszył znowu, postanowiwszy już nie schodzić z traktu. Tym razem szedł wolno, uważnie patrząc przed siebie, przy każdym kroku czując, jak pod grubymi podeszwami chrzęści mokry od deszczu piasek. Ciemności były tak nieprzeniknione, że jak daleko mógł sięgnąć okiem nie dostrzegał nie tylko żadnego światła, nawet żadnych rozjaśnień, ale nawet owej dającej się zauważyć wibracji, która w najczarniejszą noc jest jakby promieniowaniem żywej ziemi, jakby powolnym, trwającym do świtu, rozkładem zmarłego dnia. Szedł jednak coraz pewniejszym krokiem, spowity, omotany tą czarną nocą, która się otwierała i zaciskała za nim tak mocno, iż zdawała się ciążyć na jego ramionach. Nie budziło w nim to jednak ani cienia trwogi. Szedł krokiem pewnym, trochę zwolnionym. Aczkolwiek zwykle zbliżał się do konfesjonatu z ogromnym lękiem i pełen wątpliwości, wcale go nie dziwiło, że tym razem odczuwa tylko prawie radosne zniecierpliwienie. Tak żywo pracował jego umysł, że dawało mu to niemal fizyczne wrażenie podniecenia, dreszczu na skórze, budziło potrzebę wyładowania w wysiłku mięśni nadmiaru myśli i obrazów, jakby lekką gorączkę, dobrze znaną mądralom i kochankom. Znowu bezwiednie przyspiesza kroku. A noc wciąż rozwiera się i zamyka. Droga wydłuża się i sunie pod nim, prosta i łatwa, jakby go niosła po łagodnym stoku... Żwawy jest, wypoczęty, lekki jak o rześkim poranku po dobrym śnie. Oto już ostatni zakręt. Byстрыm spojrzeniem szuka małego domku z różowej cegły, na skrzyżowaniu gościńca i drogi, którą zapewne minął nie zauważywszy.

Lecz nie dostrzega nic wyraźnego, ani drogi, ani domu - a w bliskim już mieście nie widzi ani jednego światełka.

Przystaje, nie tyle zaniepokojony, ile zaciekawiony... Wówczas - ale tylko w tym momencie - w okalającej ciszy posłyszał bicie własnego serca, przyspieszone i głuche. I spostrzegł, że ocieka potem.

Jednocześnie z chwilą, gdy dodające mu dotychczas sił złudzenie nagle się rozwiało, ogarnęło go śmiertelne zmęczenie, poczuł, że nogi ma sztywne i obolałe, łamie go w krzyżu. Oczy zaś, dotąd szeroko otwarte w ciemności, teraz kleją się do snu.

„Wejdę na tę skarpe - pomyślał. - Niemożliwe, żebym z góry nie wypatrzył, czego szukam. Najmniejszy znak pozwoli mi się rozeznać...”

Powtarzał sobie w duchu to zdanie z nedorzecznym uporem. Dziwnie jakoś rozbolało go całe ciało, gdy, zdecydowawszy się wreszcie, jął się wdrapywać rękami i na kolanach po lodowatej trawie. Kiedy się wreszcie wyprostował z jękiem, zrobił jeszcze parę kroków obracając się wkoło, starając się odgadnąć linię horyzontu. I oto ku swemu głębokiemu zdumieniu zorientował się, że stoi na skraju nie znanego pola, na którym mgliście połśniewa świeżo przeorana ziemia. Jakieś drzewo, które wydało mu się ogromne, rozpościerało nad nim niewidzialne gałęzie, słyszał tylko ich lekki szmer. Za małym rowkiem, który przekroczył, twardszy i jaśniejszy grunt między dwiema ciemnymi smugami świadczył, że biegnie tędy droga. Po skarpie, na którą się wspinał, nie zostało śladu. Dookoła do granic nocy niezmierną równina, raczej odgadywana niżli dostrzegana, zamglona, pusta.

Lęku nie odczuwał; był raczej rozzłoszczony niż zaniepokojony. Niemniej zmęczony tak bardzo, że przejął go dotkliwy chłód: dygotał w mokrej od potu sutannie. Osunął się bezwolnie, nie mogąc dłużej utrzymać się na nogach. Potem zamknął oczy. Nagle w odrętwienie snu wdarł się jakiś niepokój. Zanim zdołał go określić, owładnął nim całym. Był niczym świadoma zmora, która budziła go stopniowo, powoli drążąc sen. Wszelako, już prawie oprzytomniawszy, nie śmiał otworzyć oczu. Był przeświadczony do głębi, że skoro tylko rozejrzy się dokoła, mglisty i nieokreślony lęk przybierze konkretny kształt. Jaki? Odsunawszy wreszcie dłonie z mocno zaciśniętych powiek gotował się przez sekundę do wytrzymania nagłego widoku jakiejś nieoczekiwanej a straszliwej zjawy. Kiedy raptownie spojrzął przed siebie, zorientował się tylko, że po raz drugi wrócił dokładnie do punktu, z którego wyruszył.

Zaskoczenie było tak wielkie, lęk okazał się taki nieuzasadniony, że przez chwilę jeszcze siedział komicznie przykucnięty na zimnym błocie, niezdolny do wykonania żadnego ruchu, do żadnej myśli. Potem zdecydował się przebadać otaczający go teren. Jął chodzić

wzdłuż i wszerz przygięty we dwoje, co pewien czas macając grunt rękami, usiłując odnaleźć własny ślad, by pójść za nim krok za krokiem do' owego tajemniczego punktu, gdzie musiał zejść z właściwej drogi i niepostrzeżenie ruszyć w kierunku przeciwnym. Aczkolwiek zapanował nad trwogą, doszedł już do takiego stanu, że nie mógł iść dalej nie znalazłszy rozwiązania zagadki - musiał koniecznie je znaleźć. Ze dwadzieścia razy próbował przerwać zaczarowany krąg, daremnie. W pobliżu gubił się wszelki trop, musiał więc pogodzić się z myślą, że chodził widać na poboczu w trawie dość gęstej na to, by jego kroki nie pozostawiały śladów. Zauważył też, że w promieniu paru metrów ziemia jest dosłownie zdeptana. Ogarnęło go takie niedorzeczne zniechęcenie, niemal dziecinna rozpacz, że omal się nie rozplakał.

Święty z Lumbres jak mało kto pozbawiony był cech, które w słownictwie współczesnym określa się mianem przeczulenie. Powoli w swej prostoduszności dochodzi do wniosku, że wszystkie złudy i przywidzenia tej nocy to tylko przeciwności, które należy zwalczyć. Raz jeszcze rusza tedy na drogę i zaczyna schodzić po pochyłości, początkowo wolno, potem coraz szybciej i szybciej, w końcu biegiem. Wciąż jeszcze mniema, że panuje nad sobą, ale teraz to już nie ku swemu celowi pospiesza, ale od nocy, od swego przerażenia pragnie się odwrócić tyłem: jego ostatni zryw jest nieświadomą ucieczką. Czyż nie powinien już dawno dotrzeć do tego niedostępnego miasteczka? Każda minuta opóźnienia jest zatem nie do pojęcia.

Znowu się wylaniają dwa czarne wzniesienia, obniżają się, znowu wyrastają, kiedy zaś całkiem nikną, może się jeno domyślać niewidzialnej równiny, zaś zimny, lodowaty, a bezgłośny wiatr chłoszcze mu twarz... Pewien jest, że zszedł oto z drogi, nie może jednak pojąć, kiedy się to stało. Biegnie teraz szybciej, na co wpływa także pochyłość terenu, ze skulonym grzbietem, sutanną śmiesznie podkasaną na chudych nogach - niby dziwaczne widmo komicznie żwawe i gestykułujące na tle nieruchomego otoczenia. Ze spuszczoną głową wpada wreszcie na jakiś wilgotny zimny mur, czepia się go rękami; łagodnie osuwa się na bok, w błoto, i zamyka oczy. A nim je otworzy, już wie, że powrócił.

Jeszcze się nie buntuje. Wstaje z głębokim westchnieniem, porusza ramionami, jakby chciał poprawić niesiony na nich ciężar, i znów zaczyna iść wyraźnie w przeciwnym kierunku.

Posuwa się równym krokiem, dostosowując go do ziemi oblepiającej podeszwy, przekracza niskie żywopłoty, drucziane ogrodzenia, inne przeszkody wymija po omacku, nie odwracając głowy, znowu niezmordowany. Jest zupełnie przytomny; nie wytycza sobie żadnego szczególnego celu; uznaje za zwyczajną przygodę tę wyprawę tak dziwacznie

przerwaną i myśli jedynie o tym, aby możliwie najprędzej przed świtem znaleźć się tam, na plebanii w Campagne. Postanowił po prostu przejść z powrotem tę całą długą drogę. I gdyby nagle pojawił się przed nim ksiądz MenouSegrais, nie ulega wątpliwości, że pokłoniwszy mu się grzecznie opowiedziałby w paru słowach, co się stało, tak jak się opowiada o jakimś tylko niemiłym wydarzeniu.

Przebywszy ostatni rów znalazł się teraz oto na ścieżce bardzo wąskiej, ledwie widocznej pomiędzy skibami. Przypomina sobie, że już nią szedł - przed godziną może albo dwiema. Ale wtedy był chyba sam.

Albowiem teraz od pewnego momentu (dlaczegoż miałby tego nie wyznać?) już nie jest sam. Ktoś idzie obok niego.

Z pewnością jakiś człowieczek mały, bardzo żywy, bo raz jest z lewej, raz z prawej strony, to z przodu, to znów z tyłu, nie widzi go jednak wyraźnie - a tamten początkowo drecze nie wydając głosu. Czyż w taką czarną noc nie można by sobie nawzajem dopomóc? Czyż trzeba się znać, aby dotrzymywać sobie towarzystwa w tej wielkiej ciszy, tej wielkiej nocy?

- Ale głucha noc, co? - odzywa się z nagłą mały człowieczek.

- O tak - odpowiada ksiądz Donissan. - Jeszcze daleko do świtu.

Zapewne jakiś dobroduszny człek, bo jego bezdźwięczny matowy głos ma w sobie utajoną wesołość, prawdziwie nie do odparcia. Ostatecznie już uspokaja to biednego kapłana.

Trochę się nawet obawia, czy swoją krótką odpowiedzią nie uraził pogodnego, pełnego humoru towarzysza. O, jakąż przyjemność można odczuć, gdy się tak niespodziewanie usłyszy ludzki głos i jak miło on brzmi! Ksiądz Donissan uprzytamnia sobie, że wcale nie ma przyjaciół.

- Uważam - powiada w tym momencie mały czarny piechur - że ciemności zbliżają ludzi. To dobra rzecz, nawet bardzo dobra. Kiedy tak ciemno, że choć oko wykol, i najsprytniejszy traci rezon. Wyobraźmy sobie, że spotkalibyśmy się w samo południe: minąłbyś mnie pan i to wszystko, nawet się za mną nie obejrzał... A zatem idziesz pan z Etaples?

Nie czekając odpowiedzi wyskakuje nagle przed swego towarzysza, unosi drut kolczasty niewidocznego ogrodzenia, trzyma go grzecznie wyciągniętą do góry ręką, aby ułatwić przejście. Po czym mówi dalej swym radosnym, trochę matowym głosem.

- A zatem idziesz pan z Etaples, pewno do Cumieres?...

Albo do Chalindry? Albo może do Campagne?

- Do Campagne - odpowiada wikary, unikając w ten sposób kłamania.

- Tak daleko to ja nie pójdę - mówi z urywanym, przyjaznym śmiechem. - Pójdziemy skrótem, na przełaj przez pola do Chalindry: znam tu każdy opłotek, mogę iść z zamkniętymi oczami.

- O, dziękuję - mówi ksiądz Donissan przepełniony wdzięcznością. - Dziękuję za pańską uprzejmość i miłosierdzie. Iluż nieznamych zostawiłoby mnie bez pomocy: wielu zacnych ludzi przeraża moja biedna sutanna.

Mały człowieczek gwizdnął pogardliwie:

- To gamonie, nieuki - powiedział - ciemne chłopcy, co nawet nie umieją czytać. Spotykam takich dość często na targach i jarmarkach, od Calais do Havre. Ileż to bzdur człowiek się nasłucha! Jaka to biedota! Jeden brat mojej matki też jest księdzem, słowo daję.

Znów się pochylił nad gęstym niskim żywopłotem, najeżonym kolcami; obmacał go, by rozpoznać swymi długimi zwinnymi rękoma, i pociągnąwszy wikarego w prawo, z osobliwą energią odsłonił szeroką przerwę i cofnął się, aby przepuścić towarzysza.

- Proszę, może się ksiądz sam przekonać - rzucił - wcale nie potrzebuję nic widzieć. Kto inny na moim miejscu w taką noc kręciłby się w kółko do samego rana. Ale ja znam te strony.

- Czy pan tu mieszka? - zapytał prawie nieśmiało wikary z Campagne (w miarę bowiem jak się oddalał od miasta, od którego odciągnął go cały szereg zagadkowych wydarzeń, jakieś przerażenie niby uśmierzone, głuche, pomieszane ze wstydem - podobne do wspomnień nieczystego snu - do głębi przenikało mu serce, a gdy wreszcie stępiło swe ostrze, poczuł się słaby, chwiejny jak dziecko, spragniony czyjejś pomocnej, bezpiecznej obecności, ramienia, do którego można by się przytulić).

- Ja, można rzec, nie mieszkam nigdzie - wyznał tamten. - Podróżuję na rachunek pewnego handlarza koni spod

BoulognesurMer. Przedwczoraj byłem w Calais, w czwartek będę w Avranches. O, życie jest ciężkie, nie mam czasu nigdzie zapuścić korzeni.

- Czy pan jest żonaty? - zapytał znowu ksiądz Donissan.

Wybuchnął śmiechem:

- Żonaty z biedą. Skąd mam wziąć czas, żeby poważnie pomyśleć o tym wszystkim? Raz się jest tu, raz tam, nigdzie się miejsca nie zagrzeje. Zabawić się można, jak się trafi okazja.

Umilkł, a potem dodał z zakłopotaniem:

- Proszę mi wybaczyć: podobnych rzeczy nie opowiada się takim osobom... No, teraz trzeba mocno wziąć się na prawo: tu gdzieś w pobliżu jest dół pełen wody.

Ta troskliwość wzrusza księdza Donissana. Idzie teraz bardzo szybko, prawie nie odczuwając zmęczenia. W miarę jednak jak mija zmęczenie, pojawia się inna słabość, ogarnia go, przenika wolę tak gnuśnym, tak dojmującym rozrzewnieniem, że aż łzy napływają mu do oczu. Na wargi cisną się słowa, nad którymi świadomość panuje dość mgliście.

- Bóg wynagrodzi pana za fatywę - powiada. - To On zesłał pana na moją drogę w chwili, kiedy już traciłem odwagę.

Gdyż ta noc była dla mnie ciężka i długa, cięższa i dłuższa niż może pan sobie wyobrazić.

Ledwie się już powstrzymuje od naiwnego, niedorzecznego opowiedzenia o swojej ostatniej przygodzie. Chciałby mówić, zwierzyć się, ujrzeć w cudzym, nawet obcym, ale przyjaznym, współczującym spojrzeniu własny niepokój, zwątpienie, które już go osacza, tamten straszliwy sen. Ale wzrok, który podniósłszy oczy napotyka, jest raczej zdziwiony niżli współczujący.

- Wędrówka w bezksiężycową noc nigdy nie jest miła - odpowiada wymijająco nieznajomy. - Z Etaples do Campagne będzie chyba ze cztery mile wiejskiej drogi. A bez mnie siłą rzeczy byłoby jeszcze dłużej. Przez ten skrót zarobiliśmy najmniej ze dwa kilometry. Ale już jesteśmy na gościńcu do

Chalindry.

Siniejąca w ciemności droga biegnie prostą linią przez bezkształtną równinę.

- Za chwilę trzeba już będzie wędrować samemu - dorzuca jakby z żalem. - Czy jednak naprawdę tak księdzu pilno do Campagne?

- Już i tak bardzo się spóźniłem - odpowiada przyszły proboszcz z Lumbres. - Za bardzo.

- Poprosiłbym księdza... można by właściwie... a nawet lepiej by było... poczekać do świtu ze mną, w takiej małej chałupce, którą dobrze znam - na skraju lasu w Saugerie - solidna chata węglarzy z kuchnią i wszystkim, co trzeba do rozpalenia ognia.

Lecz zaproszenie to wypowiedziane jest jakoś od niechcienia. I wahanie w tak jasnym i szczerym do tej pory głosie zaskakuje księdza Donissan.

„Boi się, żebym się nie zgodził - myśli ze smutkiem. - Jakże mu spieszo, i jemu także, usunąć mnie ze swojej drogi!”

Od tego żalosego przeświadczenia fala goryczy zalewa nagle jego serce. Uczucie zawodu jest znowu takie wielkie, rozpacz tak raptowna, gwałtowna, że niewspółmierność owego skutku z przyczyną niepokoi jednak ostatki zdrowego rozsądku czy rozumu, jakie jeszcze zachował mimo wzrastającego otumanienia.

Lecz gdyby nawet zdołał powstrzymać jakieś nieopatrzne słowo, jak osuszyć potok łez?

- Przystańmy na chwilę - proponuje handlarz koni odwracając taktownie oczy od nieszczęsnego księdza, wstrząsanego łkaniem. - Proszę się nie krępować: to ze zmęczenia, ksiądz jest wykończony. Wiem, jak to jest: tak czy inaczej musi się to jakoś wyładować.

Zaraz jednak dodaje na wpół ze śmiechem:

- Nikomu nie ubliżając, księżę dobrodzieju, idzie się z daleka! Parę dobrych mil zebrało się księdzu w nogach...!

Rozkłada na pagórku swój płaszcz z grubego sukna. Przemocą sadowi na nim towarzysza.

Jakże uważny, delikatny, braterski jest gest tego szorstkiego samarytanina! W jaki sposób można się całkowicie oprzeć tej nieznaney troskliwości? W jaki sposób odmówić przyjaznemu spojrzeniu zwierzeń, na które czeka?

A jednak nieszczęsny kapłan tak osobliwie upokorzony jeszcze się opiera, gromadzi ostatnie siły. Choć taka ciemna jest noc, która go spowija i z zewnątrz i wewnątrz, osądza się surowo, uważa, że jest dziecinny i podły, cierpi nad tym, że się tak śmiesznie i gorsząco zachował, i nad ohydą swych idiotycznych łez. Chcąc nie chcąc trudno mu nie kojarzyć tej przygody, trochę tylko mniej zagadkowej, z zabłądzeniem, które przed paroma godzinami powstrzymało go w drodze, w niepojęty sposób odwiodło od celu... Skądinąd jednak dlaczego to ostatnie spotkanie nie miało być pomocą, oznaką przebaczenia? Czyż nie powinien pokornie wysłuchać rady człowieka dobrej woli, który towarzysząc mu wprowadza w czyn, może nawet nie umiając tego nazwać, miłosierdzie ewangeliczne? Och, za ciężko jest już milczeć, odtrącać wyciągniętą dłoń!

Ujmuje tę dłoń, ściska i natychmiast serce dziwnie jakoś rozgrzewa mu się w piersi. Co przed minutą jeszcze zdawało się naiwne albo niebezpieczne, teraz uważa za słuszne, potrzebne, nieodzowne. Czyż pokora ma lekceważyć wszelką pomoc?

- Nie wiem - zaczął wikary z Campagne - nie wiem, jak panu wytłumaczyć... przeprosić... Ale właściwie po co? Tak pewno lepiej zrozumie pan moją niedolę... Niestety, proszę pana, ciężko jest myśleć, że biedny ksiądz taki jak ja - taki tchórzliwy, tak łatwo się załamujący, ma jednak sobie powierzone zadanie oświecania bliźnich, dodawania im otuchy...

Kiedy Bóg mnie opuszcza...

Potrząsnął głową, zrobił wysiłek, żeby się podnieść i ciężko opadł znowu.

- Ksiądz goni resztkami sił - odpowiedział spokojnie nieznajomy. - Trzeba tylko zdobyć się na cierpliwość.

Cierpliwość to dobry lek, proszę księdza... Nie tak gwałtowny jak wiele innych, ale o ileż pewniejszy!

- Cierpliwość - powtórzył ksiądz Donissan rozdzierającym głosem. - Cierpliwość...

Niemal wbrew woli przechylał głowę na ramię osobliwego towarzysza. I jego dłoń też nadal nie puszczała znajomego już ramienia. Miał uczucie, że zamęt w głowie otacza mu czaszkę giętką, a jednak coraz mocniej zaciskającą się, nieustępliwą obręczą. Potem omdlał z otwartymi oczami, mówiąc jak we śnie:

- O nie, to nie zmęczenie wyczerpało mnie do tego stopnia, ja jestem mocny, krzepki, mogę długo walczyć... ale nie z pewnymi... naprawdę nie tak, nie w ten sposób...

Wydało mu się, że zsuwa się w milczenie jakoś powoli, bardzo łagodnie. Po czym nagle przeraził się długością tego zsuwania; jął bowiem oceniać jego głębię. Ruchem instynktownym, szybkim jak jego trwoga, uchwycił obiema rękami ramię, które się nie ugięło.

Głos, który się odezwał, był nadal przyjazny, lecz jakoś przeraźliwie zadźwięczał mu w uszach:

- To tylko zamroczenie... tak... nic więcej... Proszę się mnie oprzeć, bez żadnej obawy! Oj, okropnie się ksiądz nachodził! Jakże ksiądz jest zmordowany! Od dawna już za księdzem idę, przypatruję ci się, przyjacielu! Byłem na drodze, z tyłu, wtedy kiedy ksiądz szukał na czworakach... tej swojej drogi... No, no!...

- Ja pana nie widziałem - wyszeptał ksiądz Donissan. - Czy to możliwe? Naprawdę pan był tam? Czy mógłby mi pan powiedzieć...?

Nie dokończył. Znów zaczął się zsuwać, pionowo i z coraz większą szybkością. Ciemności, w które się pogrążył, świszczały mu w uszach jak głęboka woda.

Rozłożył ręce, oburącz objął krzepkie ramiona, uczeplił się ich z całych sił. Tułów, do którego się przyciskał, gruzłowaty był twardy jak dąb; zaskoczony, nie zachwiał się, ani drgnął. A biedny ksiądz poczuł na twarzy dotyk i ciepło tamtej obcej twarzy.

W ciągu sekundy na nieuchwytny ułamek czasu zatracił wszelką myśl - wyczuwał tylko napotkane oparcie - stężałą bryłowatość zapory, która go oto zatrzymała nad urojoną przepaścią. Napierał na nią całym swym ciężarem z wciąż wzrastającym w półprzytomnym poczuciem bezpieczeństwa.

Zamroczenie, jakby roztopione w głębi piersi tajemniczym jakimś ogniem, powoli odpływało z żył.

Wtedy to, dokładnie w tym momencie, i zupełnie nagle, aczkolwiek owo nowe przeświadczenie stopniowo przecież gruntowało się w jego świadomości; wtedy to,

powiadam, wikary z Campagne pojął, że napotkał wreszcie to, przed czym uciekał przez całą tę koszmarną noc.

Byłże to lęk? Czy rozpaczliwe przekonanie, że co się miało stać, wreszcie się stało, że dokonało się nieuniknione? Czy owa gorzka radość skazańca, który już nie ma się czego spodziewać ani o co walczyć? Lub może raczej przecucie losu proboszcza z Lumbres? Tak czy inaczej ledwie trochę się zdziwił, usłyszawszy głos, który mówił:

- Proszę się trzymać... nie puszczaj mnie, póki ta mała zapaść nie minie. Jestem naprawdę twoim przyjacielem - kolego mój - szczerze cię miłuję.

Jedna ręka tamtego obejmowała go wpół delikatnie, łagodnie, a z nieodpartą siłą. Głowa całkiem mu opadła, wcisnęła się mocno w zagłębienie między ramieniem i szyją.

Tak mocno, że na czole i policzkach czuł gorąco oddechu.

- Zaśnij sobie na mnie, dziecino mego serca - mówił głos tym samym tonem. - Trzymaj się mnie mocno, głupi zwierzaku, marny księżyno, mój kolego. Wypocznij. Długo cię szukałem, dobrze upolowałem. No i jesteś. Jak ty mnie miłujesz! Ale jak będziesz miłował mnie jeszcze, bo nie zamierzam prędko cię porzucić, mój cherubinie, żebraku z tonsurą, stary towarzyszu na wieki wieków!

Po raz to pierwszy święty z Lumbres słyszał, widział, dotykał tego, kto miał być wielce haniebnym uczestnikiem jego bolesnego żywota, a ileż jeszcze razy, jeżeli damy wiarę niektórym jego powiernikom lub świadkom pewnego skrytego przeżycia, ileż jeszcze razy miał on go słyszeć aż do momentu ostatecznego wyzwolenia! To było po raz pierwszy, a jednak rozpoznał go bez trudu. Nie zostało mu nawet dane w tej minucie zwątpienie we własne zdrowe zmysły i własny

I rozum. Albowiem nie należał do ludzi naiwnie przypisujących znajomemu już dręczycielowi, obecnemu we wszystkich naszych myślach, oględnie wprawdzie i cierpliwie zalewającemu nas swoją nienawiścią, epickiej postawy i stylu... Nikt inny w położeniu wikarego z Campagne, nawet o równie przenikliwym umyśle, nie zdołałby pohamować pierwszego odruchu przerażenia albo chociaż dreszczu odrazy. On jednak, stężył ze zgrozy, zamknąwszy oczy, jak gdyby pragnął skupić wszystkie swe siły, starając się oszczędzić sobie każdego zbędnego poruszenia, dobywał z siebie całą wolę niczym szpadę z pochwy, ażeby uśmierzyć trwogę.

Niemniej kiedy plugawe wargi w jakimś przystępie świętokradczego oblędu przywarły do jego ust kradnąc mu oddech, przerażenie doszło do takiego szczytu, iż wydało mu się, że ustaje w nim pulsowanie życia, a serce wylewa swą zawartość w trzewia.

- Otrzymałeś pocałunek przyjaciela - powiedział spokojnie handlarz koni, ocierając wargi grzbietem dłoni. - Teraz ja z kolei wypełniłem cię sobą, ty cyborium Jezusa

Chrystusa, kochany głupty! nie przerażaj się takim drobiazgiem: całowałem już przed tobą wielu, wielu innych.

Chcesz, żebym ci powiedział? Ja całuję was wszystkich, czuwających czy śpiących, umarłych czy żywych. Taka jest prawda. Cała moja radość to przebywać z wami, ludziki bogowie, dziwaczne, dziwaczne, o, jakże dziwaczne stworzenia!

Szczerze mówiąc, rzadko was opuszczam. Nosicie mnie w waszych ponurych ciałach, mnie, którego istotą była jasność - w trojakich zwojach waszych wnętrzości - mnie, Lucyfera...

Liczę was. Żaden mi nie ujdzie. Już po samym zapachu poznaję każde bydłatko z mojego małego stada.

Cofnął nagle ramię, którym do tej pory wciąż jeszcze opasywał księdza Donissan i odsunął się lekko, jak gdyby chciał, żeby upadł. Twarz świętego z Lumbres była blada i stężała jak u trupa. Usta podniesione w kącikach bolesnym grymasem przypominającym przeraźliwy uśmiech, oczy mocno zaciśnięte, wykrzywione rysy - świadczyły o cierpieniu.

Ledwie trochę przechylił się na bok. Siedział na brzegu płaszcza, ponuro znieruchomiały.

Towarzysz spojrzawszy nań z ukosa natychmiast odwrócił wzrok i wykonał prawie nieuchwytny gest zdziwienia. Potem odsapnąwszy hałaśliwie wyciągnął z kieszeni wielką chustkę do nosa i najzwyczajniej w świecie otarł sobie czoło i policzki.

- No, dość już żartów, księżu dobrodzieju - powiedział. - Noc przed świtem jest paskudnie chłodna o tej przeklętej porze!

Klepnął go przyjaźnie po ramieniu, tak jak się dla zabawy popycha jakiś przedmiot o chwiejnej równowadze, albo jak dzieci popychają bałwana ze śniegu, który się zaraz rozpada przy akompaniamencie ich wrzasków. Wikary z Campagne nie zachwiał się jednak, a tylko powoli otworzył oczy.

I wprawdzie żaden rys jego twarzy nie drgnął, lecz spod powiek jęło wypływać czarne szklane spojrzenie.

- Proszę księdza! Hej! Księżu! Dobrodzieju! - zawołał handlarz koźmi donośnym głosem. - Bo mi tu zemrzesz, przyjacielu! Już stygniesz... Hej, no!

Ujął obie jego ręce w swoją jedną, wielką dłoń, drugą zaś zaczął je miarowo poklepywać.

- Wstawaj, do pioruna! Trzeba się podnieść na nogi, u licha! Słowo daję, krew może człowiekowi zamarznąć!

Wsunął mu palce pod sutannę i pomacał serce. Później szeregiem szybkich, rzecz można migawkowych, ruchów jął dotykać czoła, oczu, ust. Jeszcze później ujął znów jego dłonie w swoje i dmuchał na nie swym oddechem. Każdy z tych ruchów zdradzał pośpiech trochę gorączkowy, jaki przejawia robotnik, kiedy wykańcza jakąś misterną robotę i boi się, czy nie zaskoczy go zmrok albo nie przeszkodzą mu jakieś nieproszone odwiedziny. W końcu przycisnął nagle ręce do piersi i dygocząc, jakby się z wolna pogrążał w głęboką lodowatą wodę, gwałtownie poderwał się na nogi.

- Jestem wytrzymały na zimno - powiedział - jestem cudownie wytrzymały na zimno i na gorąco. Zdumiewa mnie jednak, że ksiądz ciągle jeszcze siedzi tu bez ruchu na tym lodowatym błocie. Powinien już ksiądz umrzeć, słowo daję...

Prawda, żeś się sporo nachodził przed chwilą, na drodze, kochany przyjacielu... Mnie, przyznaję, jest zimno... Zawsze mi jest zimno. Opowiadanie o tym niełatwo ze mnie wyciągnąć... Ale to jednak prawda... Ja jestem samo ZIMNO.

Istota mojej jasności to zimno nie do zniesienia... Ale dajmy temu pokój... Widzi ksiądz przed sobą biednego człeczynę, z zaletami i wadami swojego stanu... faktora od szkap nor-mandzkich i bretońskich... koniarza, jak oni tu mówią... Ale i temu dajmy spokój! Proszę mieć tylko na względzie przyjaciela, towarzysza tej bezksiężycowej nocy, dobrego kompana... Proszę nie nalegać! I nie wyobrażać sobie, że uzyska ksiądz dużo innych informacji o naszym niespodziewanym spotkaniu. Pragnąłem tylko oddać tę przysługę, i żeby zaraz potem ksiądz o mnie zapomniał. O, ja księdza nie zapomnę!

Księdza ręce sprawiły mi wielki ból... a także czoło, oczy, usta... Nigdy ich nie rozgrzeję: dosłownie zmroziły mi szpik, zlodowaciały kości; to na pewno te namaszczenia, wasze przeklęte smarowanie się święconymi olejami - czarodziejskie sztuczki. Nie mówmy już o tym... Proszę pozwolić mi odejść... Mam jeszcze przed sobą długi szmat drogi. Nie jestem zmęczony. Rozstańmy się tutaj. Niech każdy ciągnie w swoją stronę.

Chodził w tę i z powrotem w gniewnym podnieceniu, wymachiwał rękami, nie oddalał się jednak więcej niż o parę kroków. Albowiem ksiądz Donissan podążał za nim swym mrocznym spojrzeniem. A jego wargi już się teraz nie poruszały na nieruchomym obliczu.

Oblicze to wyrażało obecnie nie tyle lęk, co bezgraniczną ciekawość. Można by powiedzieć nienawiść, ale nienawiść rozpala płomień w ludzkim oku. Albo zgrozę, ale zgroza jest bierna, a żaden okrzyk trwogi ani odrazy nie rozwarłyby tych szczęk, ściśniętych z zacieklą determinacją. Czczą chęć zdobycia wyjaśnień nie ma w sobie również owej

wzniosłej godności. Jeszcze pokorny mimo zwycięstwa, które z każdą chwilą stawało się bardziej całkowite i pewne, wikary z Campagne dobrze wiedział, że pokonanie takiego przeciwnika zawsze jest wątpliwe, kruche, nietrwałe. Cóż stąd, że przez chwilę widzi nieprzyjaciela u swoich stóp, zdanego na łaskę?

Przecież to morderca dusz, któremu należy wydrzeć kogoś z jego tajnych zakamarków.

Nagle osobliwy piechur stanął jak wryty, jakby swą gestykulacją zacisnął jakieś niewidzialne więzy, niby spętany byk.

Głosem, który przed chwilą wznosił się do najwyższych tonów, teraz zaś odzyskał zwykłe brzmienie, wypowiedział niemal z prostotą takie oto słowa:

- Zostaw mnie. Twoje doświadczenie dobiegło końca.

Nie wiedziałem, że jesteś taki mocny. Kiedyś później jeszcze się pewno zobaczymy. Albo, jeśli zechcesz, nie zobaczymy się nigdy. Od tej chwili nie mam już nad tobą żadnej władzy.

Znowu wyciągnął z kieszeni wielką chustkę i gorączkowo otarł sobie twarz i rękę. Oddech, jaki wydobywał się spomiędzy jego warg, był boleśnie świszczący.

- Nie mamrocz tych swoich pacierzy. Zamilcz. Twoje egzorcyzmy nie warte są złamanego szeląga. To twojej woli nie zdołałem przełamać. Och, jakież wy dziwaczne zwierzaki jesteście!

Rozglądał się na prawo i lewo z rosnącym niepokojem.

Nawet odwrócił się raptownie i badawczo wpatrzył w mrok za sobą.

- Te łachmany zaczynają mi ciążyć - powiedział jeszcze, gwałtownie poruszając ramionami. - Marnie się czuję w tym moim futerale ze skóry... Rozkaż, a nie zostanie już po mnie ani śladu, nawet zapachu...

Przez długą chwilę stał z twarzą ukrytą w dłoniach, jak gdyby zbierał siły. Gdy podniósł głowę, ksiądz Donissan po raz pierwszy ujrzał jego oczy, i jęknął.

Tak dotkliwego ucisku w piersiach nie doznałby nawet ktoś, kto oburącz uczepony wierzchołka masztu straciłby nagle równowagę ciężenia i ujrzał, jak w dole pod nim opada głęboko i wydyma się już nie morze, ale cała otchłań gwiezdna kipiąca na tryliony mil pianą rodzących się mgławic, w próżni, której nic nie zmierzy, a którą on ma przenikać w swym wiekuistym spadaniu. Serce dwukrotnie załopotало mu z furią żebra i stanęło. Mdłości poderwały trzewia. Podkurczone rozpaczliwie palce, jedne tylko żywe w jego skamieniałym ze zgrozy ciele, jęły drapać ziemię jak pazury. Pot spływał mu po grzbiecie. Nieulekły ten człowiek, którego jak gdyby przygięło wyrwało z ziemi przemożne wezwanie nicości, pojął,

że tym razem jest bezpowrotnie zgubiony. A jednak nawet i w tej minucie jego ostatnia myśl była wciąż jeszcze niejasnym wyzwaniem.

I natychmiast, od razu, życie na mgnienie zatrzymane zaczęło znowu krążyć w jego żyłach, znów zatętniło w skro-niach. Spojrzenie, nadal wlepione w jego oczy, przypominało już teraz każdy inny wzrok, i ten sam głos przemawiał do jego uszu, jak gdyby wcale nie zamilkł.

- Opuścę cię - mówił. - Nie zobaczysz mnie już nigdy. Mnie widzi się tylko raz. Tkwij sobie w twoim głupim uporze. Ach, gdybyście wiedzieli, jaką zapłatę szykuje wam twój pan... nie byłbyś taki ofiarny, bo tylko my - tak, my, powiadam - tylko my nie daliśmy mu się oszukać, i mając do wyboru jego miłość albo nienawiść - z mistrzowską przebiegłością, niepojętą dla waszych błotnistych mózgów, wybraliśmy nienawiść... Ale po cóż mam cię tu oświecać, ty psie płaszczący się u nogi, uległy zwierzaku, niewolniku, który co dnia tworzy sobie swojego pana!

Nachyliwszy się z niezwykłą zręcznością, wziął na chybił trafił jakiś kamyk z drogi, podniósł go ku niebu, wypowiedział słowa konsekracji i zakończył je radosnym rzeniem... A wszystko to z błyskawiczną szybkością. Echo tego śmiechu rozbrzmiało do krańców horyzontu. Kamień poczerwieniał, zbiełał i nagle buchnął wściekłym płomieniem. Wciąż się jeszcze śmiejąc rzucił go w błoto, gdzie zgasł z przeraźliwym sykiem.

- To tylko zabawa - powiedział - dziecinna zabawa.

Niewarta nawet oglądania. No, ale jednak nadeszła godzina, kiedy musimy rozstać się na zawsze.

- Idź sobie! - rzekł święty z Lumbres. - Kto cię zatrzymuje?...

Głos jego był ściszony i spokojny, z ledwie uchwytnym drżeniem litości.

- Przyjmuje się nas z przerażeniem - odpowiedział tamten równie cichym głosem - ale nie opuszcza się bezpiecznie.

- Idź sobie - powtórzył łagodnie wikary z Campagne.

Ohydna figura podskoczyła, zawirowała parę razy z niewiarygodną zręcznością, po czym, jakby gwałtownie wyrzucona z nieodpartego rozpędu, wyleciała o kilka kroków, z rękoma wyciągniętymi niczym człowiek, który na próżno usiłuje odzyskać równowagę. Aczkolwiek dziwnie komiczny był ten niespodziewany piruet, kolejność ruchów, ich wyrachowana gwałtowność, zwłaszcza zaś ich nagłe zahamowanie miało w sobie coś niesamowitego, co nie nastrajało Jo ^miechu.

Niewidzialna zapora, na którą natknął się raptem czarny bojownik, zapewne nie była czymś zwykłym, bo choć zdawało się, że z niesłychaną zwinnością uniknął zderzenia, w wielkiej ciszy ledwo wyczuwalnie, ale aż w swych posadach zadrżała i jęknęła ziemia.

Cofnął się wolno, ze spuszczoną głową, i siadł, bezszelestnie, jak gdyby z pokorą.

- A więc ksiądz mnie trzyma - powiedział, wzruszając ramionami. - Radzę upajać się swoją mocą tak długo, jak księdzu jest dane.

- Ja nie mam żadnej mocy - odpowiedział smutno ksiądz

Donissan. - Po cóż mnie kusić? O nie, ta moc nie pochodzi ode mnie, i ty o tym wiesz. Niemniej przyglądam ci się od chwili, nie bez pożytku dla siebie. Twoja godzina nadeszła.

- Niezbyt to jest dorzeczne - odparł tamten łagodnie. - O jakiej godzinie ksiądz mówi? Czy dla mnie w ogóle istnieje jakaś godzina?

- Dane mi jest widzieć cię - wyrzekł powoli święty z Lumbres. - Widzę cię na tyle, na ile jest to możliwe dla ludzkich oczu. Widzę cię miazdzonego cierpieniem aż do granic unicestwienia... które jednak nie stanie się twoim udziałem, ty stworzenie skazane na męki!

Przy ostatnich tych słowach potwór stoczył się z pochyłości na drogę i jął tarzać w błocie wijąc się w straszliwych drgawkach. Potem nagle stężał z okropnie wygiętym grzbietem, wspierając się na głowie i piętach jakby w ataku tęcza.

Aż wreszcie ozwał się głos przeszywający, piskliwy, rozdzierający:

- Dosyć! Dosyć! Ty poświęcony psie, ty kacie! Kto cię nauczył, że z wszystkiego na świecie najbardziej boimy się litości, ty namaszczona bestio! Rób ze mną, co ci się podoba...

Jeżeli jednak popchniesz mnie do ostateczności...

Jakież człowiek mógłby wysłuchać bez zgrozy tej skargi wypowiedzianej słowami - a przecież spoza świata?

Jakież człowiek nie poczułby co najmniej zwątpienia we własny rozum? Atoli święty z Lumbres już wlepiwszy wzrok w ziemię myślał jedynie o duszach, które tamten zatracił...

Przez cały czas, dopóki się modlił, tamten nadal jęczał i zgrzytał, ale coraz słabiej. Kiedy wikary z Campagne wstał, zamilkł już zupełnie. Leżał na ziemi jak zrzucona skóra.

- Czegoś ty ode mnie chciał tej nocy? - zapytał ksiądz

Donissan z takim spokojem, jakby się zwracał do kogoś z bliskich znajomych. t

Z nieruchomej skóry wydobył się nowy głos:

- Dozwolono nam doświadczać cię od dnia dzisiejszego do samej twojej śmierci... A zresztą czyż i ja sam nie byłem tylko posłuszny nakazowi kogoś potężniejszego? Nie napastuj mnie, o ty, sprawiedliwy, nie zagraża] mi już swoją litością!

- Czego ode mnie chciałeś? - powtórzył ksiądz Donissan. - Nie próbuj kłamać. Mam sposób, żeby cię zmusić do mówienia.

- Ja nie kłamię. Odpowiem ci. Ale przestań na chwilę się modlić. Po co to, jeżeli jestem posłuszny? On wysłał mnie do ciebie, żebym cię wypróbował. Czy mam ci powiedzieć, jaka to miała być próba? Dobrze, powiem. Któż zdołałby ci się oprzeć, panie mój!

- Zamilcz - odparł ksiądz Donissan tak samo spokojnie. - Próba pochodzi od Boga. Będę na nią czekał nie pragnąc o niczym się dowiadywać, zwłaszcza z takich ust. To

Bóg daje mi obecnie siłę, której nie potrafisz przełamać.

W tymże momencie to, co miał przed sobą, zniknęło albo raczej zatarły się rysy i kształt, zmieszały się w tajemniczej wibracji, jak szprychy koła obracającego się z największą szybkością. Po czym z wolna rysy zaczęły się znów formować.

I wikary z Campagne ujrzał nagle przed sobą swego sobowtóra o podobieństwie tak doskonałym, tak finezyjnym, że można by go przyrównywać nie tyle do obrazu odzwierciedlonego w lustrze, co do jedynego niepowtarzalnego, głęboko utajonego wyobrażenia, jakie każdy z nas ma o samym sobie.

Cóż powiedzieć? To była jego własna ogorzała twarz, jego sutanna zachlapaną błotem, jego odruchowy sposób przyciskania ręki do serca; to był jego wzrok, a w nim wyczytał swoją trwogę. Nigdy jednak jego własna świadomość, zaprawiona przecież do szczegółowego rachunku sumienia, nie zdołałaby sama z siebie dojść do tak niezwykłego rozdziwienia.

Najbardziej wnikliwa introspekcja potrafi uchwycić tylko jeden na raz przejaw życia wewnętrznego. Natomiast przyszły święty z Lumbres w owej chwili dostrzegał zarazem całokształt i szczegóły, własne myśli wraz z ich korzeniami i rozgałęzieniami, całą mnogość sieci wiążących je wzajem z sobą, najlżejsze drgnienia woli, tak jakby obnażone ciało mogło ukazywać w zarysie swych tętnic i żył pulsowanie życia.

Wizja ta, pojedyncza i wieloraka jednocześnie, podobna widzeniu człowieka, który by mógł obejmować spojrzeniem przedmioty w ich potrójnym wymiarze, była tak doskonała, że nieszczęsny kapłan rozpoznał, widział oto sam siebie nie tylko w teraźniejszości, ale w przeszłości, w przyszłości, całe swoje życie... Jakże to, Chryste Panie, czyż jesteśmy tak przezroczyści dla wroga, który na nas czyha? Czyż jesteśmy tacy wydani, bezbronni, na pastwę jego przemyślanej nienawiści?

Przez chwilę stali tak naprzeciw siebie. Złudzenie było zbyt nieuchwytnie, by ksiądz Donissan mógł naprawdę odczuć przerażenie. Bez względu na wysiłki, jakie czynił, nie był w

stanie całkowicie odróżnić się od swojego sobowtóra, a przecież zachował połowiczne poczucie własnej jedności, jednolitości. Nie, to nie było przerażenie, ale lękliwa trwoga, zupełnie wyjątkowa, tak dojmująca, że zamysł zwrócenia się do tej podobizny jak gdyby do wroga, który przybrał jego własną postać, wydał mu się prawie niedorzeczny. A jednak się odważył.

- Idź precz, Szatanie! - rzucił przez zaciśnięte zęby...

Lecz słowa uwięzły mu w gardle, a ręka, którą zwrócił przeciw samemu sobie, jeszcze drżała. Niemniej chwycił to ramię, wyczuł jego siłę nie konając z przerażenia, jął ścisnąć je, aby zmiażdżyć, ugniatać palcami z nagłą zaciekłością. Miał przed sobą swoją własną twarz, własny wzrok, na policzku czuł własny oddech, własne ciepło pod ręką... A potem wszystko zniknęło.

Z żalostnej skóry, wciąż jeszcze leżącej w błocie, znów wydobył się głos.

- Łamiesz mnie, depcesz, zżerasz - jęczał. - Co z ciebie za człowiek, że niszczysz taką cenną wizję, choć jej nawet dobrze jeszcze nie obejrzałeś?

- Nie to mi jest potrzebne - odpowiedział ksiądz Donissan. - Po cóż mi znać samego siebie? Rachunek sumienia bez innych naświetlań wystarcza biednemu grzesznikowi.

Mówił tak, aczkolwiek żal za utraconą wizję odczuwał boleśnie każdym włóknom ciała. Po oszołomieniu nadprzyrodzoną ciekawością, która już teraz nigdy nie miała być zaspokojona, nie mógł odzyskać tchu, czuł w sobie pustkę.

Sądził jednak, że dobija do celu.

- Dochodzisz do dna swoich chytryści - powiedział do tego, co trzęsło się na ziemi i co nogą spychał z drogi. - Kto wie, ile czasu mam jeszcze przed sobą? Śpieszmy się! Śpieszmy!

Nachylił się bardzo nisko, nie tyle, by nadstawić ucha, co w instynktownym odruchu żarliwości, która go spalała:

- Odpowiadaj więc! (Nakreślił znak krzyża nie nad tym, co przed nim leżało, ale na własnej piersi.) - Czy Bóg darował ci moje życie? Czy tu, teraz mam skonać?

- Nie - odparł ten sam rozdzierający głos. - Nie mamy nad tobą władzy.

- W takim razie czy będę żył jeden dzień, czy dwadzieścia lat, winienem wydrzeć ci twoją tajemnicę. I wydrę ci ją, choćbym miał iść za tobą tam, gdzie przebywają twoi. Nie lękam się ciebie! Nie boję się! Niewątpliwie znów stałeś się dla mnie niepojęty, ale widziałem cię przed chwilą, ty potępieńcu.

Czy nie dość już dusz zgubiłeś? Czyż trzeba ci nowych jeszcze ofiar? Jesteś w moich rękach. Spróbuję uczynić to, czym Bóg mnie natchnie. Będę wymawiał słowa, które budzą w

tobie zgrozę. Przygwożdżę cię do moich modlitw jak sowę. Chyba że wyrzekniesz się swoich poczynań przeciwko duszom, które mnie są powierzone.

Ku wielkiemu swojemu zdumieniu, i właśnie w chwili, kiedy sądził, że dobył z siebie najwyższą, nieodpartą siłę, zobaczył, że leżący łachman porusza się, wzdyma, znowu przybiera ludzką postać i że to dobroduszny towarzysz pierwszej godziny odpowiada mu teraz:

- O, was, ciebie i twoich modlitw, boję się o wiele mniej niż tego... - (W szyderczo rozpoczętym zdaniu zabrzmiała nuta przerażenia.) Jest tu niedaleko... Wietrzę go już od chwili... Och, och! Ależ to srogi pan!

Zadrżał od stóp do głów. Po chwili opuścił głowę na ramię i twarz znów mu się rozjaśniła, jakby postyszał, że oddalają się wrogie kroki. Jął mówić dalej:

- Przyparłeś mnie do muru, ale ci się wymykam. Chcesz niby powstrzymać moje działania! Ależ z ciebie wariat!

Jeszcze się nie nasyciłem krwią chrześcijańską! Dziś uczyniona ci została łaska... Drogo za nią zapłaciłeś. Zapłacisz jeszcze drożej!

- Jaka łaska? - wykrzyknął ksiądz Donissan.

Chętnie by zatrzymał to zdanie, ale tamten już je podchwycił. Plugawe usta drgnęły z radości.

- Tak jak siebie przed chwilą widziałeś (po raz pierwszy i ostatni), tak będziesz oglądał... będziesz oglądał... He, he!...

- Co przez to rozumiesz, ty kłamco? - zawołał wikary z Campagne.

Jak gdyby ten okrzyk zaciekawienia, pomimo swej obraźliwości, całkowicie przywrócił mu równowagę i pewność siebie, dziwny osobnik podniósł się wolno, usiadł z pozornym spokojem i zaczął uważnie zapinać guziki swej skórzanej kurtki. Pikardyjski koniarz siedział na dawnym miejscu, jakby się nigdy z niego nie ruszał. Przyszłemu świętemu z Lumbres opadła ręka. Dziwna rzecz! Wytrzymawszy tyle obrazów niesamowitych lub straszliwych, teraz ledwie odważał się podnieść oczy na tę nieszkodliwą zjawę, chłopinę tak zdumiewająco podobnego do tylu innych. I chyba nic też nie potrafiłoby uprzytomnić kontrastu między tymi łobuzersko skrzywionymi ustami przemawiającymi znajomym akcentem, a potwornością wypowiedzianych przez nie słów.

- Nie wymykaj się tak szybko. Nie bądź taki łasy naszych tajemnic. Niedaleka przyszłość pokaże ci, czy kłamałem, czy nie. A zresztą, gdybyś przed chwilą zadał sobie trud popatrzenia na to, co ci podsuwałem pod oczy, nie potrzebowałbyś mi teraz ubliżać. (Użył innego wyrażenia.)

Tak jak widziałeś samego siebie, zobaczysz, powiadam ci, jeszcze paru innych... Jakaż szkoda, że podobny dar dostał się takiemu tępakowi jak ty!

Chuchnął w złożone ręce prychając wargami jak człowiek, którego nagle ogarnie przejmujące zimno. W zaczerwienionej twarzy śmiały mu się tylko oczy, a ich niezwykła ruchliwość pod w półprzymkniętymi powiekami mogła równie dobrze wyrażać radość co pogardę. Radość jednak wzięła górę.

- Ho, ho! jakież zakłopotanie! Co za milczenie! - mruczał. - Przed chwilą był ksiądz znacznie zwawszy, taki straszny dla demonów, egzorcysta, wielki mag, o, święty mojego serca!

Przy każdym wybuchu śmiechu ksiądz Donissan się wzdrygał, po czym natychmiast zapadał w tępą martwość, jako że jego odrętwiały mózg nie był już w stanie formułować żadnej myśli.

Tamten zaś energicznie zacierał ręce.

- Jaka łaska?... Jaka łaska?... - powtarzał przedrzeźniając pociesznie swoją ofiarę... - W walce, jaką nam wydajesz, łatwo jest zrobić fałszywy krok. Twoja ciekawość oddała cię na chwilę w moje ręce.

Zbliżył się i ciągnął poufnie:

- Wy nie macie o nas najmniejszego pojęcia, mali bogowie pełni zarozumiałości. Nasza zaciekłość jest cierpliwa.

Nasza wytrwałość taka przenikliwa! Prawda, że zmusza nas

On do służenia swoim planom, bo Jego słowo ma moc nieodpartą. Prawda - czemuż mam temu zaprzeczać? - że nasza przeprawa dzisiejszej nocy na pozór haniebnie się dla mnie zakończyła... (Och, kiedy cię przed chwilą mocniej przycisnąłem, Jego myśl na tobie spoczęła, i nawet twój anioł zadrżał, zawirował błyskawicznie.) Tylko że twoje błotniste oczy niczego nie widziały.

Parsknął rżącym śmiechem.

- Hi, hi, hi! Ze wszystkich, jakich widziałem, naznaczonych tym samym co ty znamieniem, ty jesteś najbardziej ociężały, tępy, najbardziej zatwardziały!... Ryjesz swoją bruzdę jak wół, walisz we wroga jak cap... Od stóp do głów doskonały cel.

A ksiądz Donissan nadal z niemym przerażeniem wpatrywał się w niego, wstrząsany gwałtownym dreszczem.

Niemniej coś jakby modlitwa - niepewna wprawdzie, bezładna, niewyraźna - błąkało się w jego pamięci nie dając się jeszcze uchwycić świadomości. I odnosił wrażenie, że ściśnięte serce rozgrzewa mu się trochę pod żebrami.

- Będziemy pracować nad tobą rozumnie - ciągnął tamten. - Strzeż się, byś nie zaczął nam szkodzić. Teraz my z kolei będziemy cię dręczyć. Nie ma takiego nieokrzeseanego gburą, którego byśmy nie umieli wykorzystać. Ocioszemy cię, wysubtelnimy.

Przybliżył swą okrągłą głowę, rozpaloną z przypływu krwi.

- Tulilem cię do piersi; piastowałem cię w ramionach. Ileż to jeszcze razy ty będziesz mnie hołubił sądząc, że przyciskasz do serca tamtego! Bo tak jesteś naznaczony. Takie jest na tobie piętno mojej nienawiści.

Położył mu obie ręce na ramionach, zmusił, by ugiął kolana, by dotknął kolanami ziemi... Nagle jednak wikary z Campagne zerwał się i rzucił na niego. Ale przed nim była tylko pustka i mrok.

I znów zaległa noc, dokoła niego i w nim. Nie czuł się zdolny do najmniejszego ruchu. Tylko słuch wiązał go z życiem.

Słyszał bowiem słowa, wypowiedane opodal, ale słowa bez wagi, jakby zawieszane w powietrzu niby senne rojenia.

Potem zaś wielkim wysiłkiem zdołał je połączyć z żywymi istotami, które kręciły się przy nim. Jedna z tych postaci - zmyślonych czy nie - oddaliła się. Słuchał, jak jej głos cichnie, i cichnie także skrzypienie butów na piasku. Wreszcie poczuł, że go podnoszą, że zgięte ramię, które go podtrzymuje, boleśnie gniecie mu plecy. I coś także uciska wargi i zęby.

Ognisty płomień przeleciał przez gardło i piersi. Rozchyliła się ciemność, o którą tłukł się jego wzrok. W oczach pojawiło się mgliste światło i powoli zaczęło się kształtować.

Dojrzał stojącą opodal na ziemi jasną latarnię, jakich używają rybacy w wietrzne noce. Ktoś nieznajomy podtrzymywał go jedną ręką i wlewał mu do ust płyn z żołnierskiej manierki.

- Proszę księdza - powiedział ten człowiek - był już najwyższy czas...

- Czego ode mnie chcecie? - wyjąkał ksiądz Donissan.

Mówił możliwie wolno i rozważnie. Ale w oczach miał jeszcze tamtą wizję i nieznajomy zachnął się ze zdziwienia czy przerażenia, czego biedny znękany kapłan nie mógł zrozumieć.

- Ja jestem Jan Maria Boulaimdille, kamieniarz z Saint-

- Pre, brat Żermeny Duflos z Campagne. Dobrze znam księdza. Co, już trochę lepiej?

Odwracał oczy z pełnym współczucia zakłopotaniem.

- Zobaczyłem księdza na drodze, zemdlonego. A przede mną spotkał księdza pewien zacy chłopak z Marelles, handlarz koni, kiedy wracał z jarmarku w Etaples. We dwóch przenieśliśmy księdza tutaj.

- Widzieliście go? - wykrzyknął ksiądz Donissan. - On tu jest!

Poderwał się tak gwałtownie, że potrącony Jan Maria

Boulainville zachwiał się na nogach. Lecz tłumacząc sobie po swojemu tę osobliwą reakcję, powiedział z prostotą:

- Chciałby go ksiądz o coś spytać? Mam go zawołać? Na pewno daleko nie uszedł.

- O nie, przyjacielu - odparł wikary z Campagne - nie wołajcie go. Zresztą czuję się już dużo lepiej. Pozwólcie, że sam zrobię parę kroków.

Oddalił się chwiejnie. Lecz stopniowo szedł coraz to pewniej. Gdy się znów przybliżył, był już spokojny.

- Znacie go? - zapytał.

- Niby kogo? - zdziwił się kamieniarz.

Lecz zaraz się zreflektował.

- Tego chłopaka z Marelles! - wykrzyknął radośnie. - Czy ja go znam! W zeszłym miesiącu na jarmarku w Fruges sprzedał mi dwie młode kobyłki. Ano tak!... Jeżeli wolno coś doradzić, proszę księdza, przejdźmy teraz razem kawałek drogi. Od ruchu ksiądz prędzej dojdzie do siebie. Ja idę stąd prosto do kamieniołomów w Ailly, tam pracuję. Przez ten czas ksiądz się pozbiera. Jeżeli poczuje się gorzej, to można wynająć wóz u Sansonneta, w oberży pod „Sroką Złodziejką”!

- No to chodźmy - odparł przyszyły święty z Lumbres. - Już wróciłem do sił. Już wszystko dobrze, przyjacielu.

Przez pewien czas szli razem. Wtedy to ksiądz Donissan zrozumiał prawdziwy sens pewnego zasłyszanego zdania:

„Niedaleka przyszłość pokaże, czy ja kłamałem, czy nie”.

Szli najpierw wolno, potem już prędzej, drogą dość uciążliwą, tak porytą wybojami z jesieni, że zimą pojazdy zapuszczały się na nią tylko w tęgie mrozy. I teraz wkrótce się okazało, że nie sposób im iść obok siebie. Kamieniarz wysunął się do przodu. Wikary z Campagne szedł za nim z oczyma spuszczoneymi, uważając na wertepy, stawiając mocno nogi w grubych butach i starając się dotrzymać kroku towarzyszowi. Jego ciało jeszcze trzęsło się z zimna, zmęczenia i gorączki, lecz w tragicznej prostocie ducha już prawie zapomniał mrocznych zjawiskach tej niezwyklej nocy. Z pewnością nie przez lekkomyślność ani ołpienie skrajnego wyczerpania.

Świadomie, acz bez większego wysiłku, usuwał z myśli wspomnienia. Głębsze dociekania odkładał naiwnie do stosowniej - szej chwili, może na przykład do najbliższej spowiedzi. Iluż innych na jego miejscu nękałaby dwojaka obawa - że są igraszką własnego obłędu albo że zostali straszliwie naznaczeni do wielkich nadprzyrodzonych prób! On zaś opanowawszy pierwsze przerażenie czekał ulegle nowych zakusów złego koniecznej mu łaski Boga. Czy był opętany, czy szalony, wyprowadzony w pole przez własne urojenia, czy przez demony, jakież to miało znaczenie, skoro owa łaska się należy i bez wątpienia zostanie udzielona...? Czekał odwiedzin Pocieszyciela z niewinną ufnością dziecka, które, gdy nadchodzi godzina posiłku, podnosi oczy na ojca, a jego małe serduszko nawet w największej biedzie ani przez chwilę nie wątpi, że otrzyma swój chleb powszedni.

W ciągu godziny przeszli razem ponad trzy czwarte drogi do kamieniołomów w Ailly. Nie znał tej drogi, bacznie też uważał, aby nie zboczyć na prawo czy na lewo. Niejeden raz noga mu się pośliznęła: gliniaste błoto pryskało aż na twarz i oślepiało go. To ciągle natężanie umysłu połączone z rodzajem oporu wewnętrznego, instynktowne trzymanie na wodzy przemęczonej już wyobraźni odciągało jego myśl od nowego, trudnego do określenia wrażenia, które niełatwo przyszłoby mu zgłębić, nawet gdyby poczuł ochotę. Powoli jednak wrażenie to stawało się tak żywe, albo, chcąc lepiej je określić (ponieważ jego działanie było szczególnie jakoś błogie), takie uporczywe, nieustanne, że w końcu ogarnął go niepokój. Czy pochodziło z zewnątrz, czy zrodziło się w nim? Było ono w głębi piersi ciepłem jakby niematerialnym, jakby rozszerzaniem się serca osobliwą radością. I było również czymś więcej, tak blisko, tak natarczywie rzeczywistym, iż przez chwilę mu się zdawało, że to już świta, lub jeszcze świeci księżyc. Czemu jednak nie śmiał podnieść oczu?

Szedł bowiem nadal ze wzrokiem utkwionym w drogę, powiekami niemal zamkniętymi, nie dostrzegając żadnego światła, żadnego odbłasku poza ledwie uchwytnym połyskiwaniem błotnistej wody. A przecież byłby przysiągł, że posuwa się w jasności łagodnej i przyjaznej, w złocistym pyle. Sam się przed sobą do tego nie przyznając, a może i nie wierząc, obawiał się, że jeśli podniesie głowę, pierzchnie zarazem i jego złudzenie, i radość. Nie lękał się tej radości, czuł, że nie zdołałby już od niej uciec, póki jej nie rozpozna, jak mu się już tylokrotnie zdarzało. Był przyciągany, nie przymuszany, wzywany. Wzbraniał się miękko, bez wyrzutów sumienia, pewien, że wcześniej czy później ulegnie przemożnej, lecz dobroczynnej sile. „Zrobię jeszcze dziesięć kroków - mówił sobie. - Jeszcze dziesięć następnych z oczyma spuszczoneymi.

A potem jeszcze dziesięć...” Obcasy kamieniarza dźwięczały teraz wesoło na bardziej ubitym i osuszonym gruncie. Słuchał ich z bezmiernym rozczuleniem. Z wolna uświadamiał

sobie, że ten człowiek jest na pewno przyjacielem, łączy ich wzajemna bliska przyjaźń, przyjaźń niebiańska, niebiańsko przejrzysta, na pewno łączyła ich odwiecznie. Oczy wezbrały mu łzami. Tak właśnie spotykali się dwaj wybrańcy wzajem dla siebie urodzeni, o jasnym poranku w ogrodach Raju.

Doszli do skrzyżowania dróg; jedna po łagodnej pochyłości prowadzi do wsi, druga poryta kołami wozów w dół, do kamieniołomów. Z oddali dobiegało wezwanie koguta, i męskie głosy: na pewno inni kamieniarze śpieszący do pracy przed świtem... W tym właśnie momencie ksiądz Donissan podniósł oczy.

Czyż miał przed sobą towarzysza? Początkowo wcale nie uwierzył. Czy to, co miał przed oczami, co pochłaniało jego wzrok z tak olśniewającą oczywistością, to był człowiek z krwi i kości? Noc ledwie pozwalała dojrzeć w mroku zarys nieruchomej postaci, a przecież nadal doznawał wrażenia owego światła łagodnego, niezmiennego, żywego, znaj duj ącego* odbicie w myślach, zaiste przemożnego. Po raz to pierwszy przyszły święty z Lumbres był świadkiem zachodzącego w ciszy cudownego zjawiska, które później tak stało mu się znane, i zdawało się, że jego zmysły nie mogą zgodzić się nań bez walki. Tak właśnie ślepy z urodzenia, któremu z nagłą ukaże się światło, wyciąga drżące palce ku tej rzeczy nieznaney i zdumiony jest, że nie może uchwycić jej kształtu ani objętości.

Jakżeby mógł młody kapłan bez walki zostać wtajemniczony w ten nowy sposób poznawania, niedostępny innym ludziom?

Widział przed sobą swego towarzysza, widział bez cienia wątpliwości, aczkolwiek nie rozróżniał jego rysów, daremnie próbował wypatrzyć twarz czy ręce... Niemniej zupełnie bez lęku patrzył na niezwykłą jasność z pogodną ufnością, spokojnym uporem, nie po to, by ją przeniknąć, lecz przeświadczony, że ona go przenika. Upłynęła długa chwila, jak mu się zdawało. W rzeczywistości było to jeno mgnienie.

I nagle zrozumiał.

„Tak, jakeś widział niedawno sam siebie” - powiedział ohydny świadek. Istotnie. Widział. Widział swoimi cielesnymi oczyma to, co było utajone przed najbardziej przenikliwymi - przed wycuciem najsubtelniejszym - najbardziej niezawodnym wnioskowaniem: świadomość ludzką. Oczywiście, nasza własna natura jest nam częściowo dana; niewątpliwie znamy siebie, w sobie widzimy wyraźniej niż w innych, każdy jednak winien zstępować w siebie, w miarę zaś, jak zstępuje, ciemności gęstnieją, aż zmieniają się w mroczne jądro, w najgłębsze tajniki naszego „ja”, gdzie kłębią się cienie naszych przodków, gdzie popędy burzą się niczym podskórna woda. I oto... oto nieszczęsny kapłan został nagle przeniesiony do najskrytszych zakamarków innej istoty, bez wątpienia tam, gdzie sięga wzrok

Sędzię. Miał świadomość cudu i ogarniał go zachwyt, że dokonał się on tak prosto i objawił łagodnie. To włamanie się do cudzej duszy, którego ktoś inny nie mógłby sobie wyobrazić bez błyskawic i gromów, teraz, kiedy się już dokonało, nie budziło w nim lęku. Może dziwił się, że objawiło się tak późno. Czuł, nie mogąc tego wyrazić (gdyż nigdy wyrazić nie zdołał), że taka wiedza jest zgodna z jego naturą, że inteligencja i zdolności, jakimi chępią się ludzie, mało z tym mają wspólnego, że jest to tylko i po prostu musowaniem, rozrastaniem się, rozwijaniem miłosierdzia. Zaraz też, nie będąc w stanie uznać się godnym

- Pod słońcem... owej osobliwej, wyjątkowej łaski, w szczerzej pokorze swego ducha gotów był siebie oskarżać o to, że z jego winy opóźniło się owo wtajemniczenie, że za mało widać kochał dusze ludzkie, skoro je zapoznawał. Gdyż zadanie w gruncie rzeczy było bardzo proste, a cel tak bliski, jeśli już raz obrało się drogę! Kiedy niewidomy na nowo opanuje zmysł wzroku, który mu został przywrócony, podobnie przestaje się dziwić, że może sięgnąć okiem do dalekiego horyzontu, do którego ongiś mógł dotrzeć z wielkim bardzo trudem, przez trzęsawiska i cierniste krzewy.

Kamieniarz nadal szedł przed nim, tym samym spokojnym krokiem. Przez chwilę niespodziewanie ksiądz Donissan zapragnął dogonić go, zawołać. Lecz była to jedynie chwila. Ta dusza nagle odkryta przejmowała go szacunkiem i miłością.

Prosta to była dusza, bez przeżyć, uważna, zwyczajna, zaprzątnięta skromnymi troskami. Lecz skąpana w odblasku najwyższej pokory niby w niebiańskiej światłości. Jakaż to nauka dla udręczonego młodego kapłana, nękanego ustawicznie lękiem, odkrycie takiego człowieka sprawiedliwego, zapoznanego przez wszystkich i przez siebie samego, podległego swojemu losowi, obowiązkom, skromnym uczuciom swego życia - pod okiem Boga! I odruchowo nasunęła mu się pewna myśl, przydająca do szacunku i miłości coś w rodzaju trwogi czy to nie przed nim właśnie, tylko przed nim, Tamten zbieg!

Chętnie by się zatrzymał, gdyby nie obawa, że pierzchnie subtelne a wspaniałe widzenie. Daremnie szukał słowa, które powinno by zostać wypowiedziane. Zdawało mu się jednak, że każde słowo będzie tu niegodne. Dostojeństwo czystego serca powstrzymywało wszelkie słowa na wargach. Czy możliwe, czy było możliwe, aby w tłumie ludzkim, pośród największych prostaków, będąc świadkiem tylu występków, których w prostocie swego ducha wcale nie osądzał, czy było możliwe, aby ten przyjaciel Boga, najbiedniejszy z biedaków, uchował się w prawości i dziecięctwie, i żeby nasuwał obraz innego rzemieślnika, nie mniej niż on mało znanego, nie mniej zapoznanego, wiejskiego cieśli, opiekuna Królowej Aniołów, Człowieka Sprawiedliwego, który oko w oko stykał się z Odkupicielem, widywał Go, a ręka

mu nie zadrżała na heblu ani spustniku, albowiem dbał zawsze o to, by zadowolić klientów i rzetelnie zarobić na swoje wynagrodzenie?

Niestety! W jakiejś mierze nauka miała okazać się daremna.

Ów kapłan powołany jest do udzielania innym pokoju, którego sam nigdy nie zazna. Posłany jest tylko dla grzeszników.

Święty z Lumbres podąża swoją drogą w niepokoju i łzach.

Doszli do skrzyżowania, nim ksiądz Donissan znalazł odpowiednie słowo. Delektował się błogim nastrojem; napawał się nim w przeczuciu, że będzie należał do rzadkich momentów jego żalosego życia. A jednak już gotów był porzucić tę radość tak, jak ją otrzymał, rozstać się z nią w milczeniu.

Kamieniarz zatrzymał się i gładząc czapkę ręką powiedział:

- Już żeśmy doszli, proszę księdza. Teraz pójdzie ksiądz prościutko: będzie z półtorej mili. Tylko czy ksiądz się już pozbierał? Bo jakby nie, podprowadzę go jeszcze do Sansonneta.

- Nie trzeba, przyjacielu - odparł wikary z Campagne. - Przechadzka dobrze mi raczej zrobiła. A zatem tu się pożegnamy.

Przez chwilę zastanawiał się, czy nie wyznaczyć mu nowego spotkania, zaraz jednak doszedł do wniosku, że lepiej zdać się

/ . tym na tę samą wolę, która zrządziła ich spotkanie pierwsze.

Chętnie by go też pobłogosławił. Ale się nie ośmielił.

Popatrzył na niego po raz ostatni. Skupił w oczach całą miłość, jaką miał później obdarzać tylu innych ludzi. Skromny towarzysz wcale tego spojrzenia nie dostrzegł. Po omacku uściśnieli sobie dłonie.

Przed nim znów otwierała się droga. Poznał ją. Szedł szybko, bardzo szybko. Najpierw bez słów podziękował Bogu za to, co dozwolone mu zostało oglądać. Wciąż jeszcze szedł jakby spowity w owej światłości, którą ujrzał. Nie była ona obecnością, lecz była czymś więcej niż wspomnienie. Tak właśnie oddalamy się od śpiewu, który długo jeszcze idzie w ślad za nami.

Niestety! było to tylko słabnące echo tajemniczej melodii, której już nigdy, przenigdy nie miał słyszeć! Przedłużenie radości trwało bardzo krótko. Każdy krok zdawał się go od niej oddalać, kiedy zaś w naiwnym odruchu przystanął, jęła jakby pierzchać jeszcze prędzej. Skulił się tedy i uciekł.

Stopniowo krajobraz niewyraźnie wyłaniający się o tej pierwszej godzinie świtu stawał się coraz bardziej znajomy.

Rozpoznawał go znowu ze smutkiem. Wszystko, co zauważał, nawet i przyzwyczajenia, które kolejno mu się przypominały, sprawiało, że coraz bardziej niepewna i mglista zdawała się wielka nocna przygoda. Znacznie szybciej niż by mógł przypuszczać zacierały się szczegóły, zarysy, zapadały się między senne widziadła. Przeszedł tak przez wieś Pomponne, minął gospodarstwo Brema, wszedł na ostatnie zbocze. Wreszcie na dole, w głębi doliny ujrzał znak taki mu nagle bliski, światła małej stacji w Campagne.

Przystanął zadyszany, z gołą głową, dygocąc w sutannie sztywnej od błota, nie wiedząc raptem, czy z zimna to, czy ze wstydu; w uszach mu szumiało.

I w tym momencie życie codzienne opadło go z taką siłą i gwałtownością, że przez chwilę w jego umyśle nie pozostało nic, absolutnie nic z niedalekiej przecież przeszłości. To okrutne zatarcie się jej w pamięci odczuł nade wszystko jako bolesne pomniejszenie swej istoty.

„Czyżbym ja śnił?” - powiedział do siebie. Albo raczej usiłował wypowiedzieć te słowa, wysylabizować je w ciszy.

Czynił to, aby zmusić do milczenia inny głos, który znacznie wyraźniej i z przeraźliwą powolnością odzywał się w nim:

„Czyżbym oszalał?”

Och, człowiek, który czuje, że zeń wycieka jakby przez sito jego wola, uwaga, potem i świadomość, podczas gdy mroczne wnętrze niby odwrócona rękawiczka ukazuje się nagle na zewnątrz, przeżywa bardzo gorzkie konanie przez mgnienie czasu, którego nie zmierzy żadna wskazówka. Ten jednak - nieszczęsny kapłan - jeżeli zwątpi, to nie tylko w siebie samego, ale i w swoją jedyną nadzieję. Gubiąc siebie gubi i skarb cenniejszy, Boski, samego Boga. W ostatnim przeblysku rozumu mierzy noc, w której zatracą się jego wielka miłość.

Zawsze już będzie pamiętał miejsce nowego starcia. Na szczycie ostatniej wyniosłości droga skręca ostro i odsłania wąski pas ziemi, na którym rośnie stuletni wiąz. Wieś leży po prawej, niżej, przy ostatnim załamaniu pagórka, z czerwonymi i zielonymi światłami stacji łączy się mglista jasność na niebie, nad piekarnią Jozuego Thirion. Blade światło dnia wlecze się jeszcze przy ziemi, nieuchwytnie.

Z lewej strony księdza Donissan zaczyna się także polna stroma dróżka, wiodąca do zabudowań gospodarskich pałacu w Cadignan. Wpada od razu w rzadkie zarośla i przez to podobna jest raczej do wąwozu albo strumienia. Mroczna plama w mroku. Wikary z Campagne mimowolnie zapuszcza w nią wzrok. Podmuch wiatru w jeżynach przypomina szelest mietego jedwabiu, czasem z nagłą przycicha. Niekiedy jakiś kamyk odrywa się od rozmoczonej ziemi i stacza w dół. I oto nagle pośród tych szmerów... jeden łatwy do

rozpoznania pośród wszystkich innych o tym poranku na odludziu, ruch żywego ciała, które podnosi się, zbliża...

- Hej, hej! - odzywa się kobiecy głos, bardzo młody, lecz przytłumiony i lekko drżący.

- O, słyszę cię już od chwili.

A więc nareszcie wróciłeś?

- Kim pani jest? - spytał łagodnie ksiądz Donissan.

Stał na skraju pochyłości, wysoka postać ledwie widoczna na tle bledszego płynnego nieba, i smutnym, jakby wewnętrznym spojrzeniem patrzył na nikły cień w dole, między murkami z pecy. O tym tajemniczym cieniu o parę kroków od siebie, przybliżającym się nieustannie, nie wiedział nic, a przecież już miał w sobie spokojną, całkowitą, głęboko milczącą pewność, że to, co się wspina i delikatnie chlupie po błocie, jest ostatnią i najważniejszą postacią tej niezapomnianej nocy...

- Ach, to ksiądz! - powiedziała panna Malorthy z jakimś bolesnym grymasem.

Aby go zobaczyć, wspięła się na palce, sięgała do jego ramienia. Drobna, skurczona twarzyczka wyrażała jedynie okropne rozczarowanie. W mgnieniu oka złość, wyzwanie i cyniczna rozpacz pojawiły się na niej kolejno, a tak wyraziście, tak przeorały jej rysy, że ta dziecinna twarz w ogóle już nie miała wieku. Wówczas to oczy jej napotkały dziwny, wlepiony w nie wzrok. Ledwie go wytrzymały. I wciąż jeszcze płonęły, gdy rozluźniony łuk warg wyrażał już tylko pełen wściekłości niepokój.

Gdy wzrok ten ani na chwilę się nie odwrócił. Zawsze ostrożna, nawet w przypiływie szaleństwa, śledziła jego wyraz ze zwykłą sobie nieufnością. Dotychczas młody ksiądz, który według określenia doktora Gallet „mąci w słabych głowach mieszkańców Campagne”, bynajmniej nie zaprzętał jej myśli.

Spotkanie go w takim miejscu i o takiej porze wielce ją zdumiało. Doznała też uczucia ogromnego zawodu, ale z innych przyczyn. Przed chwilą jednak była niemal pewna, że go przerazi albo rozgniewa. Teraz zaś czytała w tym wzroku bezbrzeżną litość.

Nie taką litość, która jest tylko osłoną pogardy, ale litość bolesną, gorącą, aczkolwiek spokojną i czujną. Nic nie zdradzało przerażenia czy zaskoczenia, czy choćby najlżejszego zadziwienia na tej twarzy, pochylonej ku niej, trochę przechylonej na bok, a mogła wpatrywać się tylko w twarz. Wzrok skrył się teraz prawie zupełnie pod powiekami, a gdy próbowała go napotkać, spostrzegła, że powoli zniża się ku jej piersi, jak gdyby człowiek Boży nie bacząc na czczy blask ludzkich źrenic patrzył, jak biją serca.

Połowicznie tylko się myliła. Znowu bowiem usłyszał słodkie a mocne wezwanie. Potem zaś, niby promieniowanie utajonego światła, niby przepływ z niewyczerpanego źródła

jasności wrażenie nieznanne, rozkwit szóstego zmysłu, niewysłowienie bardziej delikatne i czyste, bez żadnej domieszki, dotarło powoli aż do podstawy życia, przeobrażało ją w jego własnym ciele. Jak człowiek konający z pragnienia chłonie całym sobą ostrą świeżość wody, i on nie wiedział, czy to, co go jakby na wskroś przeniknęło, było rozkoszą, czy bólem.

Czy znał w owej chwili cenę daru, jaki otrzymał, albo chociaż wiedział, czym jest ów dar? Ten, kto przez całe swoje życie pośród tylu tragicznych zmagania, w których jego wola niekiedy omal się nie załamywała, zachował najwyższą moc jasnowidzenia - nigdy zapewne nie uświadamiał sobie tego w pełni. Albowiem w niczym nie przypominało powolnego dociekania ludzkich doświadczeń, kiedy przenoszą się one z jednego badanego zjawiska na drugie, ciągle niepewne i niemal zawsze przerywane w pół drogi, jeśli nie dają się zwieść własnej wyobraźni. Wewnętrzna wizja księdza Donissan, wyprzedzając wszelkie domniemania, narzucała się sama przez się; ponieważ jednak tak nagle ujawniona oczywistość przygnębiłaby ducha, umysł, już przekonany, powolną tylko i krętą drogą dochodzi do uzasadnienia swej pewności. Podobnie jak człowiek, który budząc się ma przed oczyma nie znany krajobraz, nagle odsłaniający się w świetle południa, choć wzrokiem zdążył już ogarnąć cały widok, stopniowo dopiero wydobywa się z głębi snu.

- Czego ksiądz ode mnie chce? - zapytała szorstko panna Malorthy. - Czy to stosowna pora do zaczepiania ludzi?

Śmiała się złym śmiechem, lecz był to śmiech kłamliwy, i on dobrze o tym wiedział. Albo może wcale go raczej nie słyszał.

Gdyż donośniej od wszelkich ludzkich głosów wołał ku niemu beznadziejny ból, który ją trawił.

- Szłam drogą z Sennecourt - jęła mówić impulsywnie - ale zboczyłam w stronę Corzarges. Ksiądz to dziwi, lecz jest bardzo proste: nie śpiam po nocach... Innych powodów nie ma... Ale ksiądz - podjęła z nagłą złością - żeby taki święty człowiek Boży czał się pod płotami i przyłapywał dziewczyny... Chyba że...

Wypatrywała na tej spokojnej twarzy najniklejszego bodaj śladu zagniewania czy zakłopotania, aby na nowo móc wybuchnąć śmiechem, ale śmiech uwiązł jej w gardle, gdyż nie dojrzała nic, zupełnie nic, co pozwoliłoby przypuszczać, że w ogóle ją słyszał. Toteż gdy się znowu odezwała, jej wzrok zadawał kłam głosowi, bo głos nadal był drwiący.

- Widzę, że ksiądz żartów nie lubi - powiedziała. - No cóż? Ja lubię się śmiać... Czy to zabronione? Tyle się już naśmiałam.

Westchnęła, po czym dodała innym tonem:

- No dobrze. Mam nadzieję, że nie mamy już sobie dużo do powiedzenia?

Chcąc wyminąć dołek na drodze wysunęła się naprzód, lecz pośliznęła się i, aby zachować równowagę, oparła swoich pięć pazurków o czarny rękaw.

Czemu jednak przystanąła ponownie? Jakie wątpliwości zatrzymały ją jeszcze na miejscu? A nade wszystko, dlaczego wypowiedziała także inne słowa, skoro im sama zaraz zaprzeczyła?

- A co? Ksiądz pewno sobie myśli: była u kochanka, chce wrócić do domu przed świtem... I niezupełnie się ksiądz myli.

Ukradkowym spojrzeniem ogarnęła widnokrąg. Na prawo wysokie sosny norweskie o czarnym igliwiu rysowały się ciemną szumiącą bryłą na tle wschodniego, już pobladłego nieba. Nie po raz pierwszy słyszała ich przejmujący głos.

Ksiądz Donissan położył łagodnie rękę na jej ramieniu i powiedział z prostotą:

- Chce pani, żebyśmy razem przeszli kawałek drogi...?

Zszedł z wyniosłości i bez wahania skręcił w stronę Tiers, odwracając się tyłem do zamku w Cadignan i do całej wsi.

Droga stopniowo się tu zwężała, nie mogli tedy iść obok siebie.

Jeszcze nigdy małe serduszko Muszeczki nie zakołatało tak silnie w jej piersi, jak kiedy nie mając jeszcze siły oprzeć się lub szukać jakiegoś wybiegu, posłyszała za sobą człapanie ciężkich podkutych butów. Przez chwilę szli tak w milczeniu. Za każdym swym wielkim krokiem wikary z Campagne deptając jej dosłownie po piętach przynaglał do pośpiechu. Niebawem ten przymus wydał się Muszeczce taki nieznośny, że zniknął nawet lęk, który ją jakby obezwładnił. Wskoczywszy lekko na skarpę kiwnęła ręką, ażeby szedł dalej.

- Nie ma się czego obawiać - powiedział ksiądz Donissan. - Nie będę pani dręczył. Wcale nie powoduje mną ciekawość. Cieszę się tylko, że spotkałem panią dzisiaj, po tylu straconych dniach. Lecz nie jest jeszcze za późno.

- Może nawet trochę za wcześnie - odparła Muszeczka udając, że powstrzymuje drwiący śmiech.

- Nie szukałem pani - ciągnął wikary z Campagne - i proszę mi wybaczyć. Ażeby panią spotkać, zboczyłem i bardzo nadłożyłem drogi, bardzo nadłożyłem drogi, w osobliwy sposób nadłożyłem drogi. Dlaczego miałaby pani odmówić mojej prośbie: prośbie o chwilę rozmowy, która na pewno będzie wielką pociechą i dla mnie, i dla pani?

Wzruszyła ramionami, zupełnie nie zdradzając chęci pójścia za nim. Ociągała się jednak z decyzją, powstrzymywał ją jakiś niepokój, a nie umiała jeszcze rozpoznać, że jest on utajoną nadzieją.

Z wieczora wyjechała od krewnych w Remangey. Podwieszono ją do Faul i tam, około siódmej wieczór, poprosiła, by ją zostawić. Zamierzała zjeść kolację u swojej przyjaciółki Zuzanny Roubourdin w gospodzie „Młoda Francja”, a potem, jak mówiła, przejść na piechotę cztery czy pięć kilometrów, jakie ją dzieliły do Campagne. Od ostatniej choroby, aczkolwiek półg zachowany został w tajemnicy, niektórzy krewni wiedzieli, że zapadła poważnie na „czarną chorobę”. „Czarna choroba” w mniemaniu tych pocziwych ludzi jest nieuleczalna, a ci, co na nią zachorują, zostają nieodwołalnie zaliczani do kategorii nieboraków, którzy według gorzkiego a przejmującego określenia mają nie wszystkie klepki. Z tego też powodu od kilku miesięcy rzadko się zdarzało, aby ktoś przeciwstawiał się jej kaprysom. Wyszła z gospody „Młoda Francja” nie przyjmując towarzystwa młodego Roubourdin. Mimo że późno wyruszyła w drogę, z łatwością dotarłaby do Campagne przed dziesiątą wieczór, ale przekroczywszy gościniec z Etaples zbczyła trochę, żeby zgodnie z dawnym już przyzwyczajeniem przejść się wzdłuż parku Cadignan. Ileż czasu, bez cienia lęku, przetrawiając tylko swoje wspomnienia spędziła wsparta o płot, z piąstką pod brodą, a nogami w błocie, ważąc wszystkie za i przeciw jak zawsze chłodnym mózgiem i płomiennym sercem? Pokonana, wytrącona z marzenia, bezpowrotnie uznana za biedną dziewczynę opętaną nedorzecznymi rojeniami - skazana na dozgonną litość, odarta ze wszystkiego, nawet ze swej zbrodni...

I jedyną pociechą dla jej dzikiej duszyczki było jeszcze popatrzeć o tej samej niezapomnianej godzinie na drogę, którą przebiegała owej jedynej nocy, na bramę obecnie zamkniętą, tajemniczy zakręt alei i tam - zupełnie w głębi - wielkie pogrążone w milczeniu mury, gdzie czuwał ten zbędny zmarły, jej niemy świadek.

Wikary z Campagne długą chwilę czekał jej odpowiedzi, nie okazując zupełnie zniecierpliwienia, lecz jednocześnie zdawał się pewny, że go usłucha. Wprawdzie głos jego stawał się coraz pokorniej szy i bardziej łagodny, prawie nieśmiały, ale postawa, przeciwnie, nabierała coraz większej powagi i pewności siebie. Aż nagle, nie zmieniając tonu, dorzucił owe słowa nieoczekiwane, które w sercu panny Malorthy rozbrzmiały jak grom.

- Przede wszystkim chciałem po prostu odciągnąć panią stąd, bo przecież dobrze pani wie, że zmarłego, na którego pani czeka, już tutaj nie ma.

Oszupienie Muszczki przejawiało się tylko silnym dreszczem, który natychmiast zresztą opanowała. I to nie z lęku drżały jej wargi, gdy niemal bezwiednie wymawiały pierwsze słowa:

- Zmarły? Jaki zmarły?

Jął mówić z tym samym spokojem, i ruszył naprzód, ona zaś potulnie dreptała za nim:

- Jesteśmy złymi sędziami wobec samych siebie i często podtrzymujemy w sobie mary pewnych win, aby przez to lepiej ukryć widok tego, co w nas doszczętnie jest zgniłe i musi być wyrzucone pod grozą śmierci.

- Jakiej śmierci? - powtórzyła Muszeczka. - O jakiej śmierci ksiądz mówi?

Odruchowo czepiała się poły sutanny, każdy bowiem krok towarzysza spychał ją, zdyszana, i bełkocząca, na skraj pochyłości. Śmieszność tego pościgu, poniżające zadawanie pytań, niemal błagania o odpowiedź gorzko raniły jej dumę. Lecz jednocześnie czuła jakąś niezrozumiałą radość. Wciąż jeszcze mówiła, gdy zeszli z drogi na równinę. Natychmiast poznała to miejsce.

Był to położony o dwieście metrów od pierwszych domów

Trilly mały placzyk okolony żywopłotem, obsadzony nędznymi lipami, na dawną modłę. W pierwszą niedzielę sierpnia, święto parafialne, wędrowni kramarze ustawiają tu swoje ubogie sklepiki na kółkach, a niekiedy miłośnicy tańca harczą też z dziewczynami.

Znowu stali oto na wprost siebie jak w pierwszej chwili spotkania. Smętna jutrzienka błąkała się po niebie, wysoka postać wikarego zdała się pannie Malorthy jeszcze wyższa, kiedy władczym gestem z niewysłowioną siłą i łagodnością podszedł ku niej i unosząc nad jej głową czarny rękaw rzekł:

- Proszę nie dziwić się temu, co teraz powiem, zwłaszcza zaś nie doszukiwać się w tym niczego, co mogłoby pobudzić czyjeś zdziwienie lub ciekawość. Ja sam jestem tylko biednym człowiekiem. Ale kiedy działał w pani duch buntu, widziałem imię Boże wypisane w jej sercu.

I opuściwszy rękę dwukrotnie nakreślił kciukiem na piersi

Muszeczki znak krzyża.

Odskoczyła lekko, nie znajdując słowa, nedorzecznie zdumiona. Jednocześnie zaś jakaś niezwykła nadzieja, silniejsza niż złość, której drgnienia już zaczynała w sobie odczuwać, bardziej dojmująca niż lęk, jakaś nadzieja obłądna, niczym zalew życia, sprawiała, że jęły trzeszczeć wszystkie spojenia tej oszalałej duszy. Kiedy zaś przebrzmiało już w niej nawet echo owego głosu, którego słodycz do głębi ją przeniknęła, spojrzenie braterskie wtrąciło ją w ostateczny zamęt.

Tak, braterskie!... Albowiem i on pokosztował już trucizny tej nadziei i zasmakował w jej długotrwałej goryczy.

Język ludzki nie może stać się na tyle sprawny, aby wyrazić w oderwanych słowach przeświadczenie o rzeczywistej obecności, albowiem wszelkie nasze pewniki są wydedukowane, a doświadczenie dla większości ludzi o zmierzchu długiego życia okazuje się

jedynie kresem długiej podróży wokół własnej nicości. Z rozumu nie rodzi się żadna inna oczywistość, poza logiczną, żaden inny świat nie bywa tu dany poza światem rodzajów i gatunków. Żaden ogień, poza ogniem

Bożym, nie rozkruszy i nie roztopi lodu zapatrywań. A przecież to, co się w tej chwili odsłania przed wzrokiem księdza

Donissan, wcale nie jest symbolem czy wyobrażeniem: to żywa dusza, serce, dla wszystkich innych szczelnie zamknięte!

Tak samo jak w momencie ich niezwykłego spotkania nie byłby w stanie słowami uzasadnić zewnętrznego widzenia owego równomiernego blasku stapiającego się z jasnością wewnętrzną, którą on sam jest przesycony. Tak właśnie dwie jutrzenki mogłyby z dwóch różnych punktów widnokregu jednakim porywem wzbić się do zenitu. Podobnie pierwsze widzenie noworodka jest tak pełne i czyste, że zrazu świat, który ogarnia wzrokiem, nie dałby mu się odróżnić od drzenia własnej radości. Wszystkie barwy i wszystkie kształty rozkwitają jednocześnie w jego zwycięskim śmiechu.

Kiedy go później wypytywano o ten dar czytania w ludzkich duszach, początkowo się wypierał, zawsze niemal zawzięcie.

Niekiedy zaś, bojąc się kłamać, wdawał się w pewne wyjaśnienia, ale z tyloma wątpliwościami, tak naiwną dbałością dokładność, że jego opowiadania często sprawiały ciekawym nowy zawód. Tak właśnie wiejscy pobożnisie mogliby tłumaczyć ekstazę i zespolenie z Bogiem świętej Teresy albo świętego Jana od Krzyża. Albowiem życie jest gmatwaniną bezładem tylko dla tych, którzy oglądają je z zewnątrz. Stąd też człowiek o cechach nadprzyrodzonych czuje się swobodnie i dobrze na wyżynach, na jakie wyniesie go miłość, i jego życie duchowe nie ma w sobie zupełnie zamętu, skoro tylko otrzymał wspaniałe dary, nad których określeniem się nie zastanawia i nie usiłuje ich nazywać.

„Co ksiądz widzi?” - wypytywano świętego człowieka.

„Kiedy ksiądz widzi?” „Czy coś to zapowiada?” „Jakiś znak?”

ffl

A on powtarzał głosem pilnego dziecka, któremu trudno spamiętać wyuczone słowa: „Współczuję... Ja tylko współczuję...”

Gdy spotkał przy drodze pannę Malorthy i widział dopiero nie dający się rozpoznać cień, gwałtowna litość już wezbrała w jego sercu. Czyż nie tak samo matka zrywa się ze snu wiedząc z całą pewnością, że jej dziecku zagraża niebezpieczeństwo? Miłosierdzie wielkich dusz, ich nadprzyrodzone współczucie zdaje się wprowadzać je od razu w najskrytsze tajniki ludzkich istot. Miłosierdzie tak jak i rozum jest jednym z czynników naszego poznania. Jeżeli

jednak ma władzę, jego wnioski są piorunujące, umysł zaś, który pragnie za nimi nadażyć, dostrzega jedynie błyskawicę.

Q

Spojrzenie, jakim człowiek Boży pochyliwszy głowę patrzył na Muszeczkę, każdą inną zmusiłoby chyba do ugięcia kolan.

Prawda też, że i ona poczuła się przez chwilę, po raz pierwszy w życiu, bynajmniej nie przestraszona, ale onieśmielona i jakby rozczulona. Ale wówczas przybyła odsiecz - na którą się nigdy daremnie nie czeka - od pana co dnia bardziej czujnego i bardziej bezwzględneho; marzenie ongiś ledwie dające się odróżnić od innych marzeń, pragnienie ledwie trochę ostrzejsze, głos silniejszy nad tysiące innych głosów, o tej porze rzeczywisty i żywy towarzysz i kat, na przemian to żaloszny, tęskny, źródło łez, to natarczywy, szorstki, żądny uciskania, a jeszcze później, w momencie rozstrzygającym okrutny, drapieźny, całkowicie włączony w bolesny, gorzki śmiech - niegdyś sługa, dziś pan.

Trysnęło to z niej niespodziewanie. Ślepy gniew, namiętna chęć oparcia się temu spojrzeniu, zamknięcia przed nim swej duszy, poniżenia litości, która, czuła, nad nią zawisła, pohańbienia jej, zbrukania. Poderwała się, drżąc, lecz nie po to, by rzucić mu się do nóg, a stanąć na wprost sędziego, który trwał nadal w dostojnym milczeniu.

Zrazu na próżno szukała słów; ale czy w ogóle istniały słowa, które by mogły wyrazić to dzikie uniesienie? Przebiegała tylko w myślach, z szybkością jednak i jasnością nadludzką największe rozczarowania, jakich doznała w swoim krótkim życiu, jak gdyby litość tego tu księdza miała być ich kresem i uwieńczeniem...

Wreszcie zdołała wykrztusić głosem prawie niezrozumiałym:

- Nienawidzę księdza! Nie boję się! Nienawidzę!

- Niech się pani nie wstydzi - odparł.

- Może ksiądz to wszystko, swoje pacierze zachować dla siebie! - krzyknęła Muszeczka. (Lecz trafił tak celnie, że jej złość jakby się zachwiała.) - Ja nawet nie wiem, o czym ksiądz mówi!

- Oczywiście, czekają panią inne jeszcze próby - rzekł - sroższe... Ile pani ma lat? - zapytał po krótkim milczeniu.

Od chwili wzrok Muszeczki zdradzał zdumienie i już jakby zawód. Przy tych ostatnich słowach gwałtownym wysiłkiem zdobyła się na uśmiech.

- Na pewno ksiądz wie, skoro wie tyle rzeczy.

- Jakie zresztą znaczenie ma tu wiek? Do dnia dzisiejszego żyła pani jak dziecko. Któż nie ulituje się nad małym dzieckiem? A to są ojcowie tego świata! Ach, widzi pani, Bóg jest przy nas nawet w szaleństwach, jakie popełniamy.

A kiedy człowiek powstaje przeciw Niemu, aby złorzeczyć, On sam podtrzymuje tę wątłą rękę!

Złość Muszeczki słabła, w miarę jak rosło jej zdziwienie. - Co dla księdza znaczy taka grzesznica jak ja? - mruknęła. - Dziecko! Dziecko! Dzieci do mnie podobnych niedużo ksiądz znajdzie wśród swoich ministrantów w zakrystii: nie zużyją wam wody święconej. Choćby ksiądz miał żyć do stu lat, radzę prosić swojego Boga, żeby nigdy nie poznał ksiądz dróg, które ja przebyłam.

Ostatnie te słowa wypowiedziała z trochę śmiesznym patosem. Odparł spokojnie:

- Obawiam się, przeciwnie, że pani nie zeszła ze wspólnej drogi. Przed panią i za nią jest tłum biednych grzeszników, wszyscy do siebie podobni, wszyscy smutni smutkiem wstydliwym, że dzielili z synem marnotrawnym jego świńskie żarło. Cóż takiego znalazła pani w grzechu, co warte byłoby tyle trudu i zachodu? Jeżeli nawet pogoń za złem i zdobywanie go daje jakąś obmierzłą radość, może być pani zupełnie pewna, że Szatan wycisnął ją już dla siebie i wypił do dna.

- Jak na księdza, dość dziwna jest ta mowa! - wykrzyknęła panna Malorthy. - Więc niby grzech... coś podobnego! To niby grzech nic nie znaczy... Nawet jeżeli...

Nie dokończyła, gdyż ksiądz Donissan o krok jeszcze przybliżył się do niej. Nic w jego postawie nie zdradzało nadmiernego wzburzenia ani chęci zadziwienia jej. A jednak słowa, które wypowiedział, przygwoździły Muszeczkę i rozbrzmiały głośno w jej sercu.

- Niech pani porzuci te myśli - rzekł. - Przed Bogiem nie jest pani wcale winna zbrodni. Tak samo jak w chwili obecnej nie miałaś wolnej woli, córko. Jesteś jakby igraszką, jakby dziecinną piłeczką w rękach Szatana.

Nie pozostawił jej czasu na odpowiedź, zresztą i tak nie mogła znaleźć słów. Nie przestając mówić ruszył szybkim krokiem i pociągnął ją na - gościniec do Desvres, wśród bezludnych pól. Poszła za nim. Musiała za nim pójść. Mówił tak, jak jeszcze nigdy dotychczas, jak nie miał mówić już nigdy, nawet w Lumbres, nawet w szczytowym okresie rozwoju swoich możliwości, gdyż była jego pierwszą zdobyczą. To, czego teraz słuchała, nie było ani wyrokiem sędziego, ani czymś, co przekraczałoby zdolności pojmowania ciemnego i dzikiego zwierzątka, jakim była, ale przeraźliwie łagodną opowieścią jej własnych przeżyć, historii Muszeczki, bynajmniej nie udratyzowanej, wyreżyserowanej, ani wzbogaconej wyszukanyimi i osobliwymi szczegółami, lecz przeciwnie - uproszczonej, sprowadzonej do

czegoś bez znaczenia, widzianej od wewnątrz. Jakże mało substancji pozostawia życiu grzech, który nas pożera! Miała wrażenie, że to ona sama spala się w ogniu słów i nic nie może ująć przed prostym i przeszywającym płomieniem, który pełnie za nią, przenika wszystkie jej kręta, do ostatniego włókna ciała. W miarę jak podnosił się albo ściszał straszliwy głos, wdzierający się aż do wnętrza, czuła, że wzmagają się lub opadają żar jej życia - ten głos najpierw wyraźny, mówiący zwyczajne słowa, które w swym przerażeniu przyjmowała jakby pojawiającą się w koszmarnym śnie przyjazną twarz, a później coraz bardziej się jednoczący z jej przeświadczeniem wewnętrznym, z bolesnym szeptem sumienia zmaconego w głębi swego źródła, jednoczący się tak bardzo, że obydwa te głosy tworzyły już tylko jedną wspólną skargę, jak gdyby jedną strugę szkarłatnej krwi. Kiedy jednak umilkł poczuła, że jeszcze żyje.

Milczenie się przedłużało, czy w każdym razie trwało przez czas nie dający się wymierzyć, nieuchwytny. Później zaś głos - ale z jakiej dali! - na nowo dotarł do jej uszu.

- Proszę się odprężyć - mówił. - Nie nadużywać swoich sił. DOSYĆ JUŻ PANI POWIEDZIAŁA.

- Dosyć powiedziałam? Co powiedziałam? Ja nic nie mówiłam.

- Rozmawialiśmy - odparł głos. - Mówiliśmy nawet długo. Widzi pani, jak niebo się rozjaśnia: kończy się noc.

- Czy ja coś mówiłam? - powtórzyła błagalnie.

I nagle (tak jak po przebudzeniu z brutalną oczywistością wyłania się z pamięci dokonany czyn):

- Mówiłam! - krzyknęła. - Mówiłam!

W szarości świtu rozpoznała twarz wikarego z Campagne.

Malowało się na niej bezbrzeżne zmęczenie. Oczy zaś, w których płomień teraz już zgasł, zdawały się jakby nasycone tajemniczą wizją.

Czuła się w tej chwili tak słaba, taka bezbronna, że nie mogłaby, zdawało się, zrobić jednego kroku ani żeby się do niego zbliżyć, ani oddalić. W pierwszym odruchu chciała go posłuchać. Zawahała się jednak.

- Czy to możliwe? - powiedziała jeszcze... - Jakim prawem...?

- Nie mam do pani żadnych praw - odparł łagodnie. - Jeżeli Bóg...

- Bóg! - zawołała... Lecz nie była w stanie dokończyć.

Duch buntu jakby w niej otępieł.

- Jakże się pani szamocze w Jego rękach - powiedział ze smutkiem. - Czy znów Mu się pani wymknie? Nie wiem...

Znowu zamilkł, po czym głosem bardzo pokornym dorzucił:

- OSZCZĘDZAJ MNIE, MOJA CÓRKO!

Był przeraźliwie blady. Ręka, którą ku niej wyciągnął, opadła nieporadnie, wzrok się odwrócił.

Ona zaś już niecierpliwie zaciskała pięści.

Ujrzał ją taką, jaką zobaczył w mroku przed godziną - twarz postarzałego dziecka, ściągnięta, nie do poznania. Poczucie bezskuteczności całego wielkiego wysiłku, daremnego szafowania najwyższymi łaskami, które roztrwonił tu, na tym miejscu, i wizja nieubłaganej przyszłości ścisnęły mu serce.

- Bóg! - zawołała z urągliwym śmiechem...

Szarawy świt powoli białł wokół nich, lecz oni dostrzegali jedynie podniosły jego odbłask na swoich twarzach.

Z prawej strony osada pośród wzgórz, ledwie wyłaniająca się z mgły, tworzyła dziwnie smętny widok. Na olbrzymiej, bezkresnej równinie jedynym znakiem życia była nikła smużka dymu nad niewidzialnym dachem.

Teraz śmiech Muszeczki ucichł. Zgasł chwiejny płomień w jej oczach. I nagle, żalсна, wycieńczona, a uparta znów podjęła błagalnie:

- Nie chciałam księdza obrazić... Ale przed chwilą ksiądz mnie okłamał, prawda? Ja nic nie powiedziałam. Cóż mogłabym księdzu powiedzieć? Zdaje mi się, że spałam. Czy ja spałam?

Jakby jej nie słyszał. Więc ponowiła błaganie:

- Proszę mi nie odmawiać... Ksiądz nie może odmówić mi odpowiedzi... Żeby ją uzyskać, gotowa jestem zrobić wszystko, co ksiądz mi zechce rozkazać.

Jeszcze nigdy głos dziwnej dziewczyny nie przybierał tak pokornego i błagalnego tonu.

Nadal nie odpowiadał.

Cofnęła się o parę kroków, długą chwilę mierzyła go palącym spojrzeniem zmarszczywszy brwi, pochyliwszy czoło, i raptem rzuciła:

- Ja wszystko wyznałam! Ksiądz już wszystko wie!

Zaraz jednak się zreflektowała:

- A jeśli nawet? Niczego się nie boję. Co mnie to obchodzi?... Ale proszę powiedzieć... Och, proszę mi powiedzieć, co ksiądz zrobił?... Czy ja naprawdę mówiłam przez sen?

Mimo ostatecznego już wyczerpania nieokiełznana ciekawość pchała ją ku nowej przygodzie. Krew napłynęła jej do policzków. W oczach znowu pojawił się mroczny płomień.

On zaś patrzył na nią z litością, a może pogardliwie.

Gdyż ku jego wielkiemu zdumieniu wizja się zatarła, pierzchła. Wspomnienie pozostało nazbyt żywe, zbyt dokładne, aby mógł w nią wątpić. Słowa, jakie wymieniali, jeszcze rozbrzmiewały mu w uszach. Znow jednak zapadły ciemności. Czemuż wówczas nie posłuchał wewnętrznego odruchu, który nakazywał mu uciekać niezwłocznie? Teraz miał przed sobą tylko biedne stworzenie pośpiesznie usiłujące naprawić na chwilę zerwany wątek swoich kłamstw...

Czyż jednak nie był przez jedną minutę - przez wieczność! - wysiłkiem prawie nadprzyrodzonym jak gdyby wyzwolony z własnej natury? Czy ogarnęła go rozpacz po utraconej mocy? Albo szaleńcza chęć odzyskania jej na nowo? Czy może złość, że znow zbuntowane jest to nieszczęsne dziecko, przed chwilą zdane na jego łaskę? Z ogromną brutalnością wzruszył ramionami.

- Widziałem cię! (Na to „cię” wzdrygnęła się z wściekłości.) Widziałem cię, jak może żadne stworzenie takie jak ty nie było widziane na tej ziemi! Widziałem cię w taki sposób, że mimo całej twojej przewrotności już mi się nie możesz wymknąć. Myślisz, że twój grzech budzi we mnie zgrozę?

Obraziłaś Boga niewiele bardziej niż zwierzę. Nosilaś w sobie tylko fałszywe zbrodnie, tak jak nosilaś tylko martwy płód.

Poszukaj! Pogrzeb w swoim bagnie: występki, którym się szczycisz, zgniły tam nie wydawszy owocu. Dzisiaj to wiesz.

Ale od dawna już o każdej porze dnia twoje serce pękało z obrzydzenia. Wydobywałaś z siebie tylko czcze marzenia, i wciąż doznawałaś zawodu. Wydaje ci się, żeś zabiła człowieka... Biedna dziewczyno! tyś go wyswobodziła od siebie.

Własnymi rękami zniszczyłaś jedyne możliwe narzędzie twojego ohydneho wyzwolenia. A w parę tygodni później czołgałaś się u stóp innego, który był o wiele mniej wart. Ten przy dusił cię twarzą do ziemi. Gardzisz nim, a on się ciebie boi. Ale nie możesz mu ujść.

- Nie mogę... mu... ujść - wykrztusiła Muszeczek. Była w stanie takiego przerażenia i furii, że na jej twarzy zwykle nadmiernie ruchliwej, teraz zaś stężalej, malowało się coś w rodzaju złowieszczej pogody.

- Ja wiem, że mogę - powiedziała wreszcie. - Kiedy tylko zechcę. Ludzie myśleli, że zwariowałam: czy zrobiłam cokolwiek, żeby ich wyprowadzić z błędu? Czekałam tylko, aż będę gotowa, po prostu.

Tak mocno położył dłoń na jej ramieniu, że się zachwiała.

- Ty nigdy nie będziesz gotowa. Wykradasz Bogu tylko to, co najgorsze: błoto, z którego jesteś ulepiona, ty Szatanie!

Myślisz, że jesteś wolna? Mogłaś być wolna jedynie w Bogu.

Twoje życie...

Odetchnął głęboko, podobny do zapaśnika, który szykuje się do wielkich zmagania. A w jego oczach już wzbierało to samo światło nadludzkiego jasnovidzenia, tym razem całkiem wyzute z litości. Na nowo zatem odzyskał ów dar niebezpieczny, przemocą, w rozpaczliwym porywie, gotów zadać gwałt nawet niebu. Łaska Boża uczyniła się widzialna dla jego śmiertelnych oczu: nie dostrzegały teraz nic prócz wroga, wczepionego w swój łup. I oto blada twarzyczka

Muszeczki, jakby skurczona przez lęk, jęła się także błąkać w tej samej wizji, której wstrętne odbicie pojawiała się w oczach obojga.

- r Twoje życie jest tylko powtórzeniem innych, zgoła takich samych, przyziemnych, na poziomie koryta, w którym wasze bydło dostaje paszę. Tak, każdy twój czyn jest piętnem jednego z tych, z których się wywodzisz, nikkzemników, skąpców, rozpustników i kłamców. Widzę ich. Bóg zezwala mi ich widzieć. O, jakże niebezpieczne i małe jest nasze miejsce tu, na ziemi! Jakaż wąska jest nasza droga!

I zaczął wypowiadać rzeczy jeszcze bardziej osobliwe, lecz już ścisłym głosem i z wielką prostotą.

Jakże je tu powtórzyć? Były to nadal dzieje Muszeczki, cudownie splecione z innymi starymi dziejami od dawna już zapomnianymi, jeżeli w ogóle ktoś je kiedyś znał. Zanim jeszcze Muszeczka zaczęła pojmować ich sens, poczuła skurcz serca jakby przed jakimś bardzo stromym zejściem i spłoszenie sprawiające, że i najbardziej nierozważni ludzie zatrzymują się w progu jakiegoś głębokiego tajemniczego lochu. Później posypały się imiona, nazwiska już słyszane, bliskie albo tylko wywołujące raczej mgliste wspomnienia, coraz to liczniejsze, wzajem się objaśniające, aż wreszcie wyłonił się spod nich wątek opowiadania. Drobne wydarzenia codziennego życia, niepozorne, grzęznące w najpospolitszej przewrotności jakby ubabrane w błocie kamyki - posępne tajemnice, posępne kłamstwa, posępne brednie występku, posępne przygody, które jakieś z nagła wymówione imię oświetlało niby latarnia morska, a potem znów zapadały się w ciemność, gdzie umysł nic by

jeszcze nie wypatrzył, ale coś jakby święta zgroza nasuwała myśl, iż kłębią się tam mroczne żywoty. Tylko ta zgroza żyła i myślała za Muszeczkę, która raz jeszcze poczuła, że wbrew woli i rozsądkowi zostaje oto wciągnięta. Gdyż na granicy świata niewidzialnego trwoga jest szóstym zmysłem, postrzeżenie zaś i ból zlewają się w jedno. Imiona, nazwiska, które kolejno wymawiał głos na nowo dostojny, poznawała przelotnie, ale nie wszystkie. Malorthy, Brissaut, Pully, Pichon, nazwiska dziadków i babek, kupców bez zarzutu, dobrych gospodyń, ludzi, którzy kochali swój dobytek, nigdy nie umierali bez testamentu, cieszyli się poważaniem izb handlowych i kancelarii rejentów. (Twoja ciotka Zuzanna, twój wuj Henryk, twoje babki Adela albo Malwina, albo Cecylia...) Lecz to, co opowiadał głos równym jednostajnym tonem, niewiele uszu kiedykolwiek słyszało - dzieje uchwycone od wewnątrz - najbardziej skryte, najlepiej strzeżone, i nie uwikłane jak bywają w płataninę skutków i przyczyn, czynów i zamiarów, lecz sprowadzone do paru zasadniczych faktów, do pierwotnych błędów. Zapewne umysł Muszeczeki sam z siebie niewiele by pojął z takiej opowieści, której przeraźliwe meandry mogły wyprowadzić w pole i bardziej inteligentnych. Ale czyż ten głos nie znajdował echa w jej własnym ciele, które każda z owych win napiętnowała, osłabiła już w momencie, kiedy Muszeczka została poczęta? Patrząc na tych zmarłych, którzy całkiem nadzy wyłaniaли się z wolna ze swoich całunów, nie odczuwała nic, co można by przyrównać do zdumienia. Słuchała ponadludzkich rewelacji z sercem do głębi struchlałym, bez jednak prawdziwej ciekawości ani osłupienia. Zdawałoby się, że kiedyś już to słyszała, albo i więcej.

Oszczercze kłamstwa, długo hodowane nienawiści, wstydlive miłości, wyrachowane zbrodnie z chciwości lub nienawiści - wszystko to się w niej przeobrażało, jak na jawie przeobrażają się koszarne obrazy ze snów. Nigdy, przenigdy zmarli nie zostali tak brutalnie wywleczeni ze swoich prochów, wyciągnięci na wierzch, odsłonięci. Na jedno słowo, jedno zniecka wypowiedziane imię, jak bąbel na powierzchni błota coś wypływało z przeszłości w terażniejszość - czyn, pragnienie albo niekiedy głębsza i bardziej skryta jedna jakaś myśl (gdyż nie umarła ona wraz ze zmarłym), taka jednak skryta, taka głęboka, tak dziko wydarta, że Muszeczka przyjmowała ją z jękiem wstydu. Nie odróżniała już bezlitosnego głosu od własnego wewnętrznego objawienia tysiąckrotnie bogatszego i bardziej obfitego. Zresztą owych nie-przeliczonych zjaw, co się ze wszech stron wyłaniały, szybsze od wszelkiego ludzkiego słowa, nie sposób by nawet nazwać; a jednak jak z burzy dźwięków wybija się główny motyw, jakaś wola czynna i zdecydowana jęła ostatecznie porządkować ów chaos. Daremnie Muszeczka w odruchu naiwnej obrony wyciągała ku przeciwnikowi swoje drobne rączki. Podczas gdy inne sny, ledwie się je zaczęły na zimno uładzać, wymykają się i

pierzchają, ten przybliżał się do niej, niby oddział, zwierający szeregi do natarcia. Tłum, przed chwilą taki jeszcze skłębiony, w którym rozpoznała wszystkich swoich krewnych, stopniowo się skupiał. Twarze nakładały się na siebie, i tworzyły już jedno tylko oblicze, które było obliczem występku.

Splątane ruchy stężały w jeden kształt, który był ruchem zbrodni. Co więcej: niekiedy zło przemieniało swój łup w jedno bezładne usypisko w pełni rozkłada, nabrzmiące jadem, strawione. Skąpcy tworzyli masę żywego złota, rozpustnicy kłęb trzewi. Wszędzie grzech rozsadał swą powłokę, pozwalając dojrzeć tajemnicę swego rozrodu: setki mężczyzn i kobiet złączonych tą samą chorobą, komórkami tego samego raka, którego straszliwe zwoje, podobne do odciętych macek ośmiornicy, kurczyły się i zbiegały do rdzenia potwora, nikomu nie znanego początkowego grzechu - w sercu dziecka... I nagle Muszeczka ujrzała się taką, jaką nie widziała się nigdy, nawet w chwili, kiedy poczuła, że kruszeje jej duma: coś załamało się w niej już nieodwracalnie, potem rzuciło w tajemną ucieczkę. Głos nadal niski, lecz dźwięczący żywo i palący zdawał się ją odzierać mięsień po mięśniu.

Zwątpiła o tym, czy istnieje, czy istniała kiedykolwiek.

Wszelka myśl oderwana przybiera w jej umyśle konkretny kształt, mogłaby ją przycisnąć do piersi lub odepchnąć. Cóż można rzec o tym załamaniu się nawet samej świadomości.

Rozpoznała się pośród swoich krewnych i w przystępie szaleństwa przestała już odróżniać siebie od tej cizby. Jakże to! Więc nie było w jej życiu ani jednego uczynku, który by nie miał swego odpowiednika? Ani jednej myśli, która by była wyłącznie jej własna, ani jednego ruchu, który już od dawna nie byłby wytyczony? I to nie podobne, ale takie same! Nie powtórzone, lecz jedne jedyne. Aczkolwiek nie potrafiłaby odtworzyć w zrozumiałych słowach żadnego z tych pewników, które ostatecznie już ją druzgotały, wyczuwała w swoim żalonym krótkim życiu jakieś ogromne oszukaństwo, ogromny śmiech oszusta. Każdy z owych zasługujących na urągowisko przodków, jednakowo haniebnych, rozpoznał, zwietrzył w niej coś swojego i przychodził to odbierać; nie wzbraniała niczego. Oddawała wszystko, i działo się tak, jakby całe to stado przyszło wyjadać z jej ręki jej własne życie. O co z nimi walczyć? Co odbierać? Mieli przecież wszystko, nawet jej bunt.

Aż nagle się wyprostowała bijąc powietrze rękoma, szarpnęła głową w tył, a potem to na jedno to na drugie ramię, zupełnie jak tonący, kiedy idzie na dno. Twarz ociekała jej potem i strumieniami łez, chociaż oczy trawione wewnętrznym widzeniem zdawały się wikaremu w Campagne podobne do wystygłego metalu. Z ust nie wydobył się żaden krzyk, mimo że jakby wibrował już w jej niemej krtani. Ale ów krzyk, którego nie było słyhać, nadawał jednak

kształt wykrzywionym wargom, odchylonej szyi, chudym ramionom, przegiętemu krzyżowi, całemu ciału wyciągniętemu do góry w rozpaczliwym wezwaniu... Wreszcie uciekła.

Do pierwszego zakrętu drogi mniemała, że przyśpiesza kroku, ale już prawie biegła. U stóp pochyłości, kiedy zasłoniły ją ogołocone z liści żywopłoty i gęste tu jabłonie, zaczęła uciekać, ile sił w nogach. Przed Campagne jednak instynktownie skręciła z gościńca na boczną ścieżkę, o tej porze pustą, którą mogła przez nikogo nie zauważona dojść do swego ogrodu. Nie myślała właściwie o niczym, nie pragnęła niczego, jak tylko znaleźć się w samotności, za dobrze zamkniętymi drzwiami, w schronieniu, sama jedna. Wszystko na zewnątrz, nawet znany widnokrąg, nawet niebo należało do wroga. Jej przerażenie, albo raczej, należy powiedzieć, zamęt był tak wielki, że gdyby się tylko nadarzyła sposobność, wezwałaby na pomoc byle kogo, nawet ojca.

Ale sposobność się nie nadarzyła. Kuchnia była pusta.

Wpadła na schody przeskakując stopnie, pchnęła zasuwę, rzuciła się w poprzek łóżka, lecz zaraz się poderwała, jakby ją coś ugryzło, dopadła do okna, odsłoniła firanki i ujrawszy w lustrze swój wzrok szarpnęła się w tył jak zaskoczone zwierzę.

- Czy to ty, Żermeno? - spytała przez cienką ścianę pani Malorthy.

Jedynie lustro widziało to nowe spojrzenie Muszeczki, spazmatyczne wykrzywienie jej warg. Odparła cicho i spokojnie:

^ - Tak, ja, mamusiu.

I zanim stara kobieta zdołała wsunąć jakieś słowo, bez wahania i nawet bez myśli znalazła jedyne kłamstwo, które mogło wydać się prawdopodobne:

- Kuzyn Jerzy odwiózł mnie do Viel. Jechał na jarmark do VielAubin.

- O tej porze?

- Wyjechał bardzo wcześnie, bo miał jeszcze załadować wieprze. Mogłam skorzystać z okazji albo wracać na piechotę.

- Nie jadłaś kolacji - powiedziała matka. - Zrobię ci trochę kawy.

- Właśnie dlatego, że nie spałam i nie jadłam, kładę się - odparła Muszeczka. - Zostaw mnie.

- Otwórzże - powtórzyła pani Malorthy.

- Nie! - krzyknęła dziko Muszeczka. Zaraz się jednak zreflektowała i tym swoim oschłym i twardym głosem, który matkę przejmował dreszczem, dorzuciła:

- Nic mi nie trzeba, tylko spać. Dobranoc.

Kiedy zaś usłyszała, że cichnie na zakręcie schodów odgłos trepów, kolana się pod nią ugięły: skuliła się w mrocznym kącie bez słowa, bez jednego spojrzenia.

Doraźne niebezpieczeństwo rodzi jedynie trwogę, która wprawia tchórza w oszołomienie. Usypia, nim zabije. Przerazenie budzi się dopiero później, kiedy odrętwiała świadomość powoli rozpoznaje i przyjmuje swego złowrogiego gościa. Wyrok trafia skazańca niby kamień z procy, a galernik, który go odprowadza do celi, rzuca już na pryczę prawie trupa. Kiedy jednak nieszczęśnik w głębokiej, błogiej nocy otwiera oczy, uprzytamnia sobie raptem, że jest obcy wśród ludzi.

Muszczyka rzadko poświęcała czas wnikaniu w siebie z trochę baczniejszą uwagą: nie sprawiała jej to żadnej przyjemności. W tej dziedzinie wielce jej brak doświadczenia, co przypomina prostoduszność. Jak daleko sięga w przeszłość, jeśli chodzi o skrupuły czy wyrzuty sumienia, przeżywała tylko mgliste uczucie zakłopotania - lęk przed niebezpieczeństwem czy właśnie chęć sprowokowania go - jakąś mglistą świadomością, że na chwilę znalazła się poza prawem, gwałtownie rozbudzony instynkt zwierzęcia, które jest z dala od legowiska, na nie znanej drodze. I w tej nawet minucie pochłania ją wyłącznie tajemne zagrożenie, które tak niedawno dojrzała, wola, która skruszyła jej wolę, śmieszny ksiądz, którego wszyscy znają, kłaniają mu się na ulicy, często widywany, który chciał rzucić ją na kolana.

Wspomnienie jest jeszcze tak silne, że wypiera wszelkie inne: natknęła się na przeszkodę, a przeszkodą jest ten ksiądz.

Swego czasu takie stwierdzenie wzbudziłoby w niej złość i poruszyło tysiączne sieci jej przewrotności. Teraz natomiast nie pozwala oderwać twarzy od ziemi jakiegoś okrutnego zdziwienia, że w głębi swego ponizonego serca nie czuje nic prócz gorzkiego wstrętu.

Przez chwilę - jedną chwilę - nawiedza ją myśl (lecz tak niemrawo jeszcze się kształtująca): rozbić tę przeszkodę, powtórzyć morderczy gest. Lecz zaraz ją odsuwa: wydaje się niedorzeczna i śmieszna, podobna do zamierzeń, jakie się nam mającą w snach. Nie zabija się człowieka za parę mętnych słów. Tak przynajmniej sama to sobie uzasadnia: ale bardziej jest prawdziwe, że srogi przeciwnik ugodziwszy w dumę, złamał jedyną sprężynę jej życia.

Niebezpieczeństwo raczej by ją podnieciło; nikczemność by nie powstrzymała. Boi się tylko popełnić coś, co mogłoby ją ośmieszyć albo wzbudzić litość. Jak się niekiedy zdarza, słowa, które nagle, nie szukane, cisną się na usta, wyrażają głęboko utajony lęk: „Pomyśleliby, że zupełnie zwariowałam” - mruknęła do siebie.

Wariatka!... Długo przetrawia tę myśl. Do tej pory nawet w szpitalu w Campagne nie wątpiła, że jest zdrowa na umyśle. Od momentu, kiedy odzyskała przytomność, z drwiącą ciekawością przysłuchiwała się, jak omawiają jej wypadek.

Cóż ci panowie wiedzieli o tym straszliwym przeżyciu? Prawie nic, jako że najistotniejsze pozostało jej tajemnicą. Pośród owych nowych obserwatorów była taką, za jaką chciała uchodzić, nadal podobną do swej ulubionej postaci - dziewczyną niebezpieczną i tajemniczą, skazaną na osobliwy los, bohaterką między tchórzami i głupcami... Dziś natomiast, w tej właśnie chwili...

Co uzasadniało jej przerażenie? Zostawiła tylko na zakręcie odludnej drogi młodego księdza, którego wielokrotnie już spotykała, na pozór nieszkodliwego, nawet trochę głupawego.

Niewątpliwie coś mówił. Ale cóż on powiedział tak niezwykle ważnego? W tym momencie cały wysiłek, jaki podejmuje, żeby się opanować, wziąć w garść, okazuje się zawodny, utyka. Z każdą jednak chwilą wydaje się jej bardziej oczywiste, że w jakiś sposób została oszukana. Przestraszyło ją parę mglistych zdań, aluzji na pozór podstępnych - a może niewinnych, niewłaściwie tylko zrozumianych. Co tam jeszcze było? Jakieś słowa przelotnie rzucone zbrodni już przecież dawnej, niemal zapomnianej, słowa mające raczej dodać jej otuchy. „Przed Bogiem nie jesteś winna za tę zbrodnię...” (Chociaż powtarza te same słowa, nie może już wzbudzić w sobie wściekłości z upokorzenia, która wówczas tak ciężko rozdzierała jej serce.) Co jeszcze?

Wyrzuty, upomnienia, aby porzuciła złą drogę (dokładnie nie przypomina sobie nic z tego), aż wreszcie... (tu pamięć urywa się zupełnie) jakieś przedziwne odkrycie, które wzburzało ją do tego stopnia, że kiedy pozostała już tylko bezpodstawna trwoga, nie umiała powiedzieć, dlaczego zaszyła się w kąt pod ścianą, twarz ukryła na kolanach dygocząc i dzwoniąc zębami. Tutaj! Tutaj tkwi tajemnica! Dopiero wtedy uciekła.

wtedy powstała w niej ta straszliwa pustka. Ale czy możliwe? Czy możliwe jednak, by uciekła w tak rozpaczliwy sposób przed mętnymi opowieściami pochodzącymi na pewno z tego, co się gadało w miasteczku o niej i o jej krewnych? Prawda, że sama w nie uwierzyła i dość jeszcze dużo zapamiętała, aby mieć przeświadczenie, że w tamtej chwili nie mogła nie uwierzyć. Nie ulega wątpliwości, że ten sam człowiek i te same słowa przekonałyby ją na nowo. Ale co z tego? Czy obawiała się kiedy nienawiści głupców? Cóż niby nowego mógł jej naopowiadać ten ksiądz? Nie od niego pochodzi przerażenie, które jej jakby odebrało przytomność i rozdygotaną cisnęło tutaj... Padła ofiarą urojenia... a to urojenie, które uniosła z sobą odrętwiała, może się nagle odrodzić...

Och, och, już oto kołacze jej serce i bije jak dzwon, a pot spływa między łopatkami. Zalewa ją fala trwogi, straszliwa lodowata pieśczoła mocno chwyta za gardło. Zaczyna wyć, i to wycie słycać wszędzie, i po drugiej stronie placu aż drży oto ściana.

Gdy przytomnieje, leży na brzuchu koło swego łóżka.

W pierzynkę, która się zsunęła, tak mocno wbiła zęby, że usta ma pełne puchu. Nic nie zakłóca teraz ciszy, i uświadamia sobie nagle, iż krzyczała tylko przez sen. Obecnie zaś wszystkimi siłami, jakie jej jeszcze pozostały, odpycha, dławii nowy krzyk. Gdyż w nagłym błysku ujrzała samą siebie znów odwiezioną do szpitala, i tamte zamykające się za nią drzwi, siebie tym razem naprawdę obłąkaną - obłąkaną w swoich własnych oczach - we własnym mniemaniu... Najpierw parokrotnie jęknęła cichutko, potem zamilkła.

Czasami, gdy już sama dusza załamuje się w swojej cielesnej powłoce, nawet najpodlejszy z ludzi pragnie cudu, a jeśli nie umie się modlić, instynktownie przynajmniej, tak jak usta łaknące powietrza do oddychania, otwiera się dla

Boga. Daremnie jednak nieszczęsna dziewczyna dla rozwiązania zagadki, którą sobie zadała, trawić będzie resztki życia, jakie jej pozostały. Jakżeby mogła o własnych siłach wznieść się na wyżyny, na które wyniósł ją nagle człowiek

Boży, a teraz na powrót z nich spadła? Z światłości, która przeszła ją na wskroś - ją, biedne ciemne zwierzątko - pozostał jedynie nieznaną ból, od którego mogłaby umrzeć, wcale go nie pojmując. Szamocze się, z olśniewającym mieczem wbitym prosto w serce, a ręka, która ten cios zadała, nawet nie ma pojęcia, jaki był okrutny. O miłosierdziu Bożym nic nie wie i nie umiałaby go sobie nawet wyobrazić... Iluż ludzi szamocze się tak samo, i na próżno przytula ich do piersi anioł, którego oblicze przelotnie dojrzeli, by potem zapomnieć! Inni przyglądają się ciekawie, jak niejeden spośród nich, naznaczony takim właśnie znakiem, miota się niespokojnie, i ze zdziwieniem obserwują, jak na przemian to gorączkowo ugania się za rozkoszą, to znowu zdobywszy ją wpada w rozpacz, tocząc po wszystkim dokoła wzrokiem łapczywym a twardym, z którego znikł nawet odblask jego pragnień!

Przez dwie długie godziny to nieruchomo skulona, to wijąc się spazmatycznie w niemej furii na ziemi, to znowu zapadając w okropny sen, rzeczywiście sądziła, że traci rozum, powoli schodzi po czarnych stopniach. Linijka po linijce rysował się przed nią jej los: przebiegała myślą jego poszczególne etapy. Jak gdyby seria kolejnych oślepiających obrazów. Liczyła pojawiające się urojone postacie, wpatrywała się w twarze, słuchała głosów. Przy każdym odszukanym, wywołanym, z rozmysłem przebadanym obrazie czuła dosłownie, jak drżą jej zmysły i rozum, niczym wątył statek przy wietrze: ciągle jednak nad wszystkim górował przenikliwy ból. Gotowa już była umyślnie rozbudzić w sobie wszelkie moce zamętu przyzywając obłąd, jak inni przyzywają śmierć.

W głębokim jednak, prawie nieświadomym odruchu powstrzymywała się od jedyne go uzewnętrznienia swego stanu, mogącego zniweczyć jej siły: ani razu nie krzyknęła, dławiała

nawet jęk; bo starczyłby jeden świadek tego szału, a straciłaby grunt pod nogami. Wiedziała o tym: nikogo nie wołała. W miarę jak krzepła, jakby wbrew woli, jej odporność wewnętrzna, niepokój ruchów tracił naturalność, wściekłość wypalała się własną gwałtownością. Stopniowo zmieniała się znów w obserwatora własnego szaleństwa. Gdy stwierdziła, że znowu oddycha z wysiłkiem jak po zbudzeniu z ciężkiego snu, a jej duszę na nowo zalega przeraźliwy spokój, poczuła się całkowicie, do dna zawiedziona. Tak jakby w czarną noc raptem uciął wiatr na wzburzonym morzu.

Tego samego, czego nie wiedziała, brakowało jej nadal, brakowało w całym życiu. Ale czego? Co to było? Na próżno ocierała poorane paznokciami policzki, pogryzione wargi; na próżno patrzyła przez szyby na jasność świtu; na próżno powtarzała smutnym bezbarwnym głosem: „Skończyło się... skończyło...!” Prawda wychodziła na jaw; oczywiście ścisnęła serce; nawet obłęd nie chciał jej dać swego mrocznego schronienia. Tak! Nie była obłąkana i nie będzie nigdy. To, czego jej brakowało, już uchwyciła, ale gdzie? ale kiedy? W jaki sposób? I teraz nie ulegało już wątpliwości, że od paru chwil odgrywała sama przed sobą komedię obłędu, aby przesłonić, aby zapomnieć - obojętnie za jaką cenę - swoje cierpienie rzeczywiste, nieuleczalne, nie znane.

(Ach, niekiedy Bóg wzywa nas głosem tak natarczywym i słodkim! Lecz gdy się nagle wycofa, z zawiedzionego ciała dobywa się wycie, które musi zadziwić piekło!)

Wówczas to ją przyzywał z najgłębszych, najbardziej sekretnych tajników swej istoty - Szatana, a to wezwanie było jakby darowaniem mu siebie.

Te rzeczy mogą zadziwiać głuptaków. Innym wydawać się mniej wyjątkowe, mniej osobliwe niż wyobrażają sobie pięknoduchy. Lecz jeszcze innym, nielicznym, pospolite.

Z pewnością panna Małorthy miałyby wielkie trudności chcąc sformułować którekolwiek z tych zaklęć, od jakich podczas czarnych mszy bledną pod warstwą szminki twarze

Messalin Katona! Prawdę powiedziawszy Szatana uważała zawsze za postać dobrą do straszenia małych dzieci. Skądinąd jednak, czy wymieniła jego imię, czy nie, miał przyjść dopiero o swojej godzinie, i krętą drogą. Sina gwiazda nawet, gdy się ją błaga, rzadko wyłania się z otchłani. Toteż jeszcze wólpriyotomna nie umiałaby powiedzieć, jaką ofiarę z siebie składa, ani komu. Przyszło to z nagłą, wypłynęło nie tyle z jej umysłu, co z nieszczęsnego zbrukanego ciała. Skrucha, którą człowiek

Boży na krótko w niej wzbudził, stała się już tylko jednym spośród wielu cierpień. Chwila obecna była jedynie trwogą.

Przeszłość czarną dziurą. Przyszłość drugą czarną dziurą.

Drogę, po której inni chodzą krok za krokiem, ona już przebiegła: bez względu na to, jak nikłe były to przeżycia w porównaniu z osławionymi grzesznikami, jej skryta przewrotność wyczerpała już całe zło, do jakiego była zdolna - poza jednym grzechem - ostatnim. Od dzieciństwa wszelkie jej poczynania ku temu zmierzały, każde rozczarowanie stanowiło tylko pretekst do nowego wyzwania. Albowiem zło ukochała.

Najlepsze zresztą gratki trafiają się piekłu nie w stadzie opętańców, którzy zadziwiają świat osławionymi zbrodniami.

Najwięksi święci nie zawsze słyną z cudów, gdyż natury kontemplacyjne najczęściej żyją i umierają zapoznane.

A piekło ma także swoje klasztory klauzurowe.

I oto mamy ją tu przed oczyma, tę naiwną mistyczkę, służkę

Szatana, świętą Brygidę od nicości. Poza jednym zabójstwem nic nie miało zaznaczyć jej kroków na tej ziemi. Całe życie jest tajemnicą pomiędzy nią a jej panem, albo raczej tylko tajemnicą pana. Nie szukał jej między możnymi, ich zaślubiny dokonały się w ciszy. Podążała do swego celu nie krok za krokiem, ale jakby skokami i osiągnęła go wcale nie myśląc, że jest już tak bliski. Teraz osiągnie zapłatę. Niestety! Nie ma człowieka, który powziąwszy decyzję i z góry godząc się na wyrzuty sumienia, nie rzuciłby się bodaj na chwilę ze świadomą pożądlivością na zło, jak gdyby po to, żeby przytępić przekleństwo, okrutne marzenie, które każe jęczeć boleśnie kochankom, do szalu doprowadza mordercę, zapala ostatni błysk w oczach nieszczęśnika, co postanowił umrzeć; powróż już zaciska mu się na szyi, on zaś wściekłym ruchem nogi odtrąca krzesło... Tak właśnie, tylko że z uwielokrotnioną siłą, Muszeczka, nie nazywając go, pragnie w duszy nadejścia swego okrutnego Władcy.

Przyszedł natychmiast, znienacka, bez żadnych sporów, przerażająco spokojny i niezawodny. Ta duma ze zwycięstwa - jego bezmierna pycha ze wszystkiego czyni rodzaj intronizacji, triumfalną ceremonię w aromacie palm i Wawrzyńców, triumfalną, ale i posepną. Aczkolwiek tak dalece stara się upodobnić do Boga, żadna radość nie mogłaby zeń promieniować, jego arcydziełem natomiast, o wiele przewyższającym rozkosz zmysłów, która przecież porusza jedynie ciało - jest jakiś spokój niemy, samotniczy, lodowaty, porównywalny do upojenia nicością. Kiedy ów dar człowiek otrzymuje i przyjmuje, anioł, który nas strzeże, ze zdumieniem odwraca odeń twarz.

Przybył, a ledwie przybył, podniecenie Muszeczki jakby cudem się uśmierzyło, serce zaczęło bić wolno, ciepło stopniowo wróciło, ciało i dusza stały się już tylko wytrwałym i przemyślanym - bez zbędnej niecierpliwości - oczekiwaniem wydarzenia, które już teraz było niewątpliwe. Niemal jednocześnie jej mózg wyobraził je sobie i przeżywał w pełni

realistycznie. Zrozumiała, iż nadeszła godzina, żeby się zabić, bez sekundy zwłoki, w tejże chwili.

Zanim jej ciało wykonało jakiś ruch, umysł jej mknął po drodze wyzwolenia. Rzuciła się w ślad za nim. Dziwna rzecz:

tylko we wzroku pozostał niepokój i wahanie. Cała jej wrażliwość, całe życie spłynęło do koniuszków palców, do wnętrza zwinnych dłoni. Bez szmeru odemknęła drzwi, popchnęła lekko drzwi pokoju ojca (który o tej porze zawsze był pusty), wzięła brzytwę z miejsca, gdzie zwykle leżała, otworzyła ją szeroko. I już była znów u siebie, przed lustrem, wspięła się na palcach swoich drobnych stóp, z brodą odchyłoną do tyłu, szyją naprężoną, poddaną... Jakkolwiek tego pragnęła, nie zatopiła w niej ostrza, lecz przyłożyła okrutnie, świadomie, i usłyszała, jak zazgrzytało w jej ciele. Ostatnie, co zapamiętała, to była ciepła krew, która bluznęła na rękę i jęła spływać na łokieć.

IV

Ksiądz Donissan w zakrystii, od której klucz miał zawsze w kieszeni, doczekał się godziny swojej mszy i odprawił ją jak zwykle. Ksiądz MenouSegrails od kilku dni nie wychodził z pokoju, miał bowiem wyjątkowo silny atak astmy. Kiedy około wpół do dziesiątej spojrzął na drogę, zdziwił się ujrzawszy na niej swego wikarego. Zaraz jednak ciężkie buty zadudniły na płytach przedsionka, potem na Schodach. Aż wreszcie za drzwiami odezwał się głos, jak zwykle mocny i spokojny:

- Czy mogę wejść, proszę księdza dziekana?

- Proszę bardzo - zawołał proboszcz z Campagne zaciekawiony. - Proszę zaraz.

Z trudem odwrócił głowę wciśniętą między dwie ogromne poduszki na oparciu fotela. Twarzy wikarego nie bardzo mógł dojrzeć w ciemnym pokoju (zasłony były jeszcze nie całkiem rozsunięte). Lecz to, co zobaczył, dostatecznie już zadawało kłam sztuczemu spokojowi głosu. Nie zdradził jednak swego zdziwienia, trochę tylko mrugnęły mu powieki nad przenikliwie patrzącymi oczami.

- Cóż za niespodzianka! - zaczął bardzo łagodnie. - Jakże ksiądz zdołał już wrócić?

Umyślnie nie wskazywał mu krzesła wiedząc z doświadczenia, że wrodzona nieśmiałość i skrępowanie biednego kapłana potęgują się jeszcze, gdy tak przed nim stoi z rękami zwisającymi, i wtedy bardziej zdany jest na jego łaskę.

- Ośmieszyłem się, jak zwykle - odparł ksiądz Donissan... - No cóż... zablądziłem...

- Tak dalece, że przyszedł ksiądz do Etaples za późno, kiedy spowiedzi już się skończyły?

- Ja jeszcze nie wszystko powiedziałem - wyznał żałośnie wikary.

- Coś podobnego! - wykrzyknął ksiądz MenouSegrais uderzając gwałtownie w poręcz fotela, z żywością mocno odbiegającą od jego zwykłego zachowania. - A ciekaw jestem, co na to powiedzą tamci księża? Przyjść z opóźnieniem, no, trudno! Ale nie przyjść wcale!

Choć mało na ogół dbał o cudze zdanie, śmieszność budziła w nim jakby nerwowy lęk, będący może kobiecą cechą jego męskiego raczej charakteru. A na jakież dowcipy będzie narażony pośrednio, poprzez osobę swego wikarego, z którego już i tak dosyć kpiono! Napotkawszy jednak spojrzenie księdza

Donissan, cudowne swą szczerością, zawstydził się własnej słabości i spokojnie mówił dalej:

- Co się stało, to się stało. Napiszę dziś wieczorem do kanonika i wytłumaczę nas. Teraz zaś niech mi ksiądz powie...

Litościwie wyciągnął rękę wskazując krzesło. Ku jego zdziwieniu wikary stał nadal.

- Niech mi ksiądz powie - powtórzył tonem, w którym nie było ani natarczywości, ani rozkazu - jak można zabłądzić w okolicy, która nie jest przecież jakąś dziką pustynią?

Ksiądz Donissan nadal miał głowę przechyloną na ramię, a cała jego postawa wyrażała pokorny szacunek. Niemniej jego odpowiedź była zupełnym zaskoczeniem:

- Czy mam powiedzieć to, co uważam za prawdę?

- Obowiązkowo - odparł ksiądz MenouSegrais.

- A zatem powiem - rzekł wikary z Campagne.

Jego blada twarz, zapadnięta jeszcze po grozie i umęczeniu tej nocy, świadczyła wyraźnie, że postanowienie zostało już powzięte i niezawodnie będzie wykonane. Jedynym przejawem zawstydzenia było to, że lekko odwrócił głowę. Mówił z oczyma spuszczoneymi i może trochę prędzej niż zwykle...

Natomiast dokładność niektórych wypowiedzi, ich śmiałość, wyraźna troska, by niczego nie reżyserować, nawet słuchaczowi mniej przenikliwemu nasunęłyby myśl, iż nieszczęsny kapłan spodziewa się pewno skrycie, i pragnie, aby mu przerwano, gwałtownie zaprzeczono, co by mu pomogło, nie przeszkadzając w dotrzymaniu obietnicy. Lecz słuchany był w głębokim milczeniu.

- Ja nie zabłądziłem - rozpoczął. - W najgorszym razie mogłem się pomylić gdzieś w połowie drogi, na równinie.

Dlatego poszedłem gościńcem: zszedłem z niego tylko na chwilę. Powinienem był iść prosto przed siebie. Nawet w ciemną noc (bo noc była czarna, przyznaję) powinienem był dotrzeć do celu. A jeśli nie dotarłem, to inni, nie ja, tu zawinili.

Przerwał, by nabrać tchu:

- Jakkolwiek dziwaczne i obłądne może się już to księdzu kanonikowi wydać - mówił - zdarzyło się coś bardziej dziwnego i bardziej obłądnego. Coś gorszego. Zostałem poddany innej jeszcze próbie.

W tym miejscu głos mu zadrżał, a ręka wykonała mimowolny gest człowieka, któremu tok opowiadania przerywa jakiś bardzo istotny zarzut. I teraz jego wzrok pełen pokory spoczął na twarzy dziekana.

- Chciałbym zapytać... czy nie ma w tym grzechu, kiedy się opowiada taką jak moja przygodę... nawet niedorzeczną... i tłumaczy sobie tak, jak mnie wydaje się słuszne? (jeszcze się zawahał)... przypisując sobie mimowolnie pewną rolę... i olśnienia...

- Dalej! Dalej! - uciął szorstko ksiądz MenouSegrais.

Posłuchał, gdyż po chwili milczenia, w czasie której zdawał się raczej usilnie myśleć o tym, by uniknąć wszelkich zbytecznych wykrętów, wszelkich prób dbałości o swoją opinię, powiedział:

- Bóg zezwolił mi dwukrotnie, w co absolutnie nie sposób jest wątpić, na własne oczy oglądać duszę ludzką poprzez zaporę ciała... I to nie drogą jakichś środków zwykłych, przez badania i rozmyślania, lecz dzięki łasce szczególnej, cudownej, o której muszę dać świadectwo księdzu kanonikowi, choćby mnie to nie wiem ile miało kosztować...

- I to ksiądz uważa za cud? - spytał kanonik najzwyczajszym głosem.

- Tak właśnie sędzę - powiedział.

- Zda ksiądz z tego sprawę swojemu biskupowi - odparł po prostu dziekan z Campagne.

Nie było zresztą śladu zdziwienia w spojrzeniu, jakim - dosłownie - ogarnął dziwną postać swego wikarego; śladu zdziwienia, tylko uwaga spokojna, obojętna wobec osoby, trochę ledwie zaciekawiona faktami, z odcieniem litościwej wyższości. Wikary zaczerwienił się po uszy.

- I cóż takiego spotkał ksiądz wśród pól, w ciemną noc?

- Najpierw człowieka, którego nazwiska nie znam.

- O! - mruknął tylko ksiądz MenouSegrais.

- Proszę mnie zrozumieć... - powtórzył ksiądz Donissan z bolesnym drżeniem ust. - On pierwszy mnie zaczepił... Nie myślałem o niczym podobnym... Nawet nie widziałem jego twarzy... Wcale nie znałem głosu! Przeszliśmy kawałek drogi razem. Rozmawialiśmy o rzeczach bez znaczenia... o pogodzie... nocy... bo ja wiem?

Umilkł ogarnięty wyrzutami sumienia, że ukrywa część prawdy przed swoim sędzią. I nagle szorstko, żeby raz z tym skończyć:

- W owej to chwili otrzymałem łaskę, olśnienie, o którym mówiłem. Natomiast drugie spotkanie...

- Wiem już dosyć... przynajmniej na razie - przerwał dziekan. - Mniejsza o szczegóły.

Oparł głowę na poduszce, krzywiąc się z bólu, wyjął z kieszeni tabakierkę, zażył szczyptę i podnosząc lekko rękę do góry, jakby chciał przeprosić, że przerywa zwykłą pogawędkę, powiedział:

- Zechciałby ksiądz zadzwonić na panią Ismerie? O tej porze powinienem wziąć salicyl, a nie wiem, gdzie postawiła butelkę.

Butelka znalazła się na zwykłym miejscu. Wypił wolno, bardzo starannie otarł wargi, po czym odprawił gospodynię serdecznym spojrzeniem. Gdy drzwi się za nią zamknęły:

- Wezmą cię za obłąkanego, mój chłopcze - powiedział.

Ale miał przed sobą (o tym nie wątpił) jednego z owych ludzi, którzy przeżywają swoje doświadczenia wewnętrznie, ukształtowanych jak gdyby od wewnątrz i nie dających się łatwo wytrącić z równowagi. Tylko lekkie stężenie jego rysów zdradzało raczej zdumienie niż lęk. Odpowiedział rzeczowo:

- Moim obowiązkiem było wyznać to księdzu kanonikowi.

Bóg mi świadkiem, że pragnę jedynie zapomnienia o tym wszystkim i milczenia.

- Może ksiądz na mnie liczyć - podjął dziekan z Campagne - jeśli chodzi o zatajenie wszystkiego, co może być przemilczane bez kłamstwa. No, bo jestem wprawdzie twoim bezpośrednim przełożonym, przyjacielem, ale i ja także mam swoich przełożonych.

A po chwili:

- Napiszę... Nie! raczej pojedę, pojedę do kanonika Cou-

- Pod słońcem... vremont, dawnego dyrektora wyższego seminarium. To mój bardzo pewny, niezawodny konfrater. On to przemyśli.

Zresztą jestem przekonany, że bardzo szybko dojdziemy obydwaj do porozumienia. Bez trudu odgaduję, co postanowi...

Może spodziewał się jakiegoś pytania, lecz nie doczekał się nawet spojrzenia.

- Poprosimy dla księdza o dłuższe rekolekcje, w Tortefontaine albo może u benedyktynów w Chevetogne. Muszę teraz mówić otwarcie. Ja księdzu uwierzyłem; nadal wierzę, że ksiądz jest naznaczony, wybrany. Nie posuwajmy się dalej.

Nie żyjemy już w czasach cudów. Raczej budziłyby lęk, przyjacielem. Porządek publiczny jest w to zaangażowany.

Władze administracyjne czekają tylko okazji, żeby nas zaatakować. Co więcej, modne są obecnie nauki - jak oni je nazywają - neurologiczne. Raptem taki księżulek, który czyta w duszach jak w książce... Będą cię leczyć, chłopcze.

Mnie wystarczy to, coś już powiedział, nie domagam się więcej, nawet wolę już nie więcej nie słyszeć.

Wyciągnął przed siebie obie ręce, jak gdyby chciał odepchnąć tę niebezpieczną tajemnicę, po czym wtulił znowu głowę we wgłębienie poduszki. Ale gdy tylko zauważył, że wikary zbiera się do wyjścia, rzucił:

- Uwaga! Zabraniam księdzu formalnie bez mojego uprzedniego zezwolenia otwierać usta na ten temat do kogokolwiek.

Kogokolwiek, rozumie ksiądz?

- Nawet do mojego zwykłego spowiednika? - spytał nieśmiało ksiądz Donissan.

- Zwłaszcza do niego - odparł spokojnie tamten.

Znów zapadło milczenie, tylko cięższe. Raz, może dwa razy wysoka postać wikarego jakby się zachwiała to w lewo, to w prawo, a wzrok pobiegł ku drzwiom. Prawa ręka nerwowo szarpała guziki sutanny. Aż raptem ku wielkiemu swojemu zdziwieniu posłyszał własny głos, mówiący:

- Ja jeszcze nie wszystko powiedziałem.

Nie było odpowiedzi.

- To, co winienem był powiedzieć, dotyczy - w jakiej mierze, to wie jeden Bóg - zbawienia pewnej biednej duszy, za którą my będziemy odpowiedzialni, ksiądz dziekan i ja.

Opatrzność jakby mi ją powierzyła specjalnie, umyślnie, to pewne, gdyż ta osoba należy do naszej rodziny parafialnej, proszę księdza dziekana.

- Słucham - odparł ksiądz MenouSegrain wolno podnosząc oczy.

Podczas długiego opowiadania, które teraz nastąpiło, przenikliwy mocny wzrok ani na chwilę nie oderwał się od wzburzonej twarzy wikarego. Można w nim było wyczytać jakąś bolesną uwagę, w której już powoli dojrzywała stanowcza decyzja. Ani jedno słowo nie wydobyło się zza zaciśniętych warg, ani razu drzenie nie przebiegło po długich bladych dłoniach spoczywających na poręczach fotela, głowa zaś trochę odchyłona, z wysuniętą do przodu brodą, promieniowała mądrością i wolą.

Kiedy wikary skończył, dziekan z Campagne bez cienia ostentacji odwrócił się ku Chrystusowi florenckiemu, zawieszonemu nad jego łóżkiem, i powiedział głosem zarazem mocnym i serdecznym:

- Chwała Bogu, synu mój, że tak szczerze i pokornie mówiłeś. Gdyż ta prostota rozbija nawet złego ducha.

Dając znak młodemu kapłanowi, aby się przybliżył, lekko przyciągnął go do siebie, poszukał oczyma jego wzroku i tak, twarzą w twarz, powiedział:

- Ja wierzę, wierzę ci całkowicie. Ale muszę się przez chwilę zastanowić, co mam powiedzieć... Proszę wziąć ze stołu, tam na prawo, tak... O naśladowaniu Chrystusa...

Otworzył ksiądz księgę III rozdział LVI i odczytał sobie całym sercem, zwłaszcza werset i. A teraz proszę już iść... Proszę mnie zostawić.

Stary kapłan, którego wspaniałe wrodzone dary przygasiała ongiś ludzka tępota, niesprawiedliwość i zazdrość, w tej jednej jedynej godzinie czuł, że spełnia swoje przeznaczenie. Porównania mało są warte, kiedy trzeba je zapożyczać ze zwykłego życia, aby dać pojęcie o wydarzeniach z życia wewnętrznego oraz ich wzniosłej wielkości. Nadszedł oto moment, w którym ów człowiek wyjątkowy, zarazem subtelny i płomienny, jak nikt inny odważny, ale też potrafiący we wszystko godzić ostrzem swojej ironii, miał wykazać, na co go stać.

- „...ucieczka od Krzyża przyniosłaby hańbę...” - wyszeptał, powtarzając z pamięci ostatnie słowa rozdziału. - A teraz wysłuchaj mnie, przyjacielu.

Wikary z Campagne posłusznie podniósł się z klęcznika i stanął o parę kroków.

- To, co usłyszysz - powiedział ksiądz MenouSegrais - z pewnością sprawi ci ból. Bogu wiadomo, że dotychczas za bardzo cię oszczędzałem! Nie chciałbym jednak cię trwożyć.

Cokolwiek powiem, zachowaj spokój. Albowiem nie zawiniłeś niczym, poza może brakiem doświadczenia i nadmierną gorliwością. Czyś mnie zrozumiał?

Wikary skinął głową.

- Postępował ksiądz jak dziecko - podjął stary kapłan po chwili milczenia. - Próby, jakie cię teraz, chłopcze, czekają, nie są z rodzaju tych, którym można zarozumiale stawiać czoło; bardziej niż kiedykolwiek, i choćby cię to nie wiedzieć, ile kosztowało, musisz odwrócić się od nich stanowczo, uciekać nawet, nie obejrzawszy się za siebie. Każdy z nas bywa kuszony wedle swoich sił. Nasza pożądlivość rodzi się, rozwija i przeobraża wraz z nami. Jest, tak jak pewne chroniczne dolegliwości, jakby symbiozą między chorobą a zdrowiem. Wtedy wystarcza cierpliwość. Zdarza się jednak, że choroba pogarsza się raptownie, że jakiś nowy czynnik...

Przerwał z pewnym zakłopotaniem, które szybko opanował:

- Zwłaszcza zapamiętaj sobie jedno: w oczach wszystkich jesteś do tej pory (jak długo?) tylko biednym księżyną o wybujałej wyobraźni i wielce zarozumiałym, na wpół marzycielem, a na wpół kłamcą albo obłąkanym. Poddaj się zatem pokucie, którą ci z pewnością wymierzą, milczeniu i tymczasowemu zapomnieniu w klasztorze, nie uważając tego za niesprawiedliwą karę, ale za rzecz potrzebną i słuszną... Czy nadal dobrze mnie rozumiesz?

To samo spojrzenie i ten sam ruch głowy.

- Wiedz o tym, mój chłopcze: od wielu miesięcy przyglądam ci się niewątpliwie ze zbyt wielką ostrożnością i wahaniem. Bo przecież widziałem to jasno, od pierwszego dnia.

Niektóre łaski zostały ci dane jakby nazbyt hojnie, bez umiaru: prawdopodobnie więc i kuszony jesteś wyjątkowo.

Duch Święty jest wspaniały, ale Jego hojność nigdy nie bywa daremna: dostosowuje ją do naszych potrzeb. Dla mnie jest to znak zupełnie nieomylny: w twoje życie wszedł diabeł.

Ksiądz Donissan nadal milczał.

- Och, mój chłopcze! Nierozumni zamykają na te rzeczy oczy! Niejeden ksiądz boi się nawet wypowiedzieć imię Szatana! Cóż oni czynią z życia wewnętrznego? Ponure pole bitwy dla instynktów. A z moralności? Higienę zmysłów. Łaska jest dla nich tylko słusznym rozumowaniem, pobudzającym umysł, pokusa pożądaniem cielesnym, próbującym umysł zdeprawować. W ten sposób ledwie zarysowują najbardziej pospolite przygody z wielkich zmaganiań, jakie się w nas toczą. Człowiek może dążyć tylko do tego, co przyjemne i pożyteczne, przy czym sumienie kieruje jego wyborem. Dobrze to w stosunku do abstrakcyjnego człowieka z ksiązek, tego przeciętnego człowieka, którego się nigdzie nie spotyka! Takie dziecinady nic nie wyjaśniają. W tego rodzaju świecie zwierząt czujących i rozumujących nie ma już nic dla świętego, albo trzeba w niego wmówić obłąd. I czyni się to, wiadomo. Ale problem nie tak łatwo daje się rozwiązać. Każdy z nas - ach, obyś mógł zapamiętać sobie te słowa starego przyjaciela - jest na przemian w jakiejś mierze zbrodniarzem albo świętym, to dążąc ku dobremu, bynajmniej nie z rozsądnej oceny wynikających stąd korzyści, ale wyraźnie i nade wszystko z porywu całej swojej istoty, w przepływie miłości, za której sprawą cierpienie i wyrzeczenie stają się właśnie przedmiotem pożądania, to znowu dręczony tajemniczą chęcią upodlenia, posmakowana popiołu, oszołomienia się zwierzęcością, jej niepojętą nostalgią. Och, cóż znaczy od wieków nagromadzone doświadczenie życia moralnego. Cóż znaczy przykład tylu nieszczęsnych

grzeszników, ich niedoli! Tak, mój chłopcze, zapamiętaj sobie. Zło tak jak i dobro bywa kochane dla niego samego, i ma swoje sługi.

Z natury słaby głos dziekana z Campagne stawał się coraz bardziej przytłumiony, tak że od chwili zdawać się mogło, iż mówi do siebie. Ale nic podobnego. Jego spojrzenie spod wpołprzymkniętych powiek ani na chwilę nie odrywało się od twarzy księdza Donissan. Dotychczas twarz ta na pozór była niewzruszona. Przy ostatnich słowach ów niewzruszony spokój nagle zniknął, zupełnie tak jakby spadła maska.

- Czyż należy sądzić...! - wykrzyknął. - Czy jesteśmy naprawdę tacy nieszczęśliwi?

Nie dokończył zaczętego zdania, nie poparł go żadnym ruchem; bezgraniczne zgnębienie, przekraczające z pewnością wszelkie ludzkie słowa, tak boleśnie odmalowało się w tym zająkliwym okrzyku, w rozpaczliwej uległości jego pociemniałych oczu, że ksiądz MenouSegrais niemal bezwiednie rozłożył ramiona. Młody kapłan ku niemu się rzucił.

Teraz klęczał oto przy wysokim, wyściełanym fotelu.

Krótko ostrzyżona, toporna głowa przypadła ufnie do piersi przyjaciela... Lecz w zgodnym odruchu nie przedłużali uścisku. Wikary przybrał po prostu postawę penitenta u nóg spowiednika. Wzruszenie dziekana przejawiało się w lekkim drzeniu prawej dłoni, którą go pobłogosławił.

- Te słowa gorszą cię, mój chłopcze. Obyż mogły cię także uzbroić! Aż nazbyt to pewne: twoim powołaniem nie jest klasztor.

Uśmiechnął się smutno, i zaraz uśmiech powściągnął.

- Rekolekcje, jakie ci niebawem wyznaczą, okażą się z pewnością okresem prób i osamotnienia bardzo gorzkiego.

Będzie to trwało dłużej niż przypuszczasz, możesz być pewien.

Ojcowskim spojrzeniem, zabarwionym odrobiną bardzo łagodnej ironii, długo przypatrywał się pochylonej twarzy.

- Nie urodziłeś się po to, żeby się podobać, gdyż masz w sobie to, czego świat nienawidzi najbardziej zjadliwą i wyszukaną nienawiścią: poczucie i umiłowanie siły. Nie wypuszczą cię tak prędko.

- ... Praca, jakiej Bóg w nas dokonuje - podjął po krótkim milczeniu - rzadko bywa tym, czego oczekujemy. Prawie zawsze odnosimy wrażenie, że Duch święty działa na opak, traci czas. Gdyby kawałek żelaza mógł dojrzeć pilnik, który go z wolna obrabia, jakąż by czuł wściekłość i przygnębienie! A przecież tak właśnie Bóg obchodzi się z nami. Żywoty niektórych świętych wydają się przeraźliwie monotonne, istne pustynie.

Powoli schylił głowę i oto ksiądz Donissan po raz pierwszy zobaczył, że jego oczy ciemnieją i wypływają z nich dwie ciężkie łzy. Zaraz się jednak otrząsnął.

- No, już dość - rzekł. - Pośpieszmy się! Wkrótce bowiem wydzwoni godzina, kiedy nie będę już mógł nic dla księdza zrobić w rozumieniu świata. Pomówmy teraz otwarcie, możliwie najjaśniej. Nie ma nic lepszego jak mówić o zjawiskach nadprzyrodzonych językiem zwykłym, pospolitym, codziennymi słowami. Żadne złudzenie wtedy się nie ostoi. Pomijam pierwszą księdza przygodę: skądże mogę wiedzieć, czy widział ksiądz naprawdę, twarzą w twarz, tego, kogo spotykamy co dnia - niestety nie na zakręcie jakiejś drogi, ale w nas samych? Czy widział go ksiądz w rzeczywistości, czy we śnie, to dla mnie bez znaczenia. Coś, co ogół może uważać za wydarzenie pierwszorzędnej wagi, najczęściej dla kornego sługi Bożego jest sprawą zupełnie uboczną. O księdza darze jasnowidzenia i o jego szczerości nie można wyrobić sobie sądu inaczej, niż poprzez czyny: księdza czyny będą o nim świadczyły. Dajmy temu spokój.

Poprawił sobie poduszki, nabrał tchu i mówił dalej z tą samą niezwykłą dobroduszością:

- Przechodzę do drugiej księdza przygody, która i dla mnie nie jest bez znaczenia, o nie! Gdyż pomyłka w księdza ocenie mogłaby przynieść szkodę jednej z owych dusz, które, jak ksiądz sam powiedział, zostały nam powierzone. Nie znam córki pana Malorthy. Nic nie wiem o zbrodni, o której popełnienie ksiądz ją posądza. W naszych oczach ten problem przedstawia się inaczej. Bez względu na to, czy ta dziewczynka popełniła zbrodnię, czy nie, czy była ona przedmiotem wyjątkowej łaski? Czy ksiądz był narzędziem tej łaski?

Oj proszę mnie zrozumieć... Proszę zrozumieć!... W każdej t liwili może być nam dane natchnienie wypowiedzenia właściwego słowa, zadziałania w sposób niezawodny - taki, a nie żaden inny. Wówczas bywamy świadkami prawdziwego odrodzenia się sumienia. Jedno jakieś słowo, jedno spoj-rzenie, uścisk dłoni, i oto czyjaś wola, do tej pory nieugięta, raptem się załamuje. Jakże niemądrzy byliśmy, biedacy, wyobrażając sobie, że kierownictwo duchowe podlega zwykłym prawom ludzkich zwierzeń, nawet całkiem szczerych!

Ciągle przecież zamiary nasze są krzyżowane, nasze najlepsze argumenty obracane wniwecz, słabe środki, jakimi dysponujemy, zwracają się przeciwko nam. Między kapłanem a penitentem znajdzie się zawsze trzeci niewidzialny aktor, który niekiedy milczy, niekiedy coś szepcze, a czasem z nagłą przemawia jak władca. Jakże bierna bywa często nasza rola! Tutaj nie ostoi się żadna próżność, żadna zarozumiałość, żadna pewność siebie. Skądże więc można bez jakiegoś skurczu serca wyobrażać sobie, że ów świadek, zdolny posługiwać się nami bez naszej wiedzy, przypuści nas do ściślejszej współpracy w swej nie dającej się wysłowić

działalności! Jeżeli tak było z tobą, mój chłopcze, to znaczy, że chce cię on wypróbować, a ta próba będzie ciężka, tak ciężka, że może zniszczyć całe twoje życie.

- Wiem o tym - wykrztusił biedny kapłan. - Och, jakże słowa księdza dziekana są bolesne.

- Ksiądz wie? - zdumiał się kanonik. - A to niby skąd?

Ksiądz Donissan ukrył twarz w dłoniach, po czym, jakby się wstydząc tego pierwszego odruchu, odparł podniósłszy głowę i wpatrując się w blade światła za oknami:

- Bóg natchnął mnie myślą, że w ten sposób wskazuje mi moje powołanie, iż będę musiał ścigać Szatana w duszach ludzkich, i niewątpliwie będę przez to narażał mój spokój, moją cześć kapłańską, a nawet i moje zbawienie.

- Niech ksiądz w to nie wierzy - odparł żywo proboszcz z Campagne. - Zbawienie naraża się tylko wtedy, kiedy się schodzi z Jego drogi. Tam, gdzie Bóg za nami idzie, możemy być pozbawieni spokoju, lecz nie łaski.

- Wielce się ksiądz dziekan łudzi - odpowiedział ksiądz

Donissan spokojnie, jakby wcale nie zauważając, jak daleko te słowa odbiegają od jego zwykłego, pełnego szacunku i pokory języka. - Nie mogę podawać w wątpliwość woli, która mnie przynagła, ani losu, który mnie czeka.

Wzrok księdza MenouSegrais rozblęsnął ową radością poszukiwacza, który nagle zobaczy rozwiązanie, jakiego dawno szukał.

- A jaki los cię czeka, synu?

Wikary lekko wzruszył ramionami.

- Nie będę się domagał wyjawienia księdza tajemnicy.

Dawniej miałbym po temu prawo. Teraz drogi nas obydwu się rozchodzą i ksiądz już do mnie nie należy.

- Proszę tak nie mówić - szepnął ksiądz Donissan, a oczy mu pociemniały i znieruchomiały. - Dokądkolwiek pójdę, bez względu na to, jak głęboko pograży mnie gniew

Boży - tak - nawet w ramionach samego Szatana, będę pamiętał o życzliwości księdza kanonika.

Po czym, jak gdyby obraz, który ogarniał jego umysł, poruszał go zbyt boleśnie i jakby chciał odeń uciec (a może stawić mu czoło), poderwał się gwałtownie.

- A więc to jest księdza tajemnicą? - zawołał ksiądz

MenouSegrais. - Czy to jest ta myśl, rzekomo pochodząca od Boga? Czy ja dobrze zrozumiałem, że ksiądz bluźni, znieważa w sobie Boże miłosierdzie? O, to nie są moje nauki!

Posłuchaj mnie, nieszczęsny! Jesteś po prostu (od jakiegoś czasu) ofiarą, igraszką, groteskowym narzędziem tego, kogo się lękasz najbardziej.

Podniósł obie ręce, a potem opuścił je ruchem przerażenia i zniechęcenia, któremu zadawał kłam nieustępliwy blask oczu.

- Ja nie bluźnięm - powiedział ksiądz Donissan. - Nie zwątpiłem w sprawiedliwość Pana Boga. Do ostatniej chwili mojego nędznego żywota będę wierzył, że już same zasługi

Jezusa Chrystusa są dość wielkie, żeby rozgrzeszyć mnie i wszystkich wraz ze mną. A przecież nie bez powodu pewnego dnia została mi objawiona w sposób tak skuteczny straszliwa groza grzechu, nieszczęsna dola grzeszników i poięga Szatana.

- A w jakim momencie... - zaczął ksiądz MenouSegrais.

Lecz nie dając mu dokończyć, albo raczej wcale jakby nie siarając się go dosłyszeć, przyszły święty z Lumbres mówił dalej:

- Przecucie tego dane mi było już dawniej. Zanim poznałem prawdę, już nosiłem w sobie jej smutek. Każdy otrzymuje swoją część światła: bardziej gorliwi, bardziej wykształceni mają zapewne bardzo żywe wycucie Bożego ładu rzeczy. Co do mnie, od dzieciństwa żyłem nie tyle w nadziei na chwałę, którą kiedyś posiadziemy, ile w żalości za chwałę, którąśmy utracili. (Jego twarz coraz bardziej twardniała, czoło przecięła bruzda gniewu.) Ach, ojczyzny mój!

Ojczyzny! Pragnąłem odsunąć od siebie ten krzyż! Czy to jest możliwe? Zawsze podejmowałem go na nowo. Bez niego życie nie ma sensu: najlepsi stają się owymi letnikami, którymi

Pan nasz się brzydzi. W naszej potwornej niedoli, kiedy jesteśmy ponizani, ciemieni, tratowani przez najpodlejszego nikczemnika, czym byśmy się stali, gdybyśmy przynajmniej nie odczuwali zniewagi? Nie jest on całkowitym panem tego świata, dopóki w naszych sercach wzbiera święty gniew, dopóki życie ludzkie z kolei rzuca mu w twarz Non Serviam.

Słowa cisnęły mu się na usta niewspółmierne z obrazami wewnętrznymi, które je pobudzały. I ten potok słów u człowieka z natury małomównego świadczył, że jest niemal bezprzytomny.

- Tu już księdzu przerywam - powiedział chłodno dziekan z Campagne. - Rozkazuję, aby mnie ksiądz wysłuchał.

Mówi ksiądz tak dużo jedynie po to, żeby siebie samego oszukać, a i mnie także. Dajmy temu spokój. Wiem jednak, że nie należy ksiądz do ludzi, którzy dają zbyć się

słowami. Ta gwałtowność pozwala się domyślać jakichś postanowień, zamiarów, może czynów, o których ja chcę wiedzieć.

Strzał wymierzony był tak celnie, że ksiądz Donissan podniósł na dziekana przerażone oczy. Lecz wnikliwy i mocny starzec mówił dalej:

- W jaki sposób wcielał ksiądz w swoje życie uczucia, o których można już co najmniej powiedzieć, że są niepokojące i niebezpieczne?

Młody kapłan milczał.

- Więc ja księdza naprowadzę na trop - podjął kanonik MenouSegrais. - Zaczął ksiądz od nadmiernych umartwień. Później z równym zapamiętaniem rzucił się ksiądz do swojej służby kapłańskiej. Serce księdza cieszyło się z osiągniętych wyników. Powinny one były przywrócić księdzu spokój. Ale to się jeszcze nie stało! A przecież Bóg nie odmawia nigdy spokoju dobremu słudze, który pracuje do granic swych możliwości. Czyżby zatem ksiądz dobrowolnie go odrzucał?

- Nie, nie odrzucałem - odpowiedział z trudem ksiądz

Donissan. - Z natury jestem raczej skłonny do smutku niż do radości...

Zdawał się chwilę zastanawiać, szukać w myślach jakiegoś sposobu, by się wyrazić bardziej ugodowo, z większym umiarem, aż nagle się decydując wykrzyknął głosem zdławionym z przejęcia, podobnym do mrocznego płomienia:

- Och, raczej rozpacz i wszystkie jej udręki niż tchórzliwa potulność wobec działań Szatana!

Ku wielkiemu jego zdziwieniu, jako że to życzenie wyrwało mu się jakby krzyk, który on sam usłyszał niemal z przerażeniem, dziekan z Campagne ujął go za obie dłonie i powiedział łagodnie:

- Już dosyć, chłopcze; czytam jasno w twojej duszy: nie omyliłem się. Nie tylko nie zabiegałeś o pocieszenie, ale podsycasz w swym umyśle wszystko, co mogłoby cię popchnąć ku rozpacz. Podsycasz w sobie rozpacz.

- Nie rozpacz! - zawołał - ale lęk.

- Rozpacz - powtórzył ksiądz MenouSegrais tym samym tonem - która od ślepej nienawiści do grzechu doprowadziłaby cię do pogardy i nienawiści do grzesznika.

Na te słowa ksiądz Donissan wyrwał ręce z uścisku dziekana, a oczy z nagłą napełniły mu się łzami.

- Nienawiści do grzesznika! - wykrzyknął chrapliwym głosem, a współczucie w jego wzroku miało w sobie coś dzikiego. - Nienawiści do grzesznika!

Gwałtowność i zamęt uczuć nie pozwoliły słowom wydostać się z ust, dopiero po dłuższym milczeniu dorzucił, z oczyma zamkniętymi na tajemniczym widzeniu:

- Rozporządziłem skarbem o wiele cenniejszym niż życie...

Wówczas znowu rozległ się w ciszy głos dziekana z Campagne, stanowczy, jasny, od którego nie sposób by się było uchylić:

- Zawsze byłem przekonany, że w twoim życiu wewnętrznym istnieje jakaś tajemnica, lepiej strzeżona przez twoją niewiedzę i uczciwość niż wszelkie wyrachowanie. Popelniona została jakaś nieroztropność. Wcałe bym się nie zdziwił, gdybyś uczynił jakiś niebezpieczny ślub...

- Nie mógłbym uczynić żadnego ślubu bez zezwolenia mego spowiednika - wyjąkał nieszczęsny kapłan.

- Jeśli to nie jest ślub, to coś bardzo zbliżonego - odparł ksiądz MenouSegrais.

Po czym z trudem odrywając się od poduszek wyprostował się i oparłszy ręce na kolanach rzekł nie podnosząc głosu:

- Rozkazuję ci powiedzieć, mój chłopcze.

Ku wielkiemu zdziwieniu dziekana wikary długo się wahał, oczy mu stwardniały. Wreszcie, z bolesnym drżeniem:

- To prawda, zapewniam księdza dziekana... Nie uczyniłem żadnego ślubu, nie złożyłem żadnej obietnicy, tylko może życzenia... może... zapewne niezbyt uzasadnione, w każdym razie według ludzkiej roztropności...

- To zatruwa twoje serce - powiedział ksiądz Menou-

- Segrais.

Na co potrząsnął głową i rzekł zdecydowanie:

- Może to właśnie zasługuje na zarzuty księdza dziekana... Myśl, że grzech owładnął tyłoma duszami... często wzbudzała we mnie szaleńczą nienawiść do wroga... Dla ich zbawienia ofiarowałem wszystko, co posiadałem, czy co mogłem kiedykolwiek posiadać... w pierwszym rzędzie życie, ale to tak mało znaczy...! Pocięchy Ducha Świętego...

Znowu się zawahał.

- Moje zbawienie, jeżeli Bóg zechce - zakończył cichym głosem.

Wyznanie to zapadło w głęboką ciszę. Niezwykłe słowa jak gdyby ją stworzyły i same się w niej zatraciły.

Po czym znów odezwał się kanonik.

- Zanim będziemy rozmawiali dalej - rzekł ze zwykłą prostotą - niech się ksiądz na zawsze wyrzeknie tej myśli i prosi Boga, aby mu wybaczył. Ponadto zabraniam księdzu mówić o tych sprawach z kimkolwiek oprócz mnie.

Kiedy zaś wikary otworzył usta chcąc coś odpowiedzieć, niezrównany lekarz dusz, zawsze nieugięty w swej rozwadze i najwyższym zdrowym rozsądku, powiedział:

- Niech się ksiądz nie upiera. I zamilknie. Chodzi już tylko o to, żeby zapomnieć. Wiem wszystko. Zamysł był bezbłędnie powzięty i skrupulatnie urzeczywistniany. Demon nie inaczej zwodzi ludzi do księdza podobnych. Gdyby nie potrafił nadużywać darów Bożych, byłby jedynie krzykiem nienawiści w otchłani, który nigdzie nie wzbudziłby echa...

Aczkolwiek głos jego nie zdradzał szczególnego wzruszenia, przejawiało się ono w tym, że podniósł laskę leżącą koło fotela, wstał i przeszedł parę kroków. Wikary nie ruszał się z miejsca.

- Chłopcze mój - powiedział stary kapłan - ileż niebezpieczeństw na ciebie czyha! Chrystus Pan wzywa nas do doskonałości, nie do wypoczynku. Ty zaś jak mało kto będziesz niepewny swej drogi, jasnowidzący jedynie dla bliźnich, wciąż przechodzący od światłości w ciemność, pełen wahań. Twoja zuchwała ofiara została w jakimś sensie przyjęta. Nadzieja prawie całkiem w tobie zamarła, już na zawsze. Pozostał z niej tylko ostatni płomyk, bez którego wszelka działalność byłaby niemożliwa i wszelka zasługa płonna. Niedostatek nadziei, oto co jest ważne. Wszystko inne jest bez znaczenia. Na drodze, którą wybrałeś - nie, na którą się rzuciłeś! - będziesz samotny, absolutnie sam, będziesz szedł sam. Ktokolwiek poszedłby za tobą, zatraciłby siebie, tobie nie dając pomocy.

- Ja o to nie prosiłem - wykrzyknął przyszyły święty z Lumbres z nagłą gwałtownością (głos jego w sprzeczności zaiste patetycznej nadal był posępny i uparty). - Nie pragnąłem takich szczególnych łask. Nie chcę ich! Nie pragnę cudów! Nigdy o nie nie prosiłem! Niechże mi pozwolą żyć i umrzeć w skórze biednego prostaka, co nie umie ani be, ani me. O nie! Nie! To, co się zaczęło tamtej nocy, nie będzie miało zakończenia! Ja śniłem. Byłem obłąkany.

Ksiądz MenouSegrais wrócił na fotel, usiadł głęboko i odpowiedział, nie podnosząc głosu:

- Kto wie? Któryż spośród ludzi, których czcimy jako naszych ojców w wierze, nie był uważany za fantastę? Któryż fantasta nie miał swoich uczniów? W punkcie, do którego doszedłeś, tylko czyny będą świadczyły za tobą albo przeciw tobie.

Po chwili dorzucił już trochę łagodniej:

- Czyż i ja nie jestem godny pożałowania, chłopcze? Moja znajomość dusz, kilkumiesięczne rozmyślania skłaniają mnie do wiary, że Bóg ciebie wybrał. Nierozumni

sądzą, że wyrastają oni sami, tak jak trawa na polach. Nieliczni wiedzą, że drzewo jest tym bardziej delikatne, im cenniejsza jest jego materia. Cóż, księdza los, z którym na pewno wiąże się bardzo wiele innych losów, zależy od jednego fałszywego kroku, jednego nawet mimowolnego nadużycia łaski, jednej pochopnej decyzji, chwili wahania, jakiejś dwuznaczności.

I ksiądz mnie jest powierzony! Ksiądz należy do mnie! Jakże drżącymi rękoma oddaję cię Bogu, mój chłopcze! Nie wolno mi popełnić żadnego absolutnie błędu. Jakże to dla mnie okrutne, że nie mogę upaść obok ciebie na kolana, by razem z tobą dziękować! Z dnia na dzień czekałem nadprzyrodzonego potwierdzenia Bożych zamierzeń wobec twojej duszy.

Czekałem tego potwierdzenia w twojej gorliwości, w twoim wciąż rosnącym wpływie, w nawracaniu mojej małej trzódki.

I oto w twoim życiu, takim niespokojnym, pełnym burz, pojawił się znak, jakby piorun padł. I teraz jestem jeszcze bardziej zakłopotany, niż byłem. Gdyż to już zupełnie pewne, że ów znak jest dwuznaczny, że i sam cud nie jest czysty!

Zastanawiał się chwilę, aż wreszcie wzruszył ramionami gestem bezsilności:

- Bogu wiadomo, że nie ustąpiłbym przed strachem.

Bogu wiadomo, że aż nazbyt jest skłonny przeciwstawiać się zdaniu innych. Chętnie bardzo oskarżają mnie o niezależność, a nawet brak karności. Istnieją jednak zasady, których nie wolno naruszać. Gdyby ksiądz rozdierał sobie ciało dyscypliną, rozprawilibym się z tym. Gdyby ksiądz śnił o diable albo spotykał go na każdym zakręcie, byłaby to moja sprawa. Ale ta podobnie niewiarygodna historia małej

Malorthy jest dla mnie oświeceniem. Nie mogę dozwolić, żeby ksiądz swobodnie mówił i działał w tej parafii, według własnych przywidzeń... Nie mogę tu zdać się na księdza...

Winienem... należy... trzeba koniecznie, abym podzielił się tym wszystkim z naszymi przełożonymi. Moje poparcie niewiele księdzu da! Skądinąd zaś nie powinien ksiądz niczego ukrywać. Od tej chwili... ach, od tej chwili... kto wie, kiedy przewycięży ksiądz wreszcie nieufność jednych, politowanie drugich, opory wszystkich! Czy nawet w ogóle ksiądz je kiedy przewycięży? Czyżbym się co do księdza pomylił? Czy za wiele się spodziewałem? Starzec nie może już przegrać swego życia. Ale ja mógłbym przegrać śmierć.

Ksiądz Donissan otrząsnął się wreszcie z milczenia. Ostania wątpliwość, o jakiej usłyszał, bynajmniej go nie speszzyła, wyraźnie raczej dodała mu odwagi. Zaoponował nieśmiało:

- Niczego tak bardzo nie pragnę jak zapomnienia, usunięcia się z oczu, zwyczajnego życia, pełnienia obowiązków mego stanu. Gdyby ksiądz dziekan zechciał, któż by mi przeszkodził stać się znów tym, kim byłem do tej pory? Któż by się o mnie troszczył? Nie zwracam niczyjej uwagi. Mam opinię, na jaką zasługuję, bardzo prostego, bardzo ograniczonego księdza... Och, gdyby ksiądz dziekan pozwolił, wydaje mi się, że zdołałbym żyć nie zauważony nawet przez

Pana Boga i Jego aniołów.

- Nie zauważony! - zawołał łagodnie ksiądz MenouSegrais (uśmiechał się, ale oczy miał pełne łez...). Zaraz jednak przerwał. Na schodach zadudniły osobliwie szybkie kroki służącej Malwiny. I niemal natychmiast drzwi się otworzyły, ona zaś, bardzo blada, powiedziała z owym pośpiechem, z jakim stare kobiety oznajmiają złe nowiny:

- Panna Malorthy się zabiła.

I już zadowolona z wywołanego wrażenia, dorzuciła:

- Poderżnęła sobie gardło brzytwą...

Poniżej podajemy list biskupa X... do kanonika Gerbier:

Drogi Księżę Kanoniku, Pragnę Księdzu Kanonikowi podziękować za zimną krew, rozsądek i powściągliwą gorliwość, jakich dowody dał Ksiądz

Kanonik podczas pewnych, bardzo bolesnych dla mojego ojcowskiego serca wydarzeń. Nieszczęsny ksiądz Donissan opuścił w tym tygodniu zakład leczniczy w Vaubecourt, gdzie z największym oddaniem opiekował się nim doktor Jolibois. Lekarz ten, uczeń doktora Bernheima z Nancy, zdał mi wczoraj sprawę z obecnego stanu zdrowia naszego drogiego chłopca. Wykazał przy tym szerokość poglądów i tę serdeczną troskliwość, jakie miałem już wielokrotnie sposobność podziwiać u ludzi nauki, których studia niestety odstręczały od wiary. Przypisuje on owe przejściowe zaburzenia poważnemu zatruciu komórek nerwowych, prawdopodobnie pochodzącemu z jelit.

Nie uchybiając miłosierdziu, które winno być naszą zasadą, ubolewam wraz z Księdzem Kanonikiem nad zaniedbaniami, by

RM powiedzieć więcej, księdza dziekana z Campagne. Działając bardzo stanowczo i energicznie oszczędziłby nam niewątpliwie pozorów chwilowego zatargu z władzami świeckimi. Wszelako, dzięki roztropnej interwencji Księdza Kanonika i po pierwszym szybko załagodzonej nieporozumieniu, pan doktor

Gallet wyświadczył nam najwyższą grzeczność pomagając położyć kres zgorzeniu. Ponadto diagnoza doktora została potwierdzona przez jego znakomitego kolegę z Vaubecourt. Oba te posunięcia przynoszą zaszczyt zarówno jego charakterowi, jak też wiedzy zawodowej.

Świadeństwo panny Malorthy, zwierzenia, jakie czyniła w napadach obłądu czy w stanie już agonalnym, nie byłyby zapewne dostatecznym powodem do narażenia na ujmnę w osobie księdza Donissan naszej godności kapłańskiej. Lecz ksiądz dziekan z Campagne nie powinien był zezwolić w żadnym wypadku na jego obecność przy łożu konającej, wbrew wyraźnemu sprzeciwowi pana Malorthy. Zgadza się, że tego, co nastąpiło później, nie mógł przewidzieć żaden rozsądny człowiek. Nie powinno się było brać pod uwagę życzenia tej młodej osoby, wyrażonego publicznie, aby ją zanieiono do progów kościoła i by tam wyzionęła ducha. Pomijając nawet, że ojciec i lekarz opiekujący się chorą sprzeciwiali się takiemu brakowi rozważy, to, co wiadomo o przeszłości, a także obojętności religijnej panny Malorthy, upoważniało do mniemania, iż bliskość śmierci zmąciła jej słaby umysł, który niegdyś już cierpiał na zaburzenia. A cóż powiedzieć o zwadzie, jaka potem nastąpiła! Co zwłaszcza można powiedzieć o dosłownym porwaniu, jakiego dokonał, kiedy wydzierając chorą z rąk ojcowskich zaniósł, zakrwawioną i konającą, do kościoła, na szczęście tuż obok! Tego rodzaju wybryki należą już do innego stulecia i nie dadzą się nawet nazwać.

Dzięki Niebiosom skandal szczęśliwie ucichł. Zaczęły się dusze, bardziej gorliwe niż mądre, zaczynały już zwracać uwagę na to nawrócenie in articulo mortis, którego niewiarygodność mogła nas okryć śmiesznością. Uporządkowałem te sprawy. Nasze rozstrzygnięcie wszystkich zadowoliło. Z wyjątkiem z pewnością księdza dziekana z Campagne, który zasklepiając się we wzgardliwym milczeniu i odmawiając nam swojego świadectwa zachował się co najmniej dziwnie.

Zgodnie z moim zaleceniem ksiądz Donissan udał się do klasztoru trapistów w Tortefontaine. Pozostanie tam aż do potwierdzenia, że jest całkowicie wyleczony. Przyznaję, że doskonała uległość, jaką okazuje, przemawia na jego korzyść, wolno więc żywić nadzieję, iż będziemy mogli kiedyś, gdy te pożałowania godne wypadki pójdą w zapomnienie, znaleźć dlań gdzieś w diecezji jakieś skromne zajęcie, stosowne dla jego kwalifikacji.

Istotnie po pięciu latach dawny wikary z Campagne został mianowany proboszczem zarządzającym małą parafią w osadzie Lumbres. Jego działalność tam wszystkim jest znana.

Chwała, wobec której błędnie wszelka chwała ludzka, odszukała w owym odludnym miejscu nowego proboszcza z Ars. Druga część tej książki, oparta na autentycznych dokumentach oraz świadectwach osób, których wiarygodności nikt nie ośmieliłby się podważyć, opisuje ostatni okres tego niezwykłego żywota.

Część druga

Święty z Lumbres

Otworzył okno; jeszcze czekał, nie wiedzieć na co. Poprzez mroczną czeluść ociekającą deszczem, blado przeświecał kościół, jedyny znak życia... „Oto jestem” - powiedział jak gdyby we śnie.

Na dole stara Marta odmykała zasuwę. W dalekiej kuźni zadzwoniło kowadło. Ale on już tego nie słuchał: o tej nocnej godzinie nieustraszony człowiek, podpora tyłu dusz, słał się pod ciężarem swego wspaniałego brzemienia. „Biedny proboszcz z Lumbres - mawiał - nic nie robi dobrze... nie potrafi już nawet spać!” I mawiał także: „Czy dacie wiarę?

Ja się boję ciemności...”

Coraz wyraźniej lampa ze świątyni rysowała w mroku nocnym ostrołuki wielkich okien o trzech skrzyżowanych kratkach. Stara wieża, zbudowana między chórem a wielką nawą, wyrastała tuż nad nią strzelistą iglicą i masywem dzwonnicy. On już tego nie widział. Stał samotny na wprost ciemności, jak gdyby na dziobie statku. Dookoła przetaczała się wielka mroczna fala z niesamowitym hukiem. Z czterech krańców widnokregu nadsięgały ku niemu pola i niewidzialne lasy... a za polami i za lasami inne wsie, inne miasteczka, wszystkie do siebie podobne, opływające w dostatek, wrogie dla biedoty, pełne skulonych po kątach skąpców, zimnych niby śmiertelne całuny... A jeszcze dalej duże miasta, które nigdy nie śpią.

- O Boże mój, Boże! - powtarzał nie mogąc ani płakać, ani się modlić... Jak u wezłowią konającego każda chwila zapadała się w te ciemności bezpowrotnie. Aczkolwiek krótkie bywają noce, dzień przychodzi za późno: Celimena już się uszmkowała, wytrzeźwiał pijak. Czarownica, wróciwszy do domu jeszcze rozgrzana sabatem, wślizgnęła się w czystą pościel... Dzień przychodzi za późno... Ale Jedyna Sprawiedliwość zaskoczy świat od bieguna do bieguna.

Wreszcie osunął się na kolana, jak się spada na dno. Sprawiedliwości, której szlachetny lud oczekuje od ministra finansów, on nie szukał tak daleko - raczej tam, nisko, pod linią widnokregu, gotowej już, ukształtowanej w przyszłym świecie, przemożnej, w nocy, która się rozpadnie. Otwarta dłoń się nie zamknie... słowo zaschnie na wargach... potwór zwany Ewolucją, na zawsze unieruchomiony, przestanie nagle rozszerzać się i burzyć. Przerażliwa jutrzienka wschodząca w człowieku nada najtajniejszej myśli jej kształt i wymiar wieczysty, a dwoiste i skryte serce nie będzie już nawet mogło samo siebie się zaprzecć... Consummatum est - czyli wszystko określone jest na zawsze.

Pan Loyolet, inspektor Akademii (z tytułem docenta literatury), zapragnął ujrzeć świętego z Lumbres, o którym wszyscy mówią... Odwiedził go po kryjomu, z córką i jej wychowawczynią. Był trochę wzruszony. „Wyobrażałem sobie jakiegoś człowieka imponującego, o zadbanym wyglądzie i właściwych formach. Ale ten księżuło nie umie

zachować się godnie: je na ulicy jak żebrak...” „Jaka szkoda - opowiadał także - że taki człowiek może wierzyć w diabła!”

Proboszcz z Lumbres w niego wierzy i tej właśnie nocy lęka się go. „Od paru tygodni - wyzna kiedyś później - byłem doświadczany nie znaną mi dotychczas trwogą: spędziłem życie w konfesjonale i oto nagle jęło przytłaczać mnie poczucie własnej niemocy; czułem nie tyle litość co odrazę.

Trzeba być takim właśnie biednym księżyną, ażeby pojąć, czym jest przeraźliwa monotonia grzechu... Nie mogłem znaleźć żadnych stosownych słów... Mogłem tylko rozgrzeszać i płakać...”

Ponad jego głową chmura rozdziera się w strzępy. Jedna, dziesięć, sto gwiazd kolejno odradza się znów u stropu nocy.

Drobny deszczyk, mżawka, opada z chmury, którą wiatr poszarpał. Wdycha powietrze odświeżone, rozładowane burzą... Tej nocy nie będzie się już bronił: nie ma już czego bronić; oddał wszystko; jest pusty... To serce ludzkie, którego nicość pan Henry Bataille od lat co di - pociesznie usiłuje zgłębić, on dobrze zna. (Wszedł doń w swej nędznej sutannie i ciężkich buciorach pozostawiając wytwornych panów za drzwiami.) Serce!

To stare serce, w którym mieszka niepojęty wróg dusz, wróg potężny i nikczemny, wspaniały i nikczemny. Odszczepieńcza gwiazda poranna. Lucyfer czyli fałszywa Jutrzenka...

O, biedny proboszcz z Lumbres wie tyle rzeczy, o których nie wie Sorbona! Tyle rzeczy, o których się nie pisze, o których się prawie nie mówi, których wyznanie się wydziera, jakby z zasklepionej rany... tyle rzeczy! Wie także, czym jest człowiek - wielkie dziecko, występne i znudzone.

Czegóż mógłby się jeszcze dowiedzieć nowego ten stary kapłan? Przeżył tysiące żywotów, wszystkie do siebie podobne. Niczym się już nie zadziwi: może umrzeć. Są nowe moralności, ale grzechu się nie odnowi.

Po raz pierwszy nachodzą go wątpliwości, nie co do Boga, lecz co do człowieka. Osaczają go tysiące wspomnień: słyszy bezładne skargi, jękliwy bełkot wstydu, bolesny krzyk namiętności, która się pragnie zataić, a którą jedno słowo potrafiło przygwoździć, jedno przenikliwe słowo odsłania i żywcem ogołaca. Stają mu w oczach nieszczęsne wzburzone twarze, spojrzenia, które chcą i nie chcą, zmuszone do uległości wargi, które przestają się zaciskać, goryczą wykrzywione usta, które mówią: nie!... Widział tylu fałszywych buntowników, tak wymownych przy ludziach, a żałośnie śmiesznych u jego stóp! Tyle dumnych serc, w których gnije tajemnica! Tylu starych ludzi, podobnych do ohydnych dzieci!

I nade wszystko ogarniających świat zimnym wzrokiem młodych chciwców, którzy nigdy nie wybaczą.

Tak dziś, jak wczoraj, jak i w pierwszym dniu jego życia kapłańskiego ciągle ci sami... Doszedł do kresu swoich wysiłków, i oto nagle zabrakło mu przeszkody. Ludzie, których chciał wyzwolić, byli z gatunku tych, co bronią się przed wolnością jak przed ciężarem, wróg zaś, którego ścigał aż do nieba, śmieje się na dole, nieuchwytny, i nic go się nie ima.

Wszyscy go wydrwili. „Pragniemy spokoju” - mówili. Wcale nie spokoju, a tylko krótkiego wypoczynku, wytchnienia w ciemnościach. Przychodzili zrzucić do stóp samotnika swoje szumowiny; potem zaś wracali do swych smętnych rozkoszy, życia bez radości. (Przyrównywał się także do owych starych znieważanych murów, na których przechodzień ryje sprosne znaki i które rozpadają się pomału, pełne na urągowisko wypisanych sekretów.)

Ci, których tylekroć pocieszał, już by go nie rozpoznali.

W tym momencie najtragiczniejszym z całego jego życia czuje się z wszech stron osaczony, wszystko stanęło pod znakiem zapytania. Znienacka pojawiają się na nowo pewne przewrotne myśli, dawno już odrzucone, lecz teraz ich nie rozpoznaje. We wszystkim znajduje sens i jakby nowy smak... Po raz pierwszy w życiu patrzy bez miłości, lecz z politowaniem na pożałowania godne stado ludzkie, rodzące się po to, żeby szukać żeru, karmić się i umierać. Delektuje się gorzkim uczuciem własnej porażki i własnej wielkości.

Na skraju trwogi nieugięta wola nie chce się uznać za pokonaną; pragnie odzyskać równowagę za każdą cenę, nawet może piekła.

Teraz stoi wyprostowany; patrzy przed siebie zuchwałym wzrokiem. Ileż to jeszcze nocy podobnych do dzisiejszej, aż do nocy ostatniej! Zawsze jednak w tłumie ludzkim łaska

Boża uderzy, gdzie zechce; zawsze naznaczy kogoś z owych ludzi, ku którym sprawiedliwość płynie poprzez czas niby gwiazda. Potulna gwiazda przybiega na ich wezwanie.

Nie patrzy już na mały kościółek, patrzy ponad nim.

Drży w bezzadnym uniesieniu. Prawie nie odczuwa bólu, okrzepł już na zawsze. Nie pragnie niczego, już nie kocha; jest pokonany. Przez otwarty wylom szeroką falą napływa znów do serca pycha. „Skazywałem się na potępienie, wcale o tym nie myśląc - mawiał później. - Czułem, że robię się twardy jak kamień.”

Znów powraca doń zamysł, który tylokrotnie już rozważał, by na ostatnie godziny życia ukryć się w jakiejś samotni, gdzieś na końcu świata, u kartuzów albo u trapistów, lecz powraca jako wizja nowa, połączona z dziwnym skurczem serca, kłującym a błogim, tajemniczym omdleniem...

Ongiś w takich chwilach pasterz nie opuszczał swego stada; marzył, że uniesie je z sobą do miejsca pokuty, żeby nadal żyć i żeby mu służyć. Teraz jednak zaciera się i to wspomnienie, już ostatnie. Niestrudzony przyjaciel dusz pragnie jedynie wypoczynku i jeszcze czegoś, o czym tajemna myśl przynosi odprężenie, czuje potrzebę śmierci podobną do potrzeby łez... Istotnie też łzy zalewają mu oczy, nie przynosząc jednak ulgi sercu, a stary człowiek w swojej naiwności już ich nie rozpoznaje, dziwi się i nie umie nazwać tego zmysłowego odurzenia. Crotów jest nawet nie otwierając oczu ulec owej najwyższej pokusie, w której zaprzepaściło się przed nim tyle płomiennych dusz, od razu przekraczających rozkosz i wpadających w nicość, by się z nią zewrzeć w ostatecznym uścisku. U kresu bezmiernego wysiłku zmęczenie, tylekroć przezwyciężane, tłumione, wybucha zeń raptownie, jak gdyby to trysnęła jego własna krew. Śladu wyrzutów sumienia. Podstępny wróg spowija go w owo rozpaczliwe znużenie, jakby w śmiertelny całun z niesamowitą zręcznością, istnym ohydny urągowskim macierzyńskiej tkliwości... Na próżno stary zgnębiony człowiek patrzy poprzez bielejącą noc spojrzeniem, w którym błyska ostatnie światełko, a nie odbije się już jasność wschodzącego dnia. Nie widzi w sobie nic, żadnego obrazu, który mógłby przypomnieć pokusę, żadnego znaku owej pracy, która go powolnie wyniszcza pod okiem bezlitosnego pana. Już nie klasztoru teraz pragnie, ale czegoś bardziej tajemniczego niż samotność - oszołomienia wiekuistego upadku w zamykających się ciemnościach. Jemu, który tak długo trzymał w niewoli własne ciało, zmysłowość odsłania wreszcie swoje prawdziwe, zastygłe w śmiechu oblicze. Ale i ten obraz, tak jak żaden inny, nie zmaci zmysłów starego samotnika, w jego czystym jednak i upartym sercu budzi się inna pożądlivość, owa szaleńcza żądza poznania, która zgubiła matkę ludzkości, uczciwą i marzycielską, na progu Dobra i Zła. Poznać, ażeby zniszczyć, i w tym zniszczeniu odnowić swoje poznanie i pożądanie - o Słońce Szatana! Pragnienie nicości poszukiwanej dla niej samej, odrażający poryw serca!

Święty z Lumbres ma na tyle jeno siły, by przyzwać ten straszliwy wypoczynek; łaska Boża rzuca zasłonę przed oczy, jeszcze niedawno pełne Boskiej tajemnicy. Spojrzenie, tak jasne, teraz się waha, nie wie już, na czym spocząć... Dziwaczna młodość, naiwna żarłoczność podobna do pierwszego porażenia zmysłów rozgrzewa starą krew, tłucze się w chudej piersi... Starzec szuka po omacku, poprzez tyle zasłon głaszcze śmierć słabnącą już ręką.

Czy do tego podniosłego momentu jego życie miało jakiś sens? Nie wie. Za sobą widzi tylko pustynny krajobraz i te tłumy, przez które szedł błogosławiąc im. Ale cóż to! Stado ludzkie depcze mu jeszcze po piętach, ściga go, ponagla, nie daje chwili wytchnienia,

nienasycone; słyszy ten wielki trwożny szum, ów tupot rannych zwierząt. Nie, nie odwróci głowy, nie chce. Dopchnęli go aż tutaj, do samej krawędzi, a dalej... o cudzie! dalej jest cisza, prawdziwa cisza, niezrównana cisza, jego wypoczynek.

- Umrzeć - mówi szeptem - umrzeć... - Wolno powtarza to słowo, aby go przeniknęło, aby przetrwać je w sercu... I prawda, że czuje teraz w całym sobie, w swoich żyłach to słowo, łatwo przenikającą truciznę... Chłonie, podwaja wysiłek coraz bardziej gorączkowo; chciałby je wypić jednym haustem, przyspieszyć swój kres. W jego niecierpliwości jest coś z owej potrzeby grzesznika, żeby zatopić się we własnej zbrodni coraz głębiej i głębiej, by się w niej ukryć przed sędzią; jest to ów moment życia nie do naprawienia, kiedy Szatan naciska całym swym ciężarem, kiedy wszystkie moce dołów napierają całą swoją siłą na jeden punkt.

A jednak on podnosi wzrok do góry, ku czworokątowi szarzejącego nieba, gdzie noc ulatuje w smugach dymu.

Nigdy nie modlił się z tak twardą wolą, z taką intonacją.

Nigdy głos nie zdawał się równie silny w jego ustach, na zewnątrz szepczący, ale wewnątrz rozbrzmiewający jakby huk uwięziony w bryle spiżu. Nigdy jeszcze pokorny taumaturg, o którym tyle się opowiada, nie czuł się tak bliski cudu, dosłownie tuż. Odnosi się wrażenie, że jego niepokonana woła po raz pierwszy słabnie, i że jedno słowo wypowiedziane w ciszy złamie go na zawsze... Tak, od wypoczynku dzieli go już tylko ostatni odruch jego przemożnej woli... Nie śmie już patrzeć na kościół ani pogrążone w porannej mgle domy swojego stadka, powstrzymuje go wstyd, którego chciałby jak najprędzej się pozbyć czynem nieodwracalnym... Po cóż zaprzętać sobie głowę innymi jeszcze zbędnymi troskami? Spuszcza oczy ku ziemi, swojemu schronieniu.

II

Wtedy właśnie dwa razy zastukano do niskiej furtki wychodzącej na drogę do Chavranches. Na podwórku cały drób jął łopotać skrzydłami. Pies Jacquot potrząsnął łańcuchem i wszystkie te odgłosy złączyły się w jedną pogodną melodię pogodnego ranka.

Trepy starej Marty stukały już na schodkach - klap, klap - i bardziej głucho na wilgotnej trawie - człap, człap.

Potem zgrzytnął zamek.

W tej to chwili święty z Lumbres się ocknął. Absolutna cisza istnieje tylko po tamtej stronie życia; przez najwęższą szczelinę wślizguje się rzeczywistość, napływa i odzyskuje swój poziom. Jakiś znak coś nam oto przypomni, szeptem wypowiedziane słowo wskrzesza zatarty już świat, a jakiś zapach, któryśmy ongi wdychali, bywa mocniejszy niż śmierć... Oczy starego człowieka odruchowo skierowały się na skromną srebrną cebulę, pamiątkę z

Wyższego Seminarium, zawieszoną na ścianie. „O tak wczesnej godzinie - pomyślał - na pewno jakiś chory!” Chory, któreś z jego dzieci! W oczach tak żywych i przenikliwych pojawia się zaraz wioska rozproszona wśród drzew, snujące się dymy.

Cała mała parafia, i tyle dusz na świecie, dla których był siłą i radością, przyzywa go, woła... Nasłuchuje, już odpowiedział: jest gotów.

Co też nań czeka na dole schodów - »jego grzędy» - jak lubił mawiać? Jakie słowa? Czyja twarz? I wkrótce jakaż nowa walka? Albowiem unosi z sobą, to, czego nie umie nazwać, coś, co się skuliło w jego sercu, a wielkie jest i ciężkie: jego lęk, Szatan. Spokoju nie odzyskał, o tym wie. Razem z nim oddycha inna istota. Gdyż pokusę przyrównać można do narodzin w człowieku innego człowieka, narodzin i straszliwego rozrostu. Wlecze w sobie ów ciężar; nie śmie go wyrzucić, gdzieżby go zresztą mógł rzucić? W jakieś inne serce?

Święty jednak jest zawsze samotny u stóp krzyża. Nie ma innego przyjaciela.

- Proszę księdza proboszcza! - woła stara Marta. - Proszę księdza proboszcza!

Bezwiednie zszedł ze schodów, idzie przez kuchnię w stronę ogrodu, z półprzymkniętymi oczyma, nadal jakby śniąc...

Kobiecina chwyta go za rękaw:

- W gabinecie, proszę księdza, w gabinecie...

I wzrusza lekko ramionami, uśmiechając się z czułością.

Ten gabinet to piękny, bardzo piękny pokój, starannie posprzątanym. Stoi tu sześć wyplatanych krzeseł, na kominku z szarego marmuru dwa wypchane bekasy obok wielkiej muszli i okazałej figury Najświętszej Panny z Lourdes, z białego gipsu o niebieskawym odcieniu (przywiozła ją z Conflanssur-

- Somme siostra SaintMemorin podczas ostatnich wakacji).

Jest także Złożenie do grobu w dębowej ramce, całe w plamkach od pleśni. I jest jeszcze na tapecie o wyblakłym deseni

(typowej tapecie z gospody), obok jedyne okna, czarny drewniany krzyż bez Chrystusa, nagi. (Na niego to przede wszystkim spojrzął ksiądz proboszcz, i zaraz odwrócił oczy...)

- Księżę proboszczu - mówi Marta - to pan gospodarz z Plouy, względem swojego chorego chłopca...

Gospodarz z Plouy wstał, odkaslnął porządnie i splunął w popiół. Przed nim paruje jeszcze pusta filiżanka po kawie.

- Którego? - pyta z roztargnieniem stary kapłan.

... I zaraz urywa, czerwieni się pod wzrokiem Marty, coś mamrocze... Wszyscy wiedzą, o Boże, że gospodarz z Plouy ma tylko jednego chłopca! Ale przybysz nie okazuje zdziwienia i wyjaśnia spokojnie:

- Idzie o Stefka, naszego synka. Złapało go, jak wrócił z Nieszporów, wyglądało, jakby miał niestrawność. A potem rozboleła go głowa, dał się wniebogłoso. No, a nad ranem powiada do matki: „Mama, już nie mogę się ruszyć”. I rzeczywiście. Ani ręką, ani nogą, nic. Paraliż. Oczy całkiem mu się wywróciły. Pan Gambillet powiada do mnie: „Biedny

Arseniuszu, to już koniec!” Zapalenie opon mózgowych, powiada. Jak to matka usłyszała - ksiądz proboszcz wie, jak to z kobietami? Nie sposób przemówić jej do rozumu. „Jedź zaraz do proboszcza z Lumbres” - wrzeszczy... Więc zaprząłem konia, no i jestem.

Patrzy na świętego z Lumbres pocziwym wzrokiem, w którym poprzez łzy przebłyskuje jednak odrobina ironii.

Cóż, szczerze mówiąc, wiadomo, jak to jest, kiedy kobieta sobie czym głowę nabije. (A poza tym ten święty, o którym tyle ludzie opowiadają, a on nawet nie zna małego z Plouy, święty, któremu trzeba dopiero tłumaczyć!)

- Przyjacielu... mój zacny przyjacielu - mamrocze proboszcz - ja bardzo chętnie... to znaczy... ja bym chętnie... ale doprawdy obawiam się... No bo widzicie... widzicie.

Luzarnes to nie moja parafia, a ksiądz proboszcz z Luzarnes... Jestem bardzo wzruszony, że pani Havret o mnie pomyślała, biedna kobieta!... ale powinienem... powinien pan...

Boi się przede wszystkim urazić swego drażliwego konfratra. A w dodatku dzisiaj naprawdę tak marnie się czuje!

Ale gospodarz z Plouy ma tylko jedno słowo. Już okręcił sobie szyję szalikiem, zapiął sukienny płaszcz. A Marta stanowczym ruchem wsuwa w rękę swego chlebodawcy stary pozieleniały kapelusz... Trzeba jechać. Pojechał.

III

Ksiądz proboszcz z Luzarnes jest człowiekiem skromnym.

Poprzestaje na małym: małej ilości prostych uczuć, których przez roztropność nie wypowiada. Jest jeszcze młody, choć przekroczył pięćdziesiątkę, i zawsze będzie młody; nie ma wieku. Sumienie ma czyste jak karty wielkiej księgi, bez wykreśleń i kleksów. Jego przeszłość nie jest pusta; dostrzega w niej parę radości, zlicza je, dziwi się, że tak zupełnie wymarły, w takim pięknym porządku, na właściwym sobie miejscu, uszeregowane jak cyfry. Czy naprawdę były to radości? Czy kiedyś oddychały? Czy pulsowały...?

Jest to dobry ksiądz, skrzętny, punktualny, nie lubiący w swoim życiu zamętu, wierny swojej klasie, swoim czasom, poglądom swoich czasów, przyjmujący jedno, odrzucający drugie, umiejący z wszystkiego wyciągnąć jakąś drobną korzyść, urodzony urzędnik i moralista, miłośnik higieny, przewidujący, że skończy się pauperyzm (jak oni to nazywają), kiedy zwalczony zostanie alkoholizm i choroby weneryczne, słowem, że nadejdzie młode pokolenie zdrowe, wysportowane, w gimnastycznych kostiumach, i ono ruszy na podbój

Królestwa Niebieskiego.

„Nasz święty z Lumbres” - mawia niekiedy z domyślnym uśmiechem. Ale w ogniu dyskusji mawia również:

„Wasz Święty!” - zgoła innym głosem. Bo chociaż chętnie zarzuca władzom diecezjalnym formalizm i lękliwość, w równym stopniu boleje nad nieładem, jaki w spokojną jurysdykcję wprowadza jeden z owych niezwykłych ludzi, co wywracają wszelkie rachuby. „Ksiądz biskup w takiej materii nie może nigdy wykazać nazbyt wielkiej ostrożności i rozwagi” - kończy, przezorny jak kanonik, już naszpikowany przygotowanymi tekstami... O Boże! Święty musi szerzyć spustoszenie, należy jednak ponosić konieczne ofiary.

Każdy obrót kół zbliża proboszcza z Lumbres do tego surowego cenzora. Poprzez mgłę widzi już jego oczy szare, żywe, drwiące, zawsze rozbiegane, w których tańczy malutki nikły płomyk. Cóż za dziwaczna sprawa! O sześć kilometrów od swojej biednej parafii sprowadzany do wezgłowia konającego dziecka bogaczy - jako cudotwórca! Co za skandal! Już zawczasu uderza go jak obuchem pełne złośliwości powitalne zdanie... Czegóż od niego chcą? Czy spodziewają się cudu od tej starej pomarszczonej dłoni, która przy każdym wyboju drży na poszarzałym suknie znoszonej sutanny...?

Z przerażeniem uczniaka spogląda na tę chłopską dłoń, która nigdy nie bywa czysta. Och, kimże on jest pośród tych wszystkich ludzi, jeśli nie chłopem, biednym i upartym, oddanym wiernie swej codziennej, powolnej orce na wielkim pustym polu? Każdy dzień przynosi nowe zadanie, niczym skrawek ziemi do przekopania, w której grzęzną jego grube buty. Idzie, idzie nie odwracając głowy, rzucając na prawo i lewo jakieś niewymyślne słowo i błogosławiąc znakiem

Krzyża, niezmordowany. (Tak właśnie w mgłach jesiennych jego przodkowie rzucali owies i żyto.) Dlaczegoż przybywają z tak daleka mężczyźni i kobiety, znający tylko jego nazwisko i fantastyczne o nim opowieści? Właśnie do niego, a nie do innych, takich wymownych proboszczów z miast albo wielkich osad, którzy znają dobrze swoich ludzi? Wiele już razy u schyłku dnia padając ze zmęczenia przetrwał w głowie to pytanie, natrętnie wracające. A później zamknąwszy oczy zasypiał w końcu z myślą o niepojętych darach

Bożych i o tym, jak dziwne są Jego drogi... Ale dzisiaj! Czemu przypisać, że poczucie własnej niemocy w świadczeniu dobra upokarza go, nie przywracając spokoju? Czyż tak trudno jest jego ustom wypowiedzieć słowa samowyrzeczenia? O zawile drogi serca!

Niedawno marzył, żeby umknąć od ludzi, od świata, od powszechnego grzechu; wspomnienie wielkiego niepotrzebnego wysiłku, godności jego życia, niezwyklej samotności miało mu opromienić śmierć ostatnią radością, zaprawioną goryczą - i oto teraz zaczyna wątpić w sam ten wysiłek, a Szatan ściąga go coraz niżej... On niby jest człowiekiem, który się poświęcał? Powołaną, naznaczoną ofiarą?... O nie! Po prostu nieoświecony maniak podniecony postem i modlitwą, wiejski święty, dobry do zachwywania próżniaków i przemądrzałych wymoczków... „Tak to jest, tak to jest” - szeptał przez zaciśnięte wargi przy każdym wstrząsie pojazdu, oczy miał zmałowane... Tymczasem po lewej i prawej stronie zaczęły przesuwac się płoty; powozik mknął jakby sen, lecz straszliwy lęk pędził przed nim i czał się przy każdym kamieniu przydrożnym.

Osobliwy ten człowiek, którego tylu ludzi objuczało zdając się składać nań cały swój ciężar, miał niezwykle dar pocieszania, sam jednak nigdy nie zaznał pociechy. Wiadomo, że niekiedy się zwierzał, w rzadkich chwilach, gdy uwalniał się od swojej udręki, i wtedy płakał w ramionach ojca Battelier, dziecinnymi słowy, z naiwną żalnością odwołując się do Bożego miłosierdzia. Z głębi skromnego konfesjonału w Lumbres przesyconego mrokiem i zapachem pleśni jego klęczące dzieci słyszały jedynie głos władczy przerastający wszelkie krasomówstwo, który kruszył serca najbardziej zatwardziałe, rozkazujący, błagalny, i nawet w swej łagodności nieugięty.

Z świętego mroku, gdzie poruszały się niewidoczne usta, coraz mocniej wzbijały się słowa pokoju, rozrastały się aż pod niebiosy, i pociągały za sobą grzesznika oszołomionego, oswobodzonego, wolnego. Słowa proste, trafiające do serca, jasne, zwarte, przenikające w to, co najistotniejsze, potem natarczywe, nie do odparcia, stosowane do wyrażenia całej treści nieziemskiego przykazania, słowa, w których ci bardziej go kochający nieraz rozpoznawali ton i jakby echo najgwałtowniejszej z dusz... Niestety! Ów szafarz pokoju, taki rozrzutny na zewnątrz, w sobie znajdował jedynie chaos, tumult, cwałowanie burzliwych obrazów, sabat pełen grymasów i wrzaski.

A potem straszliwą ciszę.

Wielu nigdy nie zdołało pojąć, jakim cudem on, którego tysiące ludzi wybierały sobie na rozjemcę w najgroźniejszych konfliktach moralnych, w sporach dotyczących jego samego bywał zawsze niepewny, prawie że nieśmiały. „Bawią się mną - mawiał - służę im jako zabawka.” I tak właśnie pełnymi garściami rozdawał pokój, z którego sam był wyzuty.

IV

- To jesteśmy - powiedział pan gospodarz z Plouy wskazując batem na dym między drzewami.

Jakiś człowieczek w niebieskich spodniach otworzył bramę i wziął lejce. Gdy wjechali na podwórze, pan Havret wysiadł.

Jego towarzysz poszedł za nim do drzwi domu.

Na progu powitał ich ksiądz proboszcz z Luzarnes, wysoka, czarna postać.

- Drogi konfratrze - powiedział - czekają tu na księdza, jak ongiś zrozpaczony magnat wyczekiwał na świętego Wincentego.

Uśmiechał się jeszcze dobrodusznie, lecz z odcieniem zawodowej powściągliwości - w pobliżu konającego dziecka.

Jednocześnie próbował złagodzić swój żart ściskając dłoń przybysza mocno, po chłopsku.

...Ale proboszcz z Lumbres zaraz odciągnął go o parę kroków na bok, między przerażone kury.

- Wstyd mi, przyjacielu, doprawdy wstyd - powiedział najłagodniejszym jak mógł głosem - proszę mi darować... nieświadomość tej biednej kobiety... Bardzo proszę... o wybaczenie... Pomówimy o tym później - dorzucił innym już tonem - i ksiądz proboszcz się przekona... że to głównie ja jestem winien...

Proboszcz z Luzarnes czuł na ramieniu ucisk nerwowych, trochę drżących palców. Nawet w chwilach, gdy ten niezwykły człowiek umyślnie się upokarzał, emanował z niego dar, jaki otrzymał, i nadal miał w sobie coś władczego.

- Zacny mój konfratrze - odparł dawny profesor chemii już nie tak dobrodusznie - proszę się przede mną nie obwiniać... Słusznie czy niesłusznie uchodzę za wolnomyśliciela, a nawet w oczach niektórych za krnąbrnego ducha...

Wykształcenie w naukach ścisłych, wie ksiądz proboszcz, po

K - Pod słońcem...

prostu... pewne subtelne różnice, trochę odmienne słownictwo... Niemniej... żywię... najgłębszy szacunek dla charakteru księdza...

Mówił z oczyma spuszczoneymi, z coraz większym zakłopotaniem. Czuł się śmieszny, może nawet wstrętny. Wreszcie umilkł. Zanim jednak podniósł czoło, ujrzał jakby w samym sobie, jakby w najgłębszym jakimś zwierciadle wzrok utkwiony w jego oczach, i wbrew woli nie mógł się uchylić, musiał poddać mu się bez reszty... Przez chwilę poczuł się nagi przed obliczem sędziego, łatwo wybaczonego.

Widział tylko to spojrzenie i twarz drżącą, odprężoną, sinoblada. Spojrzenie, które jakby przyzywało go z wielkiej dali, błagalne, rozpaczliwe. Silniejsze od dwu wyciągniętych ramion, bardziej żalosne niż krzyk, nieme, mroczne, nieodparte... „Czego on ode mnie chce?” - zastanawiał się nieborak z jakąś świętą zgrozą. „Zdało mi się, że widzę go w jeziorze płomieni!” - relacjonował później. Niepojęta litość rozdzierała mu serce.

Przez chwilę czuł, że stara ręka silniej drży na jego ramieniu.

- Proszę się za mnie modlić - szepnął mu do ucha święty z Lumbres. Uścisnął go mocniej, potem jednak odsuwając się szorstko, dorzucił innym już głosem, chrapliwym głosem człowieka, który broni swego życia:

- Niech mnie ksiądz nie kusi...!

I weszli razem do domu, nie zamieniwszy już słowa.

„Niech mnie ksiądz nie kusi!” Tylko to wykrzyknął.

Chciałby jednak wytłumaczyć... przeprosić... już czerwony ze wstydu na myśl, że wchodzi oto do tego domu jako szafarz darów życia z rozpaczliwym poczuciem, że nie wycofa się stąd bez popełnienia ciężkiego grzechu i bez zgorszenia bliźnich...

A potem nagle, jakoś błyskawicznie, siły, które go osaczały przez całą długą noc udręki, na nowo się ożywiły, a słowo, które miał wypowiedzieć, jego własna tajemna myśl rozplynęła się w jedynym, co było rzeczywiste: w przerażeniu. Bez względu na to, jak nisko ściągnął go ongiś przemyślny Wróg, nie wszystkie więzy zostały przerwane ani odgłosy zewnętrzne stłumione... Tym razem jednak silna dłoń wyrwała go żywcem, wydarła z korzeniami... „Ratuj się sam, nadeszła godzina” - mówił też jakiś grzmiący głos, którego nigdy jeszcze nie słyszał. „Zakończ daremną walkę i wciąż takie same zwycięstwa! Czterdzieści lat pracy i małych osiągnięć, czterdzieści lat nużących zmagania, czterdzieści lat leżenia plackiem w oborze na bydłociu ludzkim, przy jego zgniłym sercu, czterdzieści lat pięcia się wzwyż, przełamywania... Pospiesz się...! Oto twój pierwszy, twój jedyny krok poza ten świat...!”

I ów głos mówił jeszcze tysiące innych rzeczy, a właściwie mówił jedną, tysiąc rzeczy w jednej, i to jedno jedyne słowo, szybkie jak błysk oka, niezmierzone... Przeszłość odrywała się od niego, opadała w strzępach. Poprzez grząską trwożę przelatywały nagle niczym błyskawice olśnienia straszliwej radości, wybuch wewnętrznego śmiechu, który mógłby rozsadzić każdą zbroję... Widział się młodziutkim księdzem w podsieniach seminarium, pewnego deszczowego dnia...

W wysokiej sali wybitej wiśniowym adamaszkiem, przed obliczem Eminencji w pelerynce i w komży... Pierwsze dni w Lumbres, zrujnowaną plebanię, nagie ściany, zimowy

wiatr w ogródku... A potem... A potem... ogromna praca, teraz zaś ten tłum bezlitosny, tłoczący się dzień i noc wokół konfesjonau człowieka Bożego, jakby nowego proboszcza z Ars, dobrowolne odcięcie się od wszelkiej ludzkiej pomocy - tak, człowiek Boży, którego sobie wrywają jak łup. Chwili spoczynku, chwili spokoju poza tym jednym okupionym postami i dyscypliną spokojem wreszcie śmiertelnie znużonego ciała; odradzające się wciąż skrupuły, lęk rodzący się z ciągłego dotykania najplugawszych ran ludzkiego serca, rozpacz, że tyle dusz idzie na potępienie, niemożność wspomnienia ich, uściskania poprzez otchłań, jaką tworzy ciało, nieustanna myśl o traconym czasie, ogrom pracy... Ileż to razy, i nawet tej nocy, osaczały go tego rodzaju obrazy!...

Teraz jednak o tej godzinie oczekiwania... wielkie cudowne oczekiwanie rozświetla go od środka, aż w końcu spala człowieka wewnętrznego. Już jest obecnie człowiekiem nowych czasów, nowym biesiadnikiem... Jakże daleko za nim pozostał ten świat! Daleko za nim jego odporne stado! Nie odnajduje już w sobie i nigdy już nie odnajdzie owego zwykłego żywego poczucia powszechnego grzechu. Teraz jest już jedynie wrażliwy na olbrzymie szalbierstwo zła, jego prostackie i dziecinne kłamstwo. Biedne serce ludzkie, ledwie trochę ukształtowane! Biedny jałowy mózg! Lud przyziemny, który grzebie się w twoim błocie, nie ukończony...! On już do niego nie należy, już go nie zna, gotów jest zaprzeć się go bez nienawiści. Wypływa na światło dzienne podobny do nurka, który cały swój ciężar przerzuciwszy na wyciągnięte ręce, jeszcze w czarnej kłębiącej się wodzie otwiera oczy na jasność z góry.

„Uwolniłeś się” - mówił tamten, taki podobny do niego samego... Twoje minione życie, twój niepotrzebny, ale wzruszający trud, posty, dyscyplina, twoja wiara trochę naiwna i prostacka, upokorzenia zewnętrzne i wewnętrzne, zachwyty jednych, bezpodstawną nieufność drugich, jakieś zatrute słowa... Och, to wszystko jest tylko snem, a nawet cieniem snu! Wszystko to było snem, poza twoim powolnym dochodzeniem do świata realnego, poza twoimi narodzinami, rozwojem. Wznies się aż do moich ust, wysłuchaj słowa, w którym zawarta jest wszelka wiedza.

Nastawia tedy ucha, czeka. Jest dokładnie tam, dokąd chciał go doprowadzić stary Wróg, który zna jeden tylko fortel. Pohańbiony, rozlany po ziemi niczym męty z kielicha, miażdżony ogromnym ciężarem, podnoszony ostrzem miecza, potem znowu przekłuty, ćwiartowany, stary buntownik, którego ostatnie zgrzytanie tłumią straszliwe krzyki aniołów, a któremu Bóg pozostawił na obronę jedno tylko, wciąż to samo kłamstwo... Niestety! To samo kłamstwo tai się w kącikach łakomych ust albo w żarłocznej zamierającej już krtani, w której rzeździ dzika rozkosz... ta sama... Dowiesz się... będziesz wiedział... Oto pierwsza litera tajemniczego słowa...

Wejdz tutaj... Wejdz we mnie... Zaczynj grzebać w żywej ranie... pij i jedz... nasyć się!

Albowiem po tylu wiekach on jeszcze na was czekał, tysiąckroć przemalowywany i odmładzany, ociekający szminką i balsamem, lśniący od olejków, śmiejący się wszystkimi nowymi zębami, prezentujący waszej okrutnej ciekawości swoje wyschnięte ciało, całe swoje kłamstwo, z którego wasze spieczona usta nie wysają nawet kropli krwi!

...Zobaczyłem go, albo raczej zobaczyliśmy - pisał wiele lat później ksiądz kanonik z Cibot, proboszcz z Luzarnes, dawny nauczyciel chemii w niższym seminarium Cambrai. - Zoba-czyłem go pośród nas, z oczyma półprzymkniętymi, i przez parę minut patrzyliśmy na niego nie chcąc przerywać milczenia.

Zazwyczaj jego twarz wyrażała dobroć i skupienie, w czym kilka podejrzliwszych osób upatrywało już cechy pewnego dzieciennienia. Ale w tamtej chwili jego kościste oblicze wydało nam się jakby skamieniałe pod wpływem jakiegoś niezwykle gwałtownego uczucia: robił wrażenie człowieka, który wycęza wszystkie siły, aby się zdobyć na bardzo trudny krok. Zauważyłem, że plecy niewiarygodnie mu się wyprostowały i że na starość zdawał się wyjątkowo krzepki, a nawet trochę zawzięty. Aczkolwiek mój umysł, uformowany ongiś w surowej szkole nauk ścisłych, wykazuje na ogół małą wrażliwość na powaby wyobraźni, byłem tak poruszony widokiem tej wysokiej, znieruchomiałej, jakby piorunem rażonej postaci na spokojnym tle wiejskiego mieszkania, że przez chwilę nie dowierzałem własnym zmysłom, kiedy zaś ujrzałem, że mój czcigodny przyjaciel na nowo porusza się i mówi, poczułem się tak zaskoczony, jakby się stało coś nieoczekiwanego. Wyglądał zresztą na człowieka, który się budzi ze snu. Jak już pisałem powyżej, Przewielebny Kolego, wyszedłem naszemu drogiemu proboszczowi z Lumbres na spotkanie i później rozmawiałem z nim na skraju drogi, w pewnej odległości od domu. Niektóre zdania, których dokładne znaczenie może uszło mojej uwagi, spotęgowały mój niepokój.

Próbowałem odpowiedzieć mu to, co przyjazna roztropność wówczas mi nasuwała, kiedy gwałtownie ściskając mnie za ramię i głęboko patrząc w oczy powiedział: „Niech mnie ksiądz nie kusi!...” Nasza pierwsza rozmowa na tym się skończyła, jako że stanęliśmy już w progu mieszkania Havretów. W tym momencie tknęło mnie przeczucie nieszczęścia... Okazało się aż nazbyt prawdziwe. Dziecko, którego stan był zresztą beznadziejny, zgasło podczas mojej krótkiej nieobecności. Położna, pani Lambelin /naukowo} stwierdziła zgon [bez żadnych wątpliwości!.

„Umarł” - powiedziała do nas ta pani szeptem. (Nie wiem jednak, czy ksiądz proboszcz z Lumbres ją dosłyszał). Przeszedł

Próg, postąpił parę kroków, kiedy w odruchu bardzo wzruszającym, którego szczerą pobożność winna ocenić każda oświecona osoba - ubolewając wprawdzie nad pewną przesadą, wynikającą z ciemnoty - nieszczęsna matka dosłownie rzuciła się do stóp mojego czcigodnego konfratra i w uniesieniu rozpaczy jęła całować jego starą sutannę tłukąc czołem o ziemię tak głośno, że ten odgłos zadźwięczał w moim sercu. Gdy nieszczęsna kobieta go dotknęła, ksiądz proboszcz z Lumbres nie spuszczać na nią oczu stanął jak wryty. To wtedy właśnie patrzyliśmy na niego przez długie minuty, kiedy tkwił nieruchomo na środku pokoju niby posąg, taki jak go powyżej opisałem.

Później, nakreśliwszy nad głową pani Havret znak krzyża, i podniósłszy na mnie wzrok powiedział: „Wyjdźmy”. Niestety.

Drogi mój Czcigodny Konfratrze, taka jest ułomność naszego umysłu, gdy poddany zostanie zbyt ostremu wrażeniu, iż w tym momencie nic, wydaje mi się, nie powstrzymałoby mnie od pójścia za nim, a i nieszczęsna matka, przytłoczona nadmiarem cierpienia, bez słowa pozwoliła nam odejść. Z nas wszystkich tylko bodaj pani Lambelin zachowała zimną krew. Niewątpliwie można by dużo zarzucić obyczajom i religijności tej osoby, lecz

Bóg za jej pośrednictwem udzielił nam lekcji zdrowego rozsądku i rozumu. Nie ulega żadnej wątpliwości, że ja w ciągu tego potwornego poranka byłem igraszką w rękach nieszczęśliwego człowieka, którego jakaś zbawienna rada, poparta doświadczeniem i wiedzą mogłaby jeszcze uchronić od straszliwego nieszczęścia... Jeden Bóg mógłby powiedzieć, czy byłem narzędziem Jego gniewu, czy miłosierdzia. Wszelako smutne wydarzenia, które nastąpiły później, zdają się przechylać wagę na stronę pierwszej hipotezy.

Zmarły już wytworny kanonik prebendariusz zdaje się wyłaniać z każdego wiersza tej doprawdy wyjątkowej epistoły, ze słusznych a powściągliwych sformułowań, nizanych równo niczym kasztany indyjskie, w których głupcy dopatrzą się tylko rzeczy banalnych i zwyczajnych, a przecież spowite są marzeniem ze snu. Jedyne snu ubogiego życia, w którym zdarzyła się tylko ta jedna rozterka sumienia i które załamało się na niej, jedyna wątpliwość i jedyne uniesienie! Na kilka miesięcy przed śmiercią niewinna ofiara pisała do bliskiej sobie osoby:

Zmuszony do przerwania pracy, która była jedyną moją rozrywką, nie mogę oderwać myśli od pewnych wspomnień, a zwłaszcza od tego najboleśniejszego, tragicznego i niepojętego zgonu księdza proboszcza z Lumbres. Wciąż do tego wracam.

Widzę tu jedno z owych nieczęstych na tym świecie wydarzeń, które przekraczają zwykłe możliwości pojmowania. Moje wątłe zdrowie cierpi od konsekwencji tej

prześladawczej myśli, w niej właśnie upatruję główną przyczynę mojego wciąż postępującego spadku sił i całkowitej utraty apetytu.

Ostatnie zdania ucieszą zapewne każdego z owych szperaczy w ludzkich dokumentach, z którymi się dziś rozstajemy, niech sobie brodzą i węszą w mętnych wodach. Jeżeli jednak czytać je bez podłej ciekawości, pozwalając, by w naszych sercach rozbrzmiało echo naiwnej skargi, łatwiej będzie zrozumieć, ile szczerego przygnębienia kryje się w tym przyznaniu do własnej niemocy, wyrażonym tak niezwykle podniosłym stylem. Widok najwyższego wysiłku niektórych ludzi, urodzonych do spokojnej pracy, a przez jakieś cudowne spotkanie wtrąconych nagle w istotę rzeczy błyskawicznym olśnieniem, które szybko zgasło - obserwowanie, jak usiłują do ostatniej chwili swego niezrozumiałego życia przypomnieć sobie i uchwycić to, co już nigdy nie wraca, a co ugodziło ich znienacka - to widok tak tragiczny, przesycony najgłębszą a tajemną goryczą, że porównać można by go jedynie do śmierci małego dziecka. Daremnie powracają krok za krokiem, od wspomnienia do wspomnienia, odczytują najdokładniej swoje życie, litera po literze. Obrachunek się zgadza, a przecież cała historia nie ma już żadnego sensu. Stali się jak gdyby obcy wobec własnej przygody; już się w niej nie mogą rozpoznać. To, co było tragiczne, przeszło ich na wskroś, lecz zabity został ktoś inny, obok nich. Czyż mogą okazać obojętność dla takiej niesprawiedliwości losu, złośliwości i głupoty przypadku? Ich największy wysiłek nie osiągnie jednak więcej niż drgawki niewinnego a bezbronnego zwierzęcia; umierając podlegają losowi, do którego nie dorośli. Bez względu na to bowiem, jak daleko mógłby sięgnąć pospolity umysł, i choćby nawet wyobrazić sobie, że poprzez symbole i pozory dociera on niekiedy do rzeczywistości, musi, musi tak być, że nie on przywłaszczy sobie cząstkę silnych, która jest zresztą nie tyle poznaniem rzeczywistości, ile poczuciem naszej niemocy pochwycenia jej i przytrzymania całej, okrutną ironią prawdy.

Któż lepiej od tego wytwornego kapłana potrafiłby opisać n.nn ostatni rozdział takiego żywota, strawionego w samotności i milczeniu, na zawsze zamkniętego? (Chcąc przywołać choćby na chwilę wielką duszę, która pragnęła tylko zapomnienia, można być pewnym, że się ją zdradzi, nie ukaże się jej... Obyż bohaterski święty z Lumbres nie stał się nigdy postacią z powieści!) Na nieszczęście dawny proboszcz z Luzarnes pozostawił jedynie kilka niepełnych listów, z których zacytowaliśmy najważniejsze fragmenty. Reszta została starannie zniszczona po zakończeniu zarządzonego przez władze kościelne śledztwa, którego wyniki na razie trzymane są w tajemnicy.

- Wyjdźmy - powiedział proboszcz z Lumbres: tamten poszedł za nim, nie tyle z przejęcia, jak później w dobrej wierze sądził, ale z prostej ciekawości, żeby zobaczyć. Dawny

nauczyciel niewiele wiedział o starym kapłanie, który nagle stał się pasterzem ogromnego, wciąż powiększającego się stada. Jakim cudem ten poczciwiec w zabłoconych buciskach, zawsze z niezmiennie smutnym uśmiechem, samotnie wędrujący po drogach, zawsze w pośpiechu, zdołał zgromadzić wokół swego konfesjonału prawdziwe rzesze, jego własne rzesze? Ksiądz proboszcz z Luzarnes niedawno przybyły do diecezji podzielał do pewnego stopnia nieufność niektórych konfratrów. „Zachowuję rezerwę” - mawiał otwarcie. A oto dzisiaj od razu stał się powiernikiem tego niezwykłego ducha.

Wyszli do małego okolonego murem ogródka za domem.

Blask słońca prześwietlał główki sałaty. W podmuchach od zachodu pszczoły śmigły jak strzały, gdyż o świcie zerwał się wiatr.

Nagle proboszcz z Lumbres się zatrzymał i o krok przybliżył do swego towarzysza. Jego stara twarz z wyraźnymi śladami bezsenności ukazała się w pełnym świetle, równie łatwa do rozpoznania jak maska konającego. Na chwilę żalosne usta złagodniały, zadrżały; a potem pod ciekawym spojrzeniem, które się weń wpatrywało, tamten wzrok pognębiony zdradził swą tajemnicę, zdradził samego siebie... Rozplakał się biedak.

Przyszły kanonik zaraz się rozczulił, podniósł do góry swą drobną białą rękę.

- Zaiste, drogi konfratrze...

Powiedział dużo rzeczy pospiesznie, na chybił trafił, jak przystoi mówić w przypadku tak poważnym, uodparniając się stopniowo dźwiękiem własnego głosu. Mówiąc, aby być pewnym, że go przekonuje, patrzył na ślaniającego się kapłana, którego za chwilę miał podnieść na duchu swą niezawodną wymową. „To załamanie przez nadmierne uniesienie, mój pobożny przyjacielu, to jedynie krótkotrwała próba, a także ostrzeżenie Opatrzności, która nie zawsze pochwała może nadmiar pobożności księdza proboszcza, surowość pokuty, posty, nocne czuwanie...”

Mówił, mówił, by jak najprędzej skończyć, podając skwapliwie swoje maści i balsamy, kiedy nagle odezwał się głos o tonie tak osobliwym, och, bez wątpienia głos wielce osobliwy, zgoła nieoczekiwany głos człowieka, który wcale nie słuchał, który już nie będzie słuchał, którego skarga obracała wniwecz całą tę piękną, zbyteczną przemowę.

- Przyjacielu, przyjacielu mój, ja już nie mogę. Jestem u kresu.

Inne jeszcze słowo drżało na jego ustach, lecz nie wypowiedział go. Ale czujny konfrater, przez chwilę zbity z tropu, podjął znowu:

- Ta rozpacz...

Proboszcz z Lumbres natychmiast położył na jego ręce stanowczą, rozpaloną dłoń.

- Odsuńmy się trochę, proszę - rzekł... - o, tam...

Stanęli pod wałącym się glinianym murem. Jakże radosne życie brzęczało dookoła!

- Jestem u kresu - powtórzył żaloszny głos. - Och, litości, przyjacielu, obecnie mój jedyny przyjacielu, nie daj się zwieść swojemu miłosierdziu. Bądź surowy! Jestem tylko niegodnym księdzem, biednym kapłanem, jałową duszą, ślepcem, nieszczęsnym ślepcem...

- Ależ nie... nie... - zaprzeczył grzecznie przyszły kanonik - to nie ksiądz sam, ale może jakieś nazbyt śmiało umysły nadużywając księdza łatwowier... rzetelności... Tak snadnie wierzymy we wszystko dobre, co się o nas mówi!

Uśmiechnął się, odsuwając ręką natrętną osę (osa i te pełne zachwyty usta, takie rozgadane, dwa bzykające zwierzątka)...

Ale zaraz rzekł szorstko:

- Słucham księdza.

Proboszcz z Lumbres osuwa się do jego nóg, pada na kolana.

- Bóg mnie oddaje w twoje ręce - mówi - powierza mnie tobie!

- Co za dziecinada! - wykrzykuje przyszły kanonik. -/

Wstańże, przyjacielu. Ksiądz wyobraźnia niepomierne wyolbrzymia proste uczucie zmęczenia, przepracowania. Cóż, ja jestem tylko zwykłym człowiekiem, pewne jednak doświadczenie... - kończy z uśmiechem.

Na ten uśmiech proboszcz z Lumbres odpowiada innym, rozdzierającym uśmiechem. Obojętne! Chce widzieć w tym człowieku jedynie przyjaciela, i to nie wybranego, ale przed tym ostatnim, decydującym zakrętem wyraźnie darowanego mu od Boga, swojego ostatniego przyjaciela. Och, niewątpliwie nie ma już nadziei, że zdoła odżyć, zawrócić, odzyskać spokój. Zbyt daleko już się zapędził na tej straszliwej drodze.

Będzie szedł, szedł do ostatniego tchu, z tym jedynym towarzyszem.

- Niestety! - woła. - Taki byłem w wyższym seminarium i taki zostałem, tępą głową, oschłe serce, bez cienia polotu, słowem: marny człowiek, którym Opatrzność się posłużyła. Wrzawa, jaką czyniono wokół mojej osoby, upór, z jakim mnie prześladowano, przyjaźń tylu grzeszników, to wszystko znaki i próby, których nie pojmowałem ani znaczenia, ani celu. Świętość dojrzewa w ciszy, a mnie cisza była odmówiona. Jeszcze przed chwilą powinienem był milczeć. Zaniepokoiłem księdza, zgorszyłem. Tak, powinienem był milczeć... Nie powinienem był teraz czynić żadnych wyznań... (Tak, serce mi krwawiło, że w podobnym momencie opuszczam tę biedną klęczącą kobietę... tak brutalnie... tak okrutnie... tak, okrutnie ugodzoną...) Nie stało się to bez powodu... o, nie bez powodu... Bo... Przyjacielu mój, gdy byłem już na progu tych drzwi... pewna myśl... pewna taka myśl przyszła mi do głowy...

- Jaka? -apytuje ksiądz proboszcz z Luzarnes.

Mimowolnym ruchem pochyla się ku niemu, aż do ust, z których dobywa się teraz tylko niewyraźny szept... A potem prostuje się skonsternowany.

- Och, przyjacielu! - woła - och, mój przyjacielu!

Podnosi ręce do nieba i zaraz krzyżuje je na piersi opuszczając szerokie ramiona gestem przygnębienia. Stary kapłan klęczy nadal ze spuszczoną głową. Widać tylko jego ziemisty kark, pochylony ze wstydu.

- A zatem - mówi przeciągając słowa proboszcz z Luzarnes - ta myśl nawiedziła księdza nagle, po raz pierwszy?

- Po raz pierwszy.

- A dawniej nigdy?

- O Boże! - woła proboszcz z Lumbres - dawniej nigdy! Jestem tylko nieszczęśliwym człowiekiem. Od lat już nie zaznałem jednej godziny spokoju. Jakże ksiądz może sądzić... Jak to! Aż u stóp Szatana! Dokonać cudu, ja!

Przyjacielu mój, po prawdzie ja może przez całe życie nie dokonałem jednego aktu miłości Bożej, nawet niedoskonałego, nawet niepełnego... O, nie! Trzeba było potwornego wysiłku tej ostatniej nocy... Dosłownie ja już do siebie nie należę... Przeżywałem paroksyzm rozpacz... I wtedy właśnie... wtedy... jakby na urągowisko... przyszła mi ta myśl.

- Trzeba ją było oddalić - powiada tamten.

- Proszę mnie zrozumieć - replikuje pocziwiec z pokorą. - Mówię: ta myśl mi przyszła. To jest źle powiedziane. Nie myśl, a pewność... (Och, brak mi słów; zawsze mi ich brakowało! - woła z naiwną niecierpliwością...) Muszę dojść do końca, mój ukochany bracie, do ostatniego wyznania... Nawet klęcząc tu przed księdzem w najwyższej trwodze, nawet gdy mnie ogarnia zwątpienie co do własnego zbawienia... wierzę... muszę wierzyć... niezłomie... że ta pewność pochodziła od Boga.

- Czy miał ksiądz... jakby to powiedzieć... jakiś znak konkretny...?

- Jaki znak? - pyta proboszcz z Lumbres dobrodusznie.

- Czy ja wiem?... Czy ksiądz coś widział albo słyszał?...

- Nic... Jedynie ów głos wewnętrzny. Gdyby mi został dany tak wyraźny rozkaz, posłuchałbym natychmiast. Ale to był nie tyle rozkaz, co zwyczajne zapewnienie, pewność, że to się stanie... jeżeli ja zechcę. Bóg świadkiem, iż wyznanie, które teraz czynię, rozdziera mi serce, powinienem umrzeć ze wstydu... Wiedziałem... Wiem... nadal... jestem pewien... że jedno moje słowo... o Boże!... wskrzesiłoby... tak! wskrzesiłoby tego zmarłego chłopca!

- Proszę na mnie spojrzeć - powiedział z powagą proboszcz z Luzarnes po długiej chwili milczenia.

Jął go podnosić obiema rękami. Gdy ujrzał, że już stoi tuż obok z kolanami zabłoconymi, głową spuszczoną, pokochał go...

- Proszę na mnie spojrzeć - powtórzył raz jeszcze... - I odpowiedzieć szczerze. Kto księdza powstrzymał od wypróbowania... wypróbowania swej mocy w tamtej chwili?

- Nie wiem - mruknął stary kapłan... - To było straszliwe... Kiedy narzędzie jest zbyt marne, Bóg je odrzuca, gdy się już nim posłuży.

- Ale księdza... przeświadczenie nadal jest niezmiennie?

- Tak - odparł znowu proboszcz z Lumbres.

- A obecnie co ksiądz postanawia?

- Być posłusznym - odparł ów niezwykle człowiek.

Przyszły kanonik wyciągnął energicznym ruchem binokle i machnął nimi.

- Udzielę księdzu proboszczowi tylko prostej rady - rzekł. - Po pierwsze wróci ksiądz za mną do domu i wytłumaczy się możliwie najlepiej. (Księdza nagle odejście musiało się wydać bardzo dziwne, niedelikatne.) Gdy zaś ja będę czynił zadość obowiązkom uprzejmości, ksiądz wejdzie - proszę mnie słuchać dobrze - ksiądz wejdzie do pokoju zmarłego, żeby odprawić modły. Możliwie najlepiej uczyni to, co uzna za stosowne... Nie chciałbym pozostawić żadnej wątpliwości w umyśle księdza, tak bardzo już zmaconym... Biorę wszystko na siebie - zakończył po sekundzie ledwie uchwytnego wahania, ale z gestem stanowczym, kategoriycznym.

(W ten sposób maskował przed samym sobą słabość, jaką był odruch zaciekawienia niemal podświadomego, utajonego. i idyż najpospolitszego nawet człowieka porywa, gdy się zabłąka na salę gry, przyspieszone bicie innych serc, rzuca na stół luidora i tak odsłania trochę sam siebie.) I' o czym, podnosząc binokle do oczu, dorzucił:

- A później pójdzie ksiądz proboszcz rozsądnie trochę w począć.

- Spróbuję - odparł pokornie stary kapłan.

- To zależy od księdza. Akt wypoczynku, jak twierdzą

< jaliści, jest aktem woli. U wielu chorych nawet bezsen-ność jest jedną z tysięcznych postaci osłabienia woli. Proszę wierzyć człowiekowi, któremu te problemy nie są obce.

Załamania moralne z rodzaju tego, jakie ksiądz przeszedł, są niewątpliwie jedynie naturalną reakcją przemęczonego organizmu. Ściśle między nami, drogi konfratrze, powiedzmy sobie wyraźnie: w dziewięciu wypadkach na dziesięć spokój, którego ksiądz szuka tak daleko, jest w zasięgu ręki. Właściwe higieniczne życie może go księdzu przywrócić. Oczywiście, w ustach kapłana takie prawdy bywają niebezpieczne albo może winny być ogólnie wypowiedane. Nie potrzebuję się jednak obawiać, aby umysł na

wyższym poziomie, taki jak twój, bracie, tłumaczył to sobie przesadnie... jak niektóre pełne skrupułów duszyczki...

- Ksiądz myśli, że ja jestem obłąkany - powiedział proboszcz z Lumbres łagodnie.

Podniósł na niego wzrok, przed chwilą spuszczone, pełen tajemniczej czułości. I mówił dalej:

- Niestety! Do niedawna jeszcze bym tego pragnął. Bywają godziny, kiedy już samo widzenie jest przeżyciem tak okrutnym, iż człowiek marzy, ażeby Bóg roztrzaskał zwierciadło. Rozbiłoby się je chętnie, przyjacielu... Gdyż ciężko jest stać u stóp Krzyża, ale jeszcze ciężiej wpatrywać się weń bezustannie... Jakiż to widok, przyjacielu, taka właśnie konająca niewinność! Ale skądinąd sama ta śmierć jest niczym... można by ją może zadać jednym ciosem, dokonać, napchać ziemią usta niewysłowionę, zdławić ich krzyk... Nie! ręka, która się oto zaciska bieglejsza jest i silniejsza; spojrzenie, które się tutaj syci, nie jest spojrzeniem ludzkim. Przerażliwej nienawiści, która nie spuszcza z oka sprawiedliwego w agonii wszystko jest oddane, wszystko wydane na jej pastwę. Ciało Boże nie tylko rozdarte, ale zniewolone, zbezczeszczone bluźnierstwem ostatecznym, nawet już w majestacie konania... Szyderstwo Szatana, przyjacielu! Drwiący śmiech, niepojęta radość Szatana...!

- ...Dla takiego widoku - dodał po chwili milczenia - nasze błoto jest jeszcze zbyt czyste...

- Dramat Kalwarii - zaczął mówić przyszły kanonik.

Nie dokończył. Od tej chwili ten ksiądz kartezyjanin przestał sam siebie rozumieć. I (znamienity) filozof, którego rozprawy objawiły niegdyś tylu ciekawym ślicznotkom nowy świat zmysłów i który dzięki umiejętnemu dozowaniu matematyki i ducha z zagadnień bytu uczynił rozrywkę dla uczciwych ludzi, gdyby usłyszał, że przemawia jedno z tych jego osobliwych zwierząt, składających się z samych sprężyn, lewarków i zębatach kólek - nie poczułby się bardziej zgnębiony, niż zgnębiony był nieszczęsny kapłan, do tej pory tak pewny siebie, teraz zaś nagle do tego stopnia wytracony z wewnętrznej równowagi, że już sam siebie nie mógł rozpoznać.

Życie owych prostych ludzi jest cudem zrównowazenia, a ich ustawiczne naginanie się do rzeczywistości nieświadomym popisem zręczności, podobnym do wysiłków zonglera. O, ten dziwny zakład, żeby przejść bez przykrych wydarzeń przez niezrozumiały świat! Ale jak bywa z takimi rojeniami ogromnymi, osnutymi na wątku bogatym jak najsilniejsze życie, które raptem potrafi przerwać szmer przebiegającej myszy albo krzyk małego dziecka - poczucie bezpieczeństwa oparte na zdrowym rozsądku nie ostoja się ani chwili wobec faktu niewytłumaczalnego, nie do podważenia...

Więc jakże to? A zatem daremnie nadawaliście miłe i swojskie nazwy wszystkim tym straszliwym gościom, którzy przed wami przechodzili w milczeniu przez drogę?

Proboszcz z Lumbres kładzie kościsty palec na czoło przyszłego kanonika.

- Nieszczęśni jesteśmy - mówi głosem ochrypłym i powolnym - nieszczęśni my wszyscy, którzy posiadamy tu mało mózgu, a pychę Szatana! Na co mi się zda księdza roztropność? Teraz mój los jest już ustalony. Jakiegoż ja spokoju kałem, jakiej ciszy? Nie ma tu na ziemi, powiadam,

‘uego spokoju, a od jednej chwili prawdziwej ciszy ten i ily świat rozwiałyby się jak dym, jak zapach. Prosiłem

< liryystusa Pana, aby otworzył mi oczy; chciałem zobaczyć

Jego Krzyż; zobaczyłem go; ksiądz nie wie, czym to jest...

Dramat Kalwarii, ksiądz powiada... Ależ on oślepią nam oczy i wszystko inne przestaje już istnieć... O tak! Ja, który tu do ciebie mówię, Sabiroux, słyszałem - tak - nawet z ambony w katedrze... słyszałem rzeczy... nie mogę powiedzieć... Oni mówią o śmierci Boga jak o starej baśni...

Upiększają ją... wzbogacają. Gdzież oni to wszystko wynajdują? Dramat Kalwarii! Uwaga, uwaga, Sabiroux...!

- Mój drogi przyjacielu... drogi przyjacielu - zająknął się tamten, już u kresu sił - takie podniecenie... gwałtowność... jakże obca księdza usposobieniu...

Niewątpliwie zresztą nie tyle słowa go przerażały, co ten głos, który stał się niezwykle twardy. Najbardziej jednak jego własne nazwisko, trzy sylaby rzucone w przestrzeń, niczym rozkaz: „Sabiroux... Sabiroux...”

- Uwaga, Sabiroux, świat nie jest dobrze zmontowaną maszyną. Bóg rzuca nas pomiędzy Siebie i Szatana jako ostatni swój szaniec. To poprzez nas od tyłu, tyłu wieków stara się Go dosięgnąć wciąż ta sama nienawiść, to w biednym ciele ludzkim dokonuje się to niewysłowione morderstwo.

Och, och, choćby nie wiedzieć jak wysoko, nie wiedzieć jak daleko unosiła nas modlitwa i miłość, unosimy wraz z sobą uczipionego do naszego boku potwornego towarzysza, zanoszącego się przeogromnym śmiechem! Pomódlmy się razem, Sabiroux, aby ta próba była krótka i aby nieszczęsna gromada ludzka została oszczędzona... Nieszczęsna gromada...!

Głos załamuje mu się w krtani, przesłania oczy drżącymi rękami. Dokoła nich dzwoni i śpiewa słoneczny ogródek.

Lecz oni już tego nie słyszą.

- Nieszczęsna gromada! - powtarza cicho. Na wspomnienie wszystkich, których tak bardzo miłował, usta mu zadrżały, coś jakby uśmiech powoli wypłynął na twarz i objął ją całą wyrazem tak łagodnego dostojeństwa, iż Sabiroux zląkł się, że padnie tu przed nim trupem. Zawołał nań dwukrotnie, nieśmiało. A wówczas, jak człowiek, który się budzi ze snu, powiedział:

- Musiałem tak mówić. Tak jest lepiej. Sądzę, dozwolone mi było sprostować trochę księdza sąd o mnie, Sabiroux. Byłoby mi ciężko, gdyby ksiądz nadal wierzył, że byłem kiedykolwiek uprzywilejowany... jakimiś widzeniami... zjawami... i wreszcie jakimiś niepospolitymi pokusami. To wszystko nie dla mnie. O nie! To, co widziałem, przyjacielu, widziałem w mojej małej zakrystii, siedząc na wyplatany krześle, tak wyraźnie, jak ciebie w tej chwili widzę. No bo przecież nie wie się właściwie, czym jest grzesznik. Czymże jest ów głos w mroku konfesjonału, który coś mamrocze, śpieszy się, śpieszy, a uspokaja się dopiero przy pierwszych sylabach mea culpa! To dobre dla dzieci, biednych malców! Ale trzeba widzieć, trzeba widzieć twarze, na których wszystko się maluje, i spojrzenia. Oczy ludzkie, Sabiroux! O tym można by mówić bez końca. Oczywiście! Byłem przy wielu umierających; to nic nie jest; oni już nie przerażają. Bóg ich osłania. Ale ci nieszczęśni, których widywałem przed sobą i którzy się spierają, uśmiechają, bronią się, kłamią, kłamią, kłamią dopóki ostateczna trwoga nie rzuci ich do naszych stóp jak puste worki! To jeszcze próbuje coś odgrywać na świecie, tak! To się kryguje przed dziewczynami. To bluźni w miły sposób.

Och, przez długi czas wcale nie rozumiałem; widziałem jedynie zagubionych, których Bóg zbiera po drodze, jakby mimochodem. Istnieje jednak coś pomiędzy Bogiem a człowiekiem, i to bynajmniej nie postać drugorzędna... Istnieje... istnieje ta istota mroczna, niezrównanie przebiegła i uparta, z którą nic nie dałoby się porównać, może tylko straszliwe szyderstwo, okrutny śmiech. Jej to Bóg wydał się na pewien czas. To w nas dopada Go ona i pożera. Z nas Go wyszarpuje. Od wieków ludzkość wtłoczona jest pod prasę, która obficie wyciska z nas krew, ażeby każda najmniejsza drobinka Bożego Ciała służyła do nasycenia i na pośmiewisko potwornego oprawcy... O, głęboka jest nasza ciemnota! Dla wykształconego, dwornego, obeznanego z polityką księdza

Czymże jest diabeł, proszę mi powiedzieć? Ledwie się ważą wspomnieć go bez śmiechu. Gwiżdżą na niego jak na psa.

;)ikże więc, czy myślą, że go oswoili? Skądże znowu! Po prostu czytali za dużo ksiązek, a za mało spowiadali. Chodzi im tylko, żeby się podobać. A podobać się można tylko głupcom, których się uspokaja. My nie jesteśmy do usypia-

‘i l>d słońcem... nia, Sabiroux! Jesteśmy w pierwszym szeregu śmiertelnej walki, a nasze dzieci idą za nami. Księża! Ależ oni w ogóle nie słyszą chyba krzyku powszechnej niedoli! Spowiadają chyba tylko własnych kościelnych! Czyżby więc nigdy nie mieli tuż przed oczyma czyjejs wzburzonej twarzy? Nigdy nie widzieli, jak podnosi się ku nim jedno z tych niezapomnianych spojrzeń, już pełnych nienawiści do Boga, którym już nic dać nie można, nic! Skąpiec, przeżarty przez swego raka, lubieżnik podobny do trupa, żądny sukcesów zarozumialec marzący wyłącznie o jednym, zazdrośnik, który wiecznie czuwa... Jakże więc! Któryż to kapłan nie płakał kiedyś z niemocy w obliczu tajemnicy ludzkiego cierpienia, Boga znieważonego w człowieku, swoim schronieniu! Oni nie chcą widzieć! Nie chcą widzieć!

Im mocniej wzlatywał w słońce i wiatr ów srogi głos, tym silniej zdawał mu się sprzeciwiać bujny ogródek całą swą żywotnością. Majowy wietrzyk toczący po niebie szare chmury unieruchamiał chwilami pod widnokręgiem olbrzymie ich kłęby. Wtedy zaś oślepiający promień światła niby ostrze szpady przelatywał nad całą pociemniałą równiną i ginął w pięknym żywopłocie.

Czułem się - pisał później ksiądz Sabiroux - jak na samotnym szczycie, bezbronny a wystawiony na ciosy niewidzialnego wroga... On zaś, znowu milczący, wpatrywał się w jeden punkt przestrzeni. Jak gdyby czekał na jakiś znak, który nie nadszedł.

VI

Musimy tu ponownie oddać głos świadkowi, któremu zawdzięczamy to, co najcenniejsze w naszym opowiadaniu, a który uczestniczył w ostatnich zmaganiach starego kapłana z Lumbres za sprawą i z woli kogoś sprytniejszego i bardziej potężnego. Podobnie jak cytaty poprzednie i te wyjęte zostały z obszernego sprawozdania, przesłanego przełożonym przez sumiennego kanonika. Bez wątpienia nietrudno zauważyć, że lęk i miłość własna wypowiadają się tu niekiedy z naiwną chytrnością. Ale nie ma przecież nic prawdziwie podłego w takiej mowie obronnej nieboraka, który walczy o swoje poglądy, swój spokój, swoją próżność, celowość swojego życia.

Oczywiście niełatwo jest w sposób dostatecznie przekonywający odtworzyć dawne już wydarzenia, ale rozmowa, jaką próbuję tu powtórzyć, jest w ogóle, rzecz można, nieuchwytna, i nawet najwierniejsza pamięć nie zdołałaby z oddalenia naszkicować postawy, tonu, tysiąca drobiazgów, które stopniowo zmieniają sens słów i skłaniają nas, byśmy słyszeli jedynie te, które są zgodne z naszymi skrytymi uczuciami. Wszelako poszanowanie, jakie winienem formalnemu nakazowi moich

Przełożonych oraz pragnienie naświetlenia im wydarzeń, przeważają moją niechęć i skrupuły. Spróbuję zatem nie tyle przytoczyć dosłownie wyrażenia, co odtworzyć ogólny sens tej rozmowy i osobliwe wrażenie, jakie z niej wyniosłem.

- Uwaga, Sabiroux! - wykrzyknął nagle mój nieszczęsny houfrater głosem, który mnie przykuł do miejsca. Jego oczy miały błyskawice. Raz czy dwa próbowałem coś wtrącić, ale nawet nie zechciał zwrócić na mnie wzroku. Czyż i to winienem

nać? Byłem jak zaczarowany, jeżeli można nazwać czarem naszliwe napięcie nerwowe, nienasyconą ciekawość. Dopóki mówił, nie miałem już cienia wątpliwości, że stoję oto wobec człowieka prawdziwie nadprzyrodzonego w stanie pełnej ekstazy. Tysiące rzeczy, o których nigdy nie myślałem, a które dziś wydałyby mi się pełne sprzeczności i niejasności, a nawet dziecinnej wyobraźni, wówczas oświecały jednocześnie moje serce i rozum. Miałem wrażenie, iż przenikam w jakiś nowy świat.

Jakże odtworzyć na zimno owe osobliwe zdania, którymi na przemian to błagając, to grożąc, to blady z wściekłości, to znów zalany łzami, rozdzierającym tonem mówił o swym zwątpieniu w zbawienie dusz, nakreślił ich zbędne męczarnie, gromiąc zło i śmierć, jak gdyby Szatana ścisnął już za gardło. Szatan!

Imię to bezustannie wracało na jego wargi, a wymawiał je niezwykłym tonem, który godził prosto w serce. Gdyby oczom ludzkim dozwolone było oglądać zbuntowanego anioła, któremu święta naiwność naszych ojców przypisywała tyle wspaniałości, dziś już lepiej znanych, takie słowa mogłyby go przywołać, jako że jego cień majaczył już między nami, dwoma skromnymi księżmi w małym ogródku. O nie, Przewielebni, podobnej przemowy nie sposób odtworzyć na zimno! Trzeba by posłuchać tego czcigodnego człowieka, przeobrażonego zgrozą i jakby w uniesieniu nienawiści przywołującego na pamięć najbardziej sekretne wspomnienia swojej kapłańskiej służby, przeraźliwe wyznania, działanie grzechu w duszach ludzi i nawet twarze nieszczęśników, którzy stali się ofiarami demona, a w których jego wizjonerski wzrok widział dokładne odzwierciedlenie kolejnych stadiów agonii Chrystusa Pana na Krzyżu. Czułem się jakby w transie. Nie byłem już głosicielem moralności chrześcijańskiej, ale człowiekiem natchnionym, jednym z owych legendarnych egzorcystów, gotowych wydierać złym mocom owieczki ze swego stada. O cudzie ludzkiej mowy! Chciałem się porwać do boju, lekceważąc niebezpieczeństwo, może nawet chciałem męczeństwa. Po raz pierwszy wydawało mi się, że dostrzegam prawdziwy cel mojego życia i majestat kapłaństwa.

Rzuciłem się, tak, rzuciłem się do kolan proboszcza z Lumbres.

Mało tego! Ścisnąłem w rękach fałdy jego ubogiej sutanny, przytulałem do nich wargi, zraszałem je łzami, zapędziwszy się, niestety, z nadmiaru radości, wykrzykiwałem raczej niż wymawiałem te słowa: Ksiądz jest święty...! Ksiądz jest święty...!

Nie jeden, a ze dwadzieścia razy do głębi wstrząśnięty kanonik powtarzał to słowo, które tylu głupców znieważa, i bełkotał je w upojeniu. Ziemia paliła go przez grube podeszwy, widnokrąg obracał się jak koło. Czuł się lżejszy od korka, cudownie swobodny i lekki w prężnym powietrzu.

„Miałem wrażenie, że jestem wyzwolony z śmiertelnych więzów” - zanotował.

Jakież to słowo było dość mocne, aby wzniesć tak wysoko ów wielki ciężar, słowo czy może cudowniejsza od słów cisza?

Co szepnął mu do ucha tragiczny starzec, którego w tamtej chwili nurtowała do głębi pokusa, i odtrącony przez wszystkich, nawet przez samego Boga, zniewolony, uciemiony szukał na progu śmierci przyjaznego spojrzenia! Ale tego się nie dowiemy...

Jakiż sztywny jest ten Krzyż, jak pionowy! Wielkiego zaiste trudu wymaga utrzymanie się na nim do ostatka, ale niech jedna dłoń rozluźni uścisk, a człowiek już w stanie ekstazy opada w dół niby kamień. Przez trzydzieści lat proboszcz z Lumbres strzegł swej tajemnicy, milczał. A ponieważ na chwilę stracił czujność, zabrakło mu odwagi, przyzywa, chce, żeby go ktoś pocieszył. Puścić cudowny Krzyż, aby się ocknął w ramionach człowieka, cóż to za błoga beznadzieja! W miarę jak mówi, jak się wywnętrza, trwoga podchodzi, ogarnia go niby powolna fala i na próżno mówi jeszcze i mówi, jak gdyby ze złością, wcale prawie nie przynosi mu to ulgi. Albowiem zło, które go spala, podobne jest do wina z mistycznych zaślubin, którym się dzieli z innymi, a wcale go nie ubywa.

W momencie największego popłochu słowo święte uderza jednak w niego jak grom. Milknie.

Przez długą chwilę wsłuchuje się we własną myśl, która jeszcze w nim szumi, a potem gaśnie. Co on powiedział? Co się ośmielił powiedzieć? Wie tylko, że zerwał umowę milczenia, zrzucił na ziemię swój ciężar. Po co? Jeśli roztrwoniał tak

Od razu owoc długotrwałej cierpliwości jedynie z szaleńczej i lieri, żeby go ktoś wysłuchał, pocieszył, to daremne: został oszukany. Ten, który słucha, nie zrozumie go. Błaga przecież litość, i o wzbudzenie świętej zgrozy wobec swej przewlekłej męczarni. Ale to, co otrzymuje, jest uwielbieniem ulupca.

Spogląda z bezbrzeżnym przygnębieniem na tego śmieiego księdza, który aż dygocze z zachwytu. Widzi, że po-czerwieniał ze zdumienia i zadowolenia, jest bezprzytomny, gotów jak najspieszniej przyklaskiwać nowemu popisowi krasomówstwa, już zawczasu wydyma

policzki. Słowo geniusz jakby wielka mucha już błąka się na okrągłych, purpurowych wargach... O, nie! Sam Pan Bóg nie ugodził go tak bolesnym ciosem! Poznaje straszliwy śmiech, który już rozbrzmiewa w jego nieszczęsnym, zawiedzionym sercu: to On.

- Ach, Szatan trzyma nas pod swoimi stopami - mówi wreszcie łagodnym i potulnym głosem.

Dawny nauczyciel chemii aż się zakrztusił z zadziwienia:

- Przyjacielu mój, bracie, nie poznałem się na tobie... Nie wiedziałem... Bóg zesłał księdza ku chwale diecezji, Kościoła, trybunału Prawdy... I co, posiadając tak cudowne przymioty ksiądz jeszcze wzdycha, uważa się za pokonanego! Ksiądz!

Proszę przynajmniej pozwolić wyrazić mi moje wzruszenie, wdzięczność, za dobro, jakie mi ksiądz wyświadczył, za to uniesienie...

- Ksiądz mnie nie zrozumiał - mówi po prostu proboszcz z Lumbres.

Wie, że powinien milczeć, a jednak będzie mówił. Słabość ma swoją logikę i momenty znużenia, podobnie jak bohaterstwo. Wszelako stary kapłan waha się jeszcze, nim zada ostatnie ciosy.

- Ja nie jestem świętym - odzywa się po chwili. - No tak... Proszę pozwolić mi mówić. Może jestem potępiony...

Proszę na mnie spojrzeć... Moje przeszłe życie rozjaśnia się, widzę je jakby krajobraz, jak z góry Chennevieres miasteczko

Pin pod nogami. Starłem się usilnie odłączyć od świata, pragnąłem tego, ale tamten jest mocniejszy ode mnie i bardziej przebiegły; dopomagał mi, bym zniweczył w sobie nadzieję.

Jakże ja cierpiałem, Sabiroux! Ileż to razy przetykałem ślinę.

Hodowałem w sobie odrazę: tak jakbym tulił do serca diabelskie niemowlę. Byłem u kresu sił, kiedy to załamania ostatecznie już zburzyło wszystko. Jakimż ja byłem głupcem!

W tym nie ma Boga, Sabiroux!

Znowu się waha, na oczach niewinnej ofiary: kwitnącego proboszcza o dobrodusznym spojrzeniu. A potem z pasją uderza zaraz, i ponawia cios:

- Święty! Wy wszyscy macie to słowo na ustach. Święci!

Czy wiecie, czym to jest? I Sabiroux także niech sobie dobrze zapamięta! Grzech rzadko dostaje się w nas przemocą, a przeważnie podstępem. Przenika jak powietrze. Nie ma ani kształtu, ani barwy, ani właściwego sobie smaku, lecz przybiera to wszystko. Wyniszcza nas od wewnątrz. Oprócz kilku nieszczęśników, których pożera żywcem, a krzyki ich budzą w nas przerażenie, iluż jest takich, co już są zimni, a nie są nawet nieboszczykami, tylko

pustymi grobami. Chrystus Pan to powiedział: jakimi słowy, Sabiroux! Wróg ludzi kradnie wszystko, nawet śmierć, a potem odlatuje ze śmiechem.

(Ten sam płomień błyska znów w jego nieruchomym spojrzeniu, niby odbłask na murze.)

- Jego śmiech! Oto broń księcia tego świata. Wymyka się tak samo jak kłamie, przybiera wszystkie twarze, nawet naszą własną, jest w naszym sumieniu, nasze sumienie to on. Nigdy nie czeka, przy niczym się nie upiera. Jest w spojrzeniu, które mu urąga, jest na ustach, które mu negują. Jest w lęku mistycznym, jest w pewności siebie i w pogodzie głupca...

Książę tego świata! Książę tego świata!

„Skądże ten gniew? Przeciwno komu?...” - zastanawia się prostodusznie proboszcz z Luzarnes.

- Och! - wykrzykuje - ludzie tacy jak ksiądz...

Ale święty z Lumbres nie pozwala mu dokończyć; postępuje ku niemu, niemal nań napiera.

- Ludzie tacy jak ja! Pismo Święte nam o tym mówi, Sabiroux, zatracają się w swojej mądrości.

A potem z nagłą pyta go ostrym głosem:

- Książę tego świata... a cóż ty myślisz o tym świecie, s. Sabiroux?

- Doprawdy, cóż, niewątpliwie... - syczy nieborak przez

- Książę świata; oto rozstrzygające słowo. Jest księciem

Mfo świata, trzyma go w rękach, jest jego królem.

- Jesteśmy pod stopami Szatana - mówi znów po kró-im milczeniu. - Ksiądz, ja jeszcze bardziej niż ksiądz, i | tżpaczliwą pewnością. Jesteśmy zmarnowani, zatopieni,

/pani. Nie zadaje on sobie nawet fatygi, żeby usunąć nas, słabeuszy, czyni z nas swoje narzędzia; posługuje się nami, Sabiroux. W teje oto chwili, czym ja sam jestem? Zgorszeniem dla księdza, cierniem, który wbija on księdzu w serce.

Niechże mi ksiądz wybaczy, na litość Boską! Przez całe życie hodowałem w milczeniu tę myśl, co dnia dojrzalszą. Teraz już jej w sobie nie mieszczę; pochłonęła mnie. To ja tonę w niej, moim piekle! Poznałem zbyt wiele dusz, Sabiroux, słyszałem zbyt wiele ludzkich słów wtedy, kiedy nie służą one do przesłaniania wstydu, ale do wypowiedania go; wstydu czerpanego ze źródła, wysysanego jak krew z rany. Ja również sądziłem, że będę mógł choć walczyć, jeśli nie zwyciężać.

W początkach naszej służby kapłańskiej tworzymy sobie taką osobliwą, szlachetną koncepcję grzesznika. Zbuntowanie, bluźnierstwo, świętokradztwo, to ma swoistą, dziką wielkość, to bestia, którą się poskromi... Poskromić grzesznika! - jakaż to śmieszna myśl! Poskromić samą słabość i tchórzostwo! Któżby się nie znużył ciągłym podnoszeniem bezwładnej masy!

Wszyscy są jednakowi. Nawet w wylewności wyznań, w poczuciu ulgi po wybaczeniu, jeszcze i wtedy to kłamcy, zawsze!

Udają ludzi gwałtownych, których poniosły namiętności na przekór obyczajom, moralności, wszystkiemu, domagają się, żeby ich wziąć w karby. Co za nędza! Padają z wyczerpania!

Widziałem takich zaiste, widziałem, których jakieś imię kobiece doprowadzało do ataku furii i którzy miotani trwogą, wyrzutami sumienia i zazdrością czołgali się u moich stóp jak zwierzęta... o, widziałem. O nie! Nie! to bezbrzeżne oszustwo, ten okrutny śmiech, jakieś szczególne poniewieranie tym, co sam zabija - to jest Szatan zwycięzca! Czyś mnie zrozumiał, Sabiroux?

Błękitne oczy nauczyciela chemii"wytrzymują jego wzrok z prostoduszną ciekawością, z nieskończoną wiekuistą życzliwością. Och, żebyż coś rozbiło wreszcie tę niebieską emalię!

I stary siłacz na przemian to czerwieni się, to blednie przed tym grubym, rozpromienionym dzieciakiem. Serce wali mu mocno i regularnie w piersiach, gdzie potężna wola, nigdy całkowicie nie ujarzmiona, pręży się już, przestaje się hamować. Przypiera Sabiroux do muru, krzyczy mu w ucho tonem nie do zapomnienia:

- Jesteśmy zwyciężeni, powiadam, i Bóg wraz z nami!

Zwyciężeni! Zwyciężeni!

Przez długą, długą chwilę wsłuchuje się we własne bluźnierstwo, jakby w ostatnią łopatę ziemi, rzuconą na mogiłę.

Tego, kto po trzykroć zapał się swego Mistrza, jedno spojrzenie zdołało rozgrzeszyć, jakaż jednak nadzieję może mieć ten, kto zapał się sam siebie?

- Przyjacielu mój! Przyjacielu! - woła proboszcz z Luzarnes.

Ale święty z Lumbres odpycha łagodnie jego rękę.

- Proszę mnie zostawić - mówi - proszę mnie zostawić... Niech mnie już ksiądz nie słucha.

- Zostawić! - powtarza tamten wielkim głosem. - Zostawić! Nigdy jeszcze nie widziałem nikogo do księdza podobnego. Proszę mi raczej wybaczyć, że w niego wątpił.

Jestem gotów służyć za świadka w próbie, którą ksiądz zamyślał... Nie ma nic niemożliwego ani niewiarygodnego dla takiego człowieka jak ksiądz... Śmiało! Śmiało! Idę za księdzem; to Bóg przed chwilą księdza natchnął. Chodźmy razem do domu. Niech ksiądz odda matce zmarłe dziecko.

Proboszcz z Lumbres spogląda na niego w osłupieniu, przeciera dłonią czoło, usiłuje zrozumieć... Nawet jak na dawnego nauczyciela chemii tragiczne, zdumiewające zapomnienie...! Jakże to! Więc on już nie pamięta!...

- Cóż znowu, przyjacielu, mój czcigodny przyjacielu - powtarza - czy to ja winienem księdzu przypominać, co przed chwilą, na tym właśnie miejscu...?

Przypomniał sobie. Ostatnie wezwanie miłosierdzia, olśniewającą obietnicę, która by go ocaliła, a której tylko wysłuchał nieufnie, zamiast być posłusznym jak dziecko drobnymi rączkami nieświadomie dokonujące wielkich rzeczy... czy to możliwe? Dopiero tamten musiał mu przypomnieć. Uporwa myśl, od której przez dwa dni i dwie noce nieszczęsny nie mógł się oderwać - o wściekłości! - oładnęła nim całkowicie może w chwili wyzwolenia, i to za czyją sprawą!

W rozstrzygającym momencie, w jedynym niepowtarzalnym momencie swojego niezwykłego życia - jak na urągowisko najwyższe, absolutne - był już tylko biednym zwierzęciem ludzkim, mającym na tyle jeno siły, ażeby cierpieć

lyceć.

Och, rozbitek, który w mgle poranku nie może już dojrzeć słońcem wyzłaczanych żagli, artysta, który, gdy go opuści natchnienie, umiera za życia, matka, która widzi, jak oczy konającego syna prześlizgują się nad nią, już jej nie dostrzegając - wszyscy oni nie krzyczą ku niebu bardziej twardym głosem.

A przecież bohaterski starzec takim ugodzony ciosem nie ugiął kolan. Już się nie modli. Chłodno odmierza głębię swojego upadku; po raz ostatni rozpamiętuje niezrównaną taktykę wroga, który go pokonał. „Znienawidziłem grzech - zastanawia się - a potem i samo życie, to zaś nie dające się wysławić, co odczuwałem w rozkoszy modlitwy, było może ową rozpaczą, która rozpływała mi się w sercu.”

Obrazy kolejno wylewają na nas swój jad, potem zaś, gdy świadomość jest już całkiem zmacona, budzi się rozum i zadaje ostateczny cios. Podobnie jak sam instykt, tak i wysokie władze umysłowe, z których jesteśmy tacy dumni, ogarnia swoista panika. Proboszcz z Lumbres tego doświadcza; wchłania myśl, która go zabija. „Jakże to! właśnie w chwili, kiedy uważałem się za... Jakże! nawet w upojeniu miłości

Bożej!...”

- Czyżby Bóg sobie ze mnie zadrwił? - krzyknął.

Kiedy rozwiewa się marzenie, które zawsze zdawało się nam rzeczywistością i z którym związał się nasz los, kiedy już klęska jest całkowita - osiąga swoje apogeum - jakąż siłą może nas jeszcze pobudzić poza palącą chęcią wywołania, przyspieszenia nieszczęścia, poznania go wreszcie?

- Chodźmy - mówi proboszcz z Lumbres.

VII

Wielkimi krokami przemierza ogród omroczony chmurą.

Staje w progu.

- O, jest! - woła ta, która na niego czekała z bijącym sercem.

Podchodzi ku niemu, lecz zatrzymuje się zaraz czując, jak ginie jej nadzieja na widok tej zmienionej twarzy, z której nie można wyczytać nic poza nieustraszoną wolą, twarzy bohatera, a nie świętego. Lecz on, nie spojrzawszy na nią, idzie prosto do zamkniętych drzwi za wielkim dębowym stołem, i już z ręką na klamce powstrzymuje gestem swojego onieśmiałego towarzysza. Otwierają się drzwi do ciemnego milczącego pokoju o zapuszczonych żaluzjach. Przez mgnienie w głębi migocze płomyk świecy. Wchodzi i zamyka się razem ze zmarłym.

Pokój o wapnem bielonych ścianach jest długi i wąski; to komora za kuchnią, do której doktor polecił przenieść chorego, ponieważ jest bardziej przestronna, ma dwa okna od wschodu, na ogród, na las w Sennecourt, na pagórki Beauregard, pełne kwitnących żywopłotów. Czerwone płyty kamiennej podłogi przykryto lichym dywanem. Jedyna świeca ledwie oświetla nagie ściany. A odrobina jasności dziennej, która przenika - nie wiedzieć jak - przez niewidoczne szczeliny, zbiera się i unosi nad białymi, gładko naciągniętymi, sztywnymi prześcieradłami, opadającymi równo do samej ziemi po obu stronach małego, teraz już idealnie grzecznego i spokojnego chłopczyka. Brzęczy niespokojnie mucha.

Proboszcz z Lumbres stoi w nogach łóżka i nie modląc się wpatruje się w krzyż na czystym płótnie. Nie ma już nadziei,

/.o na nowo usłyszy tajemniczy rozkaz. Lecz obietnica została złożona, rozkaz wysłuchany; to wystarcza. Oto niewierny sługa tu, gdzie na próżno oczekiwał nań jego pan, słucha zobojętniały wyroku, na jaki zasłużył.

Słucha. Na dworze, za spuszczoneymi żaluzjami, ogród płonie i syczy w słońcu niby pęk zielonych gałęzi rzuconych w ogień. W izbie powietrze jest ciężkie od zapachu bzów, rozgrzanego wosku i innej majestatycznej woni. Milczenie, które nie jest już milczeniem z tej ziemi i przez które odgłosy z zewnątrz przenikają, nie zakłócając go, zdaje się wypływać z

głębi ziemi. Wznosi się niby niewidzialna mgiełka i już się odkształcają i rozmazują widziane poprzez nią żywe kontury; już rozpływają się dźwięki, już dążą do siebie i wzajem się łączą tysiące nieznanych rzeczy. Podobnie jak nasuwają się na siebie dwa płyny o różnej gęstości, nakładają się tutaj dwie rzeczywistości nie jednocząc się z sobą, w tajemniczej równowadze.

W tym momencie wzrok proboszcza z Lumbres napotkał spojrzenie zmarłego i przywarł doń.

Spojrzenie jednego z martwych oczu, gdyż drugie było zamknięte. Z pewnością przyciśnięto powieki zbyt wcześnie, i to drżącą ręką, skurcz mięśnia uniósł nieco jedną i widać oto poprzez rozprostowane rzęsy źrenicę niebieską, już zwarzoną, ale dziwnie pociemniałą, niemal czarną. Tylko ją widać na sinobladej twarzy w zagłębieniu poduszki, tylko to oko podkrążone, jak dziura cienia. Małe ciało w całunie zarzuconym bzami ma już ową sztywność i kanciastość trupa, wokół którego nasze powietrze tak się lubujące w kształtach żywych zdaje się okrzeple jakby bryła lodu. Żelazne łóżko z swym drobnym ciężarem przypomina jakiś baśniowy statek, który na zawsze zarzucił kotwicę. Istnieje już tylko to spojrzenie wstecz - przeciągłe spojrzenie wygnańca - równie wyraźne jak znak dany ręką.

Na pewno proboszcz z Lumbres nie lęka się tego spojrzenia; ale zapytuje. Próbuje je pojąć. Przed chwilą przekroczył próg jak gdyby z wyzwaniem, gotów rozegrać w tych czterech białych ścianach rozpaczliwą partię. Podchodził do zmarłego bez rozczulenia, bez litości, jak do przeszkody, którą trzeba pokonać, do czegoś, co trzeba poruszyć, a nazbyt jest ciężkie...

I oto umarły go ubiegł: to on na niego czeka, niby zuchwały przeciwnik, który się ma na baczności.

Wpatruje się w to półotwarte oko z zaciekawioną uwagą, w której stopniowo niknie litość, potem zaś z jakimś okrutnym zniecierpliwieniem. Zapewne oglądał śmierć równie często jak najstarsi żołnierze; z takim widokiem był dość obeznany.

Postąpić krok, wyciągnąć rękę, przycisnąć palcem powiekę, przesłonić wpatrującą się w niego źrenicę, której już nic nie broni - cóż prostszego? Dziś nie powstrzymuje go żadna trwoga, żaden wstręt. Raczej pragnienie, skryte oczekiwanie rzeczy niemożliwej, która ma się dokonać poza nim, bez niego.

Jego myśl waha się, cofa, znowu się posuwa. Kusi zmarłego tak jak za chwilę będzie kusił Boga.

Jeszcze jedna próba, usiłuje się modlić, porusza wargami, rozkurcza ściśnięte gardło... Nie! Jeszcze minuta, jeszcze jedna krótka minuta... Obłądny, niedorzeczny lęk, że jedno

nieopatrzne słowo oddali na zawsze niewidzialną, przeczuwaną, upragnioną, budzącą grozę obecność przykuwa go niemego do miejsca. Ręka, która zaczynała kreślić w powietrzu znak Krzyża, opada. Przy tym geście szeroki rękaw porusza płomyk świecy i gasi ją... Za późno, dwa razy ujrzał, jak oczy otwierają się i zamykają w milczącym wezwaniu.

Dławi krzyk. Ciemny pokój zdaje się teraz spokojniejszy niż poprzednio. Światło z zewnątrz wślizguje się poprzez żaluzje, unosi się dokoła, obrysowuje każdy przedmiot na szarym tle, i łóżko w błękitnawej aureoli. Zegar w kuchni wydzwania dziesiątą... W przejrzystym powietrzu ranka wzbija się śmiech dziewczyny i wibruje długo... „Śmiało! Śmiało!” - mówi święty z Lumbres głosem niezbyt pewnym.

Z komiczną skwapliwością grzebie po kieszeniach szukając zapalniczki, upominku od pana hrabiego de Salpene (zawsze jednak zapomina ją na stole), znajduje zapałkę, która się nie zapala, powtarza: „Śmiało... śmiało” poprzez zaciśnięte zęby.

Opróżniając kieszenie położył na podłodze nożyk z kościaną rękojeścią, jakieś listy, bawełnianą chustkę, tak pięknie czerwoną! i ilaremnie obmacuje tu i tam kamienne płyty nie mogąc nic i leżeć. Łóżko, tuż obok, rzuca gęstszy cień. Ale w górze błękit - na mgiełka wokół zamkniętych okiennic, przeciwnie, rozi za się, rozpościera. Już ukazuje się twarz zmarłego... stopniowo... wypływa... powoli na powierzchnię mroku. Nieborak hyla się tak blisko, że mógłby jej dotknąć, patrzy... Dwoje u, teraz szeroko otwartych, też patrzy na niego.

Jeszcze przez chwilę wytrzymuje ten wzrok z obłądną nadzieją. Ale ani drgnie żadna z podniesionych powiek. W matowo czarnych źrenicach nie ma już ludzkiej myśli... A jednak...

Może inna myśl?... Szyderstwo zaraz, błyskawicznie rozpoznane... Wyzwanie władcy śmierci, złodzieja ludzi... To on.

- To ty. Poznaję cię - woła nieszczęsny stary kapłan głosem niskim a dobitnym. I jednocześnie doznaje uczucia, że cała krew z żył lodowatym deszczem opada mu na serce.

Raptowny, nie dający się opisać ból przeszywa go od ramienia do ramienia i natychmiast przelewa się w lewą rękę, aż do zgrabiących palców. Nie znany mu dotąd lęk, całkowicie fizyczny, wytwarza w piersiach próżnię, jak gdyby jakaś koszmarna siła wysysała mu wnętrzności. Prostuje się, żeby nie krzyknąć, nie wzywać.

Zniknęło całe bezpieczeństwo życia: śmierć jest w pobliżu, pewna, nieuchronna. Mężny człowiek zмага się z nią jeszcze z rozpaczliwą energią. Zatacza się, posuwa o krok, by odzyskać równowagę, chwytą się łóżka, nie chce upaść. Przez to zwykłe potknięcie spala się w sekundę czterdzieści lat wspaniałego natężenia woli, teraz osiągającego swój szczyt dla dokonania ostatniego, nadludzkiego wysiłku, który na chwilę zatrzymuje los.

Prawdą jest zatem, że dopóki noc go nie zatai, ona z kolei nie ukryje, uparty oprawca, który bawi się z ludźmi jak zdobyczą, otacza go swymi mamidlami, przyzywa, zwodzi, rozkazuje lub pieści, odbiera lub przywraca nadzieję, przybiera wszelkie głosy, jest aniołem albo demonem, niezliczony, skutecznie działający, potężny jak jakiś bóg. Jak bóg! Och, cóż znaczy piekło i piekielne płomienie, byle raz, jeden jedyny raz zmiażdżone zostało to potworne zło! Czy możliwe - czy Bóg tego chce - aby sługa, który szedł za Nim, znalazł w Jego miejsce śmiechu wartego króla much, bestię siedmiokroć wieńczoną? Czyż ustom, które łakną Krzyża, ramionom, które

Krzyż ogarniają, dane ma być tylko To - to kłamstwo?...

„Czy możliwe? - powtarza święty z Lumbres cicho - czy to możliwe?” I natychmiast: „Oszukałeś mnie!” - woła.

(Ostry ból, który go opasał przeraźliwą obręczą, zwalnia nieco ucisk, lecz oddychać nadal mu trudno. Serce bije wolno, jak gdyby tonęło. „Mam już tylko chwilę” mówi sobie nieszczęśnik odrywając kolejno od posadzki nogi jak z ołowiu.)

Nic jednak nie powstrzyma tego, kto zacisnąwszy szczęki i skupiwszy się cały na jednej tylko myśli, sunie na zwycięskiego wroga i rozważa swój cios. Święty z Lumbres podkłada ręce pod małe, sztywne ramionka, unosi do połowy lekkie zwłoki. Główka opada i przechyla się z jednego ramienia na drugie, potem odgina się w tył i nieruchomieje.

Zdaje się mówić: „Nie!... Nie!...” z ładnym gestem rozpieszczonych dzieci. Ale cóż obchodzi twardego chłopca, porażonego nawet w swej ostatniej nadziei i trzymającego się na nogach tylko ponadludzkim gniewem, któreś z owych żywiołowych uczuć - wściekłość dziecka albo półboga?

Podnosi chłopczyka niby hostię. Rzuca ku niebu złowrogie spojrzenie. Czyż można się ludzić, że zdoła ktoś odtworzyć krzyk zgnębienia, przekleństwo bohatera, który nie o litość ani o wybaczenie prosi, ale o sprawiedliwość! O, nie! On nie błaga o ten cud, on go żąda. Bóg jest mu to winien, Bóg go da albo wszystko jest jedynie snem. On czy Ty, mówcie, który jest panem! O słowo szalone, szalone, lecz stworzone po to, by rozbrzmiało aż w niebie i rozbiło milczenie! Słowo szalone, miłosne bluźnierstwo...!

Temu, kto wprowadził do rodziny człowieczej śmierć, może udzielona została moc niszczenia samego życia, przywracania życia do nicości, z której zostało dobyte. Choćby na próżno cierpiał, cóż z tego! Ale wierzył. „Ukaż się!” - woła owym głosem wewnętrznym, jakim objawia się światu niewidzialnemu niepojęta moc człowieka, ukaż się, nim mnie porzucisz ha zawsze...! Ach, nieszczęsny stary kapłan, trwoniący oto wszystko, co posiada,

aby otrzymać znak z nieba! I ten znak nie będzie mu odmówiony, jako że wiara, która przenosi góry, może przecież wskrzesić umarłego... Ale Bóg oddaje siebie jedynie miłości.

VIII

Sam święty z Lumbres pozostawił nam tylko bardzo krótki opis, albo raczej notatki robione w pośpiechu i w zamęcie ducha graniczącym z obłędem. Sformułowania są nieporadne i takie naiwne, że nie sposób ich przedstawić bez pewnych poprawek. Nic tu nie przypomina niezwykłego człowieka, który poddawany był wszelkim próbom kuszenia rozpaczą, a zwyciężony został dopiero nikczemnym podstępem; odnajdujemy tu natomiast dawnego proboszcza z Lumbres, jego dobroduszną pokorę, szacunek wobec przełożonych i nawet uległość trochę uniozoną, potulny lęk przed rozgłosem, absolutny brak wiary w siebie połączony z głębokim, nieuleczalnym przygnębieniem, pozwalającym aż nazbyt dobrze przewidzieć jego koniec.

Niemniej kilka zdań zasługuje na to, aby wydobyć je z zapomnienia. Te mianowicie, gdzie starając się tylko bardzo dokładnie ustalić kolejność wydarzeń, których był jedynym świadkiem, spisuje rzecz można słowo po słowie ostatnie momenty swojej przedziwnej historii. Oto jak się przedstawiały:

Przez minutę czy dwie trzymałem w ramionach małego trupka - pisze - później starałem się podnieść go do Krzyża.

Choć był taki leciutki, z wielkim trudem zdołałem go utrzymać, gdyż bardzo osłabła mi i bolała lewa ręka. Jednakże udało mi się tego dokonać. Wówczas wpatrując się w Chrystusa Pana i usilnie przywołując na pamięć pokuty i udręczenia mojego nieszczęsnego życia, dobro, które niekiedy zdarzało mi się czynić, pociechy, jakie otrzymywałem, chciałem oddać wszystko, bez zastrzeżeń, ażeby wróg, który ścigał mnie bez wytchnienia, a teraz wykradł mi nawet nadzieję zbawienia, został wreszcie upokorzony na moich oczach przez Kogoś potężniejszego niż on... Och, mój

Ojcze, za to gotów byłem poświęcić nawet życie wieczne!...

Ojcze mój, to aż nazbyt prawdziwe: diabeł, który mnie wziął w posiadanie, jest dość mocny i przebiegły, żeby zwodzić moje zmysły, mącić sądy, mieszać prawdę z fałszem. Godzę się, z góry przyjmuję Twoją ostateczną decyzję. Ale cud jeszcze istnieje w oczach, które go widziały, w rękach, które go dotykały... Tak, przez okres czasu, którego nie mogłem ustalić, zwłoki zdawały się powracać do życia. Poczulem pod palcami ich ciepło, pulsowanie.

Mała główka, odchylona do tyłu, zwróciła się ku mnie...

Widziałem, że powieki zamrugały i wzrok ożywił się... Widziałem to. W tej chwili głos wewnętrzny powtarzał mi słowa:

Numquid cognoscentur in tenebris mirabilia tua, et justitia tua in terra oblivionis? Otworzyłem usta, żeby je wypowiedzieć, gdy na nowo chwycił mnie ten sam ból przeszywający, nie do wysłowienia, którego z niczym nie umiem porównać. Przez sekundę jeszcze próbowałem utrzymać małe ciało, które mi się wysuwało. Zobaczyłem, że znów pada na łóżko. To wtedy rozległ się za moimi plecami przeraźliwy krzyk.

Rzeczywiście usłyszał ów przeraźliwy krzyk, po którym rozległ się jeszcze potworniejszy śmiech. I wówczas uciekł z pokoju jak złodziej, prosto ku otwartym drzwiom i do ogrodu zalanego słońcem, nie odwracając głowy, nie widząc nic poza cieniami, które, nie poznając ich odpychał obiema wyciągniętymi rękoma... Za nim kolejno zamierały jakieś głosy, aż się zmieszały w jeden mglisty gwar, który wkrótce zamilkł... Postąpił jeszcze parę kroków, nabrał tchu, otworzył oczy. Siedział na nasypie przy gościńcu do Lumbres, wzrok miał jeszcze nieprzytomny, kapelusz leżał obok niego. Oстрыm kłusem w złocistym kurzu przejechał jakiś powozik, woźnica uśmiechnął się szeroko i odruchowo pozdrowił go kiwnięciem bata... „Czyżbym ja śnił?” - zastanawiał się nieszczęsny kapłan, a serce mu biło. Przed nim stał proboszcz z Luzarnes.

Proboszcz z Luzarnes blady, zadyszany, jękający się, ale stopniowo odzyskujący godną postawę i pewność siebie na widok nieszczęśnika, który podniósł się z wielkim trudem, starał się utrzymać na nogach - z gołą głową, siwymi włosami w nieładzie podobny do starego uczniaka.

- Nieszczęsny! - wykrzyknął przyszedłszy kanonik, gdy tylko się upewnił, że głos jego odzyskał właściwą moc - nieszczęsny! Księdza stan może budzić politowanie; współczuję mu. Ale współczuję także sobie, że uległem księdza szaleństwu, sprowadziłem na ten biedny dom jeszcze jedno nieszczęście, naraziłem na wstyd nas wszystkich - tak! - nas wszystkich tym niedorzecznym wystąpieniem... I ta ucieczka! Och, drogi bracie, zdumiewa mnie ten brak odwagi z księdza strony... Teraz zaś (podjął po chwili ciszy, podczas której wsłuchiwał się jeszcze w siebie z zamkniętymi oczyma), a teraz co ksiądz uczyni?

- A co według księdza powinienem uczynić? - odpowiedział święty z Lumbres. - Popełniłem błąd, którego wagi ledwie się domyślam. Bóg to widzi. Niewątpliwie zasługuję na księdza pogardę.

Cichutko dorzucił jeszcze parę niejasnych słów, długo się wahał, po czym pokornie, z głową zwieszoną ku ziemi, zapytał prawie niezrozumiałym głosem:

- A teraz... teraz... czy zechciałby di ksiądz powiedzieć...

czy to zmarłe dziecko, które trzymałem w ramionach...?

- Proszę nie mówić o nim! - odparł proboszcz z Luzarnes z rozmyślną brutalnością.

Ugodzony w ten sposób zadrzał, nic nie powiedział, lecz obrzucił swego sędziego jakimś dziwnym spojrzeniem.

- Niemal świętokradcza komedia, którą ksiądz odegrał

(bez złych intencji, biedny mój przyjacielu!) miała zakończenie, którego wydaje mi się ksiądz nie znać... Bądźmy poważni.

To niemożliwe, aby ksiądz nie widział ani nie słyszał...

- Słyszał... - powtórzył święty z Lumbres... - słyszał...

Co ja słyszałem?

- Co ja słyszałem! - wykrzyknął dawny nauczyciel. - Proszę mówić jaśniej! W rezultacie całkiem jest możliwe, że ksiądz nastawia uszu tylko na głosy urojone. Wprost nie chce mi się wierzyć, żeby taki człowiek jak ksiądz, sługa pokoju, mógł bez wyrzutów sumienia porzucić tak po prostu kobietę, matkę, której wstrętne scena, jaką ksiądz odegrał, omal nie zabiła *) i która teraz, w chwili, gdy tu rozmawiamy, jest zupełnie obłąkana.

*' Wiadomo, że pani Havret wróciła do zdrowia po kilku miesiącach, podczas pielgrzymki do kościoła w Lumbres.

Ciekawy jest fakt, że obok bardzo wielu niezwykłych nawróceń, jakich nie sposób już zliczyć, to cudowne uzdrowienie do dziś jest jedynym, które można przypisać wstawiennictwu księdza Donissan.

Ponieważ jednak stary kapłan patrzył z osłupieniem bez wątpienia szczerym, zniżył głos i jął mówić ze skwapliwością głupców pragnących pozbyć się jak najprędzej złej i tragicznej wiadomości.

- A zatem ksiądz o niczym nie wie! Ksiądz nie wie, że ta nieszczęsna wślizgnęła się za nim do pokoju? I co się tam działo? To powinien ksiądz wiedzieć lepiej ode mnie...

Usłyszeliśmy krzyk, wybuch śmiechu... Potem ksiądz przebiegł przez pokój jak błędny... Chciała biec za księdzem;

z trudem ją powstrzymaliśmy; okropna to była scena...

Niestety! Czemuż miałbym się dziwić, że słaba niewiasta przybita nieszczęściem dała się porwać księdza wymowie, zaraźliwemu działaniu gestów, jego podnieconej wyobraźni, skoro nawet ja... taki umysł jak mój... przed chwilą... nie byłem już pewien, co jest prawdą, co fałszem... Powtarzała ciągle: „On żyje! Żyje!... On wróci do życia...!” Chciała, żeby ktoś pobiegł, sprowadził księdza z powrotem... O Boże!

Przerywa na chwilę, by odsapnąć, i skrzyżowawszy ręce pyta:

- Takie są fakty... Co ksiądz o tym myśli?

- Jestem zgubiony - odpowiada proboszcz z Lumbres spokojnie, prostując całą swą wysoką postać.

Po czym jakby jął ściagać wzrokiem po pustym niebie swojego niewidzialnego wroga.

- Jestem zgubiony - powtórzył... - zachowałem się jak szalony... niebezpieczny wariat... Sam siebie ukarzę - tak - muszę sam siebie uczynić nieszkodliwym... Pozostaje mi tylko ta jedna nadzieja, że czas mój jest odmierzony, bardzo odmierzony... Dopiero co, przyjacielu, odczułem pierwszy atak choroby, który przypisywałem... no cóż, jakiś ból bardzo dziwny, który, czuję, będzie się wzmagał z minuty na minutę, aż mnie zabije...

Opisał mi bardzo dokładnie - relacjonuje proboszcz z Luzarnes w cytowanych już notatkach - klasyczny atak dusznicy bolesnej. Powiedziałem mu to bez ogródek. Chciałem też dorzucić parę rad (z własnego, niestety, doświadczenia, jako że moja czcigodna matka zmarła na tę groźną chorobę). On jednak kazał mi najpierw dwa razy powtórzyć ów termin angina pectoris, którego nie znał, po czy podniósł z ziemi kapelusz, otarł go rękawem i nie chcąc mnie już słuchać, oddał się wielkimi krokami...

IX

Jakaż długa jest droga powrotna, długa droga! Droga pokonanych armii, droga zmierzchu, nie prowadząca nigdzie, w bezcelowym tumanie kurzu...! Trzeba jednak iść, trzeba chodzić, dopóki bije biedne stare serce - bez potrzeby, żeby spożytkować życie - ponieważ nie ma wypoczynku, dopóki trwa dzień, dopóki okrutna gwiazda patrzy na nas swym jednym okiem sponad horyzontu. Dopóki bije biedne stare serce.

Oto pierwsze zabudowania osady, potem dróżka na skrót, między dwoma nierównymi płotami, przez łąki, wśród jabłoni, wychodząca na bramkę do cmentarza już w cieniu kościoła. A oto kościół w Lumbres, jakby cień.

Proboszcz z Lumbres wszedł przez nikogo nie widziany małymi drzwiami prosto do zakrystii. Osunął się na krzesło, wpatrzył w kamienną posadzkę, obydwoma rękami mnąc kapelusz, niezdolny jeszcze do zatrzymania na czymkolwiek swej rozproszonej pamięci, wsłuchując się tylko z nedorzeczną uwagą w miarowe pulsowanie krwi w tętnicach szyi.

Bez wątpienia nic już nie pozostało z wielkiego starca, do głębi zbuntowanego i rzucającego wyzwanie! Już ani na chwilę, do samego końca, nie znajdzie w sobie potrzebnej siły, aby zebrać wspomnienia albo je rozplatać. Już sama myśl o tak bolesnym rozważaniu wydaje mu się okropna, nie do zniesienia. Ach, oby raczej zdołał utrzymać w sobie ten stan półsnu! Wysilek był zbyt ciężki, i on spadł z nazbyt wysoka;

zwykle pokusy to tylko dziecinne mrzonki, jednostajne roztrząsanie, rozpamiętywanie, podobne do podchwytliwej gadaniny sędziego śledczego. Ale jego przesłuchiwał przecież sam dręczyciel...

Podświadomym ruchem nadal przyciska rękę do piersi, do tego miejsca, gdzie uspiiony ból zapuścił korzenie. Bardziej jednak niż strach przed ponownym konaniem, gnębi go teraz lęk przed osądem konfratrów, ich perorami, upomnieniami,

i karą arcybiskupa. Łzy nabiegają mu do oczu. Przyciąga krzesło do małego stolika i z pustką w głowie, spłoszonym sercem i grzbietem zgarbionym ze zgrozy usiłuje zapisać bardzo czytelnie, bardzo starannie dla ewentualnego dochodzenia, pięknym uczniowskim pismem ów rodzaj sprawozdania, którego parę fragmentów przytaczaliśmy powyżej.

Pisze, przekreśla, drze. W miarę jednak jak utrwała szczegóły na papierze, jego niezwykła przygoda rozprasza mu się w umyśle, zaciera. Już jej nie rozpoznaje; jakby to nie jego dotyczyło. Wysilek natomiast, jakiego dokonuje, żeby to znów uchwycić, zrywa ostatnią, słabą nić wspomnienia, i siedzi oto, łokciami wsparty o stolik, ze zmaconym wzrokiem, odrętwiały.

Ile godzin miał tak przesiedzieć patrząc niewidzącymi oczyma na wąskie zakratowane okno w grubym murze z kamienia, okno, za którym przesuwa się w słońcu kołysana wiatrem gałąź bzu, to czarna, to zielona? Kościelny, który przyszedł w południe dzwonić na Anioł Pański, zobaczył przez okienko w drzwiach jego kapelusze, leżący na ziemi, i brewiarz, z którego obrazki i zakładki rozsypały się po podłodze. O piątej uczeń z lekcji religii do Pierwszej Komunii, Sebastian Mallet, który przyszedł po zapomnianą książkę, zastał drzwi zamknięte, a ponieważ za nimi było cicho, poszedł sobie. „Nie śmiałem stukać zbyt głośno, ani wołać - wyjaśnił później - bo kościół był już pełen ludzi, więc się zląkłem, że będą mnie się dopytywali.”

Istotnie była to godzina, o której tłum pielgrzymów codziennie przywożony do Lumbres autobusem z PlessisBaugrenan, tłoczy się przy konfesjonale świętego w kaplicy

Aniołów. Tłum osobliwy, w którym widuje się zgromadzonych razem tyle postaci tragicznych albo komicznych, tyle znamienitych marionetek, które żar wielkiej duszy na chwilę wynosił nad pospolite zakłamanie i przywracał do królestwa ludzi! Tego wieczoru tłum jeszcze liczniejszy, w starym, pełnym gwaru kościele, rozstrojony czekaniem albo może podniecony mglistym przeczuciem... Ilekroć otwierały się wielkie drzwi, zaniepokojone twarze - twarze pełne napięcia, których bywalcy pielgrzymki nigdy nie zapomną - zwracały się w stronę progu, na chwilę rozjaśnione, po czym wszystkie razem znowu pograżające się w mrok. Ściszone szepty,

nerwowe, duszone ręką pokasływania, tysiące różnych drobnych odruchów zniecierpliwienia albo ciekawości zlewały się w końcu w jeden dziwny dźwięk, dający się porównać do tupotu stada podczas burzy i deszczu. Nagle ten dźwięk umilkł. Wszystko ucichło. W uroczystym milczeniu skrzypnęły drzwi od zakrystii. Ukazał się proboszcz z Lumbres.

- O Boże, jaki on blady! - rozległ się głos kobiecy gdzieś z dala, z głębi nawy. Ten okrzyk, wyraźnie usłyszany, przerwał czar. Stado odnalazło swojego pasterza i odetchnęło.

Stary kapłan już szedł powoli do swojego konfesjonału, z głową lekko pochyloną na prawe ramię, ręką nadal przyciśniętą do serca. Przy pierwszych krokach myślał, że upadnie.

Ale tłum zafalował i tym ruchem jakby doniósł go do celu;

zaraz też zamknął się wokół niego. Jeszcze raz stał się oto ich łupem.

Już im się nie wymknie. Stoi w gęstym mroku, wysoka postać przegięta we dwoje, karkiem oparty o dębowy daszek, nie może złapać tchu. Wydaje cierpieniu swoje ciało bezwładne, poniżone, swoją powłokę. Jego nedorzeczna cierpliwość mogłaby znużyć i samego oprawcę.

Któż jednak zdołałby znużyć tego, kto, sam niewidzialny, przygląda się i syci jego konaniem? Nieszczęsny starzec, przez chwilę zbuntowany i niemal zwycięski, musi tedy do końca odczuwać tę siłę, której rzucał wyzwanie... Oto jednak poprzez dojmujący ból stopniowo powraca doń świadomość, zaczyna słuchać... Słucha szeptu wkrótce już wyrażniej szego...

monotonnego... nieubłaganego. Poznaje go... To oni. Jedno po drugim, kobiety i mężczyźni, podchodzą wszyscy, czuje, jak napływa ku niemu ich oddech mniej obrzydliwy niż te słowa nieczyste, posępne wyliczanie grzechów... słowa zbrukane od wieków, nikczemnie wytarte przez użytek, przechodzące z ust ojców do ust synów, podobne do najbardziej czytanych stronic plugawej książki, noszących na sobie znak występku - wciąż ponawiany - brud tysięcy palców. Płynie i płynie ta mowa; powoli zalewa świętego z Lumbres, który jeszcze stoi. Jakże oni się spieszą! Jak się uwijają! Jak cisną się wokół Człowieka bezbronnego, jak wypluwają na Święte

Oblicze to, co ich dławi...! Lecz niechaj tylko nabiorą znów tchu - och, zobaczycie te potworne dzieciaki - jak będą węszyć, szukać wargami ohydneho cycka nabrzmiałego ukochaną

trucizną, którą im Szatan wyciska...! Do samej śmierci podnoś tedy rękę, przebaczaj, rozgrzeszaj, człowieku Krzyża, już z góry pokonany.

Słucha, odpowiada jak we śnie, ale z najgłębszą przenikliwością. Nigdy umysł jego nie był tak swobodny, sąd bardziej bystry, precyzyjny, gdy tymczasem ciało całą swą czujność skupiło na wzmagającym się cierpieniu, na tym jednym miejscu, skąd przesywający ból promieniuje, wypuszcza we wszystkie strony swoje niezwykle rozgałęzienia albo przebiega pod splotami nerwów niby ruchliwe metalowe czółenka.

Ten ból tak daleko wdarł się już w niego, że zdołał jakby rozłączyć ciało od ducha, jednego człowieka podzielić na dwie części... Konający święty z Lumbres ma do czynienia jedynie z duszami... Widzi je owym spojrzeniem, na które opadła już powieka - tylko dusze... Przylepiony do szemrzącej drewnianej ścianki, grzbietem boleśnie przywarły do oparcia ławy, na której boi się sięść, otwartymi ustami chwytając ciężkie powietrze, ociekając potem, słyszy już tylko ów szept ledwie uchwytny, pełen wstydu głos swoich klęczących synów.

O, czy mówią oni, czy milczą, wielka niecierpliwa dusza ubiegła już wyznania, rozkazuje, grozi, błaga! Człowiek

Krzyża nie jest tu po to, żeby zwyciężać, ale by do samej śmierci świadczyć o okrutnej przebiegłości, o potędze niesprawiedliwej i nikczemnej, o niesłusznym wyroku, od którego odwołuje się do Boga. Popatrz na te dzieci, Panie Boże, na ich słabość, tę ich próżność taką lekką i porywczą jak pszczoła, ich ciekawość zmienną, ich rozum ograniczony, prymitywny, ich zmysłowość przepojoną smutkiem... posłuchaj ich mowy zwodniczej i przewrotnej zarazem, obejmującej jedynie zarysy spraw, bogatej tylko w dwuznaczniki, dość stanowczej, kiedy przeczy, zawsze tchórzliwej, kiedy ma coś stwierdzać, mowy niewolnika albo wyzwolenca, stworzonej do zuchwalstwa i do pieszczoty, giętkiej, podstępnej, wiarołomnej. Pater, dimitte

Mis, non enim sciunt quid facient...

- Niestety! - zawołał proboszcz z Luzarnes - dość drogo zapłaciłem ongiś za moje doświadczenie! Mój nieszczęsny konfrater omal nie umarł przy mnie (na atak anginy pectoris), a przekona się pan wkrótce...

Mówiąc to maszerował wielkimi krokami po drodze do

Lumbres, a za nim dreptał młody lekarz z Chavranches. Ten młodociany jeszcze medyk, przybyły zaledwie przed paru miesiącami, cieszył się renomą w swoim zawodzie, trochę przekraczającą zasługi. Tupet jego gadulstwa, studencka brawura, zwłaszcza zaś lekki stosunek do pacjentów, zyskały mu wszystkie serca. Nie było jednej mieszczki, która by nie marzyła, żeby te aroganckie usta oświadczyły się o jej córeczkę, i o pomocy tych dwu biegłych w swoim zawodzie rąk, umięjących podobnie jak sławetna lanca ulecząć rany, które same zadają. Nie było konającego, który nie pragnąłby na śmiertelnym łożu usłyszeć owych

słówek pocieszenia, zabarwionych mezza voce jakimś pieprznym a krwiożerczym dowcipem. Gdyż młodzieniec nie liczy nawet tych, którzy dzięki jego opiece - używając jego języka - odjechali na wesoło w zaświaty.

- Mój Boże! to bardzo możliwe, proszę księdza - odpowiedział pojednawczym tonem.

Wezwany pospiesznie za radą proboszcza z Luzarnes, zastał gospodynię z Plouy w ostrym ataku szału, który minął dopiero wskutek wyczerpania. Ale pod wieczór, kiedy chory zasnął, dawny nauczyciel chemii zawołał:

- Drogi doktorze, chcę pana o coś prosić, jak o osobistą przysługę: powiada pan, że samochód przyjedzie tu po pana około siódmej? Jest dopiero piąta. Proszę pójść ze mną wolnym krokiem do Lumbres. Gdy już dojdziemy, będzie

można zatelefonować do pańskiego szofera z Chavranches, i tam po pana przyjedzie. A przez ten czas zbada pan dokładnie mojego biednego konfratra, a ja poznam pańskie orzeczenie.

- Zna je ksiądz od dawna! - odparł młody medyk z odcieniem humoru. - Mało treściwe pożywienie, brak ruchu, przebywanie w zmurszałej plebanii, wilgotny kościół, konfesjonał bez światła i powietrza, higiena z trzynastego wieku, słowo daję...! Niezależnie od anginy pectoris to przecież wystarcza, żeby wykończyć organizm już i tak przemęczony.

Ale cóż niby ja mogę tu pomóc?

- Ja mam swoje obowiązki, pan doktor swoje - odparł proboszcz z godnością. - Nasza racja bytu polega na miłosierdziu wobec słabych, humanitaryzmie. Że mój biedny kolega jest taki czy inny, cóż to pana obchodzi? Jeśli zaś to, co pan mówi, jest prawdą, mielibyśmy do czynienia z jednym z owych przypadków choroby zawodowej, zasługującej na uwagę badacza i opiekę lekarza...

- Dobrze! Dobrze! Pójdę... - zgodził się doktor z Chavranches. - Zwłaszcza że przyjemnie jest porozmawiać z takim kapłanem, jak ksiądz proboszcz - dorzucił.

Tak tedy postanowili odbyć razem - i w dość podobnych nastrojach - pielgrzymkę do Lumbres. Gdy wchodzili do wsi, zaczął padać drobny deszcz; pod ich nogami biała droga nabierała koloru ochry; nad głowami unosiła się mgła mająca smak bluszczu. Wyraźnie przyspieszyli kroku. Trawa na cmentarzu ociekała wodą; bezustannie otwierana i zamykana furtka skrzypiała żałośnie, a szary kamień wysokiej kruchty chłostany ulewą w falującym mroku zdawał się wydymać i łopotać jak żagiel... Razem weszli do niemal opustoszałego już kościoła.

Tutaj ksiądz proboszcz z Luzarnes, kładąc po ojcowski rękę na ramieniu towarzysza, powiedział cicho:

- Panie doktorze Gambillet, chętnie oszczędziłbym panu tej wizyty w świątyni, może dla pana krępującej, ale czy nie lepiej poczekać tutaj niż w pokoju na plebanii, zimnym i pustym jak rozmównica u sióstr klarysek? Zresztą tłum się już szczęśliwie przerzedził. Przy konfesjonale nie ma chyba

nikogo, jeśli więc mój czcigodny konfrater wypoczywa chwilę w zakrystii, mam nadzieję, że nie będzie robił trudności i pójdzie z nami do domu.

Co powiedziawszy, zniknął. Młody przybysz z Chavranches, nadal stojąc bez ruchu przy kropielnicy, przez chwilę słyszał już tylko echo jego dalekiego głosu, trzaśnięcie jakichś drzwi, szuranie ciężkich butów po kamiennych płytach. Przed nim kolejno, niemal się on ocierając, przechodziły drobnym kroczkiem zapóźnione dewotki, przelotnie przesuając dłonią po brzegu marmurowej misy i obrzucając go spojrzeniem poważnych oczu. Wreszcie pojawił się proboszcz z Luzames.

- Bardzo dziwne! - powiedział. - Mój konfrater wyszedł widać z kościoła; nie możemy go tu znaleźć. Jak mi zresztą powiedziano, spowiedzi skończyły się przed co najmniej czterdziestoma minutami... Trzeba się z tym pogodzić, panie Gambillet... Przez drzwi cmentarza pewno wrócił już do domu... Niech się pan zdobędzie na ostatni mały wysiłek - dodał owym przyjaznym tonem, któremu się niczego nie odmawia.

- A cóż mi szkodzi? - odparł uprzejmie doktor z Chavranches. - Wóz przyjedzie tu po mnie około godziny dziewiętnastej; mam czas... Ale jak na umierającego, księdza przyjaciela całkiem jest żwawy...

Zamiast dokończyć swą myśl, gwizdnął z roztargnieniem.

Skoro bowiem postanowił czekać cierpliwie, z męskim zdecydowaniem momentu, kiedy zacznie on z kolei odgrywać pierwszoplanową rolę, uważałby za niegodne okazywanie wzruszenia. Tak właśnie wirtuoz, nim olśni uniesione zachwytem audytorium, wysącza do ostatniej kropli kielich lodowatego szampana, potem zaś odstawia go powoli i ręka mu nie zdrży.

Daremnie jednak wypytywali starą Martę w rozmównicy z dwoma wypchanymi bekasami; nie widziała swojego pana i nie spodziewała się go tak wcześnie.

- Biedny kochany człowiek zawsze jada o niemożliwych godzinach i niejedną noc kaluteńką noc kłęczy na kamiennej posadzce w kaplicy Świętych Aniołów! Jest tam jeszcze, na pewno, tak jak tu panów widzę. Znajdziecie go niechybnie w takiej wnęce muru, za stołem z naczyniem mszalnym, to

jego ulubiony kąs, czuje się tam samotny, jakby był w środku lasu koło Bargemont...

- Władysławie! - zwróciła się do kościelnego, który stanął właśnie w progu z naręczem bielizny - czyś go widział, jak obchodził kościół?

Lecz pocziwiec potrząsnął głową.

- Zamyka się drzwi kościoła o szóstej, a Władysław otwiera je dopiero o dziewiątej - wyjaśniła - na pacierze wieczorne i Adorację. Ksiądz proboszcz zachowuje sobie ten czas, żeby trochę tam uporządkować, uładzić wszystko po swojemu... No bo jak! Uzyskał od Jego Eminencji pozwolenie na wystawianie Najświętszego Sakramentu przez całą noc...!

- Dasz tym panom klucze? - zapytała Władysława trochę niepewnie.

- Wolę ich sam zaprowadzić - odparł burkliwie kościelny. - Koniec końców mam swoje nakazy, nie, matko?

Tylko przegryzę kawałek chleba i łyknę trochę wina.

Za jego plecami kobiecina potrząsnęła czepeczkiem.

- Tego się i spodziewałam, proszę panów - rzekła. - Ale nie potrwa to długo, bo prawie nic nie jada. Łatwy on nie jest, ale złości nie ma w nim więcej jak w dziecku.

- Zaczekamy więc na niego - powiedział proboszcz z Luzarnes z urażoną miną, spoglądając pytająco na towarzysza.

- A... a ja chciałam jeszcze coś powiedzieć - podjęła stara

Marta odchrząknąwszy, by sobie oczyścić głos. - W pokoju obok (tym, co go nasz święty Pański nazywa swoją kapliczką, ze względu na to, że tutaj też spowiada) jest jakiś wielki pan, przyjechał z daleka zupełnie specjalnie do naszego proboszcza, stary pan z Legią Honorową, bardzo elegancki, słowo daję, bardzo grzeczny, i pewno czas już mu się dłuży.

Doktor z Chavranches machnął rękoma gestem, odsyłającym do diabła starego pana i jego krzyż honorowy.

- Jakiś emerytowany generał...? - rzucił dawny nauczyciel chemii z porozumiewawczym uśmieszkiem.

- Jego wizytówka leży na stole, o tu, przed panami - powiedziała zawiedziona. - Ale oczy ma takie łagodne, serdeczne. Nie, to nie jest wojskowy!

Gambillet już miał przed nosem prostokątny kartonik; poczerwieniał jak dziecko.

- Och, to zmienia sytuację! - rzekł tonem eksperta.

Podał bilet proboszczowi z Luzarnes, który aż się zachwiał.

- Antoni SaintMarin - bąknął przyszyły kanonik wilgotnymi wargami.

- Akademia Francuska - dopowiedział tamten jak echo.

Młody medyk przybrał odpowiednią pozę i zdawał się przez chwilę czegoś szukać: jednego z owych słów pompatycznych, które się wymawia przez nos na modłę Frederica Lemaitre...

- Proszę nas wprowadzić! - rzekł wreszcie.

XI

Sławny starzec od pół wieku piastuje prymat w ironii.

Chełpi się, że dla jego talentu nie ma nic świętego, lecz należy on do najbardziej swojskich i potulnych. Jeśli udaje zawstydzenie lub złość, szydzi albo grozi, czyni to, aby się bardziej przypodobać swoim panom i niczym uległa niewolnica na przemian kąsać lub pieścić. W jego przewrotnych ustach słowa najbardziej jednoznaczne stają się obłudne, nawet sama prawda jest służalcza. Ciekawość, której ostrza nie przytępiły lata i która jest niejako cnotą starego kuglarza, kusi go do ciągłej samoodnowy, przetwarzania siebie przed zwierciadłem. Każda z jego książek to kamień drogowy, przy którym czeka na przechodnia. Podobnie jak dziewczyna wykształcona i ogładzona przez gorzkie doświadczenia występku, wie on, że sposób, w jaki się daje, znaczy więcej, niż to, co się daje, i w swojej pasji przeczenia samemu sobie i wypierania się siebie potrafi w końcu za każdym razem ukazywać czytelnikom zupełnie nowego człowieka.

Otaczący go młodzi językoznawcy wynoszą pod niebiosa jego wymyślną prostotę, zdania równie przewrotne jak pierwsza naiwna z teatru, meandry dialektyki, ogrom wiedzy. Rasa bez kośćca, z lodem zamiast serca, uznaje go za swojego mistrza.

Napawają się niczym zwycięstwem odniesionym nad ludźmi, widokiem niemocy, która przynajmniej szydzi z tego, czego nie może ogarnąć, i domagają się udziału w bezpłodnych pieszczotach. Żadna myśląca istota nie pohańbiła większej ilości idei, nie zmarnowała więcej szacownych słów, nie obdarowała prostaków bogatszym łupem. Z jednej stronicy na drugą prawda, którą najpierw głosi z miną wolnomyśliciela, zdradzona, wydrwiona, wykpiąca, ukazuje się w końcowym zdaniu, po ostatnim piruecie całkiem naga, taką trzyma ją na kolanach zwycięski Sganarelle... I już małe grono, wkrótce powiększające się o szersze kręgi oszołomionych entuzjastów,

wita z powściągliwym uśmiechem nowy psikus blisko stuletniego urwisa.

- Jestem ostatnim Grekiem - mawia o sobie z szczególnym grymasem ust. I natychmiast ze dwudziestu głupków, wiedzących o Homerze tyle, ile pospiesznie zdołali przeczytać na marginesie pana Jules'a Lemaitre, sławi ów nowy cud cywilizacji śródziemnomorskiej i pędzi przeraźliwymi krzykami budzić osłupiałe Muzy. Albowiem kokieteria obrzydliwego starca i jego najbardziej cyniczny wdzięk polegają na tym, że udaje,

iz oczekuje chwały na kolanach wyniosłej bogini, przytulony do cnotliwego pasa, po którym błędą jego starcze dłonie... Dziwaczne, przerażające niemowlę!

Od dawna już zamierzał odwiedzić Lumbres i jego adepci nie kryli przed profanami, że pojedzie tam z zamysłem napisania nowej książki. „Okoliczności życia - zwierzał się swemu otoczeniu tonem aroganckopoufałym, jakim we własnym mniemaniu rozdaje skarby bulwarowego sceptycyzmu, w jego wypadku zwanego antyczną mądrością - okoliczności życia pozwoliły mi zbliżyć się do niejednego świętego, jeśli zechcemy określić tym mianem owych ludzi czystych obyczajów i prostego ducha, których królestwo nie jest z tego świata i którzy, jak zresztą wszyscy, żywią się chlebem złudzeń, z wyjątkowym jednak apetytem. Wszelako żyją oni i umierają rozpoznani przez niewielu ludzi, a ich szaleństwo zaraża w nie nazbyt długim promieniu. Oby zostało mi wybaczone, że tak późno powracam do marzeń z dzieciństwa. Chciałbym na własne oczy zobaczyć innego świętego, prawdziwego świętego, świętego czyniącego cuda, co tu mówić, świętego z ludu.

Kto wie, może pojedę do Lumbres, ażeby tam dokonać żywota na rękach dobrotliwego starca?”

Ta wypowiedź oraz inne jeszcze przez długi czas uchodziły za miłe zachcianki, aczkolwiek z trochę śmiesznym zawstydzeniem dawały wyraz szczeremu uczuciu, niskiemu, lecz bardzo ludzkemu, ohydному lękowi przed śmiercią. Znakomity pisarz na swoje nieszczęście nie jest miernotą, a tylko nikczemnikiem. Jego silna osobowość zduszona boleśnie w książkach wyzwała się w występku. Daremnie usiłuje wzmagając sceptycyzm i drwiny skryć przed wszystkimi odrażającą tajemnicę, która niekiedy przecieka przez słowa

podobnie jak ropa z wrzodu przez gazę i jedwab. W miarę jak się posuwa w latach, nieszczęśnik czuje się coraz bardziej osaczony, niewolony w swoim kłamstwie, z dnia na dzień coraz mniej zdolny do oszukiwania zakąskami i drobnostkami swej wzrastającej żarłoczności. Nie potrafiąc się opanować, świadomy odrazy, jaką budzi, znajdując tylko dzięki przemyślności i pomysłowości rzadkie okazje do zaspokojenia, rzuca się łapczywie na wszystko, co się pojawi w zasięgu jego dążeń, potem zaś, gdy już misa próżna, płacze ze wstydu. Myśl o przeszkodzie, jaką przyjdzie pokonać, i opóźnieniu, jakiego wymaga choćby skrócona komedia uwodzenia; lęk przed zawsze możliwym fizycznym załamaniem; kaprysy własnych nieposkromionych głodów - wszystko to z góry zniechęca go do niespodziewanych przygód. Gosposie, które ongiś utrzymywał z pewnym komfortem, zastąpiły dziś wiejskie dziewczuchy i pokojówki, istne satrapy domowe. Stara się, jak może, usprawiedliwiać ich poufale zwroty, odgrywa pożałowania godną dobroduszość, odwraca uwagę fałszywie

brzmiącym śmiechem, a jednocześnie ukradkiem ściga wzrokiem spódniczkę, na której za chwilę będzie tarzał swoją siwą głowę.

Niestety jednak ta posępna rozpusta wyczerpuje go nie dając nasycenia; nie wyobraża sobie, by można stoczyć się niżej, dochodzi do dna dziwnego piekła. Po napadzie pożądania, jak nigdy dotąd ostrego i natarczywego, przychodzi rozkosz zbyt krótka, przelotna, niepewna. Nadszedł czas, kiedy potrzeba żyje dłużej niż oskoma, ostatnia to zagadka cielesnego sfinksa... (Wtedy właśnie pomiędzy stare apatyczne ciało i rozkosz daremnie ponaglaną wśliznęła się śmierć jakby trzeci towarzysz.)

Tej, którą tylokrotnie pieścił w swoich książkach i sądził, że już wyczerpał jej słodycz, śmierci - wszędzie zresztą dostrzegalnej poprzez jego zimną drwinę niczym twarz pod jasną a głęboką wodą - choć stokrotnie o niej marzył, delektował się nią, teraz oto nie rozpoznał. Obecnie widział ją z nazbyt bliska, twarzą w twarz. Wybrał sobie wizję starości powolnej, po łagodnej, ukwieconej równi pochyłej, starości, która zasypia zadowolona, postawiwszy ostatni krok... Lecz wcale się nie spodziewał takiego zaskoczenia w biały dzień, napaści...

Jakże to? już...!

Usiłuje odpędzić tę myśl, lub choćby ją przesłonić; w tej żalostnej zabawie trwoni ogromne zasoby sił. Zaledwie najbliższym ośmiela się napomknąć coś o swojej trwodze, oni zaś pojmują go w połowie; nikt nie chce widzieć w oczach wielkiego człowieka tragicznego spojrzenia, w którym maluje się dziecinne przerażenie. „Ratunku” - mówi ten wzrok.

A ci, co go słuchają, wołają: „Jakież wspaniały gawędziarz!”

XII

Pan Gambillet podszedł do sławnego autora Wielkanocnej świecy i sam mu się przedstawił dość dowcipnie, jako że posiadał pewną dozę bystrości i umiejętność stosownego zachowania. Po czym zwracając się do towarzysza i jemu oddając głos powiedział:

- Ksiądz proboszcz z Luzarnes jest bardziej niż ja powołany do powitania pana w cudownych okolicach Lumbres, o dwa kroki od kościółka, który tu pana przyciągnął.

Antoni SaintMarin pochylił ku księdzu Sabiroux swoją długą bladą twarz mierząc go od stóp do głów znudzonym wejrzeniem.

- Drogi i znakomity mistrzu - powiedział wówczas tenże spokojnym, opanowanym głosem - nigdy nie spodziewałem się, że będę miał okazję pana poznać. Służba, jaką pełnię w tych zapadłych wioskach, skazuje nas na dożywotnie odcięcie od świata, i to jest wielkie nieszczęście, że duchowieństwo Francji musi żyć na uboczu, z dala od elity umysłowej kraju. Niechże będzie chociaż wolno jednemu z najskromniejszych jego przedstawicieli...

SaintMarin machnął z góry na dół smukłą bladą dłonią, uwiecznioną na obrazie Colodiusa Nyvelin.

- Elita umysłowa kraju, proszę księdza, to bardzo hałaśliwe i bardzo niesympatyczne towarzystwo, które radziłbym trzymać raczej z dala od waszych plebanii. A jeśli chodzi o odcięcie od świata - dodał z uśmiechem - obym to ja został ongiś na nie skazany, tak jak ksiądz!

Dawny nauczyciel chemii, przez chwilę stropiony, postanowił uśmiechnąć się także. Ale młody lekarz z Chavranches, już całkiem swobodny, przerwał:

- Dobrze, dobrze, proszę księdza, ale przypomina ksiądz proboszcz burmistrza witającego króla przy wjeździe do swego zacnego miasta. Znakomity mistrz nie po to przebył sto mil,

- Pod słońcem...

żeby wysłuchiwać pochwał. Czyż wolno mi jednak wyznać, proszę pana - skłonił się w stronę SaintMarina - że jestem gotów popełnić poważniejszy nietakt?

- Proszę śmiało - odparł powieściopisarz łagodnie.

- Chciałbym zapytać tylko, co skłoniło...

- Ani słowa więcej, jeśli zależy panu na moim szacunku! - wykrzyknął autor Wielkanocnej świecy. - Domyślam się, że chciałby pan znać powód, jaki mnie skłonił do wyruszenia w tę małą podróż? Otóż, chwała Bogu, wiem o tym nie więcej niż pan. Praca twórcza, młody człowieku, jest najnudniejsza i najbardziej niewdzięczna ze wszystkich;

układanie książek już mi zupełnie wystarcza, nie układam swojego życia. Ta strona jest jeszcze nie zapisana.

- Mam jednak nadzieję, że pan ją zapisze - westchnął proboszcz z Luzarnes - i ośmielam się powiedzieć, że się nam należy...

Zawsze trochę roztargniony wzrok znamienitego mistrza padł z góry na obłudnego a natrętnego petenta i musnął go bez zatrzymania. Po czym zapytał ze zmrużonymi oczami:

- A zatem czekamy wszyscy trzej na łaskawość świętego...?

- Najpierw na klucze do świątyni - zauważył swawolny młodzian z Chavranches - i na łaskawość kościelnego Władysława...

- Jak to? - zaciekawił się SaintMarin, nie racząc zauważyć ruchu proboszcza z Luzarnes, który chciał coś powiedzieć.

Lecz Gambillet go ubiegł i po swojemu opowiedział wydarzenia dnia, przy czym ze dwadzieścia razy jego naburmuszony towarzysz chciał go poprawić, lecz niezmiennie lekko

zniecierpliwiony gest słynnego mistrza wtrącał go na powrót w nicość. Kiedy już wszystkiego wysłuchał:

- Słowo daję, drogi panie - powiedział powieściopisarz - nie spodziewałem się tyle po dniu tak źle rozpoczętym. Och, orzeźwiająca niespodzianko, jaką daje trochę rzeczy nadprzyrodzonych i cudownych!

- Nadprzyrodzonych i cudownych? - zaproponował poważnym głosem proboszcz z Luzarnes.

- A czemuż by nie? - spytał szorstko SaintMarin, zwracając się całą postacią ku nieszkodliwemu przeciwnikowi.

(Choć wielki człowiek upadł już tak nisko, naga głupota zawsze go zawstydzą. Lecz nade wszystko boi się ujrzenia własnego obrazu w cudzej bezmyślności lub tchórzostwie, niby w tragicznym zwierciadle.)

- Czemuż by nie? - powtórzył, raczej cedząc niż sylabizując słowa przez swe długie, ciasno zrośnięte zęby. - Wszyscy z nadzieją oczekujemy cudu, a smutny świat przyzywa go wraz z nami. Dzisiaj czy za tysiąc wieków, co to za różnica, skoro jakieś wyzwolicielskie wydarzenie ma kiedyś uczynić wyłom w mechanizmie wszechświata? Z takim samym powodzeniem mogę oczekiwać go jutro i zasnąć zadowolony.

Jakim prawem bestia techniki miałaby mnie rozbudzać z mojego marzenia? Nadprzyrodzony i cudowny, to przymiotniki pełne treści, proszę księdza, i każdy uczciwy człowiek wymawia je z zazdrością...

Proboszcz z Luzarnes, jak sam wyznaje, nigdy nie czuł się bardziej niesprawiedliwie upokorzony. „Pan SaintMarin - zwierzał się później swemu przyjacielowi, doktorowi

Gambillet - wydał mi się bardziej poetą niż filozofem i człowiekiem skłonny do dowolnie tłumaczyć sobie cudze słowa. Ale jakież miał powód, żeby się rozżłościć?”

I sam autor Wielkanocnej świecy byłby mocno zakłopotany, gdyby musiał to wyjaśnić. Gdyż instynktownie nienawidzi on tego, co do niego podobne, i sam się przed sobą nie przyznając delectuje się gorzkim upojeniem gardzenia sobą w innych ludziach. Lepiej niż ktokolwiek inny wie, jak słaba i wątła istnieje różnica między człowiekiem, który tylko zawodowo wykorzystuje umysł, a durniem, i w pewnego typu elokwentnych głuptakach stary cynik z wściekłością wietrzy osobnika z tego samego miotu.

- Jeżeli nie widział pan pustelnika - odezwał się doktor z Chavranches, ażeby przerwać kłopotliwe milczenie - czy obejrzał pan chociaż pustelnię? Co za dziwaczny dom! Jakaż samotnia!

- Przed chwilą byłem pod jego urokiem - odparł Saint-

- Marin. - W życiu nie ma nic doprawdy cennego poza tym, co rzadkie i osobliwe, chwilą oczekiwania i przeczuć. Tu właśnie to przeżyłem...

Pan Gambillet pokiwał głową wyrażając uznanie ostrożnym uśmiechem. A wielki starzec podszedł do okna i zaczął

wodzić swymi długimi palcami po szybach. W świetle lampy jego cień tańczył po ścianie, na przemian to się wydłużając, to skracając. Na dworze oczy rozróżniały tylko białawą plamę drogi. W głębokiej ciszy lekarz z Chavranches słyszał zgrzyt paznokci po gładkim szkle.

Głos SaintMarina rozległ się tak nagle, że aż podskoczył:

- Ten piekielny kościelny chce, żebyśmy tu pomarli z melancholii. Osioł ze mnie, że czekam tu i ziewam, kiedy mam przed sobą jeszcze cały dzień. Bo wyjadę z Lumbres dopiero jutro. A w ogóle, słowo daję! Jestem dziwnie rozbity.

- Co więcej, jeśli przypuszczenia księdza Sabiroux są choć trochę uzasadnione - wtrącił pan Gambillet - jego biedny konfrater nie będzie w stanie rozmawiać z panem dziś wieczór.

- Na razie zresztą - odpowiedział słynny pisarz - dość będzie poznać tę wiejską plebanię: miejsce jedyne w swoim rodzaju.

(Ogarnął pokój o czterech nagich ścianach gestem pełnym czułości, jakby pokazywał zbieraczowi jakiś niezwykle rzadki drobiazg, mający go skusić.)

To niewyszukane zdanie spłynęło na miłość własną proboszcza z Luzarnes jak balsam, nigdy żaden prostoduszny głupty, który przypadkiem wyuczył się lekcji, nie podniósł chyba na nauczyciela spojrzenia bardziej wymownego i serdecznego.

- Muszę jednak zwrócić uwagę - powiedział - że ta salka niesłusznie określana jest mianem kapliczki: mój czcigodny konfrater rzadko tu przebywa. Prawdę mówiąc prawie nie opuszcza swojego pokoju.

- Ooo? - zaciekawiał się autor Wielkanocnej świecy.

- Z radością tam panów zaprowadzę - podchwycił skwapliwie przyszły kanonik. - Jestem pewien, że ksiądz proboszcz z Lumbres chętnie okazałby panu tę uprzejmość, więc ja tylko wykonam jego zamiśl.

Wziął lampę, podniósł ją nad głowę, po czym, odczekawszy chwilę, już z ręką na klamce powiedział:

- Panowie pozwolą za mną.

Na pierwszym piętrze proboszcz z Luzarnes wskazał uchylone drzwi przy końcu długiego korytarza i rzekł:

- Proszę wybaczyć, że wejść pierwszy.

Weszli za nim. Lampa w wyciągniętej ręce oświetlała długą wybieloną mansardę, która na pierwszy rzut oka zdawała się zupełnie pusta. Sosnowa podłoga, niedawno wyszorowana, jeszcze mocno pachniała. Ukazało się parę mebli bezpretensjonalnie stojących pod ścianą, ujawnionych najpierw przez swoje cienie: dwa wyplatane krzesła, klęcznik, mały stolik zarzucony książkami...

- Przypomina to pierwszą lepszą mansardę ubogiego studenta - powiedział SaintMarin rozczarowany.

Ale niestrudzony przyszły kanonik pociągnął ich dalej, zniżając ku ziemi kopnącą lampę.

- Oto jego łóżko - rzekł ten niezrównany człowiek jak gdyby z dumą.

Swawolny młodzian z Chavranches i pisarz, obaj przecież dostatecznie cyniczni, wymienili ponad jego szerokimi plecami zakłopotane uśmiechy. Śmiesznie wąski i krótki siennik, przykryty stosem łachmanów, już sam w sobie przedstawiał widok dość żałosny. Wszelako SaintMarin ledwie go zauważył; wpatrywał się w dwa rozdzielone pozieleniałe od starości buciory, z których jeden stał pociesznie wyprężony, drugi, przewrócony, odsłaniał zardzewiałe gwoździe, wydętą skórę, oddarty brzeg zelówki - dwa biedne stare trzewiki beżmiernie utrudzone, bardziej nieszczęsne niż ludzie.

- Co za obraz! - powiedział cicho. - Co za cudaczny i wspaniały obraz!

Myślał o powtarzającym się wciąż dokoła uciekaniu wszelkiego ludzkiego życia, o drodze daremnie przebytej, ostatnim fałszywym kroku. Czegóż przybył szukać tu, daleko, ten wielkoduszny tułacz? Tego samego, na co sam czekał pośród bliskich sobie przedmiotów, swoich drogich sztychów, książek, swoich kochanek i pochlebców, w pałacyku przy rue de

Verneuil, gdzie umarła pani de Janze. Patriarcha nicości nigdy, nawet w najlepszych swoich momentach, nie wznosił się ponad liryczny przesyt życiem, ujmujący nihilizm. A przecież gardło mu się ścisnęło, jego cenne serce zabiło szybciej.

I nagle zaczął mówić z wylaniem:

- Jesteśmy tu, w miejscu uświęconym, równie godnym czci jak świątynia. Jeżeli szeroki świat jest zamkniętym polem zmagania, winno się upamiętniać miejsca, gdzie dokonywany był ogromny wysiłek, wystawiana na próbę najbardziej sz-

leńcza nadzieja. Starożytni traktowaliby zapewne naszego świętego z Lumbres pogardliwie; ale długotrwałe doświadczanie nieszczęść sprawiło, że my jesteśmy bardziej pobłażliwi dla tego rodzaju mądrości, trochę barbarzyńskiej, która w samym zrywie do działania upatruje swoją rację bytu i wynagrodzenie. Znacznie jest mniejsza, niż się

przypuszcza, różnica pomiędzy tym, kto wszystko pragnie objąć, a tym, kto wszystko odtrąca. Istnieje pewna pierwotna wielkość, której nie znała mądrość starożytna...

Piękny, poważny głos znakomitego pisarza jak gdyby zawisł na ostatniej sylabie, gdy tymczasem wzrok utkwiał w rogu ściany, na który gorliwy Sabiroux skierował właśnie światło lampy. W rodzaju wnęki, utworzonej przez zewnętrzne załamanie dachu, na niedbale przybitej deseczce wisiał metalowy krzyż. Pod nim, rzucony w najciemniejszy kąt, leżał na podłodze zwinięty rzemień, jaki w gwarze pastuchów zwie się „coutelas”, cienki na końcu, przy nasadzie szeroki na trzy palce, podobny do płaskiego czarnego węża.

Ani jednak krzyż, ani bat nie zatrzymały na sobie wzroku mistrza. Zatrzymuje go dziwaczne jakieś ochłapanie na wysokości człowieka, pokrywające całą niemal część ściany, złożone z tysiąca małych plamek, tak zagęszczonych ku środkowi, że tworzyły już jednolitą powierzchnię barwy wyblakłorudej, niektóre świeższe jeszcze jaskraworóżowe, inne ledwie widoczne na warstwie wapna, jakby wchłonięte, wyschnięte, nieokreślonego koloru. Krzyż, rzemieńny bat, poczerwieniała ściana... „Ta pierwotna wielkość, której mądrość starożytna...” Znamienity muzyk nie miał odwagi uderzyć ostatniego akordu i nagle urwał pieśń.

Znieruchomiały Gambillet parę razy bąknął coś pod wąsem o szaleństwie mistycznym, zerkając spod oka na milczącego SaintMarina. Czarujący powiernik elity towarzyskiej Chavranches, umiejący tak sprawnie osłaniać prześcieradłem żalosne nagości i często się chępiący, że potrafi wszystko oglądać i wszystkiego wysłuchać z miedzianym czołem, poczuł, jak później wyznał, ciarki na skórze. Najbardziej nawet gruboskórni nie mogą bez wzburzenia patrzeć, gdy ludzie wdzierają się na ich oczach w skromne tajemnice wielkiej miłości, tę część, należącą wyłącznie do biedaka, jego jedyny skarb, który zabiera z sobą.

Ksiądz proboszcz z Luzarnes odwrócił lampę i powiedział zaraz zupełnie naturalnym głosem:

- Mój czcigodny przyjaciel, proszę panów, zńęca się nad sobą i poważnie naraża tym swoje zdrowie! Boże uchwaj, abym miał potępiać jego gorliwość! Muszę jednak powiedzieć, że tego rodzaju rękoczyny w stosunku do samego siebie, nie zalecane, a jedynie tolerowane, bywały niekiedy uznawane za niebezpieczny środek samouświęcania, i nader też często za zgorzenie dla słabych lub pośmiewisko dla bezbożnych...

Dawny nauczyciel poparł te ostatnie słowa właściwym sobie gestem, złączył kciuk z palcem wskazującym i podniósł do góry mały palec z miną człowieka, który wyjaśnia pewną kwestię sporną. Zakłopotanie lekarza i milczenie tamtego wydały się mu pochlebnym raczej dowodem ich przychylniej uwagi. Podkreślił to uśmiechem, po czym wyszedł zadowolony, gdyż przeciętny ksiądz jest bardziej od kogokolwiek nieprzenikniony.

„Jakiż ten wielki człowiek nerwowy” - myślał Gambillet idąc za SaintMarinem, deptając mu niemal po piętach i z zaciekawieniem patrząc na jego smukłą, jakby z kości słoniowej dłoń zaciśniętą na lasce, którą od czasu do czasu stukał lekko w podłogę... Istotnie od paru chwil autor

Wielkanocnej świecy dokonywał prawie bohaterskiego wysiłku, by ukryć wzburzenie i opanować się. Bez wątpienia nie pozostał obojętny na posępną poezję tego domu biedaka, ale od dawna już powieściopisarz nie daje się zwieść żadnemu uderzeniu swego starego serca! Ledwie wzruszenie się pojawi, jest jakby w stanie narodzin, natychmiast je klasyfikuje, zużytkowuje; jest to pierwsze tworzywo, które jego kupiecki talent urabia wedle gustu nabywcy. Do starego komedianta można trafić jedynie przez zmysły; ruda plama na ścianie w świetlistym kręgu padającym z lampy zupełnie rozstroiła mu nerwy.

Szeroko są znane, niejeden umie na pamięć, dwadzieścia bezwstydných stron, na których nieszczęśnik wykorzystując wszelkie możliwości swego kunsztu usiłuje zakłócić swego bezlitosnego upiora. Nikt nie mówił o śmierci swobodniej, z wię-

kszą dozą nonszalancji i tkliwej pogardy. Chyba żaden pisarz francuski nie spoglądał na nią spojrzeniem tak dobrodusznym, nie podśmiewał się z niej z miną równie drwiącą a serdeczną. Na skutek więc jakiego to tajemniczego odwetu, ledwie odłoży pióro, boi się jej jak zwierzę, jak bydlę?

Na myśl o nieuchronnym upadku nie umysł mu się mąci, lecz wola się ugina, grozi załamaniem. Ten wysubtelniony człowiek poznał rozpaczliwe wzburzenie instynktu, obmierzły popłoch, szarpanie się i jeżenie zwierzęcia, które w rzeźni zwietrzyło topór rzeźnika. Tak samo niegdyś, jeśli wierzyć

Goncourtom, ojciec naturalizmu i rodziny RougonMacquartów, budzony w środku nocy przez podobne zmyry, rzucał się na podłogę przy łóżku i osłupiała żona widziała raptem oskarżyciela w koszuli, dygocącego ze strachu.

Przystanąwszy na pierwszym stopniu, twarzą zwrócony ku ciemnej klatce schodowej, z uciskiem w skroniach, zaschniętym gardłem, oddycha mocno, jako że to jedyny lek na jego ataki. Za nim unieruchomiony Gambillet pełen zdziwienia wsłuchuje się z niepokojem w nierówny, głęboki oddech mistrza. Kładzie lekko dłoń na jego ramieniu:

- Czy pan się źle czuje? - pyta.

SaintMarin odwraca się z trudem i odpowiada nienaturalnym głosem:

- Ależ nie! Nie! To lekka niedyspozycja... duszność...

Już mi lepiej... Już zupełnie dobrze...

Ale czuje się jeszcze taki słaby i wystraszony, że zdawkowa życzliwość lekarza z Chavranches zdaje się niewiarygodnie miła jego sercu. W błogim nastroju odprężenia nerwowego często właśnie nachodzi go pokusa, by przemówić, wydać swój sekret, wyzebrać od kogoś najbliższej stojącego radę i pomoc. Na szczęście otępiła miłość własna zawsze na czas budzi go z niedobrego snu.

- Doktorze - mówi z ojcowskim uśmiechem - dowie się pan z doświadczenia, że podróże nie potrafią już kształcić starości, a jedynie przyspieszają jej kres. Cenna to nawet zaleta. Gdyż na ostatnim zakręcie, kiedy stary nieborak pragnie i obawia się drobnego potknięcia, które może go popchnąć w nicość, takie małe przykrości bywają nieraz potrzebne...

- Nicość! - oponuje grzecznie proboszcz z Luzarnes - o, mistrzu, to bardzo wielkie słowo...

SaintMarin ponad ramieniem lekarza z Chayranches przypatruje się chwilę swemu nieznośnemu entuzjaście.

- Obojętne, jakie jest słowo - mówi. - Czy mamy wybór?

- Istnieją słowa takie rozpaczliwe... bolesne... - woła biedny kapłan już pobladły.

- Proszę wybaczyć! - mówi autor Wielkanocnej świecy - nie spodziewam się, aby jedna sylaba mniej czy więcej miała mnie obdarzyć nieśmiertelnością.

- Źle się wyraziłem - odpowiada przyszły kanonik, gwałtownie szukający pojednania.

- Niewątpliwie umysł taki jak pański urabia sobie... o życiu przyszłym... inne pojęcie... prawdopodobnie... niż ogół naszych wiernych... nie mogę jednak uwierzyć, aby... pańska wybitna umysłowość...

godziła się bez protestu... z koncepcją rozkładu absolutnego, upadku... nieodwracalnego, rozproszenia w nicości...

Ostatnie słowa więzną mu w gardle, podczas gdy oczy z wzruszającym zakłopotaniem błagają o wyrozumiałość, o litość wielkiego człowieka.

Okrutna pogarda, jaką SaintMarin okazywał głupcom, początkowo dziwi, skądinąd bowiem lubi on uchodzić za uprzejmego sceptyka. Ale w ten właśnie sposób najmniej ryzykując może dawać zewnętrzny wyraz wrodzonej nienawiści do ułomnych i słabych.

- Niczego księdzu nie zarzucam - woła nagle Saint-

- Marin z niezwykłą gwałtownością. - Proszę jednak być pewnym, że mniej bym się obawiał nicości niżli waszych śmiesznych Pól Elizejskich!

- Pola Elizejskie... Pola Elizejskie... - mruczy oszołomiony pocziwiec. - Daleki jestem od myśli wypaczania nauki... Chciałem jedynie ustawić na pańskim poziomie...

mówiąc pańskim językiem...

- Dziękuję księdzu - replikuje proboszczowi z Luzarnes - że przeznacza dla mnie inny raj niż dla swojego wikarego i członków chóru kościelnego. Niech mnie jednak bogowie uchronią przed znalezieniem tam na wysokościach, nowej Akademii, skoro już ta jedna, Francuska, dosyć mnie tu nudzi!

- Jeśli jednak dobrze rozumiem pański żart - odpowiada przyszedły kanonik - pan mi zarzuca...

- „Mój pqziom”... „mój język!” - powtarza autor Wielkanocnej świecy z jadowitym uśmiechem.

Na chwilę milknie, nabiera tchu. Światło lampy drżącej w rękach proboszcza z Luzarnes pada prosto na jego sinoblada twarz; kąciki niedobrych ust opuściły się, jakby miał mdłości. Rzeczywiście też swoje serce, swoje prawdziwe serce stary komediant wypluje oto, rzuci raz na zawsze pod nogi tego głupiego księdza.

- Wiem, czym... mnie obdarowują najbardziej oświeceni spośród was, mój księże, nieśmiertelnością mędrca pomiędzy

Mentorem a Telemakiem, pod władzą zacnego, przemądrzałego Boga. Równie dobry wydaje mi się Bóg Berangera w mundurze gwardii narodowej! Starożytność pana Renana, modlitwa na Akropolu, Grecja z ławy szkolnej, bzdury!

Urodziłem się w Paryżu, proszę księdza, na zapleczu sklepiku w dzielnicy Marais, mój tata pochodził spod Beauce, a matka spod Tourange. Służyłem do mszy, jak inni. Gdybym miał paść na kolana, to i teraz jeszcze poszedłbym prosto do mojej starej parafii kościoła SaintSulpice, na pewno nie stroiłbym min u stóp Pallas Ateny, jak jakiś pijany belfer!

Moje książki! Gwiżdżę na moje książki! Ja dyletant! Ja - wielki smakosz... Wziąłem z życia wszystko, co mogłem wziąć, rozumie ksiądz, piłem wielkimi haustami, całym gardłem! Do samego dna: niech się dzieje, co chce! Trzeba się z tym pogodzić, mój księże. Kto używa życia, boi się śmierci.

Tyle samo warta próba spojrzenia jej w twarz, ile szukanie zapomnienia w książkach filozofów, zupełnie jak pacjent u dentysty przerzuca pisma ilustrowane! Mędrzec uwieńczony różami to ja! Człowiek kultury antycznej! Uff...! Bywają takie chwile, że uwielbienie matolek budzi tęsknotę do pręgierza! Ludzie już nas nie puszczają, domagają się wciąż takich samych min, w rzeczywistości oklaskują samych siebie, a nas jutro będą uważali za kłamców i błaznów. Ho, ho!

Gdyby bigoci umieli malować! W gruncie rzeczy jesteśmy oszukani, mój księże, zwyciężeni i ośmieszeni. Byłe jaki partacz wyrobnik, który myśli jedynie o tym, żeby sobie

napchać brzuch, wykazuje więcej przebiegłości niż ja; do ostatniej chwili może mieć nadzieję, że napije się i naje do

syta. Ale my...! Wychodzi się ze szkoły ze złudzeniami poety - taki miły mały poganin z powieści - który nie widzi na świecie nic bardziej godnego pożądania, niż piękne łono z żywego marmuru. Bez namysłu rzuca się na kobiety.

W czterdziestym roku życia sypia się z księżniczkami, po sześćdziesiątce trzeba już się zadowolić hulanką z ulicznicami. A później... później... Ho, ho! Później... zazdrości się takim ludziom jak wasz święty z Lumbres, którzy przynajmniej umieją się starzeć...! Chce ksiądz poznać całą moją myśl? Myśl sławnego pisarza, bez żadnych osłonek? Kiedy już się nie może...

Zakończył zdanie rzeczywiście bez osłonek, z wybuchem największego obrzydzenia. Jego wyjątkowo subtelne rysy przybrały w tym momencie ów wyraz otępienia, posępnego wykrzywienia, przeraźliwej martwoty, jaką występki nadaje twarzy starca. Gambillet przyglądał mu się spod oka z okrutnym uśmiechem. Proboszcz z Luzarnes cofnął się o dwa kroki. Jego zgnębienie w tym momencie wzruszyłoby barona

Saturna, nieśmiertelnego Villiersa.

- Ależ zaraz... zaraz... mistrzu - jał bełkotać. - Wiara, której jestem kapłanem... ma w sobie skarby wyrozumiałości... miłosierdzia... Skrupuły wobec dogmatu... mogą... powinny... w pewnej mierze... iść w parze z ojcowską troskliwością... nawet z szczególną przychylnością... dla niektórych dusz wyjątkowych. Nie sądziłem, aby rzetelny wysiłek pogodzenia... jakiejś syntezy... pewna szerokość poglądów... życie przyszłe... zgodnie z nauczaniem Kościoła...

Argumenty kłębiły się w jego biednym zmaconym mózgu;

chciałby wypowiedzieć je wszystkie naraz, jako że myśl skakała mu od jednego do drugiego niczym oszalała igła kompasu...

Aż wreszcie krewki starzec ruszył ku niemu, przesłaniając go niemal swymi szerokimi ramionami:

- Życie przyszłe? Nauczanie Kościoła? - zawołał patrząc wyzywająco bladymi oczyma - czy ksiądz w to wierzy?

O... Czy ksiądz w to wierzy bez żadnych zastrzeżeń...? Tak całkiem po prostu...? Tak, czy nie?

(I niewątpliwie w głosie autora Wielkanocnej świecy było

COŚ więcej niż obelżywe wyzwanie...) Któż może jednak się łudzić, że utrzyma proboszcza z Luzarnes w dwóch ramio-

nach kleszczy? Nigdy nie podawał on poważnie w wątpliwość prawd, których naucza, po prostu dlatego że nigdy nie wątpił o sobie, o niezawodności swojej oceny. A jednak się waha.

Spiesznie szuka jakiejś szczęśliwej formułki, któregoś z owych zręcznych słów... Niestety! Groźny przeciwnik stanowczo zbyt ostro naciera... Wyciąga ku niemu rękę, która prosi łaski. „Niech mnie pan zechce zrozumieć...” - zaczyna zamierającym głosem.

SaintMarin rzuca nań spojrzenie zaiste ziejące nienawiścią. Po czym odwraca się tyłem. Nieszczęsny (nauczyciel)

daremnie się trudził; rozpoczęte zdanie dusi mu się w gardle, podczas gdy do oczu napływają prawdziwe, zawstydzające łzy.

Pan Gambillet nigdy nie zdołał pojąć, jakim cudem rozmowa początkowo uprzejma, stopniowo się rozgrzewając, mogła przyjąć taki obrót, że przez chwilę wszyscy trzej stojąc na wprost siebie w świetle lampy mierzyli się wzrokiem jak nieprzejednani wrogowie. Ale działo się tak, ponieważ przeżywali jedną z owych osobliwych chwil, kiedy słowo i postawa mają inne znaczenia, kiedy uczestnicy rozmowy już wcale się wzajem nie słuchają, prowadzą własny monolog wewnętrzny i sądząc, że oburzają się na kogoś innego, napadają tylko na samych siebie, na własne wyrzuty sumienia - tak jak koty bawiące się tajemniczo własnym cieniem.

W ciszy, która teraz zaległa, brzemiennej nową burzą, otworzyły się nagle drzwi wejściowe i stopnie schodów jęły kolejno trzeszczeć pod czymś ciężkim krokiem. Byli tak podnieceni, że popatrzyli na siebie z rodzajem świętej zgrozy. Rozpoznawszy jednak spokojną twarz Marty, ksiądz

Sabiroux pierwszy odetchnął.

- A to ci historia! - mruzczała stara, zadyszana.

Po czym, na ostatnim już stopniu, poklepując fartuch, żeby się wygładził, obrzuciła trzech mężczyzn szybkim spojrzeniem.

- Władysław czeka - powiedziała.

Potulnie, bez słowa, poszli za nią do furtki ogrodu. Niebo było usiane gwiazdami.

- Władysław poszedł widać przodem - odezwała się gospodyni, wskazując palcem latarnię migającą w mroku cmentarza. - Słyszę jego kroki. Kościół już będzie otwarty.

Na chwilę przytrzymała proboszcza z Luzarnes za rękaw i wspiąwszy się na czubki trepów szepnęła mu do ucha:

- Niech mu chociaż ksiądz proboszcz przemówi do rozumu; od wczoraj wieczora nie miał w ustach! Do czego to, na Boga, podobne!

Zniknęła nie czekając odpowiedzi. Przyszły kanonik dopędził towarzyszy przed kruchtą. Ponad nimi wyrastał w mroku kościół, osobliwie żywy i jasny. Słysząc było odgłos podkutych butów kościelnego, wlokącego się po kamiennej posadzce.

- A zatem będziemy nadal razem przeżywać naszą przygodę - powiedział uprzejmie SaintMarin do dawnego nauczyciela, którego uśmiech wielkiego człowieka przywrócił do życia. - Nie miałbym ochoty jeść kolacji, dopóki ksiądz nie odnajdzie naszego nieuchwytnego świętego; a zresztą przydałaby się taka interwencja z góry, żeby zakończyć dziś wieczór nasze drobne spory.

Odświeżone po deszczu powietrze rozproszyło jego zły nastrój. Poza obrębem ubogiego pokoju proboszcza z Lumbres i zaczarowanego kręgu światła lampy na ścianie, tamten napad wściekłości zdawał się już tylko złym snem.

- Wejdźmy więc - rzekł Sabiroux z prostotą (ale jakimż też wdzięcznym spojrzeniem!)
Ledwie Władysław ich dostrzegł, zaraz ku nim pospieszył.

Przyszły kanonik zapytał krotocwilnym tonem:

- No i jak tam, Władysławie, co nowego?

(Twarz poczciwca wyrażała głębokie zdumienie.)

- Naszego proboszcza tu nie ma - powiedział.

- Coś podobnego! - wykrzyknął Sabiroux głosem, którego echo długo toczyło się pod sklepieniem.

Skrzyżował ręce wstrząśnięty.

- Bądźmy poważni! - rzekł... - Czy jesteście pewni, że...?

- Wszędzie zaglądałem, w każdy kąt - odparł Władysław. - Byłem przekonany, że znajdę go w kaplicy Aniołów;

co wieczór tam przebywa zaraz po kolacji, w takim zakątku, o którym trzeba wiedzieć. Ale ani tam, ani gdzie indziej...

Przeszukałem wszędzie, nawet przy organach, więc...

- Ale co myślicie? - wtrącił się Gambillet. - Przecież człowiek nie może tak przepaść, u diabła!

Przyszły kanonik przywtórzy! kiwnięciem głowy.

- Na mój rozum - odezwał się Władysław - to ksiądz proboszcz mógł wyjść przez zakrystię, na drogę do Verneuil i pójść do Kalwarii w Rou. Bardzo lubi tak się przespacerować zmierzchu, odmawiając różaniec.

- Uff! Uff! - odetchnął hałaśliwie lekarz z Chavranches.

- Niech mi pan da skończyć - burknął kościelny. - O tej porze co teraz, na dwadzieścia minut przed wystawieniem

Najświętszego Sakramentu, powinien już wrócić, już dawno powinien wrócić... Tak sobie o tym myślałem... Dziś wieczór taki był słaby, blady... Nic nie jadł od wczorajszego wieczora...

Na mój rozum mógł i gdzie upaść ze słabości...

- Zaczynam się tego obawiać - rzekł Sabiroux.

Zastanawiał się chwilę, z rękoma nadal skrzyżowanymi, miną bardziej pewną siebie niż zwykle, wydymając policzki.

Nagle się zdecydował:

- Jestem w rozpacz, drogi mistrzu... że stałem się...

pośrednio... przyczyną pewnego zamętu...

- Żadnego... Żadnego zamętu - zaoponował drogi mistrz, wyraźnie złagodniały. - Mógłbym niemal powiedzieć, że ta historia w rezultacie mnie bawi, gdybym nie podzielał księdza niepokoju... Niemniej nie obiecuję księdzu, że będę towarzyszył mu dalej, moje stare nogi... Wolę tu na was zaczekać...

- Mam nadzieję, że nie potrwa to długo - odparł dawny nauczyciel. - Z matematyczną ścisłością powinniśmy go tam znaleźć... Pan Gambillet zechce mi, mam nadzieję, towarzyszyć; jego obecność może się okazać wyjątkowo przydatna.

wy chodźcie z nami, Władysławie - zwrócił się do kościelnego - a po drodze zawołajcie też syna kowala. Jeżeli trzeba będzie przenieść naszego nieszczęsnego przyjaciela...

Głos stopniowo cichł w oddaleniu. Drzwi się za nim zamknęły. Znakomity autor Wielkanocnej świecy pozostał sam i uśmiechnął się.

XIII

Czarodziejski uśmiech! Stary kościół, ochłodzony dniem, owiewa go z wszech stron swym powolnym oddechem;

zapach wiekowego kamienia i stoczonego przez robaki drewna, równie tajemniczy jak gęstwiny leśnej, pełza wzdłuż przysadzistych filarów, snuje się mgłą po źle spojonych płytach posadzki, albo skupia w ciemnych kątach niby śpiąca woda. Zbiera się we wklęsłościach podłogi, za węglem muru, w pustych niszach jakby w granitowych koleinach. A czerwone światło nocnej lampki daleko przed ołtarzem przypomina gwiazdę przewodnią nad odludnym jeziorem.

SaintMarin wdycha z rozkoszą tę noc wiejską w murach z szesnastego stulecia, nasyconych wonią tyłu pór roku.

Przeszedł na prawą stronę nawy, przysiada na skraju dębowej ławki, twardej i życzliwej; miedziana lampa uczepiona na drucie kołysze się nad jego głową z lekkim chrzęstem.

Od czasu do czasu stukną jakieś drzwi. A gdy zapada zupełna cisza, może to dzwonią zarośnięte kurzem witraże w ołowianych oprawach od tętentu konia kłusującego po gościńcu.

„Teraz właśnie - rozmyśla - lekarz z Chavranches i jego nieznośny towarzysz biegają nie wiedzieć gdzie, oddalili się akurat na tyle, żebym się mógł nacieszyć w spokoju tą precudowną godziną...!” (Chętnie bowiem wierzy w usłużność przypadku i tajemnicze układy.) Ten kościół, cisza, gra cieni... No tak! wszystko należy do niego... wszystko tu na niego czekało. „Oby tylko nie wrócili za wcześniej” - marzy.

Za wcześniej nie wróć.

(Konający dobrze wiedzą, czego pragną, ale na żaden temat się nie wypowiadają, mawiał pewien stary Żyd, Mieczysław

Goldberg.)

Trwożny niepokój znakomitego mistrza rozproszy! się stopniowo w wielkim wewnętrznym uciszeniu, jakiego rzadko zaznawał. Rozbłyskują w nim tysiące wspomnień podobnych do małych światełek miejskiej nocy. Pamięć przegląda je i bawi się ich pomieszaniem, upajającym bezładem. Poprzez granice, jakie wyznaczają nam kalendarze, jakże przyzywają się lata, dni, godziny, przyzywają się i wzajem sobie odpowiadają... Jasny poranek z wakacji, kiedy tak pięknie dzwoni miedziany rondel do smażenia konfitur... jakiś wieczór ociekający przezroczystą lodowatą wodą, pod osłoną gęstego listowia... zadziwione spojrzenie jasnówłosej kuzynki po drugiej stronie rodzinnego stołu, jej drobne zdyszane piersi...

a potem nagle - pół wieku przebyte jednym skokiem - pierwsze ukąszenia starości, jakaś nieudana schadzka... wielka miłość pieczołowicie skrywana, krok za krokiem broniona, zdobywana aż do ostatniej chwili, kiedy usta starego kochanka przyciskają się do warg niespokojnych i płochliwych, już nazajutrz okrutnych... Oto jego życie - wszystko, co czas oszczędził - wszystko, co z przeszłości zachowało jeszcze kształt i barwę; reszta nic nie znaczy, całe dzieło, sława. Trud pięćdziesięciu lat, głośna kariera, trzydzieści sławnych książek... Jakże to! Więc to się tak mało liczy...? Iluż matołków wykrzykuje, że sztuka... Jaka sztuka? Prześwietny kuglarz zna tylko jej jarzmo. Dźwigał ją jak brzemię. Ujmujący gawędziarz, który mówił wyłącznie o sobie, ani razu prawdziwie się nie wypowiedział. Świat,

który rzekomo go miłuje, zna tylko to, w co się on przystraja. Wygnany jest ze swych książek i z góry już wywłaszczony... Tytu czytelników, ani jednego przyjaciela!

Skądinąd nie budzi to w nim żalu. Przeświadczenie, że w ten sposób wymyka się już na zawsze, że daje poznać tylko swoje zewnętrzne pozory, zapala błyski w jego złośliwych oczach. Najlepsze z jego dzieł zasługuje na takie tylko zakończenie, jak ów żart in extremis. Nie pragnie mieć żadnych uczniów. Otaczają go sami wrogowie. Nie będąc w stanie odrodzić uroku, powabu, których tajemnicę mistrz posiadał, zadowolają się zręcznym naśladowaniem jego stylu. Ich największe zuchwalstwa nie wykraczają poza ramy gramatyki.

„Rozkładają moje paradoksy - mówi - lecz nie potrafią złożyć ich z powrotem.”

Zdziesiątkowana młodzież, która

widziała, jak Peguy leżał na słomianym barłogu, w obliczu

Boga, odwraca się ze wstrętem od kanapy, gdzie superkrytyk opiłowuje sobie różowe paznokcie. Niechaj Narcyz wysubtelnia jeszcze bardziej swoją misterną niemoc. Ale już nienawidzi ze wszystkich sił swojego talentu najbardziej krępkich i najbardziej udanych ze stada, którzy ubiegają się o spuściznę po złym mistrzu, czelują, stroniąc miny, swoje małe zawile książeczki, zgrzytają zębami pod nosem większych od siebie, i mają na tym świecie jedną już tylko nadzieję, że podłożą swoje gryzące i mozolnie wydobywane łajno na brzegi wszystkich źródeł życia duchowego, z których nieszczęśnicy będą pili...

Ale po prawdzie cóż może obchodzić autora Wielkanocnej świecy to mnóstwo zaciekłych ząbków chroboczących w jego cieniu? On drażył raczej z potrzeby niż z zamiłowania, z uczuciem znudzenia. Miejsca dla młodych szcurek, lepiej uzębionych! Dziś wieczór mógłby rozmyślać o nich bez złości.

Z drzeniem rozkoszy wspomina dalekie wielkie miasto, tłumy mrowiące się pod ogromnym czarnym niebem... Czy zobaczy to jeszcze? Czy w ogóle miasto istnieje gdzieś tam, daleko, w tej łagodnej nocy...?

Niemal wprost nad jego głową zegar ścienny tyka niby serce. Na chwilę zamyka oczy, żeby lepiej go słyszeć, żyć i oddychać wraz z nim, starodawnym przodkiem bez wieku, przodkiem który niechętnie, od wielu stuleci wydziela nieubłaganą przyszłość. Odgłos, w który się wsłuchuje, ledwie uchwytny, przerywany jedynie poważnym dźwiękiem wybijanych godzin, będzie trwał dłużej niż on, będzie wędrował przez szereg, szereg jeszcze lat, poprzez nowe przestrzenie ciszy, aż do dnia... Do jakiego dnia? Jaki to dzień zaznaczą po raz ostatni, gdy wybije północ, te dwie zardzewiałe wskazówki, dwie kumoszki, zanim ustaną na zawsze?... Sławny pisarz będzie już tylko wyszłym z mody nazwiskiem; niemowlę, dziś dopiero mające się narodzić, usadowi na tym samym fotelu akademickim swój żalorny

starczy zadek, i inne młode pantery będą zatapiały swoje białe zęby w lodowatej mazi sorbetów na tarasach przyszłych kawiarni neapolitariskich... Inne młode pantery...

Otwiera oczy. Przed nim, na tablicy z szarawego marmuru w ścianie kościoła widnieje napis, którego duże litery z wyblakłą pozłotą powoli zaczyna odczytywać:

Świętej pamięci... Jan Baptysta Heame, notariusz królewski...

- ... oraz Melania Hortensja Le Plean, jego Małżonka... Świętej Pamięci Piotr Antoni Dominik... Jan Jakub

Heame, pan na Hemecourt... Świętej Pamięci Paweł Ludwik

Franciszek... i tak aż do końca listy, do ostatniego: Jan Cezary

Heame z Hemecourt, Rotmistrz Kawalerii, dawny Prowizor

Kościelny, zmarły w Cannes... w... Dobroczyńca tego kościoła...

Pomódlcie się za tę całkowicie wygasłą Rodzinę - prosi jeszcze pokornie stary kamień, jakby dla usprawiedliwienia swojej tu obecności.

- Niesłychana strata...! - cedzi przez zęby autor Wielkanocnej świecy. Uśmiecha się jednak miłym uśmiechem, z pobłażliwą życzliwością. Kosztowny kawał marmuru starannie wygrawerowany, wzbogacony czystym złotem, dostatni jak każdy inny sprzęt zamożnego mieszczańskiego domu! Nie ma nic smutniejszego niż grób z białego kamienia, z czterema słupkami połączonymi łańcuchem, smagany deszczem w zimowy dzień. Natomiast tu, pod osłoną od zimna i ciepła, naprzeciw drewnianej ławy, na której zmarły prowizor przyjmował Ciało Pańskie, ten kamień tak samo gładki i połyskliwy jak pierwszego dnia, co tydzień smarowany przez sumiennego kościelnego - cóż to za pocieszający obraz śmierci! Komfortowy nagrobek poruszył wrażliwość pisarza. Wolno odczytuje wszystkie te imiona, nazwiska, jak imiona przyjaciół, których sąsiedztwo dodaje otuchy. Obok rodu Heame'ów ileż tu innych jeszcze, pod płytami o zblakłych już literach, to tu, to tam aż po sam ołtarz, iluż zacnych ludzi, którzy chcieli spać pod dachem, trwać równie długo jak niezawodne kamienie. Można marzyć o tym, że będzie się tu spało w towarzystwie... Nigdy sławny pisarz nie czuł się tak pogodzony z losem, taki uległy.

Rozkoszne uczucie znużenia rozpręża wszystkie jego mięśnie, sprawia, że obraz przestronnego uspiętego kościoła, teraz już dla niego pozbawionego tajemnic, przyjaznego, swojskiego, zaczyna kołysać się przed jego oczami. Zażywa spokoju, jakiego nigdy nie zaznawał, niezwykłego błogostanu, niemal religijnego... Sadowi się wygodnie, przeciąga; tłumi ziewanie jakby modlitwę.

Na dworze niebo pociemniało; ostatni witraż poprzecznej nawy gaśnie. Teraz drzwi otwierają się i zamykają na tle czarnego aksamitu, w którym świat zewnętrzny można już

rozpoznać tylko po zapachu. Rozproszone cienie zbliżają się do siebie, skupiają. Tłumione szepty przebiegają od dębowej ławy do dębowej ławy, drobne niecierpliwe kroczki zmierzają do progu, kościół z wolna pustoszeje, wyzbywa się swego nielicznego ludu... Godzina codziennej Adoracji dawno już minęła, zakrystia nadal jest zamknięta, tylko trzy z dwunastu lamp oświetlają ogromną nawę... Co to się dzieje? Na co jeszcze czekać...? Ludzie szukają się po omacku, przyzywają z daleka delikatnym chrząkaniem, wtajemniczeni rozprawiają między sobą. Gdyż wraz z ostatnim autobusem do Vaucours zniknęli ciekawscy; o tak późnej godzinie Lumbres zachowuje tylko starych przyjaciół... Ale i oni jednak odchodzą...

SaintMarin pozostanie sam.

XIV

Tylko dla niego ta wielka, trochę posępna, ale jednak urocza zabawka - tylko dla autora Wielkanocnej świecy - dla niego samego! Rozmiłowanym wzrokiem przesuwają po żyłach sklepienia, zebranych w rozetę i opadających, po trzy, na pilastry bocznych murów ruchem niezwykle lekkim, giętkim, o żywym, niemal zwierzęcym wdzięku. Czyż mistrz murarski, który ongiś wytyczył ich podniebny lot, nie pracował bezwiednie po to, aby uradować oczy starzejącego się geniusza?

Czegóż jeszcze oczekują tu bigoci i bigotki, a i sam ten wiejski ksiądz, kiedy podnoszą nosy ku swemu pustemu niebu - poza rozluźnieniem więzów, chwilą spokoju, przelotnego pogodzenia się z losem? To, co naiwnie zwą łaską Bożą, darem

Ducha Świętego, skutecznym działaniem Sakramentu, to w istocie taki sam moment wytchnienia, jakiego on teraz zażywa tutaj w samotności. Biedni ludzie, których prostoduszność obciąża niepotrzebnie tyle zbędnej gadaniny! Zacny święty wieśniak, który wierzy, że co rano spożywa życie wieczne, a to przecież jego zmysły zaznają jedynie złudzenia dosyć prostackiego, z trudem dającego się porównać z owym snem na jawie, świadomie wywołaną ułudą znakomitego pisarza. „Czemuż nie przyjechałem tutaj wcześniej - zapytuje się w duchu - by chłonąć powietrze wiejskiego kościoła...! Nasze babki z roku znały tajemnice, które myśmy zagubili”. Żałuje, że odwiedził plebanię, która omal go nie zwiiodła, że odbył bezsensowną pielgrzymkę do pokoju świętego (ta ściana, której widok zmącił mu na chwilę rozum),

obrazy w sumie trochę barbarzyńskie, i stosowne dla ludzi nie tak subtelnych... „Świętość - stwierdza - jak wszystko na tym świecie piękna jest tylko, gdy się ją ogląda na scenie;

odwrotna strona dekoracji cuchnąca jest i szpetna.” W jego podnieconym mózgu kłębią się tysiące nowych zuchwałych myśli; nowa mglista jeszcze nadzieja zdaje się jakby poruszać

nawet mięśnie; od wielu już dni nie czuł się tak sprawny i rzeński.

- W starzeniu się też jest jakaś radość - woła niemal głośno - która dzisiaj mi się objawiła! Nawet z miłością, tak, nawet z miłością! można się rozstać łagodnie. Poszukiwałem śmierci w książkach albo na ohydnych cmentarzach miejskich, na przemian to nadmiernie wyolbrzymionej jak wizje powstające w snach, to pomniejszonej do postaci człowieka w kaszkiecie, który utrzymuje w porządku, jak to mówią, ogrodzenie grobów, zapisuje, zarządza. O nie, to tutaj albo w innych podobnych miejscowościach winno się przyjąć ją z prostotą, tak jak zimno i ciepło, jak noc i dzień, niedostrzegalny ruch gwiazd, nawroty pór roku - postępując na wzór mędrców i zwierząt. Ileż filozof może nauczyć się rzeczy cennych, niezrównanych z samego instynktu jakiegoś starego kapłana, jak ten tutaj, żyjącego bardzo blisko natury, spadkobiercy owych natchnionych pustelników, których ongiś nasi ojcowie czynili bóstwami pól. Och, nieświadomy poeta, który szukając Królestwa Bożego znajduje przynajmniej wypoczynek, pokorną uległość wobec sił żywiołu, głęboki spokój...

Wyciągnąwszy rękę sławny mistrz mógłby dotknąć palcem konfesjonau, w którym święty z Lumbres rozdaje swemu ludowi skarby na doświadczeniu opartej mądrości. Stoi oto tutaj między dwoma filarami, wypałykowany wstrętną brązową farbą, prostacki, prawie niechlujny, osłonięty dwoma zielonymi firankami. Autor Wielkanocnej świecy z ubolewaniem myśli o tej okropnej zbędnej brzydocie i o tym, że wiejski prorok głosi swe wyrocznie w takim sosnowym pudle; przypatruje się jednak z ciekawością drewnianej kratce, za którą widzi w wyobraźni spokojne oblicze starego kapłana, uśmiechnięte, skupione, przymknięte oczy, rękę wzniesioną do błogosławieństwa. O ileż woli go takim, niż kiedy biczuje się tam, na górze, przed nagą ścianą, w przyływie okrutnego szału!

„Najłagodniejsi marzyciele - rozmyśla - odczuwają zapewne potrzebę takich trochę ostrzejszych wstrząsów, które ożywiają w ich mózgach blednące już obrazy. To, czego inni szukają w morfinie lub w opium, ten uzyskuje od cięgów rzemienia na plecach i bokach.”

Miedziana lampa na końcu drutu kołysze się łagodnie tam i z powrotem. Za każdym jej ruchem cień wydłuża się aż

po sklepienie, po czym, znów przepędzony, skupia się w mroku filarów, kurczy, by się na nowo rozrosnąć. „Tak właśnie my - дума SaintMarin - przechodzimy od zimna do ciepła, na przemian to płonący zapalem, żarliwi, to chłodni i znużeni, zależnie od praw nieznanych i zapewne nie do poznania. Niegdyś nasz sceptycyzm był także wyzwaniem.

Nawet i obojętność, do której później we własnym mniemaniu dochodzimy, szybko staje się tylko trochę męczącą do zachowania pozą. Jakież bolesny skurcz, o Boże, kryje się za epikurejskim uśmiechem. Ale i nasi wnukowie nie osiągną więcej niż my. Umysł ludzki bezustannie zmienia kształt i nachylenie swych skrzydeł, bije powietrze pod wszelkimi kątami, od negowania do potwierdzania i nigdy nie wlatuje.

Jakież miano jest bardziej zniesławione niż dyletant, ongiś noszone z dumą? Nowe pokolenie wyraźnie ma już na sobie inny znak; później się wyjaśniło, jaki: znak swojej ofiary, zaszczytnego losu budzącego zazdrość wojskowych. Widziałem młodego Lagrange, płonącego świętą niecierpliwością, podobną do żywego przecucia... Wcześniej ode mnie zażywa on spokoju, którego nienawdził. Czy jesteśmy wierzący czy bezbożni, jakkolwiek nas nazywać, mało powiedzieć, że nasze poszukiwania są płonne; każdy wysiłek przyspiesza nasz kres.

Nawet powietrze, którym oddychamy, pali się samo i nas spala. Wątpienie nie działa bardziej odświeżająco niż negacja. Ale być nauczycielem zwątpienia, cóż to za chińskie tortury! Opętanie seksem zaćmiewa zwykle umysły, tłumi myśl. Żyjemy w półoblędzie posępnej rozkoszy, przerywanym napadami świadomej rozpaczki. Ale z roku na rok obrazy tracą swą moc, przez tętnice sączy się coraz bardziej wodnista krew, nasza machina idzie na jałowym biegu. Na starość przeżywamy mrzonki z lat szkolnych, których cała wartość polegała na żarliwości naszych pragnień; powtarzamy słowa równie zużyte jak my sami; wypatrujemy w młodych oczach tajemnicę, którąśmy zagubili. Och, najboleśniejsze jest bezustanne porównywanie własnego słabnięcia z zapalem i tężyzną innych, jakbyśmy czuli, że daremnie ogarnia nas potężna fala z głębi, nas już nie podniesie... Po cóż kusić się o to, o co można kusić się tylko raz? Ten poczciwy ksiądz postąpił mniej głupio wycofując się z życia, zanim ono się cofnęło. W jego starości nie ma goryczy. On pragnie jak

najprędzej być wyzwolony od tego, czego nam żal utracić;

kiedy my ubolewamy, że nie odczuwamy już ostrza pożądania, on pochlebia sobie, że mniej zaznaje pokus. Mógłbym przysiąc, iż mając trzydzieści lat przygotował już sobie szczęśliwości starca, których żąb czasu nie potrafi nadgryźć. Czy już za późno, żeby pójść w jego ślady? Chłopski mistyk, wykarmiony starymi księgami i wykładami prostackich nauczycieli w kurzu seminariów, może wznosić się stopniowo ku pogodzie ducha mędrca, ale doświadczenie ma ubogie, metody naiwne i niekiedy dziwaczne, niepotrzebnie pogmatwane przesadami.

Zupełnie inaczej działają środki, jakimi rozporządza sławny mistrz u schyłku kariery, ale w pełni sił swojego talentu.

Zapozyczyć od świętości to, co w niej pociągające; odzyskać bez zeszywnienia spokój dziecięctwa; przywyknąć do ciszy i samotności pól; starać się nie tyle niczego nie żałować, co niczego nie wspominać; przestrzegać rozumnie i z umiarem dawnych zaleceń wstrzeźliwości i czystości, na pewno cennych; radować się starością tak, jak jesienią albo zmierzchem; powoli oswajać się ze śmiercią, czyż to nie zabawa, może trudna, ale tylko zabawa dla autora wielu książek, szafarza złudzeń? To będzie moje ostatnie dzieło - postanowił znamienity mistrz, i napiszę je tylko dla siebie, sam będę na przemian aktorem i publicznością...

Ale ostatniej książki nikt nigdy nie pisze, ledwie zarysowuje się ona w snach. Już samo marzenie o niej to złowróbny znak... Tak właśnie stare koty, mające niebawem zemrzeć, gładzą jeszcze pazurami wełnę dywanu i przesuwają po pięknych kolorach spojrzenie pełne utajonej czułości.

Takim też wzrokiem autor Wielkanocnej świecy wpatruje się w cienką drewnianą kratkę, za którą oczyma wyobraźni widzi swojego bohatera, błogosławiącego, patriarchę o pobłażliwym uśmiechu, mowie soczystej i żywej, bogatego znawcę dusz.

Już kocha go za całe dobro, jakiego może odeń oczekiwać.

Można być świętym, a przecież wrażliwym na pewną wyszukaną postać uprzejmości, tę pełną uwagi, głęboką życzliwość, która znamionuje najwyższą grzeczność wielkiego pana inte-

lektu. Ten, kogo drażnią pochlebstwa, tym bardziej lubi pochwały wysokiej klasy. Cóż! inni niż sławny SaintMarin klękali tutaj, słuchali zacnego starca i odchodzili z uczuciem ulgi. Dlaczego by nie? Czyż bez spowiedzi przeżywanie grzechu bywa kiedykolwiek całkowite? Czy we wstydzie wyznania, nawet niepełnego, niezbyt rzetelnego, nie kryje się gorzkie a silne uczucie przypominające wyrzuty sumienia, będące lekiem trochę ostrym i dziwacznym, ale skutecznym, na znudzenie występkiem? A zresztą zagorzali wolnomyśliciele są doprawdy głupi odmawiając Kościołowi metod psychoterapii, którą uważają za cudowną i nowoczesną, kiedy ją stosuje jakiś głośny neurolog. Czyż taki profesor w klinice nie robi tego samego co zwykły ksiądz w konfesjonale:

wywołuje, wyzwała zwierzenia, aby później dowolnie poddawać różne myśli uspokojonemu, odprężonemu pacjentowi?

Ileż zgnilizny znajduje się w sercu, które takim właśnie wysiłkiem można oswobodzić. Człowiek sławny, żyjący we własnym cieniu, człowiek, który przegląda się we wszystkich oczach, słyszy o sobie ze wszystkich ust, poznaje siebie nawet w nienawiści i zazdrości, jakie go osaczają, może przecież spróbować wyrwać się z samoopętania, przerwać zaczarowany

krąg... Niższym nigdy się nie zwierza, równym sobie zawsze kłamie. Jeśli nawet pozostawia wiarogodne pamiętniki, jego wrodzona obłudza podwaja się tylko w owych przerażających przyływach pośmiertnej próżności, dość dobrze znanej czytelnikom. Nic nie jest mniej prawdziwe niż słowa z za grobu...

A zatem... A zatem pięknie może będzie raz jeden, przypadkowo, cenny dar samego siebie, którego zawsze odmawiał, ofiarować pierwszemu lepszemu, tak jak się rzuca garść złota żebrakowi...

Ani przez chwilę ów człowiek, przecież subtelny, który choć nie posiada prawdziwego smaku, odczuwa jednak cudze prostactwo jako przykreść fizyczną, nie umie wymknąć się z pułapki własnej małości. Roztrząsa owe myśli chaotycznie, z naiwną pewnością, schlebając sobie, że może swobodnie wybierać między tyloma słusznymi racjami. Aż wreszcie zaczyna wpatrywać się w drewniane, wytarte kolanami stopnie z taką samą dozą zaciekawienia co zazdrości... Kiedy już raz tam się znaleźć, reszta przychodzi sama z siebie. Któż by go mógł powstrzymać? To, co bywało tylekroć na tym właśnie

miejscu udzielane nieoświeconym starym pannom, nie zostanie zapewne odmówione jemu, najbardziej przewrotnemu obserwatorowi, zachowującemu przy tym zimną krew, uroczeniu kpiarzowi. Wystarczy jeden mały wysiłek, ażeby wchłonawszy, wyczerpawszy tyle rzadkich i trudnych wrażeń, po wypowiedzeniu się tyloma językami, przystrajaniu w tyle uczonych min, skończyć oto w skórze wiejskiego filozofa, zawiedzionego, uspokojonego, może i kiedyś pobożnego...

Poczynając od cesarza, który jął sadzić rzepę, niejeden już przecież z wielkich tego świata zapewniał sobie śmierć sielankową. W żargonie z za kulis zwie się to wejść w rolę tak, żeby grać samego siebie. Tak właśnie aktor po sumiennym przestudiowaniu roli, gruby, czerwony z zadowolenia, łyka kielicha, zamyka książkę i woła: „No, Polyuctos już mój! już go mam...!”

XV

„Mam go, święty już mój!” - mógłby powiedzieć w tej chwili sławny pisarz, gdyby był w nastroju do żartów. I ma go rzeczywiście albo będzie miał. Rozmyśla naiwnie o tym, że pokosztowawszy trochę wzgardliwie cennych owoców, zbieranych w ogrodach królewskich, może jeszcze z apetytem wgrzyźć się w kawał czarnego chleba, wyrwany z ust biedaka, bo na tym polega ciekawość geniusza, wciąż się odradzająca.

Piękna to rzecz w tak podeszłym wieku zaznawać radości wtajemniczenia! Prawda, że z Paryża do Lumbres droga jest długa; ale od pobliskiej plebanii do cichego kościoła jakże inną przebył odległość! Jeszcze przed chwilą niespokojny, strwożony, nie miał przed sobą nic

poza rychłym powrotem ze zwieszoną głową do pałacyku przy rue de Verneuil, by tam kiedyś umrzeć niepotrzebny, zapomniany, na rękach służącej, szepczącej za jego plecami, że „biedny pan ciężkie ma konanie”, teraz zaś jest wyzwolony, wolny, w głowie ma nowy pomysł - o rozkoszy! - na skórze lekki płomień... W sześć tygodni wszystko może być zdecydowane, załatwione. Znajdzie gdzieś, na skraju jakiegoś lasu, dom, jakie tu bywają, wpółwiejski, półmiejski, między dwoma zielonymi wilgotnymi trawnikami... Nawrócenie się SaintMarina... SaintMarin osiada w Lumbres... triumfalne okrzyki dewotów... pierwszy wywiad... subtelne wyjaśnienie... które będzie jak testament wielkiego człowieka: ostatnie czułe muśnięcie młodości, piękna, utraconych rozkoszy, których się jednak nie zaprzę; a później cisza, wielka cisza, w której świat nabożnie, w samotności

Lumbres pogrzebie tuż obok siebie myśliciela i świętego...

Natrętna myśl staje się tak silna, iż ma wrażenie, że śni, na chwilę traci poczucie rzeczywistości, wzdryga się stwierdzając, że jest sam. Zbyt nagle przebudzenie zachwiało jego równowagę, czuje się zdenerwowany, wzburzony. Spogląda nieufnie na pusty konfesjonał, tak blisko... Zamknięte drzwi za zieloną

firanką zdają się go zapraszać... No cóż! Czyż może być lepsza sposobność zobaczenia czegoś więcej, poza ubogim mieszkaniem poczciwca, jego marnym wyrkiem, dyscypliną: zobaczenia tego właśnie miejsca, gdzie objawia się on duszom?

Autor Wielkanocnej świecy jest tutaj sam, a zresztą mało go obchodzi, czy go ktoś ogląda. W siedemdziesiątym roku życia jego pierwszy odruch bywa zawsze wyraźny, szczery, nie do opanowania, niebezpieczny przywilej pisarzy tworzących z wyobraźni... Ręka szuka po omacku, trafia na klamkę, jednym ruchem otwiera.

Wahanie nastąpiło po ruchu, zamiast go wyprzedzić; zastanowienie przyszło nazbyt późno. Jakieś mgliste wyrzuty sumienia, żal, że zadziałał tak szybko, pochopnie; lęk czy wstyd, że podpatrzy niezbyt dobrze chronioną tajemnicę, każą mu na chwilę spuścić oczy; ale odbłask lampy na kamiennych płytach już znalazł rozchylony otwór, wślizguje się, z wolna podnosi... A wraz z nim podnosi się wzrok pisarza... Zatrzymuje się... Ale na co to się zda? Nie sposób zasłonić czegoś, co światło odsłoni raz na zawsze.

...Para grubych butów, podobnych do tych, jakie widział na górze, fałda sutanny dziwnie podkasanej... długa chuda noga w bawełnianej pończosze, sztywno wyprostowana, jeden obcas oparty o próg - oto, co najpierw zobaczył. A potem...

powoli... w coraz gęstszym mroku... jakaś mglista białość, i naraz twarz straszliwa, jakby rażona piorunem.

Antoni SaintMarin w wyjątkowych wypadkach potrafi okazać zimną i trzeźwą odwagę. Poza tym ta postać nieoczekiwana - żywa czy martwa - irytuje go co najmniej w takim samym stopniu, jak przeraża. Bo oto wyrwany został nagle ze swoich marzeń, w najlepszej chwili: ostatnie słowo należy teraz do tego osobliwego świadka w głębi ciemnego pudła, pionowo stojących zwłok. Apostoł ironii trafił na swojego mistrza i budzi się speszony z trochę niemądrego rzewnego snu.

Otwiera szeroko drzwi, cofa się o krok, mierzy wzrokiem osobliwego swego towarzysza i nie odważając się jeszcze rzucać mu wyzwania, patrzy nań śmiało.

- Śliczny cud! - syczy przez zęby trochę rozzłoszczony. - Zaczny ksiądz umarł tu cichutko, na atak serca. Podczas gdy tamci głupcy biegają i szukają go po drogach, on stoi tutaj spokojnie, niczym wartownik zabity w budce kulą z bliska...!

Oparte o ściankę, a grzbietem o wąskie krzesło, na które się w ostatniej chwili przewrócił, zaparłszy się sztywnymi nogami o cienką drewnianą listewkę zastępującą próg, nieszczęsne zwłoki świętego z Lumbres zachowują w swoim dziwnym bezruchu postawę człowieka, który ze zdumienia poderwał się na nogi.

Niechaj innych przyjazna dłoń układa do spoczynku pod czystym, białym płótnem; ten tu podnosi się jeszcze w swej czarnej nocy, nasłuchuje wołania swoich dzieci... Ma jeszcze coś do powiedzenia... Tak, ostatnie słowo nie było wypowiedziane... Stary zapaśnik, przeбитo tysiącem grotów, pozostawia świadectwo słabszym, nazywa po imieniu zdrajcę i zdradę. Och, tamten jest z pewnością zręcznym, znakomitym kłamcą, ten buntownik zatwardziały w swej utraconej chwale, pełen wzdargy dla ociężałego, acz myślącego stada ludzkiego, które tysiącnymi sposobami swojej chytrych podnieca lub hamuje, zależnie od woli, ale jego pokorny wróg stawia mu czoło i mimo przeraźliwego wrzasku potrząsa upartą głową.

Jakąż to burzą śmiechów i krzyków radosne piekło wita naiwne, ledwie zrozumiałe słowa, tę niejasną i niewymyślną obronę! Cóż to ma za znaczenie! Słyszysz ją także Ktoś inny, kogo nie zawsze ukrywać będą niebiosy! O Panie, nieprawda, żeśmy Cię przeklęli, oby raczej szezł ten kłamca, fałszywy świadek, Twój śmiechu wart rywal! Wszystko nam zabrał, odarł nas do naga i kładzie - nam w usta słowa bluźniercze. Ale pozostaje nam cierpienie, które dzielimy wraz z Tobą, które jest znakiem, że zostaliśmy wybrani, tym, co odziedziczyliśmy po ojcach, co silniej działa niż ogień nieskalany, nie podlega zepsuciu... Umysł nasz jest ociężały i pospolity, łatwowierność bezgraniczna, a wnikliwy uwodziciel, bystry, i język ma ze złota... Na jego wargach zwyczajne, swojskie słowa nabierają sensu, jaki

chce im nadać, a najpiękniejsze najsprawniej nas zwodzą. Jeśli milczymy, on przemawia za nas, a jeśli próbujemy

jakoś się tłumaczyć, nasza mouui <>l>t,i,<i sie prstchuko nam.

Nieźródlny mądrała nie fatygujt sie!aprZCZOĆ, bawi się zmuszaniem ofiar, by same wydawały na siebie wyrok śmierci.

Oby zginęły wraz z nim przewrotne słowa? Rasa ludzka wypowiada się okrzykiem bóleści, skargą 'wydzieraną z trzewi nadmiernym mozołem. Rzuciłeś nas głęboko jako zacznyn. Świat, który przez grzech został nam odebrany, odzyskamy piędź po piędzi, oddamy Ci go takim, jakim otrzymaliśmy, w ładu i świętości o pierwszym poranku dni. Nie odmierzaj nam czasu, Boże nasz! Nasza uwaga nie umie się zatrzymać, nasz umysł tak szybko się rozprasza! Wzrok bezustannie rozgląda się na lewo i prawo za niemożliwym do znalezienia wyjściem; bezustannie któryś z Twoich robotników rzuca narzędzia i odchodzi. Ale Twoja litość się nie nuży i wszędzie ukazujesz nam ostrze Twego miecza; uciekinier wróci do pracy albo zginie w osamotnieniu... Och, wróg, który wie tyle rzeczy, o tym się nie dowie! Największy nawet nikczemnik unosi z sobą swoją tajemnicę, tajemnicę cierpienia skutecznego, oczyszczającego...

Albowiem twój ból jest jałowy, Szatanie...! A jeśli o mnie chodzi, stoję oto, gdzieś mnie zaprowadził, gotów otrzymać twój ostatni cios... Jestem tylko biednym, dość prostym kapłanem, którym twoja złośliwość przez chwilę się bawiła i który za twoją sprawą potoczy się jak kamień... Któż może walczyć z tobą chytrą? Od jak dawna przybrałeś oblicze i głos mego Pana? Którego dnia uległem po raz pierwszy? W którym to dniu przyjąłem z niedorzecznym upodobaniem jedyny dar, jaki możesz uczynić, ułudny obraz osamotnienia świętych, twoją rozpacz, niewysłowioną dla ludzkiego serca? Cierpiałeś, modliłeś się wraz ze mną, co za straszna myśl! Nawet ów cud... Ale cóż! Ogołoć mnie ze wszystkiego! Nie pozostaw mi nic! Po mnie ktoś inny, potem jeszcze inny, z stulecia w stulecie, wydając ten sam okrzyk, rękami obejmując Krzyż...

Tak, nie jesteście owymi świętymi o rumianych twarzach i jasnych brodach, których zacni ludzie widzą na obrazach, a którym nawet filozofowie mogliby pozazdrościć wymowy i zdrowia. Nasz udział wcale nie jest taki, jak sobie świat wyobraża. W porównaniu z nim nawet przymus twórczy geniusza to tylko płocha igraszka. Każdy piękny żywot świadczy o Tobie, Panie; ale świadectwo świętego jest jakby wy darte żelazem.

r

Taka była zapewne ostatnia na ziemi skarga proboszcza z Lumbres, wzbijająca się do Sędziego i pełna miłości wymówka. Ale sławnemu człowiekowi, który z tak daleka do niego

tu przybył, co innego ma on do powiedzenia. I chociaż usta czerniejące w mroku, podobne do rany rozdartej wybuchem ostatniego krzyku, nie wydają już żadnego dźwięku, całe to ciało wyraża straszliwe wyzwanie:

- CHCIAŁEŚ MOJEGO SPOKOJU - woła święty - CHODŹ I ZABIERZ GO...!